

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 8

KRÓLOWIE

CLONMELU

Rangers Apprentice. The Kings of Clonmel

Tłumaczenie

Stanisław Kroszczyński

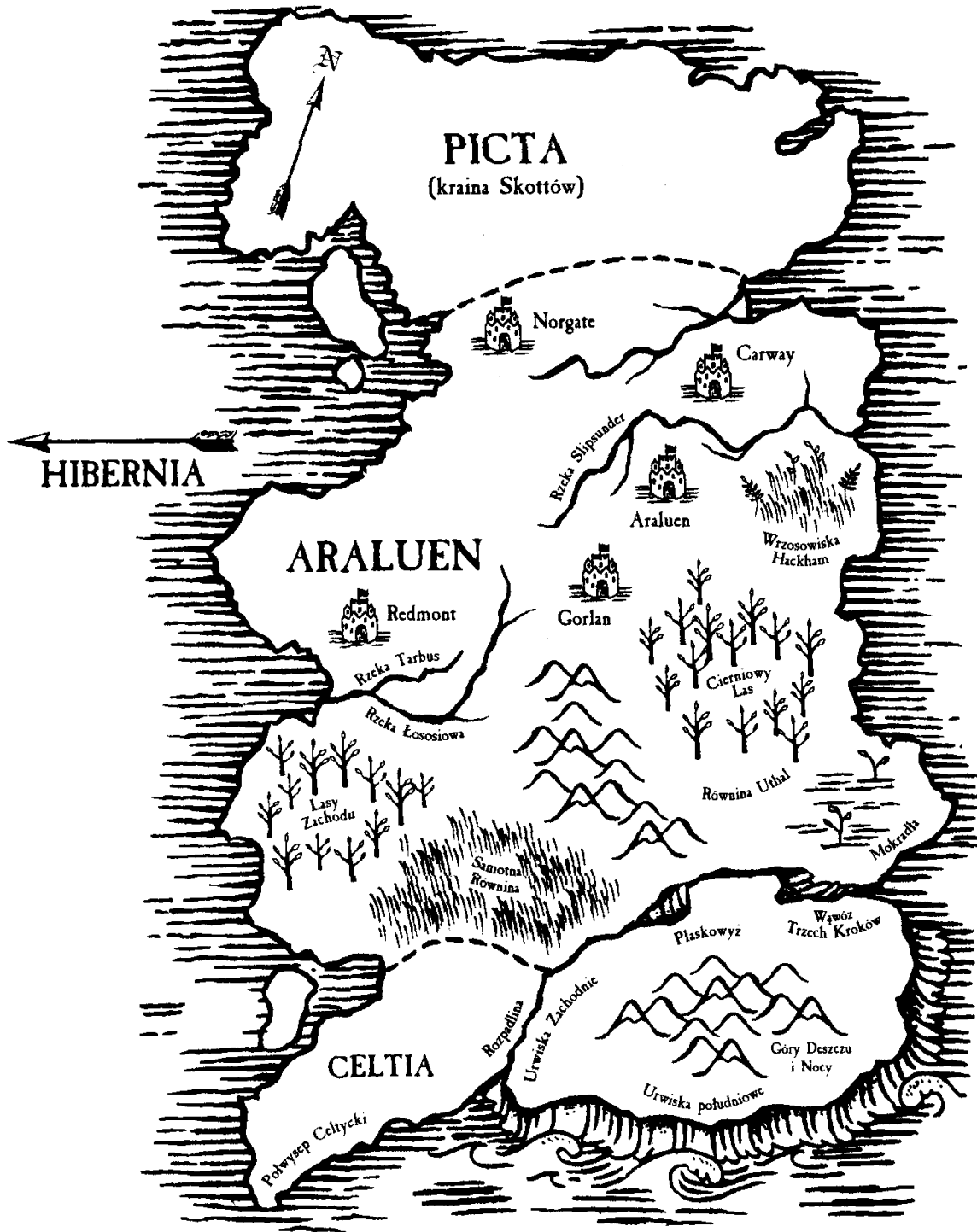
jaguar



Dla Catherine i Tyler: dziękuję za wszystko.

ARALUEN, PICTA I CELTIA

ROK 643 WSPÓLNEJ ERY



ROZDZIAŁ 1

Oczywiście, to Wyrwij najpierw wykrył obecność jeźdźca oraz jego wierzchowca.

Zastrzygł uszami, pochylił je do przodu, a Will raczej wyczuł, niż usłyszał niski pomruk, od którego zawibrował beczułkowaty tułów konika. Nie był to jednak sygnał alarmowy, toteż Will wiedział, że czeka go spotkanie z kimś znajomym. Pochylił się, poklepał zwierzę po kudłatej szyi.

- Dobry konik - rzekł półgłosem. - Gdzie oni są?

Był prawie pewien, że wie, kogo spotka. Ledwie się zresztą odezwał, jego przypuszczenia się potwierdziły. Zza drzew, kilkadziesiąt metrów przed nimi, wyłonił się jeździec, który zatrzymał się na rozstajach dróg, wyraźnie na nich czekając. Wyrwij parsknął, potrząsnął łbem.

- Jasne. Teraz to i ja ich widzę.

Musnął piętami boki Wyrwija. Konik z miejsca pognał przed siebie, płynnie przechodząc od stępa do galopu, by jak najprędzej zmniejszyć dzielącą ich odległość. Gniadosz zarżał na powitanie, Wyrwij odpowiedział tym samym.

- Gilan! - zawołał uradowany Will, gdy zbliżyli się do siebie na odległość głosu. Wysoki zwiadowca pomachał ręką, a gdy Will z Wyrwijem znaleźli się obok niego, obdarzył obu serdecznym uśmiechem.

Przyjaciele pochylili się w siodłach, ściskając sobie dłonie.

- Miło znów cię ujrzeć - stwierdził Gilan.

- Wzajemnie. Przewidziałem zresztą, kogo spotkam. Wyrwij już kilka minut temu wyniuchał przyjaciół.

- Niewiele umyka uwadze twojego małego kudłacza - zauważył beztroskim tonem Gilan. - Pewnie tylko dlatego wciąż jeszcze żyjesz.

- Nazywasz go małym kudłaczem? - udał oburzenie Will. - A twój Blaze to niby co, bojowy rumak?

Co prawda Blaze mógł się pochwalić nieco dłuższymi nogami i trochę

wytworniejszym wyglądem niż przeciętny zwiadowczy wierzchowiec, ale, jak zresztą wszystkie konie tej rasy, prezentował się znacznie mniej okazałe od rosłych, potężnie zbudowanych bestii, na grzbiecie których ruszali do walki rycerze Królestwa.

Kiedy dwaj młodzi zwiadowcy przekomarzali się ze sobą, ich konie też jakby podjęły rozmowę, na którą składało się parskanie oraz wstrząsanie łbami; można było odnieść wrażenie, że one również wymieniają się dobrodusznymi docinkami, formułowanymi w końskiej mowie. Tak, bez wątpienia prowadziły ożywioną wymianę zdań. Gilan wreszcie zwrócił na koniki uwagę:

- Ciekaw jestem, o czym one tak zawzięcie rozprawiają? - zastanowił się.

- Moim zdaniem Wyrwij właśnie wyraził Blaze'owi współczucie, że musi dźwigać na grzbiecie taką kościstą tykę - stwierdził Will. Gilan już otworzył usta, szykując się do wygłoszenia ciętej riposty, lecz nagle Wyrwij energicznie pokiwał łbem. Oba konie popatrzyły na Gilana. Zwyczajny zbieg okoliczności - pomyślał wysoki zwiadowca. Tyle że dość szczególny, bo właściwie dlaczego oba zaczęły mu się przyglądać akurat w tej samej chwili?

- Wiesz co - burknął - mam dziwne wrażenie, że się nie mylisz.

Will zerknął najpierw w stronę, z której sam przybył, potem zaś w kierunku przeciwnym do tego, z którego nadjechał Gilan.

- Halta ani widu, ani słyhu?

Gilan pokręcił przecząco głową.

- Jeszcze się nie pojawił, choć sterczę tu już od godziny z okładem. Dziwne, przecież miał do przebycia najkrótszą drogę.

Zmierzali na doroczny Zlot Zwiadowców i jak zwykle przy takich okazjach postanowili spotkać się tutaj, na rozstajach dróg, odległych o kilka mil od miejsca spotkania całego Korpusu, by wspólnie przebyć resztę drogi. Zwyczaj ten wywodził się z czasów, kiedy Will praktykował jeszcze jako czeladnik u Halta - tu właśnie spotykali się z Gilanem co roku, począwszy od drugiego Zlotu, w którym Will brał udział. Kiedy zmierzali na pierwszy, Gilan próbował schwytać w zasadzkę swego dawnego nauczyciela, lecz ten z wydatną pomocą Willa udaremnił jego starania. Will, zakończywszy własny termin, objął lenno Seacliff; Gilan już wcześniej pełnił funkcję zwiadowcy w Norgate. Jednak starali się spotykać tak często, jak tylko się dało.

- Czekaemy? - spytał Will.

Gilan machnął ręką.

- Skoro nie zjawił się do tej pory, coś go zatrzymało. Szkoda tu gnuśnieć, lepiej

ruszajmy w drogę, bo wkrótce zacznie się ściemniać.

Delikatnie musnął piętami boki swego wierzchowca, dając mu sygnał „naprzód”. Will uczynił to samo; jechali teraz ramię w ramię.

* * *

Po jakimś czasie dotarli na teren Zlotu. Był to obszar lesisty, lecz względnie otwarty, wycięto tu bowiem poszycie, pozostawiając wyższe drzewa, by w ich cieniu zwiadowcy mogli rozbijać niskie, jednoosobowe namioty.

Skierowali się ku swemu stałemu miejscu, pozdrawiając napotkanych po drodze kolegów. Korpus sformowano jako jednostkę elitarną, na tyle nieliczną, że większość jego członków znała się przynajmniej z imienia. Przybywszy tam, gdzie zwykle obozowali w trakcie poprzednich Zlotów, rozsiedłali konie, a następnie poświęcili nieco czasu, by solidnie rozmasować ich grzbiety, zmęczone po długiej drodze. Will wziął dwa składane skórzane poidła i udał się po wodę do pobliskiego strumienia, tymczasem Gilan zajął się odmierzaniem porcji owsa dla Blaze'a oraz Wyrwija. Przez następnych kilka dni konie miały odżywiać się bujną trawą porastającą tutejszy teren, ale teraz zasługiwały na nagrodę po całym dniu ciężkiej pracy. Zwiadowcy nigdy nie skąpili przysmaków swoim wierzchowcom.

Potem rozstawili namioty, oczyściwszy uprzednio grunt z patyków i suchych liści. Kamienie ułożone wokół miejsca przeznaczonego na ognisko leżały w nieładzie, pewnie była to robota jakiegoś zwierzęcia. Will szybko naprawił palenisko.

- Ciekawe, gdzie zawieruszył się Halt - zastanowił się Gilan, który spoglądał na zachód, w stronę chyłącego się ku horyzontowi słońca. Promienie sączyły się przez gałęzie drzew. - Spóźnia się, a to do niego niepodobne.

- Może wcale nie przyjedzie - zaniepokoił się Will.

Gilan uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Halt miałby się nie stawić na Zlot? - mruknął. - Mało prawdopodobne. Przecież on to uwielbia. A poza tym nie przepuściłby okazji, żeby się z tobą spotkać.

Will, podobnie jak Gilan, był dawnym uczniem Halta. Jednak nie ulegało wątpliwości, że mrukliwego nestora zwiadowców łączyło z młodzieńcem coś więcej niż niesłychanie przecież bliski związek, jaki zawsze istnieje między mistrzem a uczniem. Gilan zdawał sobie sprawę, że Will stał się dla Halta jakby synem.

- Nie - ciągnął - nie ma mowy. Nie ma takiej sprawy, która zdołałaby go powstrzymać.

- A jednak, a jednak. Coś stanęło mu na drodze - za ich plecami rozległ się znajomy

głos.

Will i Gilan odwrócili się gwałtownie, by stanąć twarzą w twarz z Crowleyem. Dowódca Korpusu Zwiadowców po raz kolejny udowodnił, że jest mistrzem w sztuce bezgłośniego poruszania się.

- Crowley! - zawołał Gilan. - Czyś ty spod ziemi wyrósł? Jak to się stało, że cię nie słyszeliśmy?

Zadowolony z siebie Crowley wyszczerzył zęby w uśmiechu. Umiejętność bezszelestnego skradania się napawała go szczególną dumą - i nie bez powodu.

- No cóż, no cóż. Kto cicho stawia stopy, zdoła się niejednego dowiedzieć, a to rzecz wielce przydatna w świecie wielkiej polityki, o którą, chcąc nie chcąc, ocieram się na Zamku Araluen - oświadczył. - Wiele poufnych rozmów tam się odbywa, a przecież nie wszystkie prowadzone są w interesie naszego władcy oraz Królestwa. Ileż to frapujących ciekawostek poznałem w ten oto niewinny sposób. Zdziwilibyście się!

Obaj młodszy zwiadowcy powstali, by uścisnąć dłoń dowódcy. Gilan czym prędzej postawił na ogniu dzbanek, żeby zaparzyć kawę. Will od razu zadał pytanie, które wręcz narzucało się wobec słów głównodowodzącego:

- Czy naprawdę Halt nie przybędzie na Zgromadzenie? Co się stało? - spytał niecierpliwie.

Crowley wzruszył ramionami.

- Przedwczoraj otrzymałem od niego wiadomość. Wyruszył na Zachodnie Wybrzeże. Do jego uszu doszły plotki o pewnej nowej sekcji, która się tam rozpleniała. Twierdzi, że to pilna sprawa, więc się pośród nas nie zjawi.

- Sekta? - zdziwił się Will. - A cóż to za sekta?

Kąciki ust Crowleya wykrzywiły się, dając wyraz niesmakowi, z jakim wytrawny zwiadowca odnosił się do zjawisk nadprzyrodzonych.

- Sekta, jak to zwykle: ot, sekta. - Rzucił okiem w stronę Gilana. - Ty, Gil, chyba wiesz, o czym mówię?

Gilan skinął głową.

- Aż nazbyt dobrze. „Dla zbawienia swej duszy przybywajcie” - zanucił śpiewnie, niczym w kościele. - „Nie masz boga żadnego nad boga naszego, on zaś ochroni was od zła wszelkiego, bo oto zagłada nadchodzi na świat nasz grzeszny. Nikt prócz nas nie zapewni wam wybawienia, więc pozbądźcie się swego mienia... A już my się nim odpowiednio zajmiemy” - zaśmiał się kpiąco. - Czy o jednej z takich sekt mowa? - spytał.

Crowley westchnął.

- Nic dodać, nic ująć. Straszą nieszczęsnych ludzi groźbą zagłady oraz wszelkimi nieszczęściami, z których jednak największe stanowią właśnie oni, nikt inny.

Gilan nalał kawę do trzech kubków. Podał naczynia towarzyszom.

Crowley spoglądał z powątpiewaniem na dwóch młodszych zwiadowców, którzy szczerze, całymi łyżkami, doprawiali swój napój dzikim miodem. Skrzywił się.

- Nijak nie mogę przywyknąć do smaku kawy z miodem. Swego czasu, za młodych lat, niemało się o to spieraliśmy z Haltem.

Will zaśmiał się.

- Hm, kiedy jest się uczniem Halta, człowiek nie ma wyboru. Uczy się, jak strzelać z łuku, rzucać nożem, kroczyć bezszelestnie oraz dodawać miodu do kawy.

- Cóż na to rzec? - zachichotał Crowley. - Nawet w nauczaniu największych mistrzów występują niekiedy karygodne błędy - rzekł, po czym z upodobaniem upił łyk gorzkiego napoju.

- Ja takowych nie widzę - oznajmił Gilan, sięgając po własne naczynie. - Czy Halt wspominał, jak nowa sekta się zowie? Oni nieodmiennie przybierają wielce szumne nazwy - mruknął do Willa.

- Błędów, co prawda, jak dotąd, także nie dostrzegłem w nadmiarze - odparł Crowley. Zawahał się przez moment, nim dokończył: - Halt obawia się, że to kolejne wcielenie Odszczepieńców.

Nazwa nic Willowi nie mówiła, jednak młodzieniec zauważył, że Gilan natychmiast się ożywił.

- Odszczepieńcy?! - zawołał. - Pamiętam ich, jako żywo. To działo się za dawnych czasów, w drugim bodajże roku mojego terminu u Halta. Czy aby nie wtedy wybrałeś się z Haltem, przepędzić ich na cztery wiatry?

Crowley skinął poważnie głową.

- Z Haltem, a także Berriganem i kilkoma innymi zwiadowcami.

- Zatem w grę wchodzi chyba wyjątkowo groźna sekta - zdziwił się Will. Istniało bowiem powiedzonko, popularne nie tylko pośród zwiadowców, ale i w całym Araluenie: „Jedna sprawa, jeden zwiadowca”. Sens maksymy sprowadzał się do tego, że do rozwiązania nawet najpoważniejszych problemów zazwyczaj wystarczał jeden zwiadowca.

- A jakże - przyznał Crowley. - Nieciekawe towarzystwo, w dodatku sączona przez nich trucizna zapadła głęboko w umysły wieśniaków. Sporo czasu nam zajęło, nim zdołaliśmy się z nimi uporać. Właśnie dlatego Halt postanowił bez zwłoki zaczerpnąć języka o nowych, terażniejszych wyznawcach. Jeśli rzeczywiście Odszczepieńcy znów podnoszą

głowy, trzeba zająć się nimi jak najprędzej.

Wytrząsnął fusy z kawy do ognia, odstawił kubek.

- Lecz na razie nie martwmy się kłopotami, które same mogą się rozwiązać. Nadeszła pora Złotu, więc nim się zajmujemy. Gilanie, dwóm czeladnikom odbywającym właśnie ostatni rok nauki potrzeba nieco dodatkowych ćwiczeń w dziedzinie skradania się i podchodów. Popracujesz z nimi?

- Ależ oczywiście - zapewnił Gilan. O ile Crowley zawsze okazywał się niezrównanym mistrzem bezgłośnych podchodów, o tyle Gilan nie miał sobie równych, gdy chodziło o maskowanie tak skuteczne, by stać się praktycznie niewidzialnym. W znacznej mierze jego geniusz pod tym względem sprowadzał się do odruchowego, instynktownego reagowania w danej sytuacji, ale znał wiele całkiem banalnych a użytecznych wskazówek, czy prostych sztuczek, które mógł przekazać swym przyszłym kolegom.

- Co do ciebie, Willu - ciągnął Crowley - mamy tu trzech młodych, którzy ćwiczą dopiero pierwszy rok. Może ty z kolei zechciałbyś zająć się oceną postępów, jakie czynią?

Tym pytaniem przywołał Willa do rzeczywistości. Crowley zdawał sobie sprawę, że młodzieniec wciąż jeszcze czuje się rozczarowany nieobecnością swego dawnego mistrza. Uznał więc, że lepiej będzie, jeśli go czymś zajmie.

- Och, wybacz, Crowleyu! Czego sobie życzysz? - spytał nieco zmieszany Will.

- Zechciałbyś poćwiczyć strzelanie z naszymi trzema pierwszorocznikami? - powtórzył Crowley, na co Will przytaknął pośpiesznie:

- Ależ jasne, z przyjemnością. Przepraszam za roztargnienie. Rozmyślałem o Halcie. Prawdę mówiąc, bardzo liczyłem na to, że go tu spotkam.

- Wszyscy czujemy się zawiedzeni - stwierdził Crowley. - Widok jego radosnego oblicza sprawia, iż rozprasza ją się mroki smutku. - Obaj wiedzieli, że Halt jest ponurakiem, jakich mało. - Na to jednak przyjdzie czas później. - Zawahał się przez krótką chwilę. - Prawdę rzekłszy... nie, nieważne. Na razie tyle wystarczy.

- Co to znaczy? - słowa dowódcy Korpusu pobudziły ciekawość Willa. Crowley uśmiechnął się. Ciekawość to niezbędna cecha dobrego zwiadowcy. Lecz w nie mniejszym stopniu liczy się dyscyplina i cierpliwość.

- Drobiazg. Dowiesz się we właściwym czasie. Na razie byłbym wdzięczny, gdybyś wziął się za trenowanie z chłopakami łucznictwa i poprowadził z nimi ćwiczenia taktyczne.

- Jasne, załatwione - Will zamyślił się na krótki moment, po czym spytał: - Trzeba opracować jakieś zestawy ćwiczeń?

Crowley zaprzeczył:

- Nie, nie. Tym już się zajęliśmy. Wystarczy, że dopilnujesz samego treningu. Myślę, że to powinno cię zabawić - dodał, nie wyjaśniając jednak, co ma na myśli. Wstał, otrzepał siedzenie spodni. - Dziękuję za kawę - rzekł - i do zobaczenia jutro podczas uczy.

ROZDZIAŁ 2

- No, dobrze - odezwał się Will do trzech chłopców. - Zobaczymy, jak sobie radzicie z łukiem. Po dziesięć strzał, każdy do własnej tarczy. Wskazał trzy zwyczajne, okrągłe tarcze - zwyczajne, czyli całkiem spore. Uczniowie ustawili się na linii wyznaczającej pozycje strzeleckie. Nieco dalej ćwiczyło dwóch starszych zwiadowców, mierząc do tarcz nie większych od talerza, umieszczonych w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Czeladnicy przez chwilę przyglądali się ze zdumieniem, jak pociski, jeden po drugim, wbijają się w niemal niewidoczny z tej odległości cel.

- Czasu mamy mnóstwo, ale kiedyś słońce jednak zajdzie - rzucił Will. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że mimo woli przyjął kpiący, ironiczny sposób bycia oraz ton, jakim odzywał się do niego Halt, kiedy udzielał mu pierwszych nauk, wprowadzając swego ucznia w zwiadowcze arkana.

- Tak jest, panie. Prosimy o wybaczenie, panie - zawołał służbiście chłopak stojący najbliżej. Wszyscy trzej spoglądali na Willa z niezbyt mądrym wyrazem twarzy. Westchnął.

- Stuart? - zwrócił się do tego, który się odezwał.

- Tak, panie?

- Nie jestem żadnym „panem”. Obaj jesteśmy zwiadowcami, tyle wystarczy.

- Ale... - zaczął jeden z pozostałych chłopców. Był mocnej budowy, a na czoło opadała mu grzywa rudych, potarganych włosów. Will szybko przeszukał zasoby pamięci, by przypomnieć sobie imię: tak, ten rudzielec nazywa się Liam.

- Liam?

Młody czeladnik splonął się.

- No... Bo przecież jesteśmy tylko uczniami, a pan... A ty... - urwał. Nie bardzo wiedział, co tak naprawdę chce powiedzieć. Najprawdopodobniej byłoby to coś w rodzaju: „... Jesteśmy czeladnikami, a ty, to ty”, co zabrzmiałoby raczej głupio.

Bowiem, choć Will o tym nie wiedział, wszyscy trzej darzyli go ogromną estymą. Przecież mieli do czynienia z legendarnym Willem Treatym, zwiadowcą, który uratował

córkę króla przed wargalską armią Morgaratha, potem zaś strzegł jej, gdy oboje zostali porwani przez skandyjskich najeźdźców. Następnie stworzył oddział łuczników, dzięki któremu udało się pokonać temudżeińskich jeźdźców. A on łucznikami dowodził. Ba, zaledwie kilkanaście miesięcy temu zapobiegł napaści Skottów zagrażających północnym granicom Królestwa, nie wspominając nawet, że ledwie w pierwszym roku swego zwiadowczego terminu uśmiercił krwiożerczą kalkarę.

Każdy z nowicjuszy darzył szacunkiem wszystkich starszych zwiadowców, tyle że od Willa byli ledwie o kilka lat młodszy, toteż jawił im się jako bohater rodem z baśni i wielbili go bezgranicznie. Co prawda, gdy zobaczyli Willa po raz pierwszy na własne oczy, spotkała ich, by tak rzec, niespodzianka. Oczekiwali widoku postaci w samej rzeczy heroicznej, rosłej i wzniosłej. Tymczasem ujrzeli osobnika o młodzieńczej twarzy, szczupłego, zawsze uśmiechniętego, wzrostu nieco późniejszego niż średni. Gdyby Will zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, z pewnością rozbawiłoby go ich zdziwienie, ale przede wszystkim odczuwałby ogromne zakłopotanie. Ileż razy miał do czynienia z podobną reakcją w przypadku Halta, kiedy ludzie znający mentora jedynie z legendy, stawali z nim po raz pierwszy oko w oko. Will nie miał o tym pojęcia, ale jego własna sława zaczynała już dorównywać reputacji mistrza.

O ile Will nie uświadamiał sobie, że dla tych trzech chłopaków stał się mitycznym bohaterem, o tyle rozumiał doskonale, jaka przepaść dzieli, z ich punktu widzenia, „dorosłego” zwiadowcę od czeladników. Przecież jeszcze nie tak dawno czuł dokładnie to samo.

- Owszem, zaliczacie się do początkujących zwiadowców - przyznał. - Ale o wiele większy nacisk trzeba położyć na to drugie słowo: „zwiadowców”. - Dotknął dłonią zawieszoną na szyi srebrnej odznaki w kształcie dębowego liścia. - Jako posiadacz tego emblematu mogę wymagać od was posłuszeństwa, a może nawet pewnej dozy szacunku. Jednak w żadnym razie nie oczekuję, że będziecie zwracać się do mnie w jakiś szczególnie unizony sposób. Mam na imię Will, więc tak mnie nazywajcie. Po prostu, Will. Podobnie do mojego przyjaciela będziecie mówić „Gilan”, a do mojego byłego nauczyciela „Halt”, gdyby któryś z nich się tu pojawił. Takie obyczaje panują pośród zwiadowców.

Ktoś pewnie stwierdziłby, że chodzi o drobiazg bez znaczenia, lecz Will uważał inaczej. Takie sprawy warto wyjaśniać od razu. Zwiadowcy to szczególna formacja, której członkowie muszą niekiedy przemawiać z pozycji autorytetu wobec ludzi teoretycznie górujących nad nimi w społecznej hierarchii. Dlatego ważne, żeby ci chłopcy zawczasu zdali sobie sprawę, iż pewnego dnia może pojawić się taka właśnie konieczność, że będą musieli

występować w imieniu władcy. Dotyczyło to wszystkich - zarówno uczniów, jak i tych, którzy dawno już odbyli termin. Pewność siebie stanowiła niezbędną cechę zwiadowcy, a to poczucie młodzi mogli zyskać między innymi dzięki temu, że w Korpusie wszyscy byli sobie równi, przynajmniej jeśli chodzi o relacje międzyludzkie.

Trzej uczniowie spojrzeli po sobie. Will dostrzegł, że jakby wyprostowali się nieco, a ich głowy odrobinę się uniosły.

- Tak... Willu - odezwał się Liam. Skinął głową, jakby oswajając się z dźwiękiem imienia legendarnego zwiadowcy. Dwaj pozostali także przyjęli krótki wykład z uznaniem. Dał im jeszcze chwilę, po czym spojrział znacząco w stronę słońca.

- A jednak, prędzej czy później, w końcu zacznie się ściemniać - mruknął, niby do siebie. Skrył uśmiech, gdy trzy strzały błyskawicznie wysunęły się z kołczanów. W następnej chwili zadźwięczały trzy łączyska. Rozległ się charakterystyczny świst, gdy pociski wyruszyły w swą drogę do celów.

- Dziesięć strzał - przypomniał. - Potem przekonamy się, jak wam poszło.

Podszedł do pobliskiego drzewa, usiadł pod nim, opierając się wygodnie plecami o pień. W cieniu, z twarzą skrytą pod kapturem, zdawał się drzemać.

Jego oczy pozostawały jednak wciąż czujne, a uwadze nie umykał żaden szczegół techniki strzeleckiej uczniów.

Przez kolejne dwa dni Will nadzorował łucznicze ćwiczenia trzech czeladników oraz poprawiał popełniane błędy. Na przykład Liam, nie wiedzieć skąd, nabrał przyzwyczajenia, by kontrolować naciąg, dotykając kącika ust kciukiem prawej dłoni.

- Dotykaj warg palcem wskazującym, nie kciukiem - pouczył go Will. - Jeśli dotykasz kącika ust kciukiem, odruchowo skręcasz dłoń w prawo, co sprawia, że po wypuszczeniu strzała zawsze skieruje się w lewą stronę.

Liam przyjął to pouczenie. Celność jego strzałów z miejsca się poprawiła - zwłaszcza na większych dystansach, kiedy nawet nieznaczne odchylenie staje się istotne.

Nick wykazywał z kolei skłonność do zbyt silnego chwytania za majdan. W całej jego posturze wyczuwało się zawziętość i ambicję, by za wszelką cenę uzyskać pożądaną wynik. Determinacja przekładała się jednak na zbyt silne napięcie ramienia. W rezultacie podczas strzału następowało szarpnięcie drzewcem w lewo, przez co wypuszczane pociski często przelatwały z dala od celu. Także ten błąd Will dostrzegł i skorygował go, zachęcając młodego łucznicę, by podczas kolejnych ćwiczeń pamiętał o konieczności rozluźniania mięśni.

Technika strzelecka Stuarta nie budziła zastrzeżeń. Jak na ten poziom, była właściwie

bezbłędna. Tyle że, podobnie jak pozostali, młodzieniec potrzebował jeszcze setek, tysięcy godzin praktyki, by jak przystało na zwiadowcę, stać się wyborowym łucznikiem.

- Ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć, jeszcze raz ćwiczyć - instruował Will. - Nie zapominajcie o starym powiedzonku: Zwykły łucznik doskonali się tak długo, aż zacznie trafiać. Lecz zwiadowca...? - zawiesił głos, czekając, aż dokończą za niego:

- ...Zwiadowca ćwiczy, dopóki nie przestanie chybiać! - odezwali się chórem. Uśmiechnął się z aprobatą.

- No, właśnie. Miejcie to na uwadze - rzucił.

Wreszcie, trzeciego dnia, nastął kres łuczniczych ćwiczeń. Poprzedniego wieczoru chłopcy otrzymali pisemny opis taktycznego zadania, czyli problemu, który powinni rozwiązać. Czas po kolacji aż po capstrzyk poświęcili na roztrząsanie postawionego zagadnienia i poszukiwanie pierwszych pomysłów, jak sobie z nim poradzić.

* * *

Will otrzymał ten sam dokument jednocześnie z nimi. Gdy go przeczytał, rozłożył bezradnie ręce.

- No, pięknie. Oto cały Crowley i jego szczególne poczucie humoru - parsknął, rzucając papiery na ziemię. Gilan podniósł na niego wzrok znad szycia - cerował właśnie płaszcz, bowiem podczas pokazu ukrywania się, wpadł w kępę ciernistych krzewów, ponosząc pewne szkody w odzieniu.

- O co chodzi? - spytał.

Will podniósł kartki, trzepnął w nie dłonią.

- Chodzi o zadanie taktyczne dla uczniów. Crowley uprzedzał zresztą, że będę miał niezły ubaw. No, rzeczywiście, kupa śmiechu. Młodziaki mają wynaleźć najlepszy sposób zdobycia zamku opanowanego przez najeźdźców. Rzecz dzieje się u północnych rubieży naszego królestwa. Coś ci to przypomina?

Gilan uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Słyszałem o kimś, kogo trafił podobny kłopot - przyznał. Bo też i rzeczywiście, sytuacja została zbudowana niemal identycznie, jak ta, z którą Will musiał się uporać zeszłej zimy w Zamku Macindaw.

- Zrobił sobie ze mnie igraszkę dla uczniów - mruknął gniewnie Will.

Był bliższy prawdy, niż mu się zdawało. Crowley rozesłał szczegółowy opis tamtych wydarzeń wszystkim członkom Korpusu. Towarzysze Willa studiowali jego rozwiązania

taktyczne, z niemalym zresztą uznaniem. Ci, którzy otrzymywali pod opiekę czeladników zwiadowczych, posługiwali się osiągnięciami kolegi, stawiając je za przykład inicjatywy, a także pomysłowości w sytuacji, w której ma się do dyspozycji znacznie mniejsze siły, niżby wynikało z charakteru zadania.

Gilan oczywiście o wszystkim wiedział, jednak uznał, że lepiej zataić ów fakt przed Willem. Czuł, że tego rodzaju sława stałaby się dla przyjaciela krępująca. Rzecz jasna, Will, jako jedyny zwiadowca, nie otrzymał od Crowleya rzeczonych opisu wydarzeń w Macindaw - bądź co bądź, znał ich przebieg lepiej niż ktokolwiek inny.

- Jakimi środkami dysponują? - zainteresował się Gilan.

Will spojrzął na listę zatytułowaną „siły i środki”. Wyszczególniono na niej wszelkiego rodzaju elementy taktyczne, którymi młodym zwiadowcom wolno się będzie posłużyć przy opracowywaniu planu.

- Wędrowny grajek - odczytał. W takim właśnie przebraniu dostał się na Zamek Macindaw. - Świetny pomysł. Na co komu się przyda jakiś rybał? Konny rycerz - wyliczał dalej. - Jeden. Przecież to nie Horace, skąd znowu. Żołnierze dawnej obsady warowni - czterdziestu. Którzy, oczywiście, zdążyli się już rozproszyć po całej okolicy. Trupa akrobatów, żonglerów oraz komediantów... Hm, czyli coś zamiast machin oblężniczych. No, jeszcze mieszkańcy pobliskiej wioski.

- Naprawdę? Żadnych Skandian z rozbitego wilczego okrętu, ani jednego czarownika?

- zaśmiał się Gilan.

- Nie. Przynajmniej tego mi oszczędził - parsknął ze złością Will. - Swoją drogą, hm, akrobaci... Naprawdę mogliby się przydać, o ile daliby radę wspiąć się na mury. - Przerzucił stronicę, żeby spojrzeć na szkic zamku. Mury wysokie na trzy do czterech metrów. Dla zwykłego człowieka przeszkoda nie do pokonania. Tymczasem dla sprawnego linoskoczka...

Machnął ręką, wetknął papiery do kieszeni. Przecież to nie jego problem. Nie on, ale ci trzej chłopcy mają znaleźć rozwiązanie zadania. Jego rola sprowadzi się tylko do tego, by ocenić, czy da się pomysły zastosować w praktyce.

- Będziesz miał niezły ubaw - mruknął tymczasem Gilan.

Will pokręcił głową.

- Pewnie, pewnie. Ciekawe, co chłopaki wymyślą.

ROZDZIAŁ 3

Halt, przykryty maskującym płaszczem, leżał nieruchomo w zaroślach na zboczu wzgórza wznoszącego się ponad wioską Selsey. Jedyne oczami poruszał nieustannie, obserwując, co dzieje się w osadzie. Przyglądał się tak Selsey już od kilku dni, niewidzialny dla mieszkańców ani dziwnych przybyszów, którzy zagościli na wybrzeżu.

Wioska Selsey była małą, niepozorną osadą rybacką złożoną z kilkunastu chat, skupionych nad płytką zatoką o trójkątnym kształcie. Zatoka wcinała się w skalisty brzeg na północnym krańcu płaskiego wybrzeża, u stóp stromego zbocza góry. Równinny pas rozciągał się wąsko, sięgając zaledwie stu metrów w głąb lądu.

Zatokę z trzech stron osłaniały wzgórza dość wysokie, by chronić wioskę i zatokę od szalejących często u tych brzegów burz oraz wichrów. Od strony morza Halt dostrzegł u ujścia zatoki spienioną wodę, wskazującą miejsce, gdzie tuż pod powierzchnią morza znajdowała się skalista bariera, o którą rozbijały się potężne fale, gnane przez zachodni wiatr.

W południowej części zatoki wody wyraźnie cichły - tam bowiem zaczynała się głębina. Płynąc tamtędy, dawało się ominąć podwodne skały. Tym właśnie przesmykiem łodzie rybackie wyruszały na otwarte morze.

Rybackie chaty były niewielkie, lecz daleko im było do ubogich lepianek. Zbudowane solidnie, wszystkie świeżo pomalowane, sprawiały wrażenie całkiem wygodnych siedzib.

Podobnie rzecz się miała, jeśli chodziło o łodzie. Maszty oraz bomby pokryto świeżą warstwą żywicy chroniącej drewno przed słońcą wodą. Żagle umocowano pieczołowicie na bomach. Olinowanie wykonano solidnie, widać było, że dbano o nie. Kadłuby, również w doskonałym stanie, wyglądały na niedawno odmalowane.

Choć więc na pierwszy rzut oka osada sprawiała wrażenie skromnej wioszczyny, uważna obserwacja prowadziła do zgoła innych wniosków. Panował tu ład, porządek i dostatek. Wybrzeże nie obfitowało w osłonięte miejsca, nadające się na przystań, więc rybacy z Selsey bez trudu znajdowali chętnych na złowione przez siebie ryby. Wystarczyło zawieźć połów do którejś z sąsiednich wiosek. Tutejszym mieszkańcom powodziło się zatem całkiem

dobrze, zresztą już od dłuższego czasu.

Co, naturalnie, wyjaśniało obecność Odszczepieńców. Rzecz zrozumiała - rzekł w duchu Halt sam do siebie, mrużąc oczy. Miał słuszną, rezygnując z udziału w tegorocznym Zlocie. Warto było podążyć tropem owych niejasnych pogłosek, nadchodzących z zachodu Araluenu.

Traf chciał, że ów wąski pas wybrzeża należał do nielicznych obszarów w kraju niepodlegających jurysdykcji żadnego z pięćdziesięciu lenn. Gdy wiele lat wcześniej wytyczano granice terytoriów, został po prostu pominięty. Jakiś czas potem grupka uchodźców z Hiberni zwróciła się do Korony z prośbą o prawo osiedlenia się w zatoce. Ówczesny władca ledwie zerknął na niezbyt dokładną mapę, następnie tylko machnął ręką i łaskawie wyraził zgodę. Miał akurat na głowie poważniejsze kłopoty niż jakiś zapomniany przez wszystkich skrawek wybrzeża; użerał się z pięćdziesięcioma krnąbrnymi, skłóconymi między sobą baronami, usiłując stworzyć - z nimi, czy też raczej wbrew nim - sprawnie działający system wewnętrznej administracji państwa.

W konsekwencji ów dwudziestokilometrowy odcinek wybrzeża pozostawiono własnym losom. Oczywiście, rzecz miałyby się inaczej, gdyby monarcha zdał sobie sprawę, iż dobrowolnie rezygnuje z kontroli nad jedną z najlepszych naturalnych przystani w promieniu stu kilometrów. Jednakowoż mapa okazała się nie dość dokładna; znajdującej się tu zatoki po prostu wcale na niej nie zaznaczono. Toteż mała rybacka osada prosperowała przez długie lata, a jej mieszkańcy nie płacili podatków, a także nie podlegali niczyjej władzy.

Ponieważ jednak znajdowała się opodal zachodniej granicy lenna Redmont, ostatnimi laty Halt zaczął tu dyskretnie zaglądać.

Od kilku już miesięcy dochodziły go wieści o pojawieniu się na tutejszym terenie nowego kultu, który sądząc po wrywkowych opisach, wcale nie był taki nowy, wręcz przeciwnie, wydawał się podejrzenie znajomy. Opowiadano o przybyszach, którzy pojawiali się w tej czy innej wiosce, głosząc pokój i przyjaźń. Dzieciom rozdawali zabawki, obdarowywali też drobnymi upominkami przywódców miejscowej wspólnoty.

Nie żądali niczego w zamian. Pragnęli jedynie uzyskać zgodę na osiedlenie się, by w pokoju czcić swojego dobrotliwego, miłosiernego boga, Złotego Alsejasza. Nie starali się nawracać miejscowych, twierdząc, że Alsejasz jest bóstwem wyrozumiałym, który nie odbiera wyznawców innym bogom.

Odszczepieńcy, jak zwali siebie samych wyznawcy Alsejasza, przez wiele tygodni nie wadzili nikomu, żyjąc w zgodzie z tubylcami.

Po pewnym czasie jednak wszędzie, gdzie się pojawiali, nieodmiennie coś zaczynało

się psuć. Bydło padało na tajemniczą zarazę. Owce oraz domowe zwierzęta nagle zaczynały kuleć. Płonęły uprawy i domostwa, nagle okazywało się, że woda w studniach jest zatruta. W okolicy zaczynali się kręcić zbrojni rabusie i bandyci, którzy napadali podróżnych, a także atakowali gospodarstwa położone na odludziu. Wkrótce napastnicy stawali się coraz bardziej zuchwali, dopuszczając się bestialskich okrucieństw. Mieszkańcy wioski nie wiedząc, skąd i kiedy padnie następny cios, bezustannie drżeli o swe życie.

Wtedy głos zabierali Odszczepieńcy. Powiadali, że znają sposób na ocalenie wieśniaków. Grasujący złoczyńcy to z pewnością wyznawcy złego bożka Balsennisa - mrocznego demona, zionącego nienawiścią do Alsejasza i wszystkich wartości głoszonych przez jego wyznawców. O tak, Odszczepieńcy mieli już z tamtymi do czynienia. W swej podłej zawiści Balsennis próbuje unicestwić wioskę, w której kiedykolwiek gościli lub nadal goszczą Alsejasza wraz ze swym wiernym ludem. Jednak Alsejasz jest potężniejszy - powiadali - i potrafi dopomóc. Przegoni precz zwolenników swego mrocznego brata i sprawi, że w wiosce znów zapanuje spokój.

Aby odpędzić Balsennisa, trzeba jednak ponieść pewne ofiary. Trzeba odmawiać specjalne modły i wznosić błagania. Alsejasz posiada wielką moc, lecz żeby ją urzeczywistnić, niezbędna jest specjalna świątynia, wraz z ołtarzem, przed którym należy odprawiać stosowne ceremonie. Ołtarz zaś należy zbudować z najszlachetniejszych materiałów: białego marmuru, nieskazitelnych desek cedrowych - bez węzłów czy sęków oraz... ze złota.

Bowiem Alsejasz jest Złotym Bogiem. Czerpie moc z drogiego kruszcu, złoto daje mu potęgę, której potrzebuje, by pokonać niecnego Balsennisa.

Prędzej czy później mieszkańcy każdej wioski ulegną. Wobec coraz okrutniejszych i coraz zuchwalszych napaści oraz innych przeciwności losu sięgną do swych kies, wydobędą ukryte kosztowności i sypną złotem. Im dłużej będą się wahać, tym straszniejsze nieszczęścia na nich spadną. Teraz już nie tylko zwierzęta, ale również ludzie staną się celem czcicieli złowrogiego demona. Członkowie miejscowej starszyny będą ginąć, mordowani podczas snu we własnych łóżkach. Gdy dojdzie do najgorszego, mieszkańcy wioski nie będą już skąpić skarbów. Powstanie świątynia. Odszczepieńcy zaś podejmą modły, wzniosą pienia, odbędą posty.

Wówczas napaści stopniowo ustaną. Plaga nieszczęśliwych „wypadków” zacznie wygasać. Wciąż rzadziej i rzadziej pokazywać się będą siepacze złego Balsennisa. Życie z wolna wróci do normy.

Wreszcie pewnego dnia, kiedy w wiosce zabraknie już czegokolwiek, co warto by od

mieszkańców wyłudzić, Odszczepieńcy znikną. A wraz z nimi - całe bogactwo oraz kosztowności gromadzone przez długie miesiące albo nawet lata.

Odszczepieńcy przeniosą się tymczasem do innej miejscowości, a tam wszystko znów zacznie się od początku.

Halt pojawił się w Selsey, nim jeszcze do tego doszło; Odszczepieńcy byli na etapie żarliwych modłów o ocalenie wioski od balsennisowych zbirów. Miał więc okazję wysłuchać nabożnych pień, obserwować, jak kapłani Alsejasza umartwiają się i postczą. Bez trudu wytropił tajne spiżarnie, bowiem post w wykonaniu oszustów zasadzał się na takim samym łgarstwie, jak wszystko inne.

Dokonał też rozpoznania w najbliższej okolicy, odnalazł obozowisko współpracujących z Odszczepieńcami bandytów. To oni wykonywali czarną robotę - palili stodoły, okaleczali zwierzęta, porywali i mordowali tubylców. Bez nich kult Alsejasza nie miałby racji bytu, ale wieśniacy, oczywiście, nie zdawali sobie z tego sprawy.

Wszystko zostało przemyślane, zaplanowane, dobrze zorganizowane. Dokładnie tak samo, jak działania sekty, z którą miał do czynienia wiele lat wcześniej, a która teraz powróciła.

Zmarszczył brwi, bo jakaś postać wyłoniła się z wielkiego namiotu zamieszkałego przez Odszczepieńców. Namiotu rozstawionego nad samym brzegiem, w pobliżu miejsca, gdzie wyciągano na plażę łodzie rybaków, tuż poza zasięgiem przyływu.

Przed namiotem wyrósł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna. Siwe, długie włosy opadały po obu stronach jego twarzy. Ze znacznej odległości Halt nie potrafił dostrzec rysów, lecz już wcześniej zaobserwował, że oblicze owego człowieka naznaczone zostało śladami po ospie. Najwyraźniej Alsejasz na to akurat nie potrafi nic poradzić - stwierdził zgryźliwie w myśli.

Mężczyzna dzierżył w dłoni laskę, oznakę przywództwa w grupie wyznawców. Ot, zwykła, z grubsza ociosana gałąź, na której górnym końcu umieszczono symbol Odszczepieńców: pokryty runami kamienny pierścień z wprawioną weń kulą, do której z kolei przymocowano kamienną półkulę. Obserwowany przez Halta kapłan pewnie kroczył w stronę najokazalszego z domów wioski.

- Trzeba więcej złota, prawda? - mruknął pod nosem Halt. - Zobaczymy, co ci się uda wskórać.

Przywódca Odszczepieńców spotkał się z grupą wieśniaków - najwyraźniej starszyzną - i rozpoczęła się ożywiona rozmowa. Halt nie wątpił, że wie, czego ona dotyczy, bo w przeszłości był już świadkiem niejednej podobnej wymiany zdań. Kapłan z ubolewaniem

powiadamia mieszkańców wioski, że niestety trzeba złożyć w ofierze więcej bogactw. Alsejasz potrzebuje bowiem większej mocy, którą tylko w ten sposób mogą mu zapewnić, inaczej nie zdoła pokonać odwiecznego wroga. Sprytna taktyka - pomyślał Halt. Domagając się złota z wyraźnym ociąganiem, wcale nie nalegając w razie odmowy, Odszczepieńcy unikali podejrzenia, jakoby domagali się kosztowności dla siebie samych. Skąd znowu, wszystko dla Złotego Alsejasza.

Halt przyglądał się dalej; teraz kapłan teatralnym gestem wzruszył ramionami, okazując w ten sposób, że nic już tu nie wskóra: skoro wieśniacy powiadają, że nie mają więcej złota, z pewnością tak jest. Rozłożył ramiona w geście wyrażającym przyjaźń oraz zrozumienie, następnie, kiwając smutno głową, odwrócił się, by ruszyć w stronę swojego namiotu. Teraz, jak i zawsze, postępował zgodnie ze stosowaną rutynowo przed Odszczepieńców praktyką. Oto właśnie obiecał, że wraz ze swoimi współwyznawcami i tak będzie czynił, co w jego mocy, modląc się, a nawet poszcząc w intencji mieszkańców wioski.

- Tymczasem dzisiejszej nocy - szepnął do siebie Halt - jeden z tych domów stanie w płomieniach.

ROZDZIAŁ 4

Trzej czeladnicy rozsiedli się pośrodku cichej polanki, rozłożywszy na kolanach stronice z opisem zadania oraz notatki. Spoglądali wyczekująco na Willa.

- Doskonale - zaczął. Trzy wlepione weń pary oczu wprawiały młodego zwiadowcę w niejakie zakłopotanie. Pewnie myślą - uznał - że przyszedłem tu do nich z gotowym rozwiązaniem, a tymczasem nic z tego... Nie na tym polegała jego rola. - Przeczytaliście opis?

Potakujące skinienie trzech głów.

- Rozumiecie problem?

Zrozumieli.

- Doskonale - powtórzył. - Kto w takim razie zaczyna?

Do góry wystrzeliła ręka Nicka. Will uśmiechnął się pod nosem. Nie wątpił, że Nick pierwszy wyrwie się do odpowiedzi.

- Świetnie. Opowiedz nam o własnych przemyśleniach. - Dał znak dłonią.

Nick odchrząknął kilka razy. Przerzucił nerwowo notatki, a znalazłszy stosowny fragment, zaczął odczytywać go w oszłamiającym tempie:

- Otóż problem z którym mamy do czynienia sprowadza się do faktu iż niedysponujemy odpowiednią liczbą brojnychaby podjąć standardowe działania obłąknicze...

- Prrr! - przerwał mu Will. Dostrzegł spłoszone spojrzenie Nicka, gdyż chłopak zorientował się, że coś zrobił nie tak.

- Wolniej! - wyjaśnił Will. - Stępa, stępa, a nie galopem, dobrze?

Po wyrazie twarzy chłopca zorientował się, że tamten nade wszystko lęka się popełnić jakiś błąd. Przerost ambicji - pomyślał Will. Potok słów okazał się równie nerwowy, jak zbyt kurczowy był uchwyt jego dłoni ściskającej łączysko.

- Rozluźnij się, Nick - odezwał się spokojnym tonem. - Wyobraź sobie, że przedstawiś swój plan królowi Duncanowi... - Urwał, zauważywszy, że na samą myśl o czymś równie niesłychanym chłopak rozdziawia szeroko gębę. Wyjaśnił więc cierpliwie: - Musisz zdać sobie sprawę, że nie ma w tym nic niezwykłego. Zwiadowcom zdarza się mieć

do czynienia z władcą, zresztą wcale nie tak rzadko. A przecież nie wpadniesz do sali tronowej Zamku Araluen, żeby wyrzucić z siebie: „Witaj królu Duncanie pozwól przedłożyć ci kilka pomysłów wniech wasza królewska mość powiecootym sądzi dobrze?” - naśladował gorączkowe trajkotanie czeladnika na tyle zrećnie, że dwaj pozostali uczniowie parsknęli śmiechem. Nick, po krótkiej chwili, także do nich dołączył. - Otóż nie, nie zachowałbyś się tak - odpowiedział Will na własne pytanie. - Kiedy przedstawiasz plan, powinienieś mówić wyraźnie, a także wypowiadać się zwięźle i precyzyjnie. Chodzi o to, żeby twoi słuchacze uzyskali jasny obraz sytuacji. W tym celu trzeba uporządkować własne przemyślenia, prezentując je następnie w logicznym ciągu. A teraz weź głęboki oddech...

Nick posłusznie zaczerpnął powietrza.

- I zacznij od początku. Tylko powoli.

Chłopak odczytał te same słowa, lecz na szczęście już wolniej.

- Musimy więc znaleźć sposób - dokończył - by wzmocnić nasze siły, a w konsekwencji zredukować przewagę liczebną przeciwnika.

Zerknął wyczekująco na Willa.

- Całkiem trafna ocena, przynajmniej jak dotąd. Proponowane rozwiązanie?

- Należy wykorzystać oddział trzydziestu pięciu Skandian z rozbitego okrętu. Z nich utworzy się trzon atakujących sił, a dowodzić nimi będzie ten konny rycerz, którego już mamy do dyspozycji. Co prawda nasze siły wciąż pozostają mniej liczne, lecz legendarna waleczność Skandian okaże się naszym atutem, bowiem...

- Prrr! Prrr! Prrr! Znowu się zagalopowałeś! Jakich znowu Skandian? Skąd ich weźmiesz?

Nick popatrzył na niego, trochę zdziwiony.

- No... Chyba ze Skandii - odpowiedział. Dwaj pozostali przytaknęli; także nie umieli pojąć, o co Willowi chodzi.

- Nie, nie i jeszcze raz nie - zaczął; w tej chwili oświeciło go. Zmarszczył brwi, popatrzył na chłopców. - Każdy z was postanowił przyłączyć do swoich sił oddział Skandian? - spytał. Liam i Stuart skinęli bez słowa głowami.

- Hm, a cóż was do tego skłoniło? Dlaczego sądzicie, że należy oraz że można to zrobić? - spytał.

Chłopcy popatrzyli po sobie, a odpowiedział Liam:

- No, bo przecież ty tak uczyniłeś. - Z tonu wypowiedzi wynikało, iż tłumaczy Willowi coś zupełnie oczywistego.

Will załamał ręce.

- Ale ja ich znałem - oświadczył. - To byli moi przyjaciele.

Liam wzruszył ramionami.

- Jasne. Ale przecież ja także mógłbym ich poznać. Powiadają, że nawiązywanie kontaktów z ludźmi przychodzi mi z łatwością, więc jestem pewien, że i ze mną by się zaprzyjaźnili.

Nick wraz ze Stuartem najwyraźniej byli tego samego zdania. Will podsunął im pod nosy listę sił i środków.

- Nie wątpię, nie wątpię, tylko że tutaj nie wymieniono ani jednego Skandianina! - zawołał. - Ani śladu po Skandianinie! Co wam strzeliło do głowy, żeby wziąć ich sobie ot tak, z powietrza?

Chłopcy znów spojrzeli po sobie. Tym razem głos zabrał Stuart:

- W założeniach ćwiczenia napisano, że mamy posłużyć się inicjatywą, a także wyobraźnią...

Will zachęcił go gestem, żeby mówił dalej.

- Toteż posłużyliśmy się wyobraźnią i wykazaliśmy inicjatywę, wyobrażając sobie, że w pobliżu znajduje się oddział Skandian.

- I że są z nami zaprzyjaźnieni - uzupełnił Liam.

Will oniemiał. Chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę, przez co przechodził Halt w początkowym okresie jego szkolenia. Trzem chłopakom wydawało się przecież, że wszystko sobie obmyślili nad wyraz sprytnie.

- Tak nie wolno postępować! - zawołał, zdesperowany. Jednak złagodniał na widok twarzy wyrażających niewątpliwą bezradność. - Słuchajcie, po to otrzymaliście listę sił i środków, żeby posługiwać się tym, co w niej wymieniono - i niczym więcej - wyjaśnił. - Nie wolno wam wymyślać sobie jakichś Skandian tylko dlatego, że i owszem, bardzo by wam się przydali.

Wpatrzone weń oblicza przybrały ponury wyraz.

- Chyba rozumiecie, że w takim razie równie dobrze możecie sobie wyobrazić, że macie do dyspozycji kilkunastu gigantycznych trolli, którzy przypuszczą za was szturm, po czym rozwalą mury zamku - tylko dlatego, że wam tak wygodnie.

Nick, Liam oraz Stuart, słuchając go, kiwali poważnie głowami, tak że przez jedną straszną chwilę Will przeraził się, że uznali pomysł z trollami za całkiem praktyczny oraz wielce przydatny.

- Żartowałem - wyjaśnił. Westchnął i usiadł na trawie. Wreszcie do chłopaków dotarło, że należy zacząć wszystko od początku. Na ich twarzach odmalowało się rozczarowanie.

Oczywiście, nie zamierzał wykonać za nich zadania, ale uznał, że nic się nie stanie, jeśli trochę im pomoże. - No, dobra. Po pierwsze, przyjrzyjmy się jeszcze raz liście sił i środków. Możecie mi przypomnieć?

- Dysponujemy trupą wędrownych linoskoczków - stwierdził Liam.

Will zerknął na niego.

- Masz pomysł, do czego moglibyśmy ich wykorzystać?

Liam zamyślił się, ale nic nie powiedział.

- Niech zapewnią rozrywkę naszym oddziałom, dla podniesienia morale - zauważył Nick.

- W rzeczy samej, pod warunkiem jednak, że posiadalibyśmy jakieś oddziały - przypomniał mu Stuart.

- Linoskoczkowie przydadzą się, kiedy już zgromadzimy wojska! - wtrącił Liam, wyraźnie zirytowany „czepianiem się” Stuarta.

Will doszedł do wniosku, że lepiej interweniować od razu, nim się pobiją. Podsunął więc wskazówkę:

- Co uniemożliwia wam dostanie się do wnętrza zamku? Na czym polega główna linia obrony twierdzy? - spytał.

Chłopcy zastanawiali się przez chwilę, potem odezwał się Stuart, tonem dającym do zrozumienia, iż chodzi o rzecz oczywistą:

- No, przecież są mury.

- Doskonale. Mury, i to wysokie. Wysokie na cztery metry. - Will urwał, spoglądając kolejno na swych słuchaczy. - Nie dostrzegacie żadnego związku między wysokimi murami a trupą linoskoczków?

Nagle pojęli; Nick był ułamek sekundy szybszy od kolegów.

- Mogliby wspiać się po murach! - zawołał.

Will wyciągnął w jego stronę palec wskazujący.

- Otóż to. Tyle że wciąż jeszcze potrzebujemy wojsk. Co się stało z poprzednią obsadą twierdzy?

- Rozproszyli się po całym lennie, wrócili do swych zagród i wiosek. - Tym razem głos zabrał Liam. Zmarszczył brwi i dodał: - Potrzeba nam kogoś, kto będzie wędrował od osady do osady, roznosząc wici...

- Ale w taki sposób, żeby nieprzyjaciel się nie zorientował - wtrącił szybko Will, mając nadzieję, że chociaż jeden podchwyci jego myśl.

- Grajek! Wędrowny bard! - wykrzyknął triumfalnie Stuart. - Nikt nie zwróci uwagi na

rybaka, który przemierza lenno, od gospody do gospody.

Will rozpromienił się.

- No, proszę, wreszcie zaczynacie główkować! - stwierdził. - Popracujcie jeszcze trochę, a po południu spotkamy się znowu i omówimy wasze pomysły.

Chłopcy zorientowali się teraz, że sprawa nie jest tak całkiem beznadziejna, więc na nowo nabrali entuzjazmu. Will dał im znak, żeby się rozeszli, ale w następnej chwili zatrzymał ich jeszcze:

- Zapomnieliśmy o czymś: wioska. Ilu mieszkańców liczy?

Nick odpowiedział natychmiast, nie zaglądając do notatek:

- Około dwustu - odparł, zachodząc w głowę, do czego Will zmierza. - Ale pośród wieśniaków jest tylko kilku byłych żołnierzy. Większość to chłopci albo parobkowie.

- Zgadza się - rzekł Will. - Zastanówcie się teraz, jakie prawo obowiązuje wszystkie osady liczące ponad stu mieszkańców.

Otóż edykt królewski głosił, iż starszyzna każdej takiej wioski ma obowiązek zadbać, by młodzież ćwiczyła się w strzelaniu z łuków. Właśnie dzięki temu Aralueńczycy dysponowali znacznymi siłami wyszkolonych łuczników, których w razie potrzeby powoływano do służby w armii. Na ów koncept jego podopieczni najwyraźniej jeszcze nie wpadli, ale uznał, że jak na jeden dzień dostarczył im wystarczająco wiele podpowiedzi.

- Weźcie to pod uwagę - polecił. Gestem przypominającym nieco opędzanie się od much dał im znak do odejścia. Nasłuchiwał, jak oddalając się, gorączkowo dyskutują. Nagle zdał sobie sprawę, że jest bardzo zmęczony. Oparł się o pień grubego drzewa.

- Dobra robota - rzucił Crowley, który znajdował się w odległości kilku metrów od Willa. Młody zwiadowca drgnął nerwowo i poderwał się natychmiast.

- Nie rób tego więcej! - obruszył się. - Wystraszyłeś mnie jak wszyscy diabli!

Głównodowodzący zachichotał, po czym wyszedł na polanę. Usiadł obok Willa.

- Nie tak łatwo być nauczycielem, prawda? Trzeba wiedzieć, jak nakierować ich na właściwy trop, by nie podpowiedzieć zarazem zbyt wiele - niech się uczą samodzielnego myślenia. Z czasem i ty będziesz kształcił swojego czeladnika, wtedy z pewnością dobrze sobie poradzisz.

Will spojrzał na Crowleya niespokojnie, bo wcale nie uśmiechała mu się podobna myśl. Straszliwa odpowiedzialność, a poza tym byłoby okropne, gdyby jakiś młodzik bezustannie plątał mu się pod nogami, zadawał bezsensowne pytania, przerywał, zawracał głowę, zamiast samodzielnie przemyśleć dany problem...

Doskonale zdawał sobie sprawę, że on sam jako uczeń Halta tak właśnie się

zachowywał. Raz jeszcze uświadomił sobie, że mistrz nie miał z nim łatwego życia.

- Chyba jeszcze za wcześnie na czeladnika - rzekł ostrożnie, a Crowley uśmiechnął się.

- Spokojna głowa, kiedyś przyjdzie na to pora. Tymczasem jednak mam wobec ciebie całkiem inne plany.

Jednak kiedy Will zaczął się dopytywać, głównodowodzący zbył go szerokim uśmiechem.

- Wszystko we właściwym czasie.

Will nie zdołał zeń wyciągnąć niczego więcej.

ROZDZIAŁ 5

Minęła północ. Osada Selsey dawno już pogrążyła się w ciemnościach i ciszy, wszyscy jej mieszkańcy spali. Nikt nie pełnił warty. Tutaj, w odległej, mało komu znanej wiosce nie było takiej potrzeby.

To znaczy, nie było jej nigdy dotąd. Bowiem tej nocy, jak słusznie przewidział Halt, przydałby się czujny wartownik.

Zwiadowca podjął się więc tej roli z własnej inicjatywy. Przycupnął za jedną z łodzi rybackich wyciągniętych na piach, poza linię przyływu. Z początku spodziewał się, że Odszczepieńcy zechcą podpalić któryś z domów, jednak po namyśle zdał sobie sprawę, że łodzie służące do połowów są znacznie lepszym celem. Przecież właśnie one zapewniały mieszkańcom Selsey środki do życia. Gdyby spłonął któryś z domów, jego właściciele rychło zdołaliby sporządzić tymczasowe schronienie, na przykład szałas czy płócienny namiot, i w nim zamieszkać, nim odbudują chatę. Pomimo niedogodności życie toczyłoby się nadal. Natomiast gdyby zniszczono łodzie, oznaczałoby to niepowetowaną stratę - koniec połowów, a więc też koniec zarobków, aż do chwili, gdy zbudowane zostaną nowe łodzie.

Zniszczenie podstawowych dla rybaków „narzędzi pracy” byłoby jak najbardziej zgodne z charakterem Odszczepieńców. Im dłużej Halt się zastanawiał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że taki właśnie był ich plan.

Nagle z gęstwiny drzew wyłoniło się kilka mrocznych sylwetek, które zaczęły skradać się po piasku w stronę łodzi. Halt pomyślał mimochodem, że bandyci niepotrzebnie idą na ugiętych nogach, jakby się kryli, bowiem i tak byli doskonale widoczni na jasnym piasku. Co więcej, ich przygarbione sylwetki sugerowały, że knują coś podejrzanego.

Czterech mężczyzn zatrzymało się przy rybackich sieciach, dziesięć metrów od zaczajonego zwiadowcy. Dwaj pozostali szli dalej, kierując się ku łodzi znajdującej się obok tej, za którą ukrył się Halt. Wyjrzał zza rufy; złoczyńcy przyklęknęli w piachu zaledwie kilka metrów dalej - na tyle jednak blisko, że słyszał prowadzoną szeptem rozmowę.

- Ile puszcza z dymem? - spytał jeden.

- Farrell powiada, że wystarczy dwie, żeby dać im nauczkę.

Farrell, czyli ów siwowłosy kapłan, którego Halt obserwował wcześniej tego samego dnia, przywódca grupy Odszczepieńców.

- Ja zajmę się tą. - Wskazał łódź, przy której klęczeli. - Ty podpal tę obok. - Drugi opryszek skinął głową i popełził na czworakach w stronę dzioba łódki, za którą czatował Halt.

Halt wycofał się szybko za trzecią łódkę, tak by znaleźć się za plecami podpalacza, kiedy ten zajmie się swoją robotą. Piaszczysta plaża usłana była wodorostami i wyrzuconymi przez morze kawałkami drewna. Gdy Halt usłyszał, że mężczyzna zbliża się do dzioba wyznaczonej mu łodzi, znieruchomiał, okryty płaszczem. Gdyby nawet został zauważony, wzięto by go za jeszcze jeden bezkształtny stos odpadków naniesionych przez wodę. Jak bowiem głosiło stare powiedzenie popularne wśród zwiadowców: Kto się nie spodziewa ujrzeć nikogo, pewnie nikogo nie zobaczy.

Halt usłyszał zgrzyt krzesiwa o stal. Popatrzył nieco wyżej, zważając, by nie poruszyć głową. Podpalacz przykucnął za łodzią, plecami do Halta. Rozległ się kolejny zgrzyt. Zwiadowca dostrzegł w mroku błękitną iskrę.

Prześliznął się w ciemnościach, niczym wielki, bezgłośny wąż, po czym uniósł się odrobinę. Ciągłe zachowując pozycję kuczną, pochwycił niespodziewającego się niczego zbója.

Podpalacz zorientował się, że nie jest sam, dopiero wtedy, gdy żelazne ramię zgmiotło mu krtań, a silna dłoń szarpnęła głowę do tyłu w dławiącym chwycie. Nim mężczyźnie zabrakło powietrza, zdołał wydać z siebie ledwie ciche stęknienie.

- Co się dzieje? - dobiegło rzucone szeptem pytanie od strony sąsiedniej łodzi. Zaciskając coraz mocniej chwyt na szyi prędko tracącego siły przeciwnika, Halt odparł, również szeptem:

- Wszystko w porządku. Tylko upuściłem krzesiwo.

Zobaczył odbłask krzesiwa, które uderzało o stal przy drugiej łodzi. Usłyszał gniewne burknięcie:

- No, to morda na kłódkę i do roboty.

Duszenie odniosło pożądany skutek, mięśnie zaskoczonego przez Halta podpalacza zwiotczały, ciało zwisło bezwładnie w rękach zwiadowcy. Ułożył je ostrożnie na piasku. Od tamtej łodzi nie dobiegało już stukanie krzesiwa, z czego Halt wywnioskował, że drugi napastnik zdołał rozniecić ogień. Nie było czasu do stracenia. Wyszły na słońcu belki łodzi, nasączone smołą i pomalowane farbą, a także osmołowane olinowanie zajmą się w mgnieniu oka. Najszybciej do bandyty mógł się dostać górą, przechodząc przez środek łodzi.

Błyskawicznie wspiał się na burtę, skoczył na drugą stronę i opadł na piasek.

Zerwał się natychmiast na nogi i ujrzał nikły blask tlącego się chrustu. Wpatrzony w płomyk zbój usłyszał nagle za plecami szelest. Spojrzał, ale oślepiiony światłem, dostrzegł tylko mroczną sylwetkę. Ponieważ nie oczekiwał nikogo innego, uznał, że zbliża się jego towarzysz.

- Zrobiłeś swoje? - spytał.

- Nie całkiem. - Halt doszedł do wniosku, że nie ma powodu dalej podszywać się pod bandytę.

Tamten zbyt późno zorientował się, że ma do czynienia z kimś obcym. Zdążył co prawda wstać, ale w tej samej chwili Halt wytrącił mu płonący chrust z dłoni, a potem lewą ręką zadał zbirowi idący po łuku cios, wkładając w uderzenie całą siłę ramienia oraz półobrotu tułowia.

Nasadą dłoni trafił prosto w podbródek. Głowa zbrojcy, gwałtownie pchnięta w tył, łomotnęła głucho o kadłub łodzi; rozległ się jęk bólu. Gdy podpalacz wciąż jeszcze osuwał się, półprzytomny, na ziemię, Halt już wołał na cały głos:

- Pożar! Pali się! Łodzie się palą!

Doszły go odgłosy gwałtownej wymiany zdań. Zaskoczeni, podenerwowani towarzysze obezwładnionych zbrojców wymieniali między sobą uwagi, wciąż jeszcze używając ściszonego głosu. Nie mieli pojęcia, co się dzieje. Przecież wszystko powinno odbyć się po cichu, nie planowali wszczynania alarmu po podpaleniu. Tymczasem, o ile wiedzieli, przy łodziach nie było nikogo oprócz ich dwóch kompanów.

- Pali się! - wrzasnął znowu Halt. - Do łodzi! Pali się!

Głos zwiadowcy niósł się zaskakująco donośnie pośród ciszy. W kilku oknach już zapaliło się światło. Czterej napastnicy zdali sobie sprawę, że wkrótce znajdą się w poważnym niebezpieczeństwie, toteż ruszyli czym prędzej w stronę łodzi. Halt wychynął z ukrycia i pobiegł ukosem przez plażę, a rozbójnicy za nim - właśnie o to mu chodziło, bo nie chciał, żeby podjęli następną próbę podpalenia.

- Brać go, to obcy! - usłyszał za sobą czyjś okrzyk. Rozległ się łomot stóp na piasku.

Tymczasem jednak w oddali dały się słyszeć inne głosy, to przebudzeni rybacy wyskakiwali z domostw i zwoływali się okrzykami. Biegający za Haltem zbrojcy zawahali się.

- Zostawcie go! Zabierzcie Scarra i Morrisa, a potem zwiewamy! - rozległ się ten sam rozkazujący głos. Najwidoczniej Scarr oraz Morris to byli ci, którzy próbowali podpalić łodzie. Napastnicy nie zamierzali zostawiać ich w rękach rybaków. Mieszkańcy osady mogliby wymusić na zbirach kłopotliwe dla sekciarzy zeznanie. Tupot stóp za plecami Halta

zaczął się jakby oddalać - zaryzykował więc spojrzenie przez ramię. Rzeczywiście, czterej opryszkowie gnali z powrotem w stronę łodzi, do swoich towarzyszy. Kilkadziesiąt metrów dalej pobłyskiwały latarnie rybaków zmierzających w stronę łodzi, jednak bez większego pośpiechu, jako że z daleka nie widać było, iżby łodzie rzeczywiście zostały podpalone.

Podpalacze uciekną - stwierdził w myśli zwiadowca. Na to jednak niewiele mógł poradzić. Z wielkiego namiotu, w którym obozowali Odszczepieńcy, również rozległy się głosy. Na pewno i tak nie spali, czekając, aż ich wspólnicy dokonają podpalenia - a teraz, rzecz jasna, nie mogli udawać, że niczego nie słyszą. Gdy Halt znalazł się pośród drzew, zwolnił do truchtu. W cieniu zatrzymał się, kilka razy odetchnął głęboko. Jak wszyscy zwiadowcy, był w doskonałej formie, ale zawsze warto odpocząć, jeśli nadarzy się okazja. Uspokoić bicie serca, zaczerpnąć powietrza.

Spokój, cisza - rozkazał kipiącemu od adrenaliny organizmowi. Poczul, jak puls zwalnia, osiągając znów zwyczajny rytm.

Cóż - pomyślał - w sumie to udany wieczór. Pewnie, że byłoby lepiej, gdyby chociaż jeden z podpalaczy dostał się w ręce mieszkańców wioski, którzy wydobyliby z niego ważne informacje. Przynajmniej jednak udaremnił plany zniszczenia łodzi.

Co więcej, zasiał niepokój w umysłach złoczyńców. Stanowczo, dał im do myślenia: z pewnością będą zachodzić w głowę, usiłując dojść, dlaczego ich knowania się nie powiodły i kto stanął im na przeszkodzie.

Halt uśmiechnął się złowrogo sam do siebie. Miło pomyśleć, że teraz to Odszczepieńcy mają się czym martwić. To właśnie uczucie satysfakcji osłabiło zapewne czujność zwiadowcy. Kiedy bowiem ruszył w stronę miejsca, gdzie czekał na niego Abelard, nagle ujrzał jakiegoś mężczyznę, który wyłonił się zza drzewa.

- A coś ty za jeden, do diabła? - spytał tamten. Dzierzył w dłoni najeżoną kolcami ciężką maczugę. Nagle zamachnął się nią, gotów do zadania morderczego ciosu w głowę.

Halt natychmiast zorientował się, że ma do czynienia z jeszcze jednym członkiem bandy Odszczepieńców, bo przecież nikt inny nie zaatakowałby go, nie dając choćby chwili na odpowiedź. Z miejsca oprzytomniał i z całej siły wykonał kopnięcie po półokręgu, trafiając napastnika w lewe kolano. Coś chrupnęło, nieszczęśnik runął z wrzaskiem. Chwycił się za zranione miejsce i krzyknął:

- Pomocy! Pomocy! Do mnie, tutaj!

Halt usłyszał głosy odpowiadające na wezwanie oraz trzask łamanych gałęzi; przez zarośla przedzierało się w jego stronę co najmniej kilku zbójców. Bezgłośnie niczym zjawa pomknął w swoją stronę. Musiał dotrzeć do Abelarda, nim dopadnie go pościg.

ROZDZIAŁ 6

Zlot zbliżał się ku końcowi.

Dwaj czeladnicy, którzy odbyli ostatni rok szkolenia, zostali wyzwoleni z terminu i oficjalnie przyjęci w szeregi pełnoprawnych zwiadowców. Will uśmiechał się pod nosem, obserwując ceremonię, a Gilan ciągle trącał go porozumiewawczo łokciem. Wszak nie tak dawno również on miał okazję doświadczyć na własnej skórze podobnego obrzędu. Will także musiał wysłuchać, całkiem zdezorientowany, mamroczącego pod nosem Crowleya, który przerzucał dokumenty, narzekając na papierkową robotę, jakby nie chodziło o uroczyste wydarzenie, lecz o zwykłą biurokratyczną formalność.

Przyglądał się dwóm świeżo upieczonym zwiadowcom, na których twarzach malowało się to samo osłupienie, które wcześniej stało się jego udziałem. Bądź co bądź, po pięciu latach ciężkiej pracy, pełnej poświęceń, każdy spodziewałby się jakichś szczególnych obchodów... Czegoś stosownego dla upamiętnienia najważniejszego dnia w życiu. Tymczasem nic podobnego: zwiadowcy jak zawsze robili wszystko po swojemu, a w tym przypadku chodziło właśnie o to, by wszelkiej pompacyjnej ceremonii uniknąć. Starano się - jak zdał sobie sprawę Will - uzmysłowić młodym adeptom, że wcale się nic nie kończy. Wręcz przeciwnie, następuje początek znacznie dłuższego i ważniejszego etapu życia.

Na pozór w owym zwiadowczym obrzędzie brał udział tylko Crowley, obaj uczniowie oraz ich nauczyciele. W rzeczywistości obrzędowi przyglądał się istny tłum bezgłośnych, niewidocznych widzów, czyli wszyscy pozostali zwiadowcy, ukryci pośród drzew, gotowi ukazać się z wielkim krzykiem, by pogratulować nowym kolegom i powitać ich w swym gronie. Dokładnie tak, jak odbywało się to za każdym razem, gdy do Korpusu Zwiadowców dołączali nowi członkowie.

Przybyli ponadto rodzice i dalsza rodzina młodzieńców, ale również oni śledzili niezwykle wydarzenie z ukrycia. Co więcej, ostatnie dziesięć kilometrów musieli przebyć z zasłoniętymi oczami, ponieważ umiejscowienie terenu, na którym odbywały się Zloty, stanowiło ściśle strzeżony sekret.

Pośród zebranych zabrakło tylko młodszych uczniów, albowiem oni ceremonię wyzwolenia mieli jeszcze przed sobą. Działo się tak zgodnie z żelazną zasadą, wedle której nikomu nie wolno wyjawiać, co czeka ucznia w ostatnim dniu terminu. Trzej starsi zwiadowcy zabrali na ten czas czeladników w pewne odległe miejsce, by udzielić im końcowych nauk. Potem wszyscy mieli powrócić, by wziąć udział w uczcie następującej po części oficjalnej zwiadowczego „wtajemniczenia”.

Tymczasem Crowley zbliżał się właśnie ku końcowi swego zwykłego przedstawienia, a trzeba przyznać, że nie miał w tym sobie równych.

- Tak tedy - oznajmił, spuściwszy wzrok - ty, Clarke z lenna Caraway oraz ty, Skinner - skąd tam przybywasz... Tak... Zaraz, zaraz, gdzie to było... A, już mam: lenno Martinsyde. Oczywiście, oczywiście. Otóż ukończyliście wszystkie etapy szkolenia i jesteście gotowi, by stać się pełnoprawnymi członkami Korpusu Zwiadowców - odczytywał teraz w oszalałym tempie. - Toteż niniejszym czynię was na mocy władzy udzielonej mi jako głównodowodzącemu Korpusu Zwiadowców i tak dalej, i tak dalej, tralala, tralala... No, i tyle. A teraz podajcie sobie dłonie, już po wszystkim. Mamy to z głowy.

Powstał, zgarnął papiery i podał rękę najpierw jednemu, a potem drugiemu z oszołomionych adeptów.

- Trochę jak na ślubie, no nie?

Chłopcy spojrzeli po sobie, potem na Crowleya. Ten, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z ich zaskoczenia, zawahał się i podrapał po głowie.

- Zaraz, czy coś przeoczyłem? Było coś jeszcze... - udał głębokie zamyślenie. Następnie jego twarz rozjaśniła się promiennym uśmiechem. Odgrywał tę scenkę tak przekonująco, że i Will z trudem powstrzymał rozbawienie. - Ależ jasne, no przecież! To niby tylko zwykła formalność, ale pewno chcielibyście dostać po srebrnej błyskotce, no nie? - Crowley skinął na nauczycieli Skinnera oraz Clarke'a, którzy podeszli, dzierżąc w dłoniach małe, lśniące odznaki tak bliskie sercu każdego zwiadowcy. - Dobra, szkoda czasu. Teraz możecie je wręczyć! - rzucił niedbałym tonem Crowley i odwrócił się plecami.

A potem, gdy obaj zwiadowcy udekorowali srebrnymi liśćmi dębu swych byłych czeladników, pozostali koledzy wyłonili się z ukrycia, wyszli na polanę, odrzucili kaptury i otoczyli ich ciasnym kręgiem.

- Gratulacje!

Gromki okrzyk rozległ się pośród drzew, budząc śpiące ptaki. Przerazone kwilenie dołączyło do ogólnego zgiełku. Teraz widać było, jak poklepywani po plecach młodzi adepci, którym wieszowano i których ściskano za ręce, zmienili się na twarzach. Niespodzianka udała

się - jak zwykle. Clarke oraz Skinner dopiero po fakcie zdali sobie sprawę, że padli ofiarą niewinnego, ale zarazem znaczącego żartu. Will dostrzegł też łyzy radości i dumy w ich oczach, gdy wreszcie do obydwu dotarło, że po tylu latach trudów stali się pełnoprawnymi członkami elitarnej społeczności. Mimo woli także i jego oczy zapiekły na wspomnienie własnych odczuć tamtego pamiętnego dnia, gdy został przyjęty w poczet zwiadowców.

- Gratuluję. Masz za sobą pięć długich lat, prawda?

Skinner niemal znikł w uściskach zalanej łzami matki, niewiasty tak postawnej, że drobny, ciemnowłosy chłopak wydawał się jeszcze nikczemniejszej postury niż w rzeczywistości.

- Taka jestem z ciebie dumna! Taka dumna! Gdyby twój ojciec mógł to zobaczyć! - mówiła.

Skinner zdołał się wyswobodzić z matczynych ramion na krótką chwilę, by uścisnąć dłoń Willa.

- Już dobrze, dobrze, mamie - wysapał. - Daj spokój. - A potem zwracając się do Willa, przyznał: - Chwilami myślałem, że nie podołam.

Will skinął głową.

- Zwłaszcza podczas ostatnich kilku miesięcy? - spytał, a Skinner otworzył szeroko oczy, zaskoczony.

- Skąd wiesz?

- Bo nam wszystkim towarzyszyły takie myśli pod koniec szkolenia - wyjaśnił. - Dopiero wtedy człowiek zdaje sobie sprawę, jak wielka odpowiedzialność wkrótce będzie na nim spoczywać.

- To znaczy... że nawet ty tak się czułeś? - Skinner nie bardzo mógł uwierzyć, że legendarny bohater, Will Treaty, mógł kiedykolwiek zważyć we własne siły.

Will roześmiał się swobodnie.

- Nawet ja? Posłuchaj, byłem wprost przerażony - wyznał. - Ale to nic, zapewniam cię, że tych pięć lat nauki nie poszło na marne. Zaufaj szkoleniu, tak poradził mi kiedyś Gilan. Kiedy dostaniesz pierwszy przydział, przekonasz się, że umiesz znacznie więcej, niż ci się teraz wydaje.

Pozostawił Skinnera w objęciach rodzicielki, by podejść do Clarke'a, którego otaczała grupka złożona z rodziców, brata i nauczyciela. Złożywszy gratulacje, Will spytał:

- Domyślasz się, dokąd dostaniesz przydział?

Clarke potrząsnął głową. Will dostrzegł błysk niepokoju w jego oczach - niepokoju, który nietrudno zrozumieć. Przecież młody zwiadowca miał właśnie rozpocząć samodzielną

działalność we własnym lennie, gdzie już nie będzie mógł liczyć na opiekę i pomoc swojego mentora.

- Jestem pewien, że przypadnie ci jakiś przytulny, spokojny zakątek - rzekł Andross, jego nauczyciel. - Zazwyczaj nie rzucają nowych zwiadowców na głęboką wodę.

- Poradzisz sobie - zapewnił go Will.

Clarke zaśmiał się.

- Spokojny będzie każdy zakątek, w którym nie usłyszę chrapania Androssa - stwierdził.

Andross uniósł brwi i zerknął z ukosa na swego ucznia.

- Ach, tak? W takim razie módl się, żebyś nie dostał lenna sąsiadującego z moim, bo istnieje obawa, że tam również będziesz słyszał, jak chrapię.

Roześmiali się wszyscy: Will, Andross, Clarke, jego bliscy. Wszelako zaraz potem młodszy brat Clarke'a spoważniał i zapytał:

- Czy wolno ci teraz przyjechać do domu i pobyc z nami przez parę dni, zanim obejmiesz służbę?

Clarke spojrział na Androssa, który wyjaśnił:

- Nowi zwiadowcy zawsze dostają tydzień urlopu, żeby mogli spędzić nieco czasu z rodziną. Dopiero potem udają się do wyznaczonego lenna.

Spoglądając na roześmiane twarze, Will poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Kiedy on uzyskał srebrny liść dębu, u jego boku nie było rodziców ani rodzeństwa. I co z tego - natychmiast skarcił się za tę ponurą myśl. Stał przy nim Halt, już to wystarczy za całą rodzinę. A jeszcze Przyjaciele - Alyss, Horace, Gilan...

Crowley przedarł się przez tłum, by objąć ramionami obu świeżo przyjętych do Korpusu kolegów.

- Dosyć tego gadania! - oznajmił. - Pora się posilić!

* * *

Podano potrawy proste, lecz przez to wcale nie mniej wyborne. Udziec sarni już od kilku godzin obracał się na rożnie nad rozżarzonymi węglami, ociekając sokami oraz tłuszczem, którego krople skwierczały i buchały płomykami, a wokół rozchodził się rozkoszny aromat pieczonego mięsiwa. Dwóch zwiadowców pokroilo je teraz wprawnie, rozkładając soczyste plastry na talerzach, które przyozdobiono już uprzednio świeżą zieloną sałatą skropioną oliwą, a także cierpkim octem. Na długim stole znalazły się też misy pełne

świeżych owoców.

Po posiłku rozniesiono dzbanki gorącej kawy. Will uśmiechnął się, widząc, jak siedzący naprzeciwko Gilan sięga po dzbanuszek z miodem.

- Nie zużyj wszystkiego - zawołał.

Kilku starszych zwiadowców siedzących opodal potrząsnęło głowami z udawanym zgorszeniem.

- Jak widać, zły przykład idzie z góry - stwierdził któryś z nich. I rzeczywiście, obaj dawni uczniowie Halta właśnie od niego nauczyli się pić kawę z miodem.

Crowley oznajmił, że przyszła pora na odrobinę godziwej rozrywki. U szczytu stołu usadowił się Berrigan, dawny zwiadowca, który swego czasu stracił nogę w bitwie, a teraz przemierzał cały kraj jako wędrowny minstrel (przy okazji zaś tajny agent na usługach Korpusu Zwiadowców). Odśpiewał trzy pieśni, które spotkały się z donośnym aplauzem zebranych. Potem skinął na Willa.

- Chodźże tu, dołącz do mnie, Willu Treaty! - zawołał. - Sprawdźmy, czy jeszcze coś pamiętasz z moich nauk.

Zwiadowca-bard przygotował Willa do odegrania roli grajka podczas misji w lennie Norgate.

Will aż zarumienił się z zadowolenia, gdy wstawał pośród zachęających nawoływań towarzyszy. Przeszedł do miejsca, gdzie siedział Berrigan. Jeden z młodszych uczniów został już uprzednio posłany do namiotu Willa po mandolę - bowiem zwiadowca rzadko podróżował bez swego instrumentu - i podał mu ją teraz. Will odegrał na próbę dwa czy trzy akordy.

- Nastroiłem ją - rzekł Berrigan, a Will skrzywił się pociesznie, podciągając najniższą strunę.

- Właśnie słyszę - odparł z kamienną twarzą i ku rozbawieniu publiczności. Berrigan skinął głową z uznaniem, tego typu przekomarzenia były na porządku dziennym, zarówno pośród muzyków, jak i pośród zwiadowców.

- Od czego zaczniemy? - spytał. Jednak Will i na to był przygotowany. Pierwsza rzecz, jakiej Berrigan go nauczył, to żeby zawsze mieć pieśń na podorędziu. Grajek, który obeznany jest ze swoim rzemiosłem, o każdej porze dnia i nocy gotów jest zabawić swoich słuchaczy - powiadał Berrigan. - Niepewność oraz ociąganie się wskazuje nieomylnie na partacza i amatora.

- „Jenny z gór” - odparł natychmiast.

Berrigan uśmiechnął się szeroko.

- Widzę, że to i owo jednak zapamiętałeś.

Zagrali i zaśpiewali razem trzy piosenki. Berrigan bez trudu dostroił swój śpiew do przyjemnie brzmiącego głosu Willa, który zaintonował melodię. Nawet krytyczny wobec swych muzycznych popisów Will musiał przyznać, że ich wspólny występ zabrzmiał całkiem nieźle. Jednak po trzeciej pieśni odłożył mandolę.

- Nauczyłeś mnie również tego, że trzeba wiedzieć, kiedy skończyć - stwierdził. Powrócił na miejsce przy wtórze oklasków, pozostawiając mistrza sam na sam ze słuchaczami.

Dołączył do Berrigana znów, gdy przyszedł czas na odśpiewanie ostatniego utworu. Zabrzmiała pieśń zwiadowców, w istocie nieoficjalny hymn Korpusu, pod tytułem „Chata pośród drzew”, którą wszyscy zaśpiewali chórem:

Wracam do chaty pośród drzew,
Gdzie strumień kręty u stóp wzgórz;
Może tam dziewczę czeka jeszcze,
A może zapomniało już.

Ta prosta, wpadająca w ucho piosenka o tęsknocie za miłością i spokojnym życiem na wsi opowiadała o czymś zupełnie innym niż powszedni los zwiadowców, niż pełna trudów i niebezpieczeństw codzienność. Willowi przyszło do głowy, że pewnie właśnie dlatego tak ją lubili. Gdy przebrzmiał ostatni akord, słychać było, jak ten i ów westchnął, a potem zapadła cisza. Spoglądając po twarzach towarzyszy, Will spostrzegł, że ich oblicza, często tak surowe, stanowcze, przybrały dziwnie łagodny wyraz, gdy rozmyślali o dawnych czasach i przyjaciółach, którzy odeszli...

- Pięknie, pięknie! Lecz teraz uwaga, wszyscy! - Crowley odczekał dłuższą chwilę, by nie zakłócać przedwcześnie nastroju, a potem przywołał zgromadzonych do rzeczywistości. - Przed nami jeszcze ostatnia formalność: przydziały na następny rok!

Zasiadł u szczytu stołu, a Will powrócił na swoje miejsce naprzeciwko Gilana. Nie bez niepokoju czekał na następne słowa Crowleya. Uważał, że już dość czasu spędził w sennej krainie, jaką okazało się lenno Seacliff.

Może przyszła pora na trudniejsze wyzwania?

- Jak niektórzy z was zapewne wiedzą - rozpoczął Crowley - Alun postanowił wycofać się z czynnej służby.

Alun odpowiadał za lenno Whitby. Teraz przeniesie się do Zamku Araluen, jak zwykle czynili zwiadowcy, dla których minął czas walk i podchodów. Tam zajmowali się pracami

administracyjnymi, zdejmując ciężar papierkowej roboty z barków Crowleya.

Alun był powszechnie lubiany, toteż uhonorowano go gorącymi oklaskami, kiedy wystąpił, by otrzymać od Crowleya złoty liść dębu - odznakę zwiadowcy w stanie spoczynku.

Odczytano też list króla Duncana, w którym władca wrażał wdzięczność Alunowi za wiele lat poświęconych wiernej służbie na usługach Korony.

- Dziękuję wam wszystkim - rzekł Alun, spoglądając z uśmiechem po znajomych twarzach towarzyszy. - Będę o was myślał, wylegając się w ciepłym łóżku na Zamku Araluen, podczas gdy wy nocować będziecie w błotnistych rowach i stodołach, gdzie hulają przeciągi!

W odpowiedzi na te słowa rozległy się liczne okrzyki udawanego oburzenia i docinki, a Alun uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jednak Will wiedział, że ten uśmiech kryje też i gorycz - Alun będzie tęsknił za wolnością, przygodą, za wędrowkami pośród wzgórz i lasów; za niepewnością, co przyniesie następny wschód słońca.

Jednak skoro zdecydował się odejść, oznaczało to, że utworzyło się wolne miejsce dla jednego z nowych zwiadowców. Oczywiście, nie będzie to Whitby - jedno z najważniejszych lenn królestwa, położone praktycznie w samym środku kraju, gdzie krzyżowały się wszystkie gościńce i szlaki handlowe.

Przez krótką chwilę Will łudził się nadzieją, że może to on trafi do Whitby. Przez ostatnie dwa lata wykazał się - jak mu się wydawało - i wiedział, że Crowley go ceni.

- Ktoś będzie musiał zastąpić Aluna w Whitby - mówił właśnie Crowley. - Nowym zwiadowcą w lennie Whitby zostaje...

Crowley, oczywiście, nie był w stanie się powstrzymać, więc urwał dla spotęgowania napięcia oraz by zapewnić sobie wyteżoną uwagę wszystkich słuchaczy.

- ...Gilan.

Przez ułamek chwili Will czuł się rozczarowany, ale zaraz potem niezbyt chlubne uczucie ustąpiło miejsca ogromnej radości i dumie z zaszczytu, jaki spotkał przyjaciela. Gilan powstał tymczasem ze swego siedziska, by podejść do głównodowodzącego i odebrać z jego rąk pisemny przydział - oraz uścisnąć dłoń Crowleya. Will doskonale zdawał sobie sprawę, że mało kto tak jak Gilan zasługiwał na to wyróżnienie, więc tym bardziej było mu wstyd z powodu chwili słabości, której uległ.

- Gratuluję, Gilanie. Właściwy człowiek na właściwym miejscu - stwierdził Crowley.

Pośród zgromadzonych rozległ się pomruk aprobaty. Gilan, odpowiedzialny, bystry, posiadał wszelkie kwalifikacje. Powszechnie uważano go za jednego z najlepszych młodych zwiadowców. Ponadto rodzinne koneksje mogły mu dopomóc w sprawowaniu tej funkcji -

ojciec Gilana piastował bowiem stanowisko głównodowodzącego królewską armią.

Kiedy Gilan powrócił na miejsce, Will wstał i podszedł, by go uściskać.

- Gratuluję. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś lepiej się nadawał do Whitby - powiedział. Z przyjemnością zdał sobie sprawę, iż mówi szczerze. Poza tym przecież w gruncie rzeczy nie miał żadnych szans na to akurat stanowisko. Był jeszcze o wiele za młody. Gilan odpowiedział z uśmiechem, wciąż nieco oszołomiony nieoczekiwaną nominacją:

- No cóż, przynajmniej znajdziemy się teraz bliżej siebie - stwierdził. - Dobrze się składa.

Jednak Willa znów ogarnął niepokój. Whitby oraz Seacliff rzeczywiście położone były niedaleko, dzieliło je tylko jedno lenno. Lecz teraz, gdy Gilan opuści Norgate, ktoś musi go tam zastąpić. Logicznie rzecz biorąc, kandydatura Willa wprost się narzucała, bowiem dobrze znał zarówno teren, jak i jego mieszkańców. Jednak myślał o takiej ewentualności nie bez obaw.

Owszem, liczył po cichu, że powierzone mu zostaną trudniejsze, bardziej odpowiedzialne zadania, lecz perspektywa przeprowadzki do Norgate budziła w Willu mieszane uczucia. Z Seacliff dzieliło go od Redmont - i Alyss - tylko kilka dni drogi. W ciągu minionych miesięcy mógł regularnie odwiedzać tę wysoką, piękną dziewczynę. Jej także udało się kilkakrotnie wybrać do Seacliff z takim czy innym posłannictwem - bez wątpienia dzięki przychylności mentorki, zwierzchniczki kurierek, lady Pauline, która życzliwym okiem spoglądała na zacieśniającą się zażyłość między protegowaną a młodym zwiadowcą.

Natomiast podróż z Norgate do Redmont zajmowała kilka tygodni! W dodatku była to wędrówka mozolna i często niebezpieczna. Aby złożyć Alyss jednodniową wizytę, musiałby więc opuścić posterunek na ponad miesiąc. Tymczasem lenna Norgate, jako obszaru granicznego, który wymagał stałej czujności zwiadowcy, nie wolno było pozostawiać bez nadzoru przez tak długi czas. Mógłby więc sobie pozwolić na podobny wypad co najwyżej raz w roku.

Tak więc serce podeszło mu do gardła, kiedy Crowley sięgnął po następny dokument leżący na stole.

- Lennem Norgate zajmie się jeden z najbardziej cenionych i zasłużonych zwiadowców... - znów uczynił dramatyczną pauzę.

Will najchętniej potrząsnąłby nim, żeby szybciej usłyszeć, co dowódca ma do oznajmienia. Wykrztuś to wreszcie - miał ochotę wrzasnąć. Zmusił się jednak siłą woli do rozluźnienia mięśni. Spowolnił oddech. Spokój - nakazał sobie.

- ...Harrison! - oznajmił Crowley, a Will odetchnął z niemałą ulgą.

Harrison dobiegał czterdziestki. Był odpowiedzialny i niezawodny, choć nie zaliczał się zapewne do tych zwiadowców, których uważano za szczególnie zdolnych czy błyskotliwych. Kilka lat wcześniej został ciężko ranny podczas bitwy z iberiańskimi piratami, toteż przydzielono mu małe, senne lenno zwane Coledale, gdzie powoli dochodził do zdrowia. Teraz, gdy w pełni odzyskał siły, nie ulegało wątpliwości, że podoła nowym zadaniom. Znow strzał w dziesiątkę, Harrison idealnie nadawał się do objęcia stanowiska w Norgate.

- Już czas, żebyś wziął się do poważnej roboty - rzekł Crowley do Harrisona.

- O tak, z przyjemnością - odpowiedział niski, potężnie zbudowany zwiadowca.

Will mimo woli skinął głową. Otóż to, w Norgate potrzebny jest właśnie ktoś taki. Solidny, spokojny, cierpliwy - i nieugięty. Harrison poradzi sobie także z tamtejszym baronem oraz mistrzem sztuk walki - a obu tych panów cechowała nadmierna skłonność do zadzierania nosa.

Teraz jeszcze tylko należało zastąpić Harrisona w Coledale - funkcję tamtejszego zwiadowcy przydzielono Skinnerowi. Młodzieniec puszył się jak paw, przyjmując od Crowleya dokument z przydziałem. Potem głównodowodzący zwrócił się do drugiego z tegorocznych adeptów, Clarke'a:

- Cóż, przykro mi, lecz w tej chwili nie ma więcej wolnych miejsc. Nie było mi łatwo dokonać wyboru między tobą a Skinnerem, jednak to on uzyskał nieco lepsze oceny podczas ostatecznego sprawdzianu - i tak decyzja zapadła. Jednak z pewnością któryś z tych zgrzybiałych starców - wskazał ręką zgromadzonych zwiadowców, czemu odpowiedział ryk śmiechu - ...dam głowę, że któryś z nich wkrótce zechce się wycofać, zwłaszcza kiedy Alun opowie im, jak błogo jest wylegiwać się pod ciepłą pierzyną. Wówczas i ty otrzymasz przydział. Na razie zaś przeniesiesz się do Zamku Araluen, popracujesz w charakterze mojego osobistego pomocnika. Co ty na to?

Clarke skłonił głowę w podziękowaniu. Crowley nie zawsze mógł jednocześnie pełnić obowiązki głównodowodzącego i zwiadowcy opiekującego się lennem Araluen. Clarke zostanie jego zastępcą, zyskując przy tym bezcenne doświadczenie, a Crowley będzie miał nieco mniej spraw na głowie.

Crowley zebrał papiery, zwinął je w rulon.

- No, na tym koniec. Innych przydziałów na razie nie ogłaszam. Uważam, że mamy za sobą udany Zlot, dziękuję wam wszystkim.

Gdy zgromadzeni zaczęli się rozchodzić, Will siedział jeszcze przez chwilę w milczeniu. Cieszył się, rzecz jasna, że nie posłano go do Norgate. Jednak, mimo wszystko, był

też nieco rozczarowany, że nie wzięto go pod uwagę podczas tegorocznych nominacji. Jasne, Crowley nie przenosił ludzi z miejsca na miejsce bez powodu, bowiem między zwiadowcą a jego lennem tworzyła się z czasem specyficzna więź - cenna wartość, której nie należało pochopnie niweczyć. Ale jednak, jednak... w lennie Seacliff ostatnimi czasy prawie nic się nie działo...

Otrząsnął się z tych myśli. Najpierw się zamartwiasz, głupcze - rzekł do siebie w myśli - że skazą cię na wygnanie w Norgate, a kiedy ci się upiekło, znów zaczynasz marudzić. W następnej chwili już tylko miał ochotę zaśmiać się z samego siebie. Poczul dłoń na swym ramieniu, odwrócił się. Ujrzał Crowleya.

- Zechcesz poświęcić mi minutę, Willu? - rzekł głównodowodzący. - Musimy o czymś porozmawiać.

ROZDZIAŁ 7

Halt znalazł się w pułapce. Kłął w duchu, bo mimo całego swego doświadczenia jednak nie docenił przeciwnika.

Kiedy dotarł do Abelarda, bez trudu zostawił pogoń w tyle. Ich okrzyki rozlegały się coraz dalej, aż wreszcie umilkły. Myśląc, że udało mu się zgubić prześladowców, zwolnił do truchtu. Nie miał pojęcia, że druga grupa nieprzyjaciół wyruszyła konno, by zająć mu drogę, odcinając go od głównego szlaku prowadzącego do lenna Redmont.

Mało tego, ów drugi oddział prowadził psy. Abelard wyczuł je z daleka. Halt spostrzegł, jak konik nastawił uszu; rozległo się ciche, ostrzegawcze parsknięcie. Przez całe ciało wierzchowca przebiegło nerwowe drżenie. Halt wyczuł je i zdał sobie sprawę, że grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Przyspieszył więc biegu. Zaczynało już świtać.

Potem zaś usłyszał ujadanie i zorientował się, że ścigający zdołali go wyprzedzić. Natychmiast skręcił w bok, mając nadzieję, że uda mu się ominąć czyhających napastników.

Jednak wtedy spośród zarośli wyskoczył pierwszy pies.

Nie gończy, ani tropiciel. Bestia pędziła w milczeniu, nie tracąc energii i oddechu na szczekanie czy wycie. Był to pies zabójca. Pies bojowy, wytresowany tak, by ścigał ofiarę w milczeniu, a potem atakował ją bez ostrzeżenia, bez litości.

Ogromny, o krótkiej sierści, szarej w czarne cętki. W jego przekrwionych ślepiach połyskiwała nienawiść. Dostrzegł wroga, którego ścigał, i w tej samej chwili skoczył, mierząc potężnymi kłami w szyję Abelarda.

Każdy zwyczajny koń zamarłby w przerażeniu lub spłoszył się, od razu wpadając w panikę. Jednak Abelard był koniem zwiadowczym, doskonale wyszkolonym, inteligentnym, odważnym. Wspiął się na zadnie nogi, po czym skoczył w bok, wykonując unik, by zejść z linii wściekłego ataku potwora. Co więcej, nie wpadł w popłoch. Zachował odpowiednio szybkie tempo ruchów, ale bez nadmiernej gwałtowności. Wiedziony zarówno instynktem, jak i uzyskanym przez długie lata doświadczeniem, Abelard wyśmienicie zdawał sobie sprawę, że najpewniejszą gwarancję bezpieczeństwa daje mu osobnik zasiadający na jego

grzbiecie. Zbyt gwałtowny skok mógłby wysadzić jeźdźca z siodła.

Szczęki psa kłapnęły w powietrzu, kilka centymetrów od końskiej gardzieli.

Zwierz wylądował na ziemi, odwrócił się, spiął do następnego skoku. Dopiero teraz wydał z siebie dźwięk... Głęboki, dudniący warkot.

Warkot, który urwał się niemal natychmiast, zdławiony pierwszą strzałą Halta.

Mając do czynienia z celem znajdującym się poniżej, zwiadowca odczekał, aż pies uniesie łeb, by wydać z siebie ów dźwięk. Abelard stał nieruchomo, zapewniając Haltowi stabilną podstawę. W następnym ułamku sekundy Halt strzelił prosto w gardziel bestii, ciężka strzała wystrzelona z łuku o naciągu osiemdziesięciu funtów uderzyła z całym impetem i odrzuciła cielsko brytana w tył i na bok.

Druga strzała, która nadleciała tuż po pierwszej, trafiła czworonożnego zabójcę prosto w serce, uśmiercając go na miejscu.

Halt poklepał konika po szyi. Zdawał sobie sprawę, jaką siłę woli wykazał Abelard, stojąc spokojnie, bez ruchu, aby jeździec zdołał celnie strzelić. Wiedział doskonale, jak bardzo wierzchowiec mu ufa, toteż cieszył się, że nie zawiódł starego przyjaciela.

- Dobry konik - rzekł półgłosem. - A teraz wynośmy się stąd.

Ruszył do przodu, zmierzając w kierunku prostopadłym do tego, z którego przybyli. Halt nie znał tutejszej okolicy, więc na razie usiłował po prostu jak najbardziej zwiększyć dystans do ujadających psów - a także do innych psów bojowych, które mogły w milczeniu przemierzać las jego tropem.

Szczekanie psów wciąż rozlegało się jeszcze całkiem niedaleko, gdy wypadli z gęstwiny i zaczęli jazdę pod górę. Zbocze porośnięte było krzewami sięgającymi do pasa, usiane stertami kamieni, tu i ówdzie wyrastały kępy drzew. Jednak, zbliżając się do szczytu, Halt spostrzegł - zbyt późno - iż popełnił fatalny błąd. Sądził, że wjeżdża na szczyt wzgórza, tymczasem wspinał się na wyniesienie piętrzące się nad stromą skarpa, a właściwie urwiskiem wpadającym prosto do głębokiej, szerokiej rzeki.

Zawrócił Abelarda, pogalopował z powrotem w dół, jednak nie ujechali daleko. Wkrótce ujrzał sylwetki jeźdźców wylaniające się spośród drzew u stóp zbocza. W ten sposób znalazł się w potrzasku - w pół drogi między przepaścią a prześladowcami. Zaraz potem czarno-szary kształt wystrzelił jak z procy w ich kierunku. Rwał pod górę - z brzuchem przy ziemi, obnażając kły i warcząc głucho.

Abelard wydał ostrzegawcze parsknięcie.

- Widzę go - rzekł spokojnie Halt, a koń uspokoił się, pokładając bezgraniczną ufność w swym obrońcy.

Halt bardzo lubił psy. Jednak bestie, z jakimi teraz się spotkał, należało uśmiercać bez mrugnięcia okiem. To nie żadne zwyczajne poczciwe brysie, tylko bezlitosne potwory ukształtowane podczas okrutnej tresury. Monstra, które pragnęły jedynie zadawać śmierć.

Pies znajdował się w odległości pięćdziesięciu metrów, gdy Halt zsunął się z siodła, zakładając jednocześnie strzałę na cięciwę. Pozwolił rozwścieczonej bestii zbliżyć się bardziej. Trzydzieści metrów. Dwadzieścia pięć.

Abelard zarżał cichutko, zaniepokojony. Na co jeszcze czekasz?

- Spokojnie - powiedział do niego Halt i wypuścił strzałę.

Śmierć zwierzęcia nastąpiła natychmiast. Pocisk trafił pędzącego psa w pół skoku, zwierzę runęło na ziemię i przeturlało się jeszcze kilka razy pod wpływem impetu, nim znieruchomiło.

Abelard znów zarżał. Haltowi zdawało się, że usłyszał w jego głosie coś na kształt satysfakcji, ale może to tylko złudzenie?

- Mówiłem ci, że wiem, co robię - powiedział. Zaraz jednak zmarszczył czoło, bo tak naprawdę nie wiedział, co dalej robić. Widział tamtych, jak wychodzą z lasu i pokazują sobie jego oraz Abelarda, stojących w połowie stoku. Kilku miało łuki, jeden nałożył strzałę i od razu zaczął wznosić łączysko.

Ledwo jednak zdołał unieść łokieć, by naciągnąć cięciwę, już strzała o czarnym bełcie świsnęła i powaliła go na plecy. Towarzysze zbira popatrzyli na bezwładne ciało towarzysza, a potem na odległą postać w górze i spostrzegli, że ścigany znów przygotowuje się do strzału.

Jak jeden mąż rzucili się w tył, szukając schronienia za pniami drzew i potykając się przy tym o własne psy. Druga strzała wbiła się, drżąc, w jedno z drzew na wysokości ludzkiej piersi. Nietrudno było zrozumieć wiadomość, jaką niosła ze sobą: chcesz żyć, nie wyściubiaj nosa.

W całym tym zamieszaniu żaden nie zauważył, że okryta szarym płaszczem postać poprowadziła swojego konia za stertę głazów. Gdy znów spojrzeli w stronę zbocza, nie było tam już śladu człowieka ani jego wierzchowca.

Dzień mijał powoli. Słońce wzniosło się do zenitu, a potem zaczęło opadać ku zachodowi. Jednak Odszczepieńcy wciąż jeszcze nie wypatrzyli postaci ukrywającej się gdzieś na zboczu wzgórza. Gdzieś. Nie mieli jednak pojęcia gdzie, bo spiętrzyło się tam co najmniej kilka rumowisk, w których mógł ukrywać się obcy oraz jego koń. Dobrze wiedzieli, że jeśli spróbują szturmu na oślep, w dodatku pod górę, atak przypląca własnym życiem.

Późnym popołudniem wypuścili kolejnego psa bojowego. Liczyli, że brytan zmusi zwiadowcę, by zdradził swą kryjówkę. Bestia kluczyła przez chwilę. Węsząc intensywnie,

szukała tropów człowieka, a także konia. Potem, pochwywszy woń niesioną wiatrem, puściła się biegiem - dając niskie susy.

Oczy wszystkich skierowały się na psa, który złapał trop. Błąd, ponieważ nikt nie widział, skąd nadfrunęła strzała, która go powaliła. Cielsko potoczyło się w dół, z martwymi, wybałuszonymi ślepiami i wywieszonym jęzorem.

Na górze, za stosem kamieni, Halt zerknął w stronę Abelarda, który leżał z podwiniętymi nogami, całkowicie niewidoczny od strony prześladowców.

- Po galijsku - rzucił zwiadowca tonem pogawędki - nazwalibyśmy niniejszą sytuację cul-de-sac. Co oznacza „ślepy zaułek”. Zresztą, niepotrzebnie ci tłumaczę, przecież znasz ten język.

Oczywiście, nie oczekiwał odpowiedzi ze strony konia. Wszelako Abelard wstrząsnął łbem, do góry i w dół, jakby przytakiwał ukochanemu panu.

- Pytanie brzmi: co dalej?

Abelard nie podsunął żadnej odpowiedzi. Co więcej, udzielić takowej nie był w stanie również sam Halt. Zdawał sobie sprawę, że po nastaniu ciemności zdołałby zakraść się na dół, a potem przemknąć pomiędzy strażnikami. Nawet psy raczej nie sprawiłyby mu większego kłopotu. Kierunek wiatru zmienił się, toteż wyczułyby go dopiero wtedy, gdyby już je minął.

Kłopot polegał na tym, że nie dałby rady zabrać ze sobą Abelarda. Nie widział najmniejszych szans, żeby przeprowadzić wierzchowca niepostrzeżenie. Zapewne ludzie by go nie zauważyli, lecz psy na pewno usłyszałyby stukot końskich kopyt. Owszem, konie zwiadowców nauczono cichego stapania. Jednak nawet one nie były w stanie poruszać się tak bezszelestnie, jak sami zwiadowcy.

Halt ani przez chwilę nie zamierzał porzucić Abelarda na pastwę losu. To było w ogóle nie do pomyślenia. Nie wiedział, czy Odszczepieńcy dysponują większą liczbą zabójczych psów, ale jeśli tak - Abelard sam nigdy by sobie z nimi nie poradził.

Ucieczka w przeciwnym kierunku również nie wchodziła w grę. Widział rzekę u stóp urwiska, jakieś dziesięć czy dwanaście metrów poniżej krawędzi. Jeśli jest tam dość głęboko, mógłby skoczyć i ująć z życiem. On - tak, ale nie Abelard. Koń waży znacznie więcej niż człowiek. Czworonóg i Halt spadać będą z tą samą prędkością, jednak większa masa wierzchowca sprawi, że uderzy w powierzchnię wody o wiele mocniej. Co więcej, w przeciwieństwie do swojego pana, Abelard nie potrafi zagłębić się w wodę jak najmniejszą powierzchnią ciała. Skoczy tak samo, jak człowiek, czyli nogami w dół, ale uderzy przede wszystkim brzuchem.

- Hmm, ni w tę, ni we w tę - skonkludował Halt.

Abelard parsknął. Oj, tam. Na pewno coś wymyślisz.

Halt uniósł brew.

- Nie bądź tego taki pewien - mruknął. - W każdym razie, jakbyś miał jakiś pomysł, nie krępuj się. Mów.

Słońce tymczasem zdążyło już skryć się za czubkami drzew. Zbocze pograżyło się w cieniu. Halt wyrztał przez szparę między głazami. W dole nie było widać, by ktoś się poruszał.

- Jeszcze nie czas - szepnął. - Zobaczymy, co się stanie, gdy zapadną ciemności.

Cóż - pomyślał - zdarzają się sytuacje, że nie pozostaje nic, tylko czekać. Najwyraźniej zdarzyła się właśnie jedna z nich.

Gdy zapadła noc, wyjął z sakwy składane skórzane poidło i nalał do niego wody z bukłaka, żeby napoić Abelarda. On sam również odczuwał pragnienie, ale nie tak silne, by nie potrafił wytrzymać nieco dłużej.

Nasłuchiwał uważnie odgłosów nocy, odzywających się z coraz większą intensywnością. Rechot żab, uparte cykanie świerszcza. Od czasu do czasu pohukiwanie polującej sowy. Niekiedy szelest wydawany przez jakiegoś drobnego gryzonia uwijającego się w trawie i zaroślach. Za każdym takim dźwiękiem spoglądał pytająco na Abelarda. Konik jednak nie wykazywał zainteresowania, dzięki czemu Halt wiedział, iż chodziło o odgłosy naturalne.

Był przekonany, że Odszczepieńcy zechcą skorzystać z ciemności, by podjąć próbę ataku. Nasłuchiwał czujnie, chcąc dostroić się do całego spektrum rozlegających się wokół odgłosów przyrody. Pragnął wchłonąć ich wzorzec - by jakikolwiek obcy odgłos stał się natychmiast zauważalny, niczym plama farby na białym płótnie.

Istniał też i drugi powód. Potrzebował odgłosu, którego tam nie było, po to mianowicie, by użyć go jako sygnału dla Abelarda. Nasłuchiwał tedy przez dobrych kilka minut, a potem podjął decyzję:

- Zimorodek - wyszeptał. Ściśle rzecz biorąc, zimorodek nie jest ptakiem nocnym, ale czasami korzysta z faktu, że w ciemnościach żaby czy wodne owady czują się bezpieczniej. Jeśli nieprzyjaciele usłyszą ten dźwięk, mogą podejrzewać, że to sygnał, ale nie będą w stanie stwierdzić z całą pewnością, że nie jest to prawdziwy zimorodek, który postanowił zapolować nocą.

Podszedł do Abelarda, dał znak uniesioną dłonią. Pozycja z podkulonymi nogami nie była dla konia zbyt wygodna, toteż chętnie powstał, rozprostowując kończyny. Wśród gęstych ciemności nikt nie dostrzegłby końskiego łba ponad głazami.

Abelard stał bez ruchu. Halt wyciągnął rękę, pogładził trzykrotnie zwierzę po delikatnych nozdrzach. Następnie ujął uzdę obiema dłońmi, po czym spojrział w końskie ślepia. Przycisnął obie dłonie do pyska Abelarda, dwa razy. Zwierzak nastawił uszu. Bo oto kazano mu wykorzystać jedną z wielu rutynowych umiejętności, od dawna wpajanych wierzchowcom zwiadowców. Abelard wiedział, że Halt zaraz nauczy go nowego dźwięku. Gdy sygnał odezwie się znów, Abelard winien zareagować.

Halt wydał z siebie przeciągłe zawołanie. Naśladował głos ptaka prawie wiernie, lecz mimo wszystko niedoskonale. Chodziło o to, że gdyby w pobliżu trafił się jednak prawdziwy zimorodek, mogłoby to Abelarda zmylić, a tak, dzięki doskonałemu słuchowi, koń dostrzeże różnicę między sygnałem danym przez Halta, a rzeczywistym okrzykiem ptaka. Człowiek raczej nie zdołałby dosłuchać się równie nikłej różnicy.

Abelard dwukrotnie zastrzygł uszami - na znak, że zanotował sygnał w pamięci. Halt poklepał go po pysku.

- Dobry konik - rzekł półgłosem. - A teraz odpoczywaj.

Poszedł z powrotem do obranego punktu widokowego pośród skał. Między dwiema z nich znajdowała się szczelina, przy której mógł siedzieć dość wygodnie, z twarzą zacienioną kapturem płaszcza i obserwować rozciągającą się poniżej płaszczyznę stoku. Wiedział, że księżyc wzejdzie nie wcześniej niż za cztery godziny. Spodziewał się więc, że wróg, o ile zamierza podjąć jakąś próbę, uczyni to, zanim całą scenerię rozjaśni nocna poświata.

Co jakiś czas dobiegały go powarkiwania i skowyt psów, które gryzły się między sobą, a potem wściekłe okrzyki przewodników, kiedy rozdzielali bestie. Wiedział, że odgłosy wydawane są przez psy tropiące. Potężne bojowe brytany, o szczękach jak z żelaza walczyły w ciszy. Tak je wytresowano.

Istniała ewentualność, że nieprzyjaciel wypuści pod osłoną mroku kolejnego mordercę na czterech łapach, lecz Halt uznał to za mało prawdopodobne. Pod jego strzałami padły już trzy zwierzęta, a były one zbyt drogie, żeby zbójcy lekkomyślnie decydowali się na kolejną stratę. Na tresurę bojowej bestii poświęca się długie lata. Nie - pomyślał - jeśli nastąpi atak, tym razem przeprowadzą go ludzie. A nim to uczynią, będą musieli dokonać rozpoznania, czyli, inaczej mówiąc, zorientować się, gdzie Halt się ukrył.

Przynajmniej taką miał nadzieję. Niczym światełko w tunelu, zaczął dostrzegać perspektywę wydostania się z opresji. Ostrożnie odłożył na bok łuk oraz kołczan. Na nic one teraz. Jeśli dojdzie tej nocy do starcia, będzie to walka wręcz. Sięgnął do sakwy przy siodle po obuchy.

Tak nazywano specyficzną broń używaną przez zwiadowców. Właściwie były to

mosiężne hantle, z których każdą zaopatrzone w ołowiany ciężarek po obu stronach. Trzymane w zaciśniętej pięści obuchy stanowiły groźny oręż, sprawiając, że uderzenie pięścią lub cios zadany z góry, jeśli sięgnęły celu, przesądzały o wyniku walki. Dawało się również połączyć je ze sobą, tworząc rodzaj maczugi służącej do rzucania, wyważonej podobnie jak zwiadowcza saksa.

Włożył obuchy do kieszeni serdaka.

- Zostań tutaj - polecił Abelardowi. Szorując brzuchem i odpychając się łokciami oraz kolanami, wyczołgał się z kryjówki, a potem dalej, w dół. Trzydzieści metrów poniżej znieruchomiał, wtopiony w zarośla, całkowicie niewidoczny pod swym płaszczem.

Teraz pozostało tylko czekać. Przez myśl Halta przemknęła refleksja, że większość życia spędził na czekaniu, w takich i podobnych sytuacjach.

Stąd wniosek, że chyba przywykłem - rzekł do siebie w myśli.

ROZDZIAŁ 8

Will z Crowleyem oddalili się dyskretnie od pozostałych zwiadowców. Siwowłosy głównodowodzący prowadził Willa na małą, cichą polankę. Kiedy upewnił się, że w zasięgu głosu nie ma już nikogo, zatrzymał się i usiadł na pniaku ściętego drzewa. Zerknął ciekawie na Willa.

- Rozczarowany?

- Słucham? - spytał Will.

- Pytam, czy jesteś rozczarowany tym, że pozostawiłem cię w Seacliff?

- Nie! Ależ skąd! - odpowiedział śpiesznie Will, ale potem zmieszał się nieco, gdyż Crowley nadal mierzył go uważnym wzrokiem. Uśmiechnął się przeproszająco. - No, może odrobinę. Bo wiesz, Crowleyu, tam jest tak strasznie spokojnie.

- Znam ludzi, którzy nie mieliby nic przeciwko temu, żeby i o niektórych innych lennach naszego królestwa dało się rzec to samo. Bądź co bądź, naszym celem jest właśnie zapewnienie spokoju - zauważył Crowley.

Will przestąpił niezręcznie z nogi na nogę.

- Oczywiście. Wiem. Tylko, wiesz...

Urwał, a Crowley skinął głową na znak, że niepotrzebne są wyjaśnienia. W swym niezbyt długim życiu Will doznał wielu aż nadto ekscytujących przygód. Walczył z kalkarami, zniszczył most potajemnie budowany przez Morgaratha, a następnie został porwany przez skandyjskich piratów. Potem umknął z niewoli, odegrał kluczową rolę w bitwie o Skandię oraz walnie przyczynił się do zawarcia traktatu pokojowego z tym krajem. Jeszcze później dopomógł w uwolnieniu skandyjskiego oberjarla z rąk pustynnych bandytów i powstrzymał napaść Skottów w Norgate.

Trudno się dziwić, że mając za sobą podobne przejšcia, niewielkie znajdował upodobanie w bezczynności - a sprawując pieczę nad lennem równie spokojnym, jak Seacliff, naprawdę nie miał prawie nic do roboty.

- Rozumiem - zapewnił Crowley. - Nie musisz mi tłumaczyć, sam wiem. Powiniennem

wszelako przyznać, że nie byłem z tobą całkiem szczery.

Umilkł, więc Will ponaglił go, zaciekawiony:

- W czym rzecz?

Crowley machnął niezgrabnie ręką.

- Otóż jest coś, o czym od dawna chciałem z tobą pogadać - oznajmił. - Uważam, że to ważne i sędzę, że powinno cię zainteresować. Oczywiście, możesz się nie zgodzić. Prawdę powiedziawszy - dodał, uzupełniając - jest to jeden z powodów, dla których Halt nie przybył na tegoroczny Złot.

Will zdziwił się:

- Ale zaraz, myślałem, że...

- Ależ tak, owszem. Wybrał się na wybrzeże, by sprawdzić, ile prawdy kryje się w plotkach krążących na temat Odszczepieńców. Tyle że ta sprawa pewnie by mogła zaczekać. Użył pretekstu, ponieważ nie chciał wpływać na twoją decyzję - w taki, czy inny sposób.

- Moją decyzję? Crowleyu, nie dość już tych zagadek? Jaką decyzję? W jakim względzie Halt nie chciał wywierać na mnie nacisku?

Crowley dał znak Willowi, by ten siadł obok niego.

- Chodzi o pewien pomysł, który od dłuższego czasu chodzi mi po głowie - zaczął. - Tak naprawdę wynikał on z waszej arydzkiej wycieczki w poszukiwaniu Eraka. Nasz świat, czy też raczej nasza strefa wpływów w obecnym świecie, poszerza się z każdym dniem, Willu. Wykracza poza granice lenn, a także poza granice Królestwa - niekiedy. Tak się zdarzyło przy okazji twojego mimowolnego pobytu w Skandii. Kiedy znalazłeś się w Norgate, również działałeś poza terytorium przydzielonego ci lenna. Całe szczęście, że mieliśmy do dyspozycji kogoś tak zdolnego i sprawnego jak ty, bo poradziłeś sobie doskonale - ale z drugiej strony całe szczęście, że w lennie Seacliff panował wówczas względny spokój.

Will zaczerwienił się, słysząc pochwałę z ust Crowleya, ale nie odezwał się. Crowley tymczasem tłumaczył dalej:

- Zazwyczaj nie mogę sobie pozwolić, żeby oderwać zwiadowcę od spraw jego lenna i wysłać go na całe tygodnie zupełnie gdzie indziej. Tymczasem taka konieczność pojawia się coraz częściej. Na przykład, wkrótce trzeba będzie wybrać się do Skandii, żeby sprawdzić, jak wypełniane są postanowienia traktatu, to znaczy, jak się tam miewają nasi łucznicy. I kogo mam posłać? Rzecz jasna, ciebie. Albo Halta. Albo was obu. Tak byłoby najlepiej, bo Skandianie znają was i ufają wam, a dwuosobowe poselstwo sprawiłoby, że poczują się odpowiednio uhonorowani. Dobrze, ale co wtedy z lennami, za które odpowiadacie?

Will zmarszczył brwi. Owszem, rozumiał wagę problemu. Nie wiedział jednak, do

czego Crowley zmierza.

- Dlatego też chcę utworzyć zespół do zadań specjalnych - oznajmił Crowley. - I chcę, żebyście stanęli, wraz z Haltem, na jego czele.

Will pochylił się w stronę głównodowodzącego Korpusu. Brzmiało to nader interesująco.

- Grupa do zadań specjalnych... - powtórzył. Owszem, to brzmiało nawet znakomicie. - Na czym polegałyby nasze specjalne zadania?

Crowley znów machnął ręką.

- Na tym, czego w danej chwili wymagać będzie sytuacja, czy to w obrębie Królestwa, czy też poza jego granicami; za każdym razem, kiedy trzeba zastosować środki inne od rutynowych. Teraz, skoro nie zagraża już nam Morgarath ani sąsiedzi zza północnej granicy, Araluen stał się potężnym i wpływowym graczem na scenie międzynarodowej. Zawarliśmy też traktaty z kilkoma innymi krajami - między innymi z Arydią i Skandią, co nastąpiło nie bez twego udziału, jak już wspominałem.

Otóż uważam, a król zgadza się ze mną, że w tej sytuacji potrzebujemy niewielkiego zespołu, który gotów będzie do natychmiastowego działania we wszelkich nagłych sprawach, jeśli takie sprawy wynikną. Nawiasem mówiąc, chciałbym, żeby w tej grupie znalazł się również Horace. Wasza trójka ma za sobą kilka niezwykłych dokonań. Horace pozostałby w stolicy, dopóki nie zajdzie nagła potrzeba - wtedy zostanie zwolniony ze służby na zamku i przydzielony do pracy z tobą oraz Haltem. Innych ludzi moglibyście dobierać do zespołu w miarę bieżących potrzeb.

- A gdzie... Gdzie miałyby się znajdować moja baza? - spytał Will.

Crowley zrobił markotną minę. Odpowiedział dopiero po chwili namysłu, ważąc każde słowo:

- Otóż, w tym problem. Gwardia królewska łatwo obejdzie się bez jednego rycerza, bowiem jest ich tam mnóstwo. Natomiast nie wolno nam dopuścić, żeby aż dwa lenna zostały bez czuwających nad nimi zwiadowców. Krótko mówiąc, musiałbyś zrezygnować z Seacliff.

- Ach...

Seacliff było nieciekawym małym lennem, ale to Will i tylko on był za nie odpowiedzialny. Pełnił funkcję przedstawiciela Korony na tej sennej wysepce. Choć więc wcześniej tego samego wieczoru marzył o odmianie, przykro mu było pomyśleć, że miałby tak po prostu z Seacliff zrezygnować.

- No, właśnie. Sam widzisz. - Crowley jakby czytał w jego myślach. - Dlatego też Halt nie chciał tu być, kiedy podejmiesz decyzję. Zdaje sobie sprawę, że własne lenno znaczy

wiele dla każdego zwiadowcy. A mianowicie - niezależność, samodzielność, odpowiedzialność. Władzę. Nie chciał wpływać na twój wybór swoją obecnością. Powiedział, że oczywiście cieszyliby się bardzo z twojego powrotu do Redmont, ale to ty musisz podjąć tę decyzję i...

- Czyli stacjonowałbym w Redmont? - przerwał mu Will. - O tym nie wspominałeś!

Crowley zmarszczył brwi, po czym skinął głową.

- Nie? No, chyba nie. W każdym razie, takie przyjęliśmy założenie. Zamieszkałbyś w chatce Halta - który już dawno urządził się bardzo wygodnie razem z Pauline w zamku - i pełniłbyś nadzór nad połową lenna Redmont, podczas gdy Halt opiekowałby się drugą. To przecież wielki obszar. Starczyłoby roboty dla was obu.

Na takie słowa Will rozpromienił się. Znów zamieszka w Redmont, gdzie się wychował. Tam, gdzie będzie Halt, baron Arald i sir Rodney.

I Alyss, przede wszystkim. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, jeszcze radośniej. Crowley nie mógł tego nie zauważyć.

- Z nieco głupkowatego zachwytu malującego się na twoim obliczu wnioskuję, iż mój pomysł nie spotyka się z twoją całkowitą dezaprobatą? - stwierdził.

- Cóż, w rzeczy samej... To bardzo kusząca propozycja. - Nagle przyszło mu coś do głowy i zmarszczył brwi. - Tylko że...

Crowley dał mu znak, żeby mówił dalej.

- W czym problem? - spytał.

- Redmont jest lennem o dużym znaczeniu - wyjaśnił Will. - Nie bardzo można je zostawić bez nadzoru zwiadowcy, kiedy Halt i ja udamy się dokądś z misją.

Crowley uśmiechnął się, zadowolony.

- W istocie. Sądziłem, że poruszysz tę kwestię. Dzięki temu mam okazję udowodnić, jaki ze mnie geniusz administracji. Otóż nowe lenno Gilana graniczy od północno-wschodniej strony z Redmont. Ściśle rzecz biorąc, Zamek Whitby znajduje się w odległości niespełna dziesięciu kilometrów od granicy. - Uniósł dłoń, by powstrzymać następne pytanie Willa. - Tak, tak. Wiem, że Whitby również zalicza się do ważnych lenn. Dlatego też, o ile wszyscy się zgodzą, Alun osiedli się tam właśnie - zamiast w Zamku Araluen. Również na Zamku Whitby znajdzie się łóżko z ciepłą pierzyną, czyli tam, równie dobrze jak gdzie indziej, zdoła wyřęcać mnie w pracach związanych z zarządzaniem oraz w papierkowej robocie. Zresztą, kto wie? Może jego rada przyda się od czasu do czasu Gilanowi? A zarazem będzie pod ręką, na wypadek gdybyście wraz z Haltem musieli wyjechać. Gilan przeniesie się wtedy do Redmont...

- Które dobrze zna - wtrącił Will.

- Owszem, spędził tam przecież pięć lat jako uczeń Halta. Alun na ten czas przejmie jego obowiązki w lennie Whitby. No, a młody Clarke zajmie twoje miejsce w Seacliff. Czy wspominałem już, że jestem genialny? - Wyciągnął dłonie, jakby oczekując nagrody.

Will nie mógł zaprzeczyć.

- Jak dotąd, zaledwie dwa razy.

Crowley natychmiast spowaźniał.

- Rzecz jasna, roszady te stają się możliwe wyłącznie dlatego, że nie brak nam w tej chwili utalentowanych ludzi. Posiadamy zasoby, dzięki którym wszystko da się poukładać. Musisz mi tylko powiedzieć, czy się zgadzasz.

- Jasne, że się zgadzam! - zawołał Will. - Nie potrafię sobie wyobrazić, by sprawy mogły ułożyć się lepiej.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Crowley rzucił od niechcienia:

- Teraz pozostaje nam tylko oznajmić dobrą nowinę Haltowi - oczywiście, kiedy zechce wrócić z wczasów nad morzem.

ROZDZIAŁ 9

Halt czekał w ciemnościach ponad godzinę, nim usłyszał, że ktoś skrada się wśród zarośli.

Każdy inny odwróciłby głowę, żeby spojrzeć w tamtą stronę i spróbować coś dojrzeć. Halt wiedział jednak, że zdemaskować go może każdy ruch, toteż nadal leżał nieruchomo jak skała - i tak właśnie wyglądał. Oceniał kierunek, a także ruch wyłącznie na podstawie dochodzących odgłosów, czego nauczyły go lata szkolenia oraz praktyki. Już po chwili zorientował się, że ma do czynienia z jednym człowiekiem, który zmierzał ostrożnie pod górę, nieco na prawo od miejsca, gdzie leżał Halt.

Tropiciel Odszczepieńców znał się na rzeczy. Poruszał się prawie bezgłośnie, ale „prawie” to dla zwiadowcy było aż nadto. Halt, wciąż leżąc bez ruchu w trawie, zorientował się, że tamten najpierw znalazł się na tej samej wysokości, co on, następnie go minął.

Potem przybysz znieruchomiał, z czego Halt wywnioskował, że dokonuje oceny sytuacji. W promieniu trzydziestu metrów znajdowały się cztery skalne rumowiska; Halt z Abelardem mogli się kryć w każdym z nich.

Po kilku minutach tropiciel znów ruszył przed siebie, kierując się nieco na bok, ku pierwszej z ewentualnych kryjówek, znajdującej się po prawej stronie. Całkiem rozsądnie - pomyślał Halt. Jeśli trzeba sprawdzić wszystkie, najprostsze wyjście sprowadzało się do tego, żeby zbadać je kolejno, jedna po drugiej.

Ponieważ odgłosy wydawane przez tropiciela dochodziły z coraz większej odległości, Halt uniósł nieco głowę: nieskończenie powoli, milimetr po milimetrze.

Wydał z siebie ten sam niski, gulgoczący świergot, którego dopiero co nauczył Abelarda. W tej samej chwili odgłosy wydawane przez Odszczepieńca umilkły, bez wątpienia zbójca zastanawiał się, czy słyszy prawdziwy głos ptaka. Minęło pół minuty - czyli dość czasu, żeby nie sprawiało to wrażenia odpowiedzi na dany sygnał - od strony skał doszło charakterystyczne parsknięcie konia, a potem, dla pewności, Abelard jeszcze potrząsnął grzywą.

- Dobry konik - pomyślał Halt. Wsparłszy podbródek o dłoń, przyglądał się, jak ciemna sylwetka sunie ukosem, kierując się z lekka na prawo w stosunku do skał, za którymi stał ukryty Abelard. Halt zorientował się, że napastnik zamierza je obejść i zaatakować z niespodziewanej strony, czyli od góry. Najwyższy czas, żeby wprowadzić pewne zmiany w planach wroga. Zwiadowca zaczął czołgać się w ślad za tropicielem.

Poruszał się zdumiewająco szybko, nie wydając przy tym żadnych odgłosów, niczym wąż sunący po ziemi. Nadal widział tamtego - czarną, przygarbioną sylwetkę w mroku - i słyszał wydawane przezeń odgłosy. Nawet czołgając się na brzuchu, Halt doganiał go, zbliżając się od tyłu i z dołu.

W pewnym momencie tropiony tropiciel znieruchomiał, po czym błyskawicznie rozejrzał się wokół. Najwyraźniej nie był nowicjuszem w tej grze. Tyle że Halt również nie zaliczał się do złotodziobów. Krycie się oraz bezszelestne przemieszczanie w terenie stanowiły specjalność zwiadowców, dziedzinę, w której osiągnęli absolutne mistrzostwo. Tak więc, gdy tamten znieruchomiał, Halt w tej samej chwili również zamarł. Jego twarz pozostawała uniesiona, lecz wiedział, iż kryje ją cień kaptura. Ponadto wiedział, że jeśli opuści głowę, by ją ukryć, ruch niechybnie go zdradzi.

Zaufaj maskowaniu. A maskowaniem zwiadowcy był jego płaszcz. Setki razy zanudzał Willa tą maksymą. Teraz powtórzył zwiadowczą regułę samemu sobie, na własny użytek. Tropiciel Odszczepieńców rozejrzał się starannie, spojrzął nawet w stronę Halta, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Odwrócił się znów w stronę skał i ruszył. Odczekawszy parę sekund, by upewnić się, że nie był to fortel mający na celu uśpienie czujności przeciwnika i że tamten rzeczywiście nie dostrzegł niczego niepokojącego, Halt ruszył za nim.

Znajdował się teraz ledwie kilka metrów za swą zwierzyną. Słyszał już nawet sapanie przeciwnika. Jest spięty - pomyślał Halt. Pod wpływem napięcia rozbójnik oddychał szybciej i głośniejsze, prawdopodobnie nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Teraz nie pomógłby już żaden płaszcz. Gdyby tylko bandyta się odwrócił, z pewnością ujrzałby Halta za sobą. Nadeszła pora działania. Halt uniósł się powoli z ziemi i szybkim, choć nadal bezgłośnym krokiem zbliżył się do tropiciela, ściskając w prawej dłoni jeden z obuchów.

Być może spowodował jednak jakiś ledwo dostrzegalny szelest lub może tamten po prostu wyczuł za sobą czyjąś obecność, tak czy inaczej - odwrócił się, a raczej miał zamiar to zrobić, lecz o kilka sekund za późno. Halt uderzył zza głowy, trafiając wroga w czaszkę tuż za lewym uchem. Stuknęło, Halt poczuł wstrząs w ramieniu, a mężczyzna stęknął głucho, po

czym padł twarzą na ziemię, bezwładny jak szmata.

Wciąż przykucnięty, Halt chwycił go za ramiona i szybko zaciągnął do kryjówki za skałami. Abelard przyglądał się ciekawie, ale nie wydał żadnego odgłosu.

- Dobry konik - pochwalił Halt. Wierzchowiec odpowiedział, unosząc, a potem opuszczając łeb. - No, teraz zobaczymy, co nam się udało upolować - oznajmił Halt, przewracając nieprzytomnego tropiciela na plecy. Rozbójnik uzbrojony był po zęby. Przez plecy miał przewieszony krótki miecz. W pochwie u pasa nosił długi sztylet, do lewego przedramienia miał przymocowany krótszy nóż, drugi zatknął za cholewę buta. Halt przyjrzał się wyposażeniu. Tania broń, ale porządna, w dodatku dobrze wyostrzona. Odrzucił żelastwo na bok. Na lewym ramieniu dostrzegł zawieszony sznur, jakby na kształt pętli. Okazało się, że pętla ma nieco ponad metr długości, a do każdego jej końca przymocowana jest żelazna kula. Coś w rodzaju bolo - zorientował się Halt, mając na myśli myśliwską broń służącą do tego, by cisnąć nią w nogi ofiary; sznur owija się wówczas wokół nich, a ofiara przewraca się, obezwładniona. Dobywszy saksy, Halt odciął ciężarki i cisnął je w zarośla.

Mężczyzna miał na głowie miękką czapkę, wywinętą tak, że jej brzegi tworzyły wąskie rondo. Ubrany był w sięgającą ud kurtkę z surowej wełny, spiętą pasem. Halt unieruchomił kciuki tropiciela za pomocą kajdanek z rzemienia oraz kawałków drewna. Ściągnął z nóg mężczyzny połataną, znoszone buciory, w ten sam sposób skrępował paluchy jego stóp, marszcząc przy tym nos, jako że paskudnie śmierdziały. Unieruchomiwszy całkowicie więźnia, wsunął mu dłonie pod ramiona i podsadził go, opierając o skałę. Następnie usiadł. Czekał spokojnie, aż tamten odzyska przytomność.

Po kilku minutach przesiadł się na inne miejsce, by oszczędzić sobie nadmiernych wrażeń zapachowych. Zmarszczył nos.

- Twoje stopy cuchną tak, jakby coś ci wlało do butów i tam zdechło - rzekł półgłosem. Nie otrzymał odpowiedzi.

* * *

Minął jeszcze kwadrans, nim więzień wydał chrapliwe westchnienie. Zamrugał powiekami, następnie wstrząsnął głową, starając się oprzytomnieć.

Odruchowo chciał sięgnąć dłonią, żeby przetrzeć oczy, ale zorientował się, iż ręce ma skrępowane za plecami. Przez chwilę zmagał się z więzami, potem się skrzywił. Aż krzyknął z bólu, gdy rzemień wbił mu się w miękką skórę u podstawy kciuków.

- Siedź, nie ruszaj się, to nie zaboli - pouczył go cichym głosem Halt.

Mężczyzna spojrział niespokojnie, dopiero teraz zorientował się bowiem, że nie jest sam. Zwiadowca, cichy, nieruchomy, siedział kilka metrów od więźnia. Halt ujrzał ogłupiały wyraz twarzy bandziora, który za wszelką cenę usiłował sobie przypomnieć, co się stało, jakim sposobem wpadł w takie tarapaty. Sądząc po wyrazie jego oblicza, nie miał pojęcia. Osłupienie ustąpiło miejsca złości.

- Coś ty za jeden? - spytał ostrym tonem. Ze sposobu wysławiania się nietrudno było wywnioskować, iż przywykł do besztania i poniewierania bliźnimi, aby uzyskać od otoczenia to, czego pragnął.

Halt uśmiechnął się błado.

Gdyby pojmany osobnik wiedział, kim naprawdę jest siwowłosy brodac, z którym ma do czynienia, na pewno spuściłby z tonu. Halt rzadko się uśmiechał, jeszcze zaś rzadziej stanowiło to u niego oznakę dobrego humoru.

- O, przepraszam - rzekł spokojnie. - Ja tu zadaję pytania. Coś ty za jeden? Twoje imię?

- Niby dlaczego miałbym ci powiedzieć? - warknął Odszczepieniec. Zabrzmiało to arogancko, wręcz napastliwie. Halt podrapał się po głowie, jakby zastanawiając się, wreszcie objaśnił:

- Dlaczego? Z kilku bardzo istotnych powodów. Otóż, po pierwsze, to ty siedzisz tutaj związany jak prosię. Nie potrafisz ruszyć ręką ani nogą. Po drugie, chyba trochę boli cię głowa, prawda? No, i po trzecie, posiadasz wciąż jeszcze oboje uszu.

Po raz pierwszy w oczach więźnia pojawił się cień lęku. Nie tyle dlatego, że usłyszał, iż jest skrępowany, lecz raczej na wzmiankę o uszach.

- Co? - obruszył się. - A co moje uszy mają do rzeczy?

- Trochę mają - wyjaśnił Halt. - Jeżeli nie przestaniesz się zachowywać, jakbyś był panem sytuacji, będziesz miał za moment o jedno mniej.

Świsnęła stal, gdy Halt dobywał saksy. Klinga, ostra niczym brzytwa, zaśniła błado w świetle gwiazd, gdy podsunął ją Odszczepieńcowi pod nos.

- Gadaj - ponaglił więźnia Halt. - A więc jak masz na imię?

Teraz twarzy Halta nie rozjaśniał choćby ślad uśmiechu. Coś w jego głosie podpowiedziało więźniowi, że nastąpił koniec dyskusji. Spuścił wzrok, butna mina odeszła w niepamięć.

- Jestem Colly - rzekł. - Colly Deekers. Uczciwy młynarczyk z Horsdale.

Horsdale. Dość duża miejscowość położona w odległości mniej więcej piętnastu kilometrów. Halt z wolna pokręcił głową. Wsunął brzeszczot z powrotem do pochwy, ale

jakoś tak dziwnie się stało, że nie wpłynęło to na poprawę nastroju Colly'ego.

- Słuchaj, Colly, jeśli naprawdę tak się zwiesz - warknął Halt. - Znacznie łatwiej dojdziemy do porozumienia, jeśli nie będziesz próbował mnie okłamywać. Może i pochodzisz z Horsdale, ale nie chce mi się wierzyć, żebyś był młynarczykiem. A już z pewnością nie młynarczykiem uczciwym. Zechciej więc darować sobie głodne kawałki, dobrze?

Colly nie odpowiedział. Czuł się coraz bardziej nieswojo. Jakby nie było, wpadł w ręce tego, którego kazano mu znaleźć - i zabić, jeśli trafi się okazja. Bez wątpienia obcy zdawał sobie sprawę z zamiarów Odszczepieńca. Nagle zaschło mu w ustach, przełknął kilka razy ślinę.

- Moi towarzysze zapłacą, jeśli mnie wypuścisz - oznajmił.

Halt zerknął z ukosa, przechyliwszy głowę na bok.

- Nie, nie zapłacą - skrzywił się. - Poświęć cię bez chwili wahania, jeśli tylko dzięki temu zdołają mnie zabić. Nie kpij sobie ze mnie i nie traktuj mnie jak głupca. To mnie drażni, a w twoim położeniu lepiej drażnić mnie nie próbuj. Mogłoby się zdarzyć, że zmienię plany, jakie wobec ciebie powziąłem.

Colly poczuł, jak zaciska mu się żołądek, a po plecach przebiegają ciarki.

- Twoje plany wobec mnie? - Jego głos brzmiał teraz ochryple. - Jakie to plany?

- Rankiem - oznajmił Halt - gdy tylko wszędzie słońce, zamierzam cię uwolnić.

Stwierdził to całkiem poważnym tonem. W słowach zwiadowcy nie pobrzmiwał sarkazm, toteż Colly poczuł przyływ nadziei.

- Naprawdę mnie wypuścisz?

Halt zasznurował usta.

- Owszem. Ale pod jednym warunkiem.

Nadzieja zgasła równie prędko, jak się pojawiła. Colly zerknął podejrzliwie na zwiadowcę.

- Jaki stawiasz warunek? - spytał ponuro.

- Cóż, nie spodziewałeś się chyba, że po prostu puszcę cię wolno i oznajmię „co było, to było, do widzenia, szerokiej drogi”, no nie? Gdybyś tylko zdołał, zabiłbyś mnie. Natomiast ja chcę ci dać szansę ucieczki. Tyle że pod górę.

- Pod górę? Przecież tam nic nie ma - Colly usilnie starał się pojąć, do czego zmierza rozmowa.

- Niezupełnie. Coś tam jednak jest. Mianowicie skarpa, wysokości około dwunastu metrów, u której stóp płynie rzeka. Dość głęboka, więc nic ci się nie stanie, kiedy skoczysz. - Wcześniej Halt, przez krótką chwilę spoglądając w dół i patrząc na rzekę, odniósł wrażenie,

że jest naprawdę głęboka; woda była ciemna, jakby do dna było dobrych kilka metrów. Upewnił się jeszcze: - Mam nadzieję, że umiesz pływać?

- Pewnie, że umiem - odparł Colly. - Ale nie zamierzam skakać do przepaści tylko dlatego, że ty mi każesz!

- Ależ nie, nie. Nic podobnego. Tak wiele od ciebie nie wymagam. Skoczysz z zupełnie innego powodu. Mianowicie, jeśli tego nie uczynisz, po prostu cię zastrzelę. Jak dla mnie, na jedno wychodzi. Gdy trafi cię strzała, również wpadniesz do wody. Tyle że martwy. Natomiast, jeśli skoczysz z własnej woli, masz sporą szansę ująć z życiem. - Halt umilkł, po czym dodał: - Aha, żeby nie było niedomówień: jeżeli zechcesz pobiec na dół, też cię zastrzelę. Krótko mówiąc, jedyna droga prowadzi w górę - i dopiero potem w dół. Do wody.

- Żarty sobie stroisz! - zawołał Colly. - Naprawdę myślisz...?

Umilkł nagle. Halt pochylił się gwałtownie w jego stronę, unosząc dłoń, by go uciszyć. Zbliżył twarz do oblicza Colly'ego.

- Colly, przyjrzyj mi się dobrze. Popatrz mi głęboko w oczy. Powiedz, czy znajdujesz w nich coś, cokolwiek, co pozwoliłoby ci uznać, że żartuję?

Oczy Halta, ciemnobrązowe, prawie czarne, spoglądały nieugięcie, kryjąc w sobie twardość stali. Zbój nie dostrzegł w nich nic oprócz zaciętej determinacji. Colly po kilku sekundach opuścił wzrok. Halt skinął głową.

- Otóż to. Teraz, skoro doszliśmy do porozumienia, radzę ci trochę się zdrzemnąć. Jutro czeka cię dzień pełen wrażeń.

ROZDZIAŁ 10

Gdy wspięli się na szczyt ostatniego wzgórza, którego stok opadał już ku równinie, Will zatrzymał Wyrwija.

- Stój, koniku - rzekł miękkiem głosem. Zawsze cieszyła go ta chwila, gdy po raz pierwszy Zamek Redmont ukazywał się jego oczom. Przed nim rozciągała się równina przecięta na ukos rzeką Tarbus, nad której brzegami skupiły się zabudowania wioski Redmont, a po drugiej stronie teren wypiętrzał się znów, tworząc naturalną pozycję obronną, gdzie wzniesiono zamek - potężną, niezdobytą twierdzę połyskującą czerwienią w świetle późnego popołudnia.

Przypomniawszy sobie, jak przy innych okazjach zatrzymywał się w tym samym miejscu, by zaczerpnąć oddechu. Wtedy, gdy był już niemal u kresu szaleńczego wyścigu z czasem, kiedy pędził, by powiadomić barona i sir Rodneya o kalkarach. A także niedawno, w znacznie przyjemniejszych okolicznościach, gdy dostał list od Alyss i wyruszył, by się z nią spotkać. Na myśl o dziewczynie jego twarz rozjaśniła się mimowolnym uśmiechem. Była gdzieś tam, w dole. Zmrużył oczy, próbując dostrzec, czy przypadkiem, zupełnym przypadkiem, w oddali nie pojawi się jej smukła, jasna sylwetka - może gdzieś w wiosce albo w parku otaczającym zamek? Oczywiście, nie zobaczył jej, zresztą trudno się dziwić. Zaśmiał się cicho z własnej naiwności.

Dostrzegł natomiast na uboczu, pośród drzew, tam gdzie zaczynał się las, małą chatkę, w której spędził lata swego terminu u Halta.

- Jesteśmy w domu - poinformował Wyrwija, a konik niecierpliwie podrzucił łbem.

Jeszcze nie, na razie stoimy tu jak słup - to mniej więcej znaczył ów koński gest, toteż Will potrząsnął lekko wiodkami.

- Dobrze, dobrze. W takim razie, naprzód, malutki!

Nagle i jeździec, i koń zapragnęli naprawdę znaleźć się w domu, więc Wyrwij ruszył z kopyta, przechodząc od razu do galopu, jak tylko on potrafił. Konie zwiadowców słyszeły co prawda z umiejętności natychmiastowej zmiany tempa, ale żaden nie mógł równać się z

Wyrwijem.

Na polach wciąż jeszcze pracowali rolnicy, którzy, słysząc łoskot kopyt, spoglądali na nich, przerywając swe zajęcia. Niektórzy machali ręką, rozpoznawszy drobną postać na krępym koniku: jeździec, za którym powiewał szaro-zielony płaszcz, pędził jak burza, pochylony nad szyją wierzchowca.

Niektórzy zastanawiali się przez krótką chwilę, jakie to wieści przynosi zwiadowca, skoro mu tak śpieszno do zamku. Jednak zaraz potem, machnąwszy ręką, wracali do pracy. Dobre wieści, czy złe - i tak komu innemu przyjdzie o tym rozstrzygać, no a ziemia sama się nie zaorze.

Podobnie, jak same nie wydoją się krowy, zboże nie zasieje się i nie pozbiera z pola, nie skoszą się łąki, nie ugotuje się sama wieczorna strawa...

Kopyta Wyrwija dudniły przez krótką chwilę na drewnianym moście prowadzącym na drugi brzeg rzeki, a potem już jechali wprost do zamku. Słyszając tętent, wartownicy strzegący głównej bramy nastavili włócznie, lecz na widok królewskiego zwiadowcy, opuścili broń - choć nadal przyglądali mu się z wielkim zainteresowaniem.

Na ostatnich dwudziestu metrach Will zwolnił do stępa, a potem do truchtu. Odpowiedział na wojskowy salut strażników, przejechał mostem zwodzonym przez fosę i pod uniesioną kratą. Jeden z żołnierzy, który służył na zamku od niepamiętnych czasów, pozwolił sobie na całkiem nieregulaminowy okrzyk:

- Witaj w Redmont, zwiadowco Willu!

Will pomachał mu ręką z uśmiechem.

- Dzięki, Jonathonie. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej!

Wjechali. Teraz kopyta Wyrwija stukały o kamienie, którymi wyłożono dziedziniec. Kręciło się tam sporo ludzi zmierzających w tę czy inną stronę, niejednen z nich zatrzymał się, ciekaw, co sprowadza Willa Treaty do Zamku Redmont.

Will jednak nie zwrócił na nich uwagi, bo ujrzał wychodzącą z głównej wieży wysoką, pełną wdzięku dziewczynę odzianą w elegancką białą suknię kurierki. Rozpromienił się na ten widok.

Alyss.

Zeskoczył na ziemię, ona zaś podbiegła ku niemu, zapominając o konwenansach i o tym, co uchodzi dziewczęciu pełniącemu służbę dyplomatyczną. Padli sobie w ramiona, a później stali objęci, nie mogąc nacieszyć się sobą wzajemnie. Przechodnie zatrzymywali się i odwracali, spoglądając na oboje z uśmiechem, bo młodzi zachowywali się tak, jakby nie widzieli świata poza sobą.

- Wróciłeś - wyszeptła Alyss stłumionym głosem, bowiem twarz przycisnęła do szorstkiego materiału jego kaptura.

- Wróciłem - potwierdził, wdychając z rozkoszą zapach jej perfum. Czuł na policzku dotyk miękkich, jasnych włosów. Po dłuższej chwili nagle coś ich popchnęło, więc musieli rozluźnić objęcia, bowiem w przeciwnym razie straciliby równowagę. Wyrwiji spoglądał z dezaprobatą.

Przestańcie. Ludzie na was patrzą.

Potem trącił Alyss w ramię, domagając się, by zwróciła uwagę także na niego. Oraz by pogłaskała go po pysku.

Ja też tu jestem.

Roześmiała się.

- Dzień dobry, Wyrwiju. Miło cię widzieć.

Will ujął ją za drugą rękę, a potem stał i tylko patrzył, uradowany. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że wokół zgromadził się spory tłumek gapiów. Will zaczerwienił się, wzruszył ramionami.

- Uplętnęło sporo czasu - oznajmił. Spojrzał po uśmiechniętych twarzach. Nikt nie odezwał się, więc wyjaśnił, wskazując Alyss: - Uplętnęło sporo czasu, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

Kilkoro zgromadzonych pokiwało głowami ze zrozumieniem. Najwyraźniej nie zamierzali się rozejść. Will uznał, że czas już skończyć widowisko. Jak większość zwiadowców, nie lubił znajdować się w centrum uwagi. Półgłosem rzekł do Alyss:

- Ruszajmy stąd.

Zaśmiała się cicho.

- Jasne, jasne. Trzeba zaprowadzić Wyrwija do stajni, a potem chyba powinieneś zameldować się baronowi.

Poszli więc, wciąż trzymając się za ręce, by zadbać o odpowiednią kwaterę dla Wyrwija. Alyss wiedziała, że jak przystało na zwiadowcę, Will przede wszystkim będzie chciał się zająć wierzchowcem. Tłumek gapiów zaczął się tymczasem rozchodzić, każdy w swoją stronę. Niektórzy jednak oglądali się jeszcze, spoglądając z uśmiechem aprobaty na dwoje młodych ludzi. Wszyscy na Zamku Redmont lubili Alyss, no i wszyscy byli oczywiście ogromnie dumni z Willa. W dodatku uważali go poniekąd za swoją własność, bądź co bądź tutaj przecież się wychował. A skoro ci dwoje wyraźnie mieli się ku sobie - tym lepiej.

- Czy Halt dawał jakiś znak życia? - spytał Will.

Uśmiech znikł z twarzy Alyss.

- Nie. Lady Pauline zaczęła się już niepokoić. Stara się tego nie okazywać, ale dobrze ją znam i wiem, że się martwi.

Will zastanowił się. Przyszło mu na myśl, że jeszcze niedawno nie było komu martwić się o Halta. Cóż.

- To chyba zrozumiałe - stwierdził. - Pewnie coś go zatrzymało po drodze. Na pewno sobie poradzi.

Kto jak kto, ale Halt z pewnością znajdzie wyjście z każdej sytuacji, Will był o tym przekonany. Alyss skinęła głową. Niepokoila się, bo niepokoila się jej mentorka, lady Pauline. Jednak Will lepiej niż ktokolwiek znał możliwości Halta, skoro więc on się nie martwił, z pewnością nie istniał powód do niepokoju.

- Pewnie masz rację - przytaknęła, po czym zmieniła temat: - Postanowiłeś więc przyłączyć się do oddziału specjalnego, który wymyślił sobie Crowley?

- Owszem - przyznał. - Sądzisz, że dobrze zrobiłem?

Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie.

- Ujęłabym to w ten sposób: gdybyś odmówił, sama przywlekłabym cię tutaj za nogi, aż nabrałbyś rozumu.

- Brzmi całkiem kusząco - mruknął, a ona pociągnęła go za ramię, udając zagniewaną. Zauważył, że jednak cały czas trzymała go za rękę. Gdy znaleźli się przy stajniach, jeden z młodszych stajennych wybiegł im na spotkanie.

- Witaj, zwiadowco - rzekł i rozłożył szeroko ramiona, jakby zapraszając Willa, by zechciał zwiedzić powierzone jego opiece końskie kwatery. - Czy pozwolisz, bym zaopiekował się sławnym Wyrwijem?

Will zawahał się przez moment. Przyzwyczajony był, że sam zaspokaja potrzeby Wyrwija. Poczul, że coś trąciło go w ramię. Rzecz jasna, pysk Wyrwija.

Słyszales, słyszales? Sławny Wyrwij!

Jednocześnie Alyss uściśnęła dłoń chłopaka. Zrozumiała od razu, że stajenny pomocnik byłby okrutnie zawiedziony, gdyby Will odrzucił jego propozycję. Dla takiego młodzika Will był istnym bohaterem, obiektem podziwu i wzorem do naśladowania. Wszak to Will Treaty we własnej osobie, ten sam, który dokonał jakże wielu bohaterskich czynów. Zająć się jego wierzchowcem, to prawdziwy honor. Alyss kochała Willa tym bardziej, że nie przywiązywał wagi do swej sławy.

- Uczynisz mi zaszczyt, zwiadowco - dodał stajenny.

- Pozwól mu - rzekła Alyss półgłosem. Will wzruszył ramionami i oddał stajennemu

wodze.

- No, dobrze... - zawahał się, bo nie znał imienia chłopaka.

- Nazywam się Ben, zwiadowco. Ben Dooley.

- Dobrze, Ben. Jestem pewien, że zajmiesz się sławnym Wyrwijem, jak należy - tu spojrział znacząco na konika. - A ty zachowuj się, jak należy.

W tym momencie Wyrwij z pewnością uniosłby brwi, tylko że konie nigdy tego nie robią. Spojrzął na Willa i na Alyss, wciąż trzymających się za ręce.

Że co, proszę?

Już nie pierwszy raz Will zdał sobie sprawę, że w rozmowach z Wyrwijem nie jemu przypada w udziale ostatnie słowo. Potrząsnął głową, zrezygnowany.

- Chodźmy już do barona - powiedział.

* * *

Wszystko tu było tak dobrze znajome. Tak wiele widoków, odczuć i wspomnień powróciło, gdy piął się schodami prowadzącymi do gabinetu barona Aralda. Alyss pociągnęła go za rękę.

- Pamiętasz tamten dzień? - spytała. Nie musiała tłumaczyć niczego więcej, Will wiedział doskonale, że chodzi jej o dzień, w którym ona, Will i Horace, a także Jenny i George weszli po tych schodach, aby wysłuchać słów mających zadecydować o ich dalszym losie, gdyż mistrzowie przyjmowali ich wówczas do terminu. Prawdę rzekłszy, zdarzyło się to ledwie kilka lat wstecz, ale zdawało się, że od tamtej pory minęły już całe dziesięciolecia.

- Jak mógłbym zapomnieć? - odparł. - Co tam słysząc u George'a?

- Został jednym z najbardziej wziętych obrońców sądowych naszego lenna - wyjaśniła.

- Gdy ktoś popadnie w konflikt z prawem, nie ma jak nasz poczciwy George, żeby wyplątać go z kłopotów.

- Zawsze miał do tego głowę - stwierdził Will. - A Jenny? Nadal pracuje u mistrza Chubba?

Zaśmiała się.

- Nie, ku jego wielkiemu rozczarowaniu. Uważa ją za dzieło swojego życia, swe największe dokonanie, więc dałby wszystko, żeby pracować razem z nią. Jednak ona jakiś czas temu wygarnęła kuchmistrzowi: „Mistrzu Chubbie, w tej kuchni nie widzę przestrzeni dla dwojga takich artystów jak my. Muszę znaleźć własne miejsce, potrzebuję swobody”.

- I co? Znalazła?

- Owszem. Wykupiła udziały w gospodzie, która odtąd stała się jednym z najwykwintniejszych przybytków w całej okolicy. Nawet mistrz Chubb się u niej stołuje.

- Poważnie?

- Jak najbardziej. Powiadają, że któregoś wieczora uczynił pewną uwagę, bardzo grzecznie i uprzejmie, a chodziło o to, że można by dodać do jakiejś potrawy nieco ziół. W odpowiedzi usłyszał: „Czasem mniej znaczy więcej, mistrzu Chubbie. Mniej znaczy więcej!”. To rzekłszy Jenny trzepnęła go w głowę drewnianą chochlą.

Doprawdy, nie do wiary. Will nie potrafiłby wyobrazić sobie kogokolwiek, komu starczyłoby śmiałości, żeby rąbnąć Chubba chochlą w głowę.

- Domyślam się, że wynikała z tego straszna awantura? - rzucił, ale Alyss potrząsnęła głową.

- Nic podobnego. Wręcz przeciwnie, pokornie ją przeprosił. Moim zdaniem w skrytości ducha był zachwycony. Powiadam ci, że jest z niej szalenie dumny. No, doszliśmy - stwierdziła, gdy znaleźli się w poczekalni wiodącej do gabinetu barona. Niechętnie wypuściła jego dłoń. - Melduj się szybko, a potem koniecznie musimy znów się spotkać.

Pochyliła się, pocałowała go w usta i wymknęła się, machając jeszcze na pożegnanie. Zbiegła po schodach. Jaki piękny dzień dzisiaj - pomyślała.

Will przez chwilę spoglądał za nią, potem odwrócił się i pozbierał myśli. Następnie zapukał do drzwi gabinetu barona.

ROZDZIAŁ 11

Za szczytem pagórka wschodziło już słońce, pojawił się pierwszy brzask. Z lewej i prawej strony promienie oświetlały czubki drzew - tam bowiem nie sięgał cień wyniesienia. Z punktu widzenia Halta była to sytuacja wprost wymarzona; kiedy słońce wzniesie się nad wzgórze, zacznie świecić prosto w oczy tych tam, na dole, oślepiając ich swym blaskiem.

Colly wciąż jeszcze drzemał niespokojnie, gdy Halt zdjął więzy z jego kciuków oraz stóp, marszcząc znów nos. Cofnął się o krok i trącił zbira czubkiem buta, dłoń trzymając na rękojeści saksy.

Kiedy zbójca obudził się, zdał sobie sprawę, że ręce i nogi ma wolne. Próbował zerwać się, lecz zeszywniałe, odrętwiałe mięśnie kończyn odmówiły posłuszeństwa. Krzyknął z bólu, potoczył się bezwładnie na bok, usiłując odzyskać panowanie nad mięśniami.

- Musi upłynąć kilka minut, zanim znowu zdołasz się swobodnie poruszać - powiadomił go Halt. - Nie próbuj więc żadnych sztuczek. Tymczasem, ściągaj kurtę.

Leżący na boku Colly spojrzał niepewnie w jego stronę.

- Kurtę?

Halt niecierpliwie uniósł brew.

- Uszy ci chyba nie zdrętwiały, co? - ponaglił go. - Zdejmuj kurtę.

Z trudem, powoli, Colly dźwignął się do pozycji siedzącej i rozpiął guziki długiej kurty. Odrzucił ją na bok, po czym spojrzał pytająco na Halta. Zwiadowca skinął głową.

- Jak na razie, dobrze ci idzie - pochwalił go. - Teraz zamiast kurty narzuć płaszcz, który leży obok ciebie.

Dopiero w tej chwili Colly zauważył, że maskujące okrycie Halta spoczywa na ziemi tuż obok. Niezdarnie zarzucił płaszcz na ramiona i zapiął klamrę. Najwyraźniej dotarło do niego, że pytania na nic się nie zdadzą. A poza tym zaczynał wreszcie rozumieć, na czym polegał plan Halta.

- Dobra, teraz wstajemy - oznajmił Halt. Chwycił Colly'ego za przedramię i dźwignął go do pozycji pionowej.

Przez sekundę lub dwie Colly stał bez ruchu, próbując się zorientować, czy odzyskał czucie w ramionach i nogach. Potem, jak należało się spodziewać, skoczył z pięściami do Halta. Halt bez trudu wykonał unik. Wyprowadzając cios z półobrotu, trzasnął Colly'ego nasadą dłoni w szczękę; bandyta znów wylądował na ziemi.

- Nie próbuj tego więcej - rzekł; w jego głosie nie było gniewu, tylko spokojna pewność, że bez trudu poradzi sobie z Collym, wszystko jedno jakich sztuczek bandyta zechce spróbować.

Odszczepieniec gramolił się z ziemi, a tymczasem Halt naciągał grubą wełnianą kurtkę. Znow zmarszczył nos, czując zatęchłą woń tłuszczu, potu oraz brudu.

- Cuchnie prawie jak twoje nogi - mruknął.

Przykucnął, podniósł czapkę Colly'ego i włożył ją na głowę.

- Zrób kilka kroków - polecił więźniowi. - Poruszaj ramionami, żeby pobudzić krążenie. Chcę, żebyś był w szczytowej formie, kiedy zaczniesz biec pod górę.

Colly postanowił jeszcze raz spróbować oporu:

- Nigdzie nie pobiegnę - oznajmił.

Halt wzruszył ramionami.

- W takim razie umrzesz tutaj. Innego wyboru nie masz.

Po raz drugi Colly spojrzał w ciemne oczy, w których i tym razem nie dostrzegł cienia litości. Opuścił więc wzrok, tak jak poprzednio. Zaczął poruszać rękami i przykucać. Krzywił się przy tym z bólu, gdy krew znów napływała do mięśni. Halt tymczasem sięgnął po łuk oraz kołczan, ten drugi przewieszając przez ramię dla swobody ruchów.

Po kilku minutach, uznawszy, że więzień porusza się już swobodniej, Halt dał znak, żeby przestał. Skinął na opryszka, następnie zaprowadził go na skraj skalnego występu, który zasłaniał ich przed spojrzzeniami z dołu.

- Dobrze, powiem ci, jak to się odbędzie. Na mój sygnał zaczniesz biec pod górę. - Halt ujrzał błysk w oczach Colly'ego, choć rozbójnik był pewien, że niczego nie dał po sobie poznać. - Jeżeli spróbujesz pobiec w jakimkolwiek innym kierunku, przestrzelę ci łydkę. Będziesz dalej mógł biec, ale to będzie bardzo, bardzo bolało. Jasne?

Colly skinął w milczeniu głową. Wyzywający wyraz twarzy znikł bez śladu.

- Świetnie. Ty będziesz biegł, a ja postoję tutaj, wymachując rękami i krzycząc. Kiedy usłyszysz mój głos, biegnij jeszcze prędzej.

- Pomyślą, że jestem tobą - stwierdził Colly, wskazując drzewa na dole, gdzie czekali jego towarzysze.

Halt przytaknął:

- Owszem, i pomyślą też, że ja jestem tobą. O to właśnie mi chodzi.

- I będą gonić mnie pod górę - dodał Colly.

Tym razem jednak Halt pokręcił głową.

- Jeśli skoczysz do rzeki, to nie. Pobiegną w dół, później zaś dookoła wzgórza, żeby tam cię dopaść. Dzięki czemu droga ucieczki stanie przede mną otworem.

- A jeżeli nie skoczę? - zainteresował się Colly.

- Skoczysz, skoczysz. Zwróć uwagę, że na tym pagórku nie ma niczego, za czym zdołałbyś się skryć.

Colly przyjrzał się. Obcy miał rację. Po drodze na szczyt nie było już skał ani drzew, tylko trawa; dość co prawda wysoka, jednak nie na tyle, by można było się w niej skryć. Nerwowo przełknął ślinę.

- Jeśli zatrzymasz się na szczycie, pošlę strzałę, dziesięć centymetrów nad twoją głową. Po prostu żeby ci pokazać, że potrafię.

Colly zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. Halt dokończył:

- A potem, po pięciu sekundach, wypuszczę następną, która wbije się dwadzieścia centymetrów poniżej twojej głowy. Zrozumiałeś?

Colly zerknął nerwowo w dół. Dwadzieścia centymetrów pod jego głową... Czyli zagłębi się w sam środek jego klatki piersiowej. Owszem, zrozumiał.

- Yhm - przyznał niechętnie. Suchość w gardle doskwierała mu nieznośnie, miał wrażenie, że nie zdołałby wykrztusić ani słowa. Obserwował, jak Halt dobywa strzałę z kołczanu i płynnym ruchem zakłada ją na cięciwę wielkiego łuku.

- Przygotuj się więc. Słyszałem, że zdrowo jest pobiegać sobie z rana - urwał, po czym dodał twardszym głosem: - A kąpiel naprawdę ci się przyda.

Spojrzenie Colly'ego powędrowało w stronę Halta, następnie ku otwartej przestrzeni nad nimi, potem w dół, w stronę drzew, gdzie wciąż kryli się jego kompani.

- Mówiłem poważnie - stwierdził Halt. - Lecz żebyś nie miał wątpliwości co do tego, że umiem trafić tam, gdzie zechcę... Widzisz ten przegniły pień drzewa, jakieś czterdzieści metrów od nas?

Colly spojrzał. Rzeczywiście sterczał tam metrowej mniej więcej długości pniak drzewa, które wiele lat wcześniej powalił piorun. Pozostała jego część spoczywała poniżej. Skinął głową.

- Widzę. O co chodzi?

- Kiedy znajdziesz się na jego wysokości, wypuszczę strzałę. Widzisz tę złamaną gałąź, która sterczy po prawej stronie?

Colly znów skinął głową. Z tej odległości pozostałość konaru była ledwie widoczna.

- Tam właśnie wbije się strzała. Jeżeli chybię, możesz się łudzić, że warto spróbować szczęścia i pognać w dół.

Colly otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Halt nie dał mu dojść do słowa.

- Tylko że ja nie chybię. A przy tym pamiętaj, że jesteś dużo większy od tej gałęzi.

Colly znów przełknął ślinę. Straszliwie chciało mu się pić.

- Mógłbym dostać trochę wody? - wychrypiął. Także dlatego, żeby odwlec choć na trochę chwilę, gdy ruszy pod górę. Wiedział, że Halt uczyni tak, jak zapowiedział. Nie mógł jednak mieć pewności, że zwiadowca po prostu go nie zastrzeli, kiedy dotrze na szczyt. W takim wypadku jego towarzysze pobiegną na górę, a Halt będzie mógł uciec w przeciwnym kierunku.

Halt obdarzył go zimnym uśmiechem.

- Wody? - powtórzył. - Zaraz opijesz się wodą do woli. Kiedy tylko znajdziesz się w rzece. No, już, naprzód.

Colly wahał się jeszcze. Halt poruszył nieznacznie cięciwą, chcąc, by Colly zwrócił uwagę na strzałę zakończoną ostrym, szerokim grotem. Widząc, że Odszczepieniec wciąż nie może się zdecydować, Halt zmarszczył brwi. Słońce wzniosło się już nad krawędź urwiska i właśnie teraz najbardziej oślepiało patrzących z dołu.

- RUSZAJ! - krzyknął nagle, jednocześnie czyniąc krok w stronę Colly'ego.

Głośny okrzyk oraz gwałtowny ruch sprawiły, że Colly drgnął jak oparzony, odwrócił się i zaczął biec. Biegł miarowo, zwiadowczy płaszcz rozwiewał się za nim. Halt odczekał, aż mężczyzna oddalił się dwadzieścia metrów, po czym wyszedł z ukrycia. Zaczął wymachiwać rękami i krzyzczyć do niewidocznych ludzi, którzy jednak z pewnością widzieli go z dołu.

- Ucieka! - wrzasnął. - Uwaga, on ucieka! Gonić go!

Odpowiedziały mu okrzyki rozlegające się pośród drzew i skomlenie oraz ujadanie psów. Kilku mężczyzn wynurzyło się z cienia, niepewnie, ostrożnie. Spoglądali w stronę biegnącego mężczyzny, okrytego zwiadowczym płaszczem. Za nimi pojawiło się jeszcze kilku innych.

- Hej, on ucieka! Łapać go, łapać! - Halt darł się jak opętany. Odwrócił się, żeby spojrzeć w górę. Colly znajdował się już prawie na wysokości pniaka. Zwiadowca cofnął się za głazy, żeby z dołu nie widziano, co robi. Niedbałym ruchem napiął łuk, po czym wypuścił strzałę. Odległość od celu wynosiła zaledwie czterdzieści metrów, więc nawet strzelając pod górę, nie musiał brać dużej poprawki. Pocisk śmignął w powietrzu.

Colly, który przebiegał właśnie obok pniaka, usłyszał świst po swej lewej stronie, a w

następnej chwili jego uszu dobiegł odgłos grotu uderzającego o przegniłą gałąź, która rozpadła się w drzazgi. Chociaż Halt wytłumaczył mu, co się wydarzy, dotąd nie dowierzał, by ktokolwiek potrafił strzelać tak celnie. Odruchowo rzucił się w bok - o wiele za późno, rzecz jasna, by uniknąć trafienia, gdyby to on był celem - po czym podwoił wysiłki, starając się biec najszybciej, jak mógł.

Teraz z lasu wyłoniła się już większa grupa Odszczepieńców. Niektórzy ruszyli w pościg za uciekającym. Jednak wyraźnie nie spieszyło im się. Wiedzieli, że tamten nie ma dokąd uciekać. Psy gończe szczekały jak oszalałe, szarpiąc się na długich smyczach. Halt naliczył dwunastu ludzi. Trudno stwierdzić z całą pewnością, ale przypuszczalnie nie mieli już więcej psów bojowych.

Spojrzał znów na Colly'ego, który wspinał się po stromiźnie, przemierzając ostatnich kilka metrów dzielących go od urwiska. Wiedział, że na samej krawędzi mężczyzna się zawaha. To naturalne. Kolejna strzała już czekała, nałożona na cięciwę; Halt zmrużył oczy, oceniając trajektorię pocisku. Dokonał błyskawicznej kalkulacji prędkości, odległości i czasu. Colly znajdował się ledwie kilka kroków od krawędzi, kiedy Halt naciągnął łuk, aż palec wskazujący prawej dłoni musnął kącik jego ust, wymierzył i wystrzelił.

Strzała poleciała po płytkiej krzywiźnie.

Colly dyszał ciężko, spoglądając w dół. Wody rzeki wciąż pogrążone były w cieniu rzucanym przez przeciwległy brzeg, widział tylko czerń. Nie potrafił stwierdzić, czy jest tam rzeczywiście dość głęboko, by skoczyć, toteż zgodnie z przewidywaniami Halta, zawahał się, odwrócił i spojrzał w stronę drobnej postaci przy skałach.

Sekundę potem usłyszał przeciągły świst i poczuł podmuch strzały Halta przelatującej kilka centymetrów nad jego głową. Tak właśnie, jak zapowiedział Halt.

Po szaleńczym biegu pod górę bolały go mięśnie oraz płuca, z trudem łapał oddech. Pochylił się, żeby choć przez moment odetchnąć. Ujrzał prawą rękę zwiadowcy sięgającą po kolejną strzałę do kołczanu zawieszzonego na ramieniu, a potem dostrzegł nieśpieszny ruch, gdy założył ją na cięciwę... Naciągnął łuk, unosząc go jednocześnie.

Colly poczuł palący ucisk w piersi. Tam, gdzie jak powiedział Halt, miał trafić następny grot. Przypomniawszy sobie roztrzaskaną gałąź i nagły lęk, kiedy druga strzała przeleciała tuż nad jego głową. Wszystko nie trwało nawet sekundy, spojrzał jeszcze raz na postać w dole. Już rozumiał, że ma tylko jedną szansę na przeżycie.

Zerwał płaszcz i skoczył. Lecąc w dół, krzyczał ze strachu, a potem runął w wodę z wielkim pluskiem. Zanurzył się głęboko pod powierzchnię, jednak nie sięgnął dna. Okazało się, że głębia w tym miejscu ma co najmniej piętnaście metrów. Wreszcie ogarnęło go

uczucie przemożnej ulgi, gdyż zdał sobie sprawę, że wciąż jeszcze żyje - i zaczął płynąć w stronę powierzchni. Podczas zderzenia z wodą wywichnął lewe kolano, toteż gdy zaczął gorączkowo wymachiwać nogami, przeszył go dotkliwy ból. Krzyknął i napił się wody; zbyt późno przypomniał sobie, żeby nie otwierać ust. Kaszląc i plując, wynurzył się wreszcie, gorączkowo chwytając powietrze. Płynął na boku, by nie powodować bólu w zwichniętej nodze. Niesiony prądem, zaczął kierować się w stronę brzegu.

Ścigający go zbójcy zatrzymali się na stoku wzgórza. Zauważyli, że ścigany skoczył w dół. Znali tę okolicę, wiedzieli zatem, że poniżej płynie rzeka. Zawahali się, lecz pokierował ich głos rozlegający się u góry:

- Skoczył do rzeki! Prędko, na dół, zabiegnijcie mu drogę!

Kilku co bystrzejszych, biorąc zwiadowcę za posłanego tropiciela, zrozumiało, w czym rzecz. Nie było sensu biec pod górę, jeśli nie zamierzali również skoczyć w przepaść. O wiele prościej i szybciej dopadną ofiarę niżej, z brzegu.

- Jazda! - krzyknął przysadzisty mężczyzna prowadzący kilka psów. - Szybko, do rzeki!

Spuścił zwierzaki ze smyczy, wskazał im kierunek i pognał w ślad za sforą. A skoro uczynił to pierwszy bandyta, wszyscy inni postąpili tak samo. Halt spoglądał z niemałą satysfakcją na grupkę ludzi pędzących w dół, w stronę brzegu rzeki.

Gdy ostatni zniknął mu z oczu, pstryknął dwa razy palcami. Abelard wyłonił się zza skał, za którymi kryli się przez całą noc. Halt wskoczył lekko na grzbiet konika. Abelard odwrócił łeb. Spojrzał z wyrzutem w ślepiach na swego pana, bowiem uwadze zwierzaka nie uszedł przetłuszczony kaftan, do niedawna własność Colly'ego.

- Wiem - mruknął Halt. - Ale jego nogi śmierdziały jeszcze gorzej.

Szybko zjechali na dół. Gdy znaleźli się już w cieniu drzew, Halt zrobił coś dziwnego. Zamiast skręcić na wschód, w stronę Redmont, skierował Abelarda na północny zachód, ku rybackiej wiosce. Abelard znów odwrócił się, spoglądając pytająco w oczy jeźdźca. Halt poklepał go po kudłatej szyi.

- Wiem, wiem. Jednak muszę jeszcze załatwić pewną sprawę - na co Abelard potrząsnął łbem. Skoro Halt twierdzi, że wie, co robi, z pewnością ma rację.

* * *

Farrell, przywódca Odszczepieńców, jedynie z najwyższym trudem zdołał uspokoić mieszkańców osady. Rybacy nie kryli podejrzeń, iż on oraz jego ludzie mieli coś wspólnego z

nieudaną próbą podpalenia łodzi. Gdyby spłonęły, zapewne nieszczęście doprowadziłoby ich do rozpacz, która mąci rozum; skoro jednak dostrzegli na piasku widoczne ślady zbrodniczych poczynań - krzesiwa oraz tłący się jeszcze chrust - pojęli z całą pewnością, że sprawcami muszą być ludzie, a nie demony. Farrell przekonywał ich, jak mógł, zapewniając, że nie ma z napaścią nic wspólnego, ale czuł, że bezpowrotnie utracił zaufanie rybaków.

Może już pora wyruszyć w drogę - pomyślał. Zapewne zdoła na krótki czas uspić ich podejrzania, lecz na dłuższą metę bezpieczniej zgarnąć to, co zdobyli dotąd, i poszukać szczęścia gdzie indziej.

- Wilfredzie - przemawiał teraz uroczystym głosem do przewodniczącego wioskowej starszyzny - zaprawdę, powiadam ci, iż moi wierni nie są winni żadnego występku. Przecież nas znacie, przecież wiecie, kim jesteśmy: prostymi ludźmi oddanymi służbie bogu.

- Ciekawe, w takim razie, jak to się stało, że wszystkie kłopoty zaczęły się właśnie wtedy, gdy wy, prości ludzie przybyliście do naszej wioski - rzucił oskarżycielsko Wilfred.

Farrell rozłożył ramiona w geście mającym wyrazić bezradność i niewinność.

- Zwyczajny zbieg okoliczności, mój przyjacielu. Będę się modlić wraz z innymi o opiekę nad tą wioską, by nie zagroziło jej już żadne zło. Zapewniam cię...

Przerwał mu odgłos niezwykłego zamieszania przy wejściu do namiotu służącego Odszczepieńcom za schronienie i zarazem ośrodek kultu. Oczom Farrella ukazał się jakiś nieznajomy brodac. Przynajmniej z początku wydał mu się nieznajomy, bo po chwili jakby rozpoznał jego rysy.

Ów przybysz, średniego, wręcz niskiego wzrostu, miał na sobie proste brązowe portki, wysokie buty, a także zieloną kurtę. W ręce trzymał potężny łuk, na jego ramieniu wisiał kołczan pełen strzał. Farrell wreszcie uświadomił sobie, skąd zna tę twarz.

- Ty, panie? - rzekł zaskoczony. - Co cię tu sprowadza?

Halt zignorował draba. Zwrócił się od razu do Wilfreda.

- Zostaliście obrabowani - rzucił krótko. - Ten człowiek oraz jego banda postawili sobie za cel, by zabrać wam wszystko, co macie. Wkrótce znikną z waszym złotem i kosztownościami.

Spojrzenie Wilfreda, które skierowało się machinalnie ku Haltowi, powędrowało teraz w stronę Farrella. Zmrużył oczy, jego podejrzania wzmogły się jeszcze pod wpływem nieoczekiwanych słów obcego. Farrell zmusił się do uśmiechu, po czym wskazał złoty ołtarz lśniący w przeciwległym końcu wielkiego namiotu.

- Już ci mówiłem, że całe złoto zużyliśmy, by wybudować nasz ołtarz - abyśmy mogli wznosić modły za wasz lud! Nie sądzisz chyba, że odejdziemy z nim na plecach? Jest z litego

złota, więc nie zdołalibyśmy nawet go poruszyć!

- Niezupełnie - sprostował Halt. Szybkim krokiem podszedł do ołtarza, rybacy za nim. Wilfred dopilnował, by Farrell im towarzyszył.

Halt dobył saksy, czemu towarzyszył cichy świst. Naciął ostrzem połyskujący bok ołtarza. Cienka warstwa złota odeszła, ukazując pod spodem zwykłe drewno.

- Niezupełnie, jak mówiłem. Litym złotem bym tego nie nazwał - oznajmił Halt. Usłyszał gniewny pomruk, kiedy rybacy otoczyli Farrella ciasnym kręgiem.

Oczy Odszczepieńca spoglądały niespokojnie, to na Halta, to znów na nieprzyjemne twarze wokół. Otworzył usta, by coś rzec na swą obronę, a potem ścisnął wargi, gdyż zdał sobie sprawę, iż nie wyłga się żadnym kłamstwem.

- Otóż, jak widać, drewniany ołtarz został cienko pozłożony - i to wszystko. Reszta złota prawdopodobnie znajduje się w ukrytych pod nim workach. Wszystko gotowe, żeby zniknąć dziś pod osłoną nocy.

Wilfred dał znak. Jeden z młodych rybaków wystąpił, gwałtownym ruchem zerwał zasłonę. Jako żywo, pod ołtarzem piętrzyła się sterta worków. Wieśniak trącił nogą jeden z nich, rozległ się metaliczny brzęk. Wilfred wpił spojrzenie w Farrella, który pobladł ze strachu jak płótno. Próbował schować się za Haltem, jakby w nadziei, że zwiadowca go ocali.

- Już nie żyjesz, Farrellu - oznajmił złowieszczo przywódca wioskowej starszyny.

Jednak Halt potrząsnął głową.

- Odzyskaliście wasze złoto. Cieszcie się z tego. Farrella nie dostaniecie, jest mój. Potrzebuję go, bo chciałbym mu zadać kilka pytań.

- A kimże ty jesteś i jakim prawem mówisz nam, co mamy robić? - oburzył się młodzieniec, który zerwał zasłonę z ołtarza. Halt obdarzył go kamiennym spojrzeniem.

- Jestem człowiekiem, który uratował was od ruiny - wyjaśnił. - Tym samym, który zeszłej nocy udaremnił próbę podpalenia waszych łodzi. Powiadam, cieszcie się, że odzyskaliście utracone pieniądze i uszliście z życiem. Jego towarzysze są do waszej dyspozycji, możecie zrobić z nimi, co wam się podoba. Jednak tego zabieram ze sobą.

Młodzieniec chciał coś odpowiedzieć, ale szybki ruch dłoni Wilfreda uciszył go. Przywódca starszyny postąpił krok w stronę Halta.

- Zapewne jesteś przedstawicielem jakiejś władzy, skoro przemawiasz w ten sposób?

Halt poważnie skinął głową.

- Jestem zwiadowcą w służbie Korony Araluenu.

Dał się słyszeć pomruk licznych głosów. Tutejsi wieśniacy nie podlegali żadnemu z lenn, ale nawet oni słyszeli o królewskich zwiadowcach. Korzystając z wahania, Halt ujął

mocno Farrella pod ramię, po czym ruszył w stronę wyjścia. Rybacy, choć niechętnie, rozstąpili się, aby zrobić przejście.

Gdy wyszedł ze swym więźniem na zewnątrz i minął bezwładne ciało odszczepieńczego strażnika, który uprzednio próbował go powstrzymać, Halt zmarszczył brwi, mrużąc jednocześnie oczy od blasku porannego słońca. Zastanawiały go słowa Farrella, kiedy samozwańczy kapłan spojrział nań po raz pierwszy.

Ty, panie? Co cię tu sprowadza? Zarówno te słowa, jak i zachowanie Farrella wskazywało, że Odszczepieniec rozpoznał Halta. Było to z punktu widzenia zwiadowcy co najmniej zastanawiające.

Albowiem Halt wiedział doskonale, że nigdy przedtem tego człowieka nie spotkał.

ROZDZIAŁ 12

Sala gościnna gospody pełna była gości, miejsca niemal przy każdym stole zajmowali hałaśliwi, radośni mieszkańcy wioski i zamku. Jednak Will oraz Alyss usadzeni zostali na miejscu honorowym, w samym środku, pod wykonanym z koła od wozu kandelabrem, na którym płonęły dwa tuziny świec. Will skrzywił się nieco, widząc, jaki stół im wyznaczono. Wolałby usiąść gdzieś w kącie, gdzie nie zwracaliby na siebie niczyjej uwagi. Alyss od razu zrozumiała, co dręczy przyjaciela, więc się roześmiała.

- Zaczynij się przyzwyczajać - powiedziała. - Jesteś sławny. A wyobraź sobie, że istnieją tacy ludzie, którym sława sprawia przyjemność.

Wzruszył ramionami.

- Komu może sprawiać przyjemność, że wszyscy się na niego gapią? - obruszył się. Nadal rozglądał się za jakimś mniej eksponowanym miejscem.

- A jednak, jednak. Nie zdziwiłabym się, gdyby przy wyjściu czyhali na nas rysownicy, gotowi naszkicować nasze portrety.

- Takie rzeczy naprawdę się zdarzają? - spytał z niedowierzaniem.

- Podobno - odparła Alyss i pchnęła go lekko w stronę stołu. - Daj spokój, Jenny poczułaby się zawiedziona, gdyby wszyscy zgromadzeni nie mogli ujrzeć, że jesteś jej gościem.

Jenny we własnej osobie nie dała na siebie długo czekać, przecisnęła się przez tłum z promiennym uśmiechem na ładnej buzi. U prawej dłoni dziewczyny zwisała na pętelce wielka drewniana chochła, atrybut jej kuchennej władzy.

- Will! - zakrzyknęła. - Jesteś wreszcie! Witaj w mojej skromnej gospodzie!

Zarzuciła mu ramiona na szyję; uchylił się instynktownie, oczekując, że wprawione tym sposobem w ruch drewniane berło trzaśnie go w tył głowy. Jednak wbrew pozorom Jenny panowała nad chochłą.

- Daj spokój, już od drugiego roku nauki nikogo nie stuknęłam! Przynajmniej nikogo, kogo nie chciałabym trafić. Siadajcie, rozgoście się!

Will rzucił się pospiesznie, by podsunąć krzesło Alyss, co spotkało się z aprobatą Jenny. Will zawsze miał dobre maniery - stwierdziła. Potem sam zasiadł i rozejrzał się wokół, obserwując tłum gości.

- Nie taka znowu skromna ta twoja gospoda - zauważył. - Siedzi tu, z grubsza licząc, pięćdziesiąt do sześćdziesięciu osób!

Jenny szybkim, wprawnym spojrzeniem dokonała oceny sytuacji.

- Nie wszyscy przyszli jeść. Niektórzy wpadli jedynie na kilka kielichów wina.

- To miejsce rzadko kiedy świeci pustkami - stwierdziła Alyss, lecz Jenny pokręciła głową.

- Dzisiaj mamy więcej klienteli niż zwykle. Rozeszła się bowiem wieść, że spożyje u nas wieczerę sławny Will Treaty oraz jego piękna przyjaciółka, więc rezerwacje zaczęły napływać jedna po drugiej.

Will zaczerwienił się, natomiast Alyss w słowach Jenny od razu doszukała się drugiego dna. Bądź co bądź, ona i Jenny znały się od dziecka.

- Ciekawa jestem, jakim sposobem owa wieść się rozeszła? - spytała, unosząc brwi. Jenny rzuciła przyjaciółce łobuzerski uśmiešek. Rozłożyła dłonie.

- Skąd ja mam wiedzieć? W każdym razie, dzięki plotkom mamy ruch w interesie! - Popatrzyła znów na Willa. - Naprawdę cudownie, że do nas wróciłeś. Dawno cię nie widziałam. Słyszałam, że zostaniesz tu na stałe?

Will aż zaniemówił ze zdumienia.

- Skąd... Skąd wiesz?

Jak dotąd miał wrażenie, że pomysł utworzenia grupy do zadań specjalnych okryty jest ścisłą tajemnicą.

Jenny niedbale machnęła ręką.

- Ktoś o tym wspominał, ale dawno, kilka tygodni temu. Nawet już nie pamiętam, kto.

Zwiadowca z niedowierzaniem pokręcił głową. On sam dowiedział się o wszystkim zaledwie pięć dni wcześniej. Wciąż nie potrafił pojąć, jak szybko wychodzą na jaw tak zwane tajemnice. Jenny nie zwróciła uwagi na reakcję Willa.

- Będziecie tylko wy dwoje? - zainteresowała się.

- Wkrótce dołączy do nas lady Pauline - wyjaśniła Alyss.

Jenny, o ile to możliwe, ucieszyła się jeszcze bardziej.

- Świetnie! Dostojni goście przysparzają renomy mojej gospodzie.

- Twoja gospoda i tak cieszy się doskonałą opinią - stwierdziła Alyss.

Jenny zatarła dłonie. Pora przejść do rzeczy.

- No, dobra. Co chcecie zamówić? Czy wolicie może, żebym to ja zaproponowała zestaw na wieczerzę?

Will zrozumiał, że Jenny chce się popisać. Położył obie dłonie na stole, dając w ten sposób znak, że jest gotów.

- Tylko ktoś niespełna rozumu odrzuciłby taką propozycję - oznajmił.

Jenny skinęła na przechodzącego posługacza.

- Rafe, nakryj dla jeszcze jednej osoby - poleciała. Grubokościsty osiłek liczący sobie około szesnastu lat, sprawiał wrażenie, jakby był nie na swoim miejscu. Powinien raczej stać za pługiem lub obsługiwać kowalski miech. Jednak gorliwie skinął głową:

- Tak jest, panienko Jenny - odpowiedział. Zaczął niezdarne rozkładać sztuce oraz nakrycia. Koniuszek jego języka dotykał lekko kącika ust, co świadczyło o tym, że bardzo się stara, by niczego nie pomylić.

- Mam coś naprawdę smacznego na dobry początek - zapowiedziała Jenny. - Luzowane przepiórki, nadziewane jabłkami i żurawiną, lekko przyprawione, następnie marynowane w sosie z czerwonego wina.

Nie przerywając potoku wymowy ani nawet nie spoglądając w stronę pomocnika, wykonała obrót nadgarstkiem. Chochła zatoczyła ukośny łuk, z trzaskiem trafiając Rafe'a w głowę.

Will skrzywił się boleśnie, ale musiał przyznać, że uderzenie zostało zadane celnie i z wprawą.

- Nóż po prawej, widelec po lewej, jasne? Tyle razy już ci tłumaczyłam.

Rafe zmieszał się wyraźnie, spoglądając na sztuce. Pod nosem jak mantrę powtórzył: „nóż po prawej, widelec po lewej”. Jenny westchnęła ciężko.

- Podnieś prawą rękę - rozkazała. Rafe zawahał się, spoglądał z niepokojem na chochłę, jak gdyby była gotowym do ataku jadowitym wężem. - Tę rękę, którą piszesz - uściśliła.

- Ja nie umiem pisać - odparł urażonym tonem. Trzeba przyznać, że Jenny zrobiło się trochę przykro, bo nie zamierzała zawstydzić chłopaka. Przecież tylko próbowała go nauczyć czegoś, co może mu się przydać, o ile nie chce spędzić reszty życia za pługiem.

- Którą ręką walczysz? - wtrącił Will. - W której ręce trzymałbyś miecz?

Twarz Rafe'a rozjaśniła się, z radosnym uśmiechem uniósł umięśnione prawe ramię. Jenny uśmiechnęła się z wdzięcznością do Willa.

- Dzięki - powiedziała. - Dobrze pomyślane. No, właśnie, Rafe. To jest twoja prawa ręka, ręka od miecza. A miecz to tak jakby wielki nóż, dlatego z tej strony kładziesz nóż przy

nakryciu. Jasne?

- No, pewno - odparł Rafe. - Nie można to było tak od razu gadać?

Jenny westchnęła.

- Chyba nie przyszło mi to do głowy, bo nie jestem słynnym zwiadowcą - stwierdziła. Rafe nie dosłyszał ironii w jej głosie.

- Pewno, że nie, panienko. Ale z panienki kucharka, jak się patrzy, to muszę przyznać.

Zadowolony z siebie, zamienił miejscami nóż i widelec. Potem, by upewnić się, że nie popełnił omyłki, zamachnął się wyimaginowanym mieczem. Skinął głową, a następnie spytał Jenny:

- Będzie jeszcze więcej gości przy tym stole, panienko?

- Nie. Dziękuję ci, Rafe. To na razie wszystko.

Uśmiechnięty, skłonił się lekko jej oraz gościom, po czym oddalił się w stronę kuchni.

- Miły chłopak - zaśmiała się. - Mam nadzieję, że pewnego dnia zrobię z niego dobrego pomocnika. - Zastanowiła się, po czym dodała: - Ale chyba ów wiekopomny dzień nie nadejdzie prędzej niż za kilka lat.

Will przyglądał się przyjaciółce. Już wcześniej zauważył, że się zmieniała, ale dopiero teraz uświadomił sobie, na czym ta zmiana polega:

- Wyszczupłałaś, Jen - stwierdził. Nie był szczególnie mocny w prawieniu komplementów, ale tego akurat był pewien - coś takiego lubi usłyszeć każda dziewczyna. Co więcej, w tym wypadku nawet o cal nie mijał się z prawdą. Nadal pozostała tą samą dorodną Jenny, lecz jednak schudła. Słyszając jego słowa, uśmiechnęła się szeroko, odwróciła głowę i zerknęła przez ramię, usiłując przyjrzeć się samej sobie od tyłu.

- Tak uważasz? No, może trochę. Śmieszne, ale kiedy człowiek prowadzi gospodę, nie znajduje za wiele czasu, żeby jeść. Próbować i owszem, trzeba, ale nie ma kiedy spożyć porządnego posiłku.

- Do twarzy ci z tym - zapewnił. Przyszło mu na myśl, że Gilan powinien ją teraz zobaczyć. Kiedy spotkali się na ślubie Halta i Pauline, jego wysoki towarzysz wyraźnie znalazł się pod urokiem Jenny. Później, gdy wędrowali przez Arydię, wypytywał o nią kilka razy.

Młoda kuchmistrzynie uśmiechnęła się do Willa i znów zatarła dłonie. Po czym przeszła do najważniejszego tematu, czyli do kolacji:

- Danie główne - łopatka jagnięca, marynowana w oliwie z sosem cytrynowym i rozmarynem. Podaję ją z młodymi ziemniaczkami, smażonymi pospołu z mięsem oraz blanszowaną zieleciną. A może wolicie pięknego, świeżego turbota ugotowanego na parze,

którego podaję z imbirem, oprószonego odrobiną chilli? Wybierajcie!

Alyss i Will spojrzeli po sobie. Dziewczyna odgadła, na co jej zwiadowca ma większą ochotę, więc odpowiedziała za niego:

- Wybieramy jagnięcinę - oświadczyła.

- Dobry wybór. A potem... O, przyszła lady Pauline.

Kątem oka zauważyła ruch przy wejściu; gdy Alyss i Will spojrzeli w tamtą stronę, ujrzeli wyniosłą postać lady Pauline wkraczającej do gospody. Kilka kroków za nią, jakby wtapiając się w tło, podążał ktoś jeszcze: okryty płaszczem, zakapturzony zwiadowca.

- Halt! - zawołał Will. Od razu zerwał się z miejsca, gotów radośnie powitać mistrza. Jednak jego uśmiech zrzędł, gdy zwiadowca odrzucił kaptur i ukazały się piaskowe włosy oraz broda. - Crowley! - poprawił się Will. - Co on tu robi?

Jenny zmarszczyła lekko brwi, zastanawiając się pośpiesznie, czy jagnięcej łopatki wystarczy dla jeszcze jednego gościa. Zaraz potem, przypomniawszy sobie, że większość zwiadowców dysponuje niemałym apetytem, uznała, że nie ma co ryzykować.

- Pogadamy później - oznajmiła, odwracając się. - Muszę polecić, żeby dali na ruszt więcej mięsa.

Ruszyła spiesznie do kuchni; usłyszeli, jak woła po drodze:

- Rafe! Jeszcze jedno nakrycie do pierwszego stołu!

Alyss także powstała, dając znak swojej nauczycielce. Lady Pauline dostrzegła ją i ruszyła przez zatłoczone pomieszczenie w ich stronę. Willowi wydawało się, że Pauline nie stąpa, lecz sunie po podłodze. Zauważył też, że gwar rozmów ucichł, wszyscy goście gapili się na dwóch zwiadowców oraz dwie kurierki. Domyślali się, że spotkanie takich osobistości zapowiada coś niezwykłego.

Oboje nowo przybyli dotarli do centralnego stołu. Lady Pauline powitała młodego zwiadowcę pocałunkiem w policzek. Podobnie jak Halt, traktowała go niczym syna.

- Miło cię widzieć, Willu. Tak się cieszę, że postanowiłeś tu powrócić.

Wiedział, że ma na myśli jego decyzję, by przyłączyć się do Halta i oddziału specjalnego.

- Ktoś musi pilnować, żeby Halt nie wpakował się w tarapaty, cna pani - odparł z uśmiechem.

Odpowiedziała poważnym skinieniem głowy.

- Tak i mnie się zdaje. Wszak nie ubywa mu lat, wręcz przeciwnie. Aha, Willu, daruj sobie tę „cna panią”, jeśli można prosić. „Pauline” zupełnie wystarczy.

- Z przyjemnością, Pauline - zabrzmiało całkiem niezłe.

Crowley odkaszlnął głośno.

- Zgaduję, że mimo wszystko zamierzałeś jednak przywitać się z głównodowodzącym korpusu, w którym służysz, prawda? Wiem, że jestem tylko siwowłosym, zniedołężniałym starcem, takim jak Halt, ale mógłbyś przynajmniej bąknąć „dzień dobry”. Alyss, za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś coraz piękniejsza - dodał, nim Will zdążył wydusić z siebie cokolwiek.

- Crowleyu, jesteś złotoustym pochlebcą - odpowiedziała Alyss. - Witamy w Redmont. Will wreszcie zdołał dojść do głosu:

- Ależ oczywiście, że miałem taki zamiar... Witaj, Crowleyu. I wyjaw, co cię do nas sprowadza?

Crowley już miał odpowiedzieć, kiedy obok niego pojawił się Rafe, dźwigający naręcze noży, widelców oraz talerzy. Zawahał się przez chwilę, przełożył wszystko do lewej ręki, prawą zaś wykonał ruch, jakby zadawał cios mieczem. Crowley z pewnym niepokojem spojrzał na niego przez ramię.

- Zastanawiasz się, w jaki sposób odciąć mi głowę? - spytał.

Rafe uśmiechnął się.

- Nie, panie zwiadowco. Chodzi mi tylko o to, żeby nie pomylić, która strona jest prawa. Najlepiej, jak pan się trochę przesunie, wtedy wszystko akuratnie poukładam, zanim mi się pomyli.

Crowley spojrzał pytająco na Willa. Młodszy zwiadowca zaśmiał się.

- Jenny szkoli go na głównego pomocnika - wyjaśnił. Crowley zerknął z ukosa na Rafe'a, który poruszał ustami, wypowiadając bezgłośnie słowa: „noże po prawej, widelce po lewej, talerz pośrodku”.

- Aha. Wiadomo nie od dziś, że nasza kuchareczka lubi stawiać czoło wielkim wyzwaniom - stwierdził. Gdy Rafe skończył wreszcie i odszedł, odpowiedział na pytanie Willa: - Halt mnie sprowadził. Dwa dni temu wysłał gołębiem wiadomość z zachodniego wybrzeża. Miałem się tu z nim spotkać. Poprosił, żebyśmy wezwał też Horace'a, który przybędzie dopiero za dzień albo dwa, bo ma jeszcze to i owo do załatwienia.

Zdając sobie sprawę, jak wiele zależy od szybkiego przepływu informacji, Crowley niedawno zorganizował sieć poczty gołębiej obejmującą całe królestwo. W każdej ze stacji specjalnie zatrudniony opiekun doglądał stadka ptaków, które nauczono, by po wypuszczeniu leciały na Zamek Araluen, do głównej kwatery Crowleya.

Will ożywił się na wzmiankę o Halcie.

- Czy napisał, o co chodzi? - spytał. Jednak Crowley potrząsnął przecząco głową.

- Nie, wspomniał tylko, że wszystko osobiście wyjaśni, kiedy tu przybędzie. Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że dotrze na zamek przede mną.

- Miałem opóźnienie. Musiałem wlec ze sobą więźnia - rozległ się znajomy głos za jego plecami.

- Halt! - Will zerwał się na równe nogi. Nikt z nich nie zauważył, kiedy zwiadowca wszedł do pomieszczenia i zbliżył się ku nim.

Will obiegł stół, przewracając przy okazji swoje krzesło - by uściskać nauczyciela.

- Opowiadaj, o co w tym wszystkim chodzi?! - zawołał, a potem, nim Halt zdążył się odezwać, zarzucił go dalszymi pytaniami: - Co to za więzień? Gdzie się podziewałeś? Dlaczego sprowadziłeś też Horace'a? Czy to znaczy, że mamy już pierwsze zadanie do wypełnienia? Dokąd się udajemy?

Halt uwolnił się z niedźwiedzich uścisków. Westchnął ciężko.

- Pytania, pytania, pytania! - burknął. - A ja już prawie zapomniałem, co z ciebie za gagatek. Czasami zastanawiam się, czy nie popełniłem w przeszłości straszliwego błędu. Może wszelako zechcesz łaskawie pozwolić, żebym przywitał się z moją żoną?

Jednak, gdy odwrócił się, by ucałować Pauline, nie potrafił już dłużej udawać, że jest zagniewany. Na jego ustach pojawił się uśmiech, którego nie był w stanie powstrzymać.

Jenny, wychodząc z kuchni, ujrzała jeszcze jedną postać przy stole i odwróciła się na pięcie.

- Frances! - zawołała. - Wyciągnij z chłodni jeszcze jedną łopatkę. Rafe...

- Wiem, wiem, panienko! Jeszcze jedno nakrycie.

ROZDZIAŁ 13

Posiłek okazał się wyborny. Halt uparł się, żeby poświęcić mu całą uwagę, a o innych sprawach porozmawiać potem.

- Będzie dość czasu przy kawie - oświadczył stanowczo.

Nie dowiedzieli się więc odeń niczego, natomiast on zadał całe mnóstwo pytań o przebieg Zlotu - pierwszego od wielu, wielu lat, na którym był nieobecny. Uśmiechnął się w milczeniu, gdy Will opisywał swoje przejścia z pierwszorocznymi czeladnikami i skinął z uznaniem głową, gdy powiedziano mu o przeniesieniu Gilana do Ienna Whitby - oraz o tym, że starszy z jego uczniów zajmie się sprawami Redmont, w razie gdyby Halt i Will mieli wyjechać z misją.

- Ciekawiło mnie, jak to urządzisz - rzekł do Crowleya. - Widzę, że wszystko gruntownie przemyślałeś.

Crowley, jak to on, nie zamierzał umniejszać własnych zasług:

- Już wspominałem Willowi, że w sprawach organizacyjnych jestem prawdziwym geniuszem - przypomniał. Halt uniósł jedną brew, ale powstrzymał się od komentarza. Następnie Halt wypytał szczegółowo lady Pauline o wydarzenia, jakie zaszły na Zamku Redmont pod jego nieobecność. Wyraźnie zdziwił się, kiedy usłyszał, że sir Rodney, dowódca Szkoły Rycerskiej, często ostatnio pokazuje się w towarzystwie niejakiej lady Margaret, urodziwej wdowy.

- Rodney? - spytał z niedowierzaniem. - Przecież z niego zatwardziały stary kawaler!

- Cóż, to samo mówiono także o tobie - zauważyła spokojnie Pauline. Uwagę żony Halt znów skwitował skinieniem głowy.

- Ha, a więc możemy oczekiwać, że wkrótce Rodney się ustakuje. Kto by pomyślał. Teraz chyba kolej na ciebie, Crowleyu.

Crowley potrząsnął głową.

- Służba Koronie zajmuje mi każdą chwilę. A poza tym nigdy nie spotkałem właściwej kobiety.

Po prawdzie, Crowley przez długie lata darzył skrywanym uczuciem lady Pauline. Jednak, będąc zarazem jednym z niewielu ludzi w Królestwie, którzy wiedzieli, jak rzeczy się mają między nią a Haltem, nigdy nie dał tego po sobie poznać.

Gdy nasycili się wreszcie wybornymi potrawami, Rafe przytasczył dzbanek pełen kawy oraz kubki. Na szczęście tym razem obeszło się bez wymachiwania niewidzialnym mieczem.

Halt upił łyk kawy, rozkoszując się smakiem napoju. Odstawił kubek, oparł łokcie o stół.

- Doskonale! - stwierdził. - Zatem do rzeczy. Odszczepieńcy znów są groźni, rosną w siłę i planują powrót do Araluenu. Uczynią to, gdy tylko podporządkują sobie Hibernię.

- Hibernię? - zdziwiła się lady Pauline. - A co oni tam robią?

- Mówiąc w największym skrócie, przejmują władzę - odparł Halt. - Gdy wygnaliśmy ich z Araluenu, część sekciarzy przeniosła się do Hiberni. Przyczaili się, rekrutując nowych członków, gromadząc środki i stopniowo zyskując wpływy we wszystkich sześciu królestwach. Właściwie dokonali już swojego dzieła. Przejęli władzę już w pięciu z nich. Pozostał tylko Clonmel - lecz i jego opanowanie jest zaledwie kwestią czasu.

- Clonmel? - zainteresował się Crowley. - Stamtąd właśnie pochodzisz, prawda?

Will, zaciekawiony, spojrzał na Halta. Ten skinął głową. Will kilkakrotnie słyszał pogłoski, jakoby Halt przybył do Arluenu z Hiberni, ale dopiero teraz szpakowaty zwiadowca osobiście je potwierdził.

- Owszem, tam się urodziłem - rzekł. - Król Clonmelu, Ferris, jest słaby. Jak wszyscy hibernijscy królowie, zaprzęta sobie głowę dworskimi intrygami oraz rzekomymi knowaniami pozostałych lokalnych władców; wydaje mu się, że wciąż spiskują, aby pozbawić go tronu. Tymczasem rzeczywiste zagrożenie całkowicie umknęło jego uwadze.

- Trzeba przyznać, że Odszczepieńcy stają się naprawdę zachłanni - wtrąciła lady Pauline. - Kiedyś ograniczali się do wyłudzeń i rabunków, a i tak sprawiali niemało kłopotu. Teraz, powiadasz, chcą przejąć władzę w Hiberni?

- Owszem - przytaknął Halt. - Szerzą zamęt i lęk, a gdy okazuje się, że król jest zbyt słaby lub nieudolny, żeby obronić swój lud, wkraczają na scenę jako zbawcy, którzy są w stanie zażegnać groźbę.

- Co przychodzi im z tym większą łatwością - zauważył Crowley - że przyczyną wszystkich problemów są oni sami.

- Otóż to - przyznał Halt. - Tak więc wkrótce wydaje się, iż tylko oni mogą zapewnić bezpieczeństwo spokojnym obywatelom. Zyskują władzę i wpływy. Zyskują też wciąż

nowych zwolenników, aż wreszcie stają się potężniejsi od samego króla.

Will zmarszczył brwi.

- Ale dlaczego tamtejsi królowie się na to zgadzają? Przecież chyba zdają sobie sprawę, że władza wymyka im się z rąk?

- Przywódcą Odszczepieńców jest człowiek imieniem Tennyson - wyjaśnił Halt. - Ma on dość rozumu, by nie przeciwstawiać się bezpośrednio władcom. Pozwala im zostać na tronie, podczas gdy sam przejmuje rzeczywistą władzę. Władzę, wpływy i pieniądze, przede wszystkim pieniądze.

- A tymczasem król pozostaje marionetką w jego rękach, zachowując pozory majestatu - dodała Pauline.

- Tak właśnie. Co gorsza, większości z nich to zupełnie wystarcza.

- Jaki pożytek z takich królów? - skrzywił się Will.

Halt niewesoło pokiwał głową.

- Niestety, zaden. Są słabi, egocentryczni i krótkowzroczni. Dzięki temu zdecydowany, charyzmatyczny przywódca, taki jak Tennyson, może bez trudu odgrywać rolę wybawcy. Ludność daje sobie wmówić, iż to za jego sprawą przywrócony został spokój w królestwie. Jak mówiłem, udało mu się przekonać ludzi już w pięciu z hibernijskich państw i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to samo stanie się również w Clonmelu.

- Halt - Crowley pochylił się do przodu, patrząc przyjacielowi w oczy. - Oczywiście, wszystko to bardzo przykre dla Hiberni i tak dalej. Tylko że to jakby trochę nie nasze zmartwienie, prawda? Pewnie uznasz, że jestem wstrętnym, zgrzybiałym cynikiem, jednak chyba rozumiesz, co mam na myśli?

Will spojrział szybko na jednego, a potem drugiego ze starszych zwiadowców. Nietrudno było odgadnąć, o co Crowleyowi chodzi. Sprawa Odszczepieńców poniekąd dotyczyła Halta, bowiem urodził się w Hiberni. Jednak czy dotyczyła również jego przybranej ojczyzny?

- Oczywiście, że pojmuję, co chcesz rzec - odparł Halt. - Nie musisz mi tego tłumaczyć. Otóż ta sprawa powinna nas żywo obchodzić dlatego, że kiedy tylko Tennyson całkowicie przejmie władzę w Clonmelu, a więc w ostatnim z sześciu hibernijskich królestw, podejmie działania mające na celu powrót Odszczepieńców do Araluenu.

- Wiesz o tym, czy tylko się domyślasz? - spytał Crowley.

- Mam więźnia, który to potwierdza - oznajmił. - Nazywa się Farrell i przysłano go, aby przygotował przyczółek, mianowicie w porcie Selsey. Tam właśnie byłem - dodał. - To bezpieczny port, a przy tym położony z dala od szlaków i gościńców. Dokładnie takie

miejsce, jakie i ja na miejscu Tennysona wybrałbym, żeby przywrócić w naszym państwie ten przeklęty kult.

- I uważasz, że powinniśmy powstrzymać go, nim do tego dojdzie - spytała Lady Pauline.

- Gdy staniesz oko w oko z jadowitym wężem, nie czekasz, aż cię ukąsi, tylko go zabijasz - rzekł Halt. - Wolałbym powstrzymać ich teraz, niż mieć z nimi do czynienia później, kiedy staną się jeszcze silniejsi.

- Sądysz, że dasz radę? Tylko we dwójkę z Willem? - zastanowił się Crowley.

- A Horace? Czy o nim zapomniałeś? - poprawił go Halt.

Głównodowodzący skinął głową.

- No właśnie, dacie radę we trzech? Nie sądysz, że przydałaby się nieco liczniejsza ekspedycja?

- Wiesz, nie bardzo możemy dokonać inwazji na Hibernię. Król Ferris nie prosił nas o pomoc i, oględnie mówiąc, mało prawdopodobne, by zechciał to uczynić. Uważam, że możemy zwalczyć Odszczepieńców ich własną bronią. Na oszustwo oraz zabobon odpowiemy oszustwem i zabobonem. Musisz wiedzieć, że istnieje taka stara hibernijska legenda o rycerzu ze wschodu, który ma ocalić krainę w godzinie próby.

- Którym to rycerzem oczywiście okaże się Horace - odgadł Will.

- Oczywiście - przytaknął jego nauczyciel. - Myślę także, iż nie trzeba nas więcej, żeby przekonać króla Clonmelu, Ferrisa, że Odszczepieńcom można i należy stawić opór. A jeśli uda nam się pokonać ich w Clonmelu, wówczas zdołamy wygnać łotrów także z pozostałych królestw.

- I nie dopuścić, by przeniknęli do Araluenu - uzupełniła Alyss.

- To kwestia impetu, rozpędu. Kiedy powstrzymamy ich marsz, ludzie będą mieli czas, by ochłonać, zdać sobie sprawę, iż padli ofiarą oszustów. Ruch taki jak ten może tylko przeć do przodu - albo upaść. Nie może stać w miejscu.

- Skąd przypuszczenie, że król Ferris zechce cię wysłuchać? Czy on cię zna? - spytał Crowley.

- Owszem, zna - odpowiedział na to Halt. - I to nawet całkiem dobrze. Jest moim bratem.

ROZDZIAŁ 14

- Jakoś ciągle nie mogę ochłonąć z wrażenia... Kto by pomyślał, że jesteś bratem króla Ferrisa - oświadczył Horace, który dołączył do nich poprzedniego wieczoru.

Uczył tę uwagę nie po raz pierwszy. Odkąd on i dwaj zwiadowcy rankiem opuścili Redmont, kierując się ku wybrzeżu, wciąż o tym wspominał, zawsze usilnie kręcąc przy tym głową. Najczęściej - jak zauważył Will - zdarzało się to podczas przerw w rozmowie.

- Mam dziwne wrażenie, że już o tym wspominałeś - rzekł Halt. W jego głosie pobrzmiwała ostrzegawcza nuta, którą Will rozpoznał od razu. Jednak Horace jakby wcale się nie zorientował i brnął dalej:

- No, bo tak. Trochę mnie zaskoczyło, że... Czy ja wiem? Że w twoich żyłach płynie królewska krew.

Groźne spojrzenie oczu Halta skupiło się na wysokim rycerzu.

- Och, doprawdy? - zapytał. - Zapewne jestem nie dość wytworny w obejściu, czy tak? Zbyt nieokrzesany i pospolity?

Will odwrócił się, żeby skryć uśmiech. Horace przejawiał prawdziwy talent pod tym względem, potrafił swymi z pozoru niewinnymi pytaniami doprowadzić Halta do szewskiej pasji.

- Ależ nie, skąd znowu, nic podobnego - zmitygował się Horace, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że uraził zwiadowcę, nie bardzo jednak wiedząc, jak do tego doszło. - To raczej kwestia... - urwał, nie bardzo wiedząc, jaką właściwie kwestię chciałby poruszyć.

- Fryzury? - podpowiedział Will.

Mroczne spojrzenie Halta spoczęło teraz na nim:

- Fryzury - to nie było pytanie, a raczej stwierdzenie.

Will skinął głową.

- Otóż to. Wydawałoby się, że osoby królewskiego rodu cechuje pewna wytworność. To dotyczy sposobu bycia, ogłady i... fryzury.

- Nie podoba ci się moja fryzura? - spytał Halt.

Will rozpostarł ramiona.

- Ależ przeciwnie, jestem nią zachwycony! Chciałem tylko powiedzieć, że jak na królewskiego brata, jest nieco zbyt... niespokojna. Z pewnością nie można powiedzieć, by była...

Umilkł, odchylając się w siodle, by lepiej przyjrzeć się szpakowatym włosom Halta, nie zwracając przy tym uwagi na zmarszczone krzaczaste brwi oraz mordercze spojrzenie swego nauczyciela. Wreszcie udało mu się znaleźć właściwe słowo:

- ...przylizana.

Horace przysłuchiwał się tej wymianie zdań z wielkim zainteresowaniem, zadowolony, że gniew Halta skierował się na razie w inną stronę. Teraz jednak nie mógł się powstrzymać i podjął wątek:

- Przylizana! Tak jest, to właściwe określenie. O to mi chodziło. Twoja fryzura jest nie dość przylizana. A poza wszystkim innym, królowie są przylizani. Ugrzecznieni.

- Czy twoim zdaniem, król Duncan jest... ugrzeczniony? - spytał Halt.

Horace przytaknął.

- Owszem, kiedy zajdzie taka potrzeba. Na przykład podczas różnych uroczystych okazji. Wtedy właśnie objawia ugrzecznioną stronę swej natury, bez wątpienia. Przyznasz mi rację, Willu?

- Bezwzględnie - stwierdził młody zwiadowca. Halt spoglądał to na jednego, to na drugiego. Nagle odniósł wrażenie, jakby był bykiem, do którego doskakują z dwóch stron dwa psy, usiłując go ukąsić. Uznał, że czas przejść do kontrofensywy.

- Horace, czy pamiętasz, jak podczas naszej podróży przez Gallię wyzwiałem Deparnieux na pojedynek?

Horace skinął głową. Przez jego twarz przemknął cień na wspomnienie złowrogiego rycerza.

- Pamiętam.

- Otóż wtedy oznajmiłem mu, że jestem spokrewniony z królami Hiberni. Pamiętasz?

- Tak. Teraz sobie przypominam - rzekł Horace.

Tym razem to Halt rozłożył ramiona w teatralnym geście.

- No i co, myślałeś wtedy, że kłamię?

Horace otworzył usta, żeby odpowiedzieć, a potem je zamknął. Przez długą chwilę zapadła niezręczna cisza, słychać było tylko miarowe stukanie końskich kopyt.

- Czy to nie myszolów? - odezwał się Will, pokazując palcem na niebo, na próżno usiłując zmienić temat.

- Nie - odpowiedział Halt, nawet nie spoglądając w tamtą stronę. - A nawet jeżeli myszolów, to co z tego? No, i jak? - zwrócił się do Horace'a. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy myślałeś, że kłamię?

Horace odchrząknął nerwowo. A potem cichutkim głosem powiedział:

- Prawdę mówiąc, tak.

Halt gwałtownym ruchem ściągnął wodze, Abelard zatrzymał się w miejscu. Will i Horace musieli zawrócić swoje wierzchowce, tak że teraz wszyscy trzej stanęli pośrodku drogi, zwrócenii do siebie twarzami. Halt spoglądał na Horace'a, jego oblicze przedstawiało sobą obraz skrzywdzonej niewinności.

- A więc sądziłeś, że kłamię? Poddajesz w wątpliwość moją prawdomówność? Czuję się głęboko, ale to głęboko urażony! Powiedz mi, Horace, czy kiedykolwiek cię okłamałem?

Will zmarszczył brwi. Halt trochę przesadza - pomyślał. To święte oburzenie zabrzmiało jakoś nieszczerze. Zrozumiał, że jego nauczyciel próbuje uzyskać przewagę nad Horace'em, wykorzystując przy tym dobroduszny charakter młodego rycerza, by wzbudzić w nim poczucie winy.

- No... - jęknął niepewnie Horace, a Willowi wydało się, że jego ramiona poruszyły się w pewien specyficzny sposób, jakby ze skrywaną satysfakcją. A potem rycerz dokończył: - Pamiętasz te dziewczyny?

- Jakie znowu dziewczyny? - zdziwił się Halt.

- Kiedy przybyliśmy do Gallii. Na nabrzeżu widzieliśmy sporo dziewczyn, które ubrane były w dosyć krótkie sukienki.

- Ach, te... Owszem. Chyba pamiętam - odrzekł Halt, czując już, że wstępuje na grząski grunt.

- Co to były za dziewczyny? - zaciekawiał się Will.

- To bez znaczenia! - uciął gniewnie Halt.

- No, ale powiedziałaś, że są kurierkami. Że noszą krótkie sukienki, żeby łatwiej im było biegać, kiedy przenoszą pilne wiadomości.

Will parsknął śmiechem.

- Naprawdę? A on dał to sobie wmówić? - spytał Halta, który jednak go zignorował.

- Możliwe, że wyraziłem się jakoś podobnie. To było dawno temu.

- Tak właśnie powiedziałaś - stwierdził oskarżycielskim tonem Horace. - A ja ci uwierzyłem.

- Niemożliwe - zaśmiał się znowu Will. Rozgrywka między Haltem a Horace'em stawała się coraz ciekawsza.

- Owszem, uwierzyłem - stwierdził Horace. - Uwierzyłem dlatego, że powiedział mi to Halt, zwiadowca Halt. A przecież wiadomo, że zwiadowcy są ludźmi honoru i nigdy, ale to nigdy nie kłamią.

Will musiał się odwrócić. Teraz to Horace mocno przesadził - pomyślał. Horace spojrzał pytająco na Halta.

- Ale przecież wtedy mnie okłamałeś, prawda, Halt? To było kłamstwo.

Halt zawahał się, a potem mrukliwym tonem odpowiedział:

- Zrobiłem to dla twojego dobra - rzekł, po czym dotknął piętami boków Abelarda i jego wierzchowiec ruszył przed siebie, pozostawiając Willa oraz Horace'a pośrodku drogi. Gdy tylko Horace uznał, że Halt znalazł się poza zasięgiem głosu, uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Całe lata czekałem, żeby go za to dopaść!

Odwrócił Kickera, by podążyć szybkim truchtem w ślad za Haltem. Will stał jeszcze przez chwilę, rozmyślając. Horace, zawsze taki prostolinijny, szczery i bezpośredni. A to dopiero!

* * *

Później, nocą, owinięty szczelnie kocami i z głową na siodle w charakterze poduszki, Will przyglądał się rozgwieżdżonemu niebu. Uśmiechnął się do siebie. Na twarzy czuł chłód, ale dzięki temu tym przyjemniejsze było ciepło, jakiego pod przykryciem doznawała reszta jego jestestwa.

Miło było znów wyruszyć w drogę, na spotkanie kolejnej przygody. Zwłaszcza, że wędrował w towarzystwie swych dwóch najlepszych przyjaciół.

Jeszcze przez jakąś godzinę po tamtej wymianie zdań Halt udawał obrażonego. W końcu jednak znudziło mu się i wyniośle oraz z wielką godnością oświadczył, iż wybacza Horace'owi ten nietakt. Ze swej strony Horace zapewniał, że jest za to brodatemu zwiadowcy wielce wdzięczny. Jednak zaraz potem puścił po kryjomu oko do Willa. Po raz wtóry Will zdał sobie sprawę, że to już nie ten sam niewinny, poczciwy Horace. Trzeba się mieć na baczności - pomyślał. Historia ich przyjaźni obfitowała w liczne epizody, za które Horace może zechcieć się odegrać.

Gwiazdy wędrowały po nocnym niebie, a on jakoś nie mógł zasnąć. Rozmyślał o tym, co zdarzyło się rankiem tego dnia, gdy opuszczali Redmont. Do bramy odprowadził ich Crowley, sir Rodney, baron Arald oraz oczywiście wszyscy przyjaciele. Jednak Willowi

najbardziej utkwiło w pamięci pożegnanie z lady Pauline i z Alyss.

Dziewczyna ucałowała go na do widzenia, a potem wyszeptała mu do ucha kilka słów przeznaczonych wyłącznie dla niego. Uśmiechnął się na ich wspomnienie.

Potem Alyss podeszła do Horace'a, a Will znalazł się naprzeciwko lady Pauline. Pocałowała go w policzek i pochyliła się, żeby go uściskać. Przy tej okazji powiedziała cicho:

- Opiekuj się nim, Willu. Zrób to dla mnie. Nie jest już taki młody, jak mu się zdaje.

Był trochę zaskoczony, bo zrozumiał, że Pauline ma na myśli Halta. Trudno mu było sobie wyobrazić kogoś, kto w mniejszym stopniu kwalifikowałby się do sprawowania nad nim opieki, ale mimo to skinął głową.

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć, Pauline - powiedział, a ona spojrzała mu głęboko w oczy.

- Tak. Wiem - powiedziała, a potem zajęła się małżonkiem, wyściskała go i poprawiła sznurowanie płaszcza, jak to zwykle czynią żony, żegnając swych mężów.

To dziwne - pomyślał Will. Było mu strasznie przykro rozstawać się z Alyss i w chwili pożegnania czuł, że coś dławi go za gardło. A jednak teraz, gdy znów znalazł się na szlaku, obozował pod gwiazdami, u boku przyjaciół - czuł się najszczęśliwszy na świecie. Życie jest piękne - uznał. Piękne i doskonałe. Z tą myślą wreszcie zasnął.

Minęły dwie godziny i poczuł, że ktoś nim potrząsa. Spostrzegł Horace'a, który dotąd pełnił wartę. Teraz przyszła pora na Willa. Wygrzebał się z ciepłych koców i poczuł dojmujący ziąb.

No, tak - przyszło mu do głowy - życie jest piękne oraz doskonałe, ale akurat nie w tej chwili.

ROZDZIAŁ 15

Podróż do królestwa Clonmelu zajęła im pięć dni. Najpierw dotarli do nadbrzeżnej osady Selsey, gdzie Halt wymógł na przywódcy wioskowej starszyny, by ten zapewnił im przewóz na drugą stronę cieśniny dzielącej Araluen od Hiberni.

Z początku Wilfred odniósł się do pomysłu morskiej podróży z wysłannikami króla nader niechętnie. W miarę upływu lat mieszkańcy wioski przywykli do niezależności i tego, że nie interesuje się nimi cała reszta świata - świata, który był im obcy i obojętny. Żądanie Halta stanowiło naruszenie ustalonego porządku, ponadto rybacy bardzo nie lubili, kiedy ktoś im rozkazywał. Halt musiał więc przypomnieć Wilfredowi, że choć Selsey nie należy do żadnego lenna, to przecież znajduje się na terenie królestwa Araluenu, więc tym samym podlega władzy króla Duncana, zaś Halt, jako zwiadowca, jest tegoż władcy przedstawicielem.

Przypomniawszy ponadto, że nie tylko ocalił ich łódzie od spalenia, a potem udaremnił Odszczepieńcom próbę ulotnienia się wraz ze znaczą ilością złota, srebra i innych kosztowności należących do rybaków - lecz także zadbał, by z Redmont przysłano zbrojny oddział, którego zadaniem było wytropienie i wyłapanie wszystkich bandytów współpracujących z Farrellem oraz jego grupą, zapewniając w ten sposób mieszkańcom wioski trwałe bezpieczeństwo.

W końcu Wilfred, choć z wielkim ociąganiem, przyznał mu rację. Zgodził się umożliwić im przeprawę na największej z łodzi, właściwie małym statku, którym można przewieźć trzy konie.

Wylądowali tuż przed świtem na pustej plaży w południowo-wschodniej części Clonmelu. Trzej towarzysze czym prędzej dosiedli wierzchowców i ruszyli przed siebie, aby skryć się w lesie. Gdy znaleźli się w bezpiecznym cieniu drzew, Will spojrzał do tyłu. Wielka łódź wypłynęła już na szerokie wody, a jej żagiel widniał w oddali: skrawek bieli pośród ciemnych fal. Rybacy nie tracili czasu, kierując się ku swym łowiskom.

Halt dostrzegł jego spojrzenie.

- Już tacy są ci ludzie - stwierdził. - Myślą tylko o jednym, o następnym połowie.

- Doprawdy, dali nam właśnie wyjątkowe dowody przyjaźni - burknął z przekąsem Horace. W rzeczywistości żeglarze właściwie nie odezwali się do swych pasażerów. - Ani trochę nie żałuję, że opuściłem pokład ich kropy.

Halt w zupełności się z nim zgadzał, choć z nieco innego powodu. Jak zwykle, gdy łódź porzuciła spokojne wody zatoki, pod wpływem kołysania jego żołądek zaczął się buntować. Należy dodać, że uporczywy smród rybich wnętrzności tylko pogarszał sprawę. Większą część rejsu spędził na dziobie, z pobladłą twarzą, trzymając się kurczowo burty. Dwaj młodszy towarzysze uznali, wiedząc o jego problemie, że najlepiej zostawić Halta w spokoju. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły ich, że jakkolwiek przejaw współczucia czy troski zostanie gniewnie odrzucony, natomiast gdyby przyszło im do głowy kpić ze słabości mistrza, wszystko skończyłoby się czymś jeszcze gorszym.

Ruszyli przez las. Wkrótce natrafili na wąską, krętą ścieżkę wydeptaną przez leśną zwierzynę. Nie dawało się nią jechać obok siebie. Ustawili się tedy gęsiego, Halt z przodu. Zmierzali na północny zachód.

- Dokąd się kierujemy? - spytał Will. Jechał w środku, za swoim nauczycielem. Siwobrody zwiadowca odwrócił się, żeby odpowiedzieć:

- Naszym celem jest Dun Kilty, zamek Ferrisa. To jakiś tydzień jazdy, a po drodze będziemy mogli przekonać się na własne oczy, co słychać w Clonmelu.

Niebawem miało się okazać, że w królestwie Clonmelu nie dzieje się zbyt dobrze. Ścieżka wiła się to tu, to tam, aż wreszcie wyprowadziła ich na szerszą drogę. Podążając nią, wkrótce ujrzeli pierwsze gospodarstwa, ale pól nikt nie uprawiał. Porosły chwastami, siedziby zaś rolników zamknięto na głucho. Bramy wiodące na podwórza zabarykadowano wozami oraz snopami siana, tak że obejścia przywodziły na myśl urządzone naprędce zbrojne obozowiska.

- Wygląda mi na to, że spodziewają się kłopotów - zauważył Will, kiedy mijali jedno z nich.

- Powiedziałbym raczej, że już wpadli w kłopoty - stwierdził Halt, wskazując poczemniałe resztki wypalonego budynku; z popiołów i okopconych belek jeszcze unosił się dym. Teraz dostrzegli też ciała martwych zwierząt. Spuchnięte truchła obsiadły czarne ptaszyska. Ostrymi dziobami wrywały strzępy padliny.

- Mogliby je spalić albo zakopać - skrzywił się Horace, bowiem wiatr niósł w ich stronę wstrętny odór rozkładającego się mięsa.

- Skoro boją się wyjść na pole, żeby siać i orać, to nic dziwnego, że nie zamierzają

ryzykować życiem tylko po to, żeby pochować kilka martwych owiec - stwierdził Halt.

- No, tak. Rzeczywiście. Ale czego oni się boją?

Halt uniósł się na chwilę w siodle, stając w strzemionach, by przeciągnąć się i znowu usiadł.

- Mogę tylko zgadywać, że ukrywają się przed wspomnianym wcześniej Tennysonem - albo przed raczej bandytami, którzy dla niego pracują. Ta sceneria przychodzi na myśl państwo, w którym toczy się wojna.

Małe wioski mijane po drodze wyglądały podobnie, najwyraźniej ich mieszkańcy obawiali się napaści. Araluencycy w miarę możliwości omijali je, starając się pozostać niezauważeni.

- Nie ma sensu zdradzać naszej obecności - stwierdził Halt. Jednak drugiego dnia przed południem postanowił dowiedzieć się czegoś więcej; gdy wypatrzyli małą osadę złożoną z pięciu nędznych domków, wskazał ją kciukiem.

- Zajrzyjmy tam. Spytamy, ile kosztują jajka - zaproponował.

Horace zamyślił się, gdy Halt prowadził ich drogą wiodącą do wioski.

- Ale po co nam jajka? - spytał Willa.

Will zaśmiał się.

- Po nic. Haltowi chodziło tylko o pretekst, żeby zorientować się, co i jak.

Horace skinął głową, przybierając - nieco za późno - przebiegły wyraz twarzy.

- Ach... no, tak. Tak właśnie przypuszczałem. To znaczy... No, tak.

Przyśpieszyli, zrównując się z Abelardem w odległości około pięćdziesięciu metrów od osady. Nigdy dotąd nie podjechali jeszcze tak blisko tutejszych, pograżonych w ciemności, cichych budynków. Obecnie mogli przyjrzeć się dokładniej improwizowanym umocnieniom wzniesionym wokół zabudowań. Osadę otoczono murem z wozów drabiniastych oraz pługów, luki między nimi wypełniono starymi meblami - ławami, także stołami. Gdzieś usypano niskie wały ziemne, naprędce wzmocnione belkowaniem. Halt uniósł brwi na widok jednego ze stołów, najwidoczniej dość cennego mebla, bowiem jego blat był troskliwie wypolerowany i wywoskowany: ustawiony został na boku, w nadziei, że pomoże ochronić właścicieli przed napastnikami.

- Przyszło im jadać na gołej ziemi - mruknął cicho.

Z bliska stawało się jasne, że osada wcale nie została porzucona. Dostrzegli bowiem ruch po drugiej stronie umocnień. W miejscu, ku któremu zmierzali, zgromadziło się kilka osób. Przynajmniej jedna nasadziła na głowę hełm, połyskujący matowo w słońcu. Właśnie ów mężczyzna wdrapał się na wóz, najwyraźniej służący jako brama wiodąca do wnętrza

skleconej byle jak warowni. Skórzany kaftan mężczyzny, wybijany metalowymi ćwiekami, stanowił tanią, prymitywną namiastkę zbroi. W prawej dłoni wieśniak dzierżył ciężką włócznię, która bynajmniej nie sprawiała wrażenia tandetnej albo prymitywnej. Na grocie włóczni, podobnie jak na hełmie, połyskiwały słoneczne promienie.

- Ktoś się postarał i porządnie tę broń naostrzył - zauważył Horace. Nim zdążyli odpowiedzieć, rozległ się głos mężczyzny:

- Precz stąd! - zawołał. - Nie jesteście tu mile widziani!

Dla podkreślenia swych słów, potrząsnął włócznią. Demonstracji siły towarzyszył groźny pomruk ze strony kilku innych obrońców. Nasi podróżni ujrzeni broń wznoszoną nad barykadę. Spozrzegli kilka mieczy, topór oraz narzędzia rolnicze, w rodzaju kos albo sierpów.

- Nie chcemy wam zrobić niczego złego, przyjacielu - zakrzyknął w odpowiedzi Halt. Oparł się łokciami o łęk siodła i przywołał uśmiech na twarz. Byli jeszcze zbyt daleko, żeby tamten mógł dostrzec wyraźnie rysy zwiadowcy, ale wiedział, że postawa, jaką przyjął, nie powinna wieśniaków wystraszyć, zresztą miał nadzieję, iż uśmiech złagodzi ton jego głosu.

- Za to my wam zrobimy dużo złego, jeśli jeszcze trochę się zbliżycie!

Halt prowadził rozmowę, tymczasem Will przyglądał się uważnie barykadzie, a zwłaszcza broni, która wylaniała się spoza szczytu umocnień. Po kilku sekundach dostrzegł przez jakąś szparę drobną postać, potem następną - obie kierowały się w lewo. W następnej chwili ktoś akurat właśnie stamtąd potrząsał bronią. Po prawej zaś stronie, gdzie dopiero co połyskiwały ostrza, teraz już nie było nikogo.

- Halt - rzekł półgłosem Will - jest ich mniej, niż chcieliby, żeby nam się wydawało. Poza tym dostrzegam wśród nich dzieci i kobiety.

- I ja odniosłem takie wrażenie - przyznał zwiadowca. - Właśnie dlatego nie chcę, żebyśmy podjechali bliżej, to jasne. - Zwrócił się znów do przywódcy wieśniaków: - Jesteśmy podróżnymi, przyjacielu, nie mamy złych zamiarów. Dobrze zapłacimy za gorącą strawę oraz dzbanek piwa.

- Nie chcemy waszych pieniędzy i nie dostaniecie naszego jada. Precz stąd, ruszajcie swoją drogą!

W głosie mężczyzny pobrzmiwał ton rozpaczliwej desperacji, jak gdyby ten człowiek spodziewał się, że lada moment trzej zbrojni jeźdźcy zdemaskują jego „fortel” i zorientują się, jak słabo przedstawia się obrona wioski. Teraz Halt wiedział już z pewnością, że Will się nie pomylił, albowiem większość obrońców kryjących się za barykadą stanowiły kobiety i dzieci. Uznał więc, że nie warto dłużej ich niepokoić. Nieszczęśnicy, i tak mieli dość powodów do

zmartwień.

- Dobrze, przyjacielu. Skoro sobie tego życzysz, odjedziemy. Ale powiedz nam, czy jest tu gdzieś w pobliżu gospoda? Przebyliśmy szmat drogi, jesteśmy zmęczeni.

Po krótkiej chwili milczenia mężczyzna odpowiedział:

- Owszem. „Pod zieloną harfą”, w Craikennis. Na zachód stąd, niecałe dwie mile. Może tam was przyjmą. Jedźcie tą drogą do rozstajów, a potem zobaczycie drogowskaz.

Wieśniak był wyraźnie zadowolony, mogąc się pozbyć intruzów. Pewnie kierował ich do jakiejś większej miejscowości, bowiem nikt nie stawia gospody na pustkowiu. A jeśli trafią na dużą wieś lub nawet miasteczko, tamtejsi mieszkańcy będą czuć się pewniej, więc nie odniosą się równie nieprzyjaźnie do grupki cudzoziemców.

Halt uniósł dłoń na pożegnanie.

- Dzięki za radę, przyjacielu. Tam się udamy, nie zamierzamy już więcej zakłócać ci spokoju.

Odpowiedzi nie było. Gdy zawrócili konie i odjeżdżali już, mężczyzna wciąż tkwił na wozie z włócznią w dłoni. Kiedy ujechali jakieś sto metrów, Will spojrzął za siebie.

- Nadal nam się przygląda - powiedział.

Halt zachnął się.

- I nie przestanie, dopóki nie znikniemy mu z oczu. A potem jeszcze przez pół nocy będzie się zamartwiał, czy aby nie powrócimy, by go zaskoczyć pod osłoną ciemności - potrząsnął smutno głową.

- Był przerażony - stwierdził Horace.

Halt zerknął na niego.

- Śmiertelnie przerażony. Cóż, strach jest najlepszym sprzymierzeńcem Odszczepieńców. Chyba zaczynamy już mieć jakie takie pojęcie, co tu się wyrabia.

Wkrótce znaleźli się na skrzyżowaniu, na którym tkwił drogowskaz, kierujący podróżnych do Craikennis. Sam fakt, że drogowskaz ustawiono, a miejscowość posiadała jakąś nazwę, pozwalał spodziewać się, iż okaże się ona przynajmniej nieco większa od mijanych dotąd osad. Jednak mimo wszystko Halt wolał uniknąć wrogiego przyjęcia, z jakim dopiero co się spotkali.

- Uważam, że lepiej, jeśli się rozdzielimy - oznajmił. - Widok trzech zbrojnych, których nikt nie zna, może budzić niepokój w tej okolicy, ja zaś nie chciałbym, żeby nas po prostu bezceremonialnie odegnano. Willu, zabrałeś ze sobą lutnię, prawda?

Will już dawno zrezygnował z próby tłumaczenia Haltowi, że instrument, jaki posiada, nazywa się mandola, nie lutnia. Poza tym Halt zadał pytanie czysto retoryczne, ponieważ Will

niemal zawsze woził ze sobą mandolę, w dodatku grał na niej nie dalej jak zeszłej nocy w ich własnym obozowisku.

- Tak. Chcesz, bym znów przeistoczył się w wędrownego barda?

Domyślał się, do czego zmierza Halt. Wędrownego grajka wszędzie witano mile.

Halt skinął głową.

- Owszem. Z jakichś niewyjaśnionych przyczyn, ludzie zazwyczaj ufają wędrownym minstrelom.

Horace nie omieszkał wtrącić z uśmiechem:

- Zwłaszcza, gdy tak dobrze patrzy im z oczu.

Przez kilka chwil Halt spoglądał na niego w milczeniu.

- No, właśnie - rzekł wreszcie. - Znajdziemy miejsce na obozowisko, a potem ty ruszysz przodem i dasz koncert. My z Horace'em pojawimy się, kiedy wszyscy będą wsłuchani w twe pieśni. Postaraj się o pokój w gospodzie. Tak byś normalnie postąpił, prawda?

Will skinął głową.

- Owszem, zwykle grajek prosi o pokój - albo miejsce w stajni na sianie, jeżeli nie ma wolnego pokoju.

- Zrób więc, jak trzeba. Posilimy się, starając się mieć oczy oraz uszy otwarte. Potem wrócimy do naszego obozowiska. Spróbuj wywiedzieć się jak najwięcej od właściciela gospody, ale bez zbędnego wścibstwa. Jutro rano wymienimy spostrzeżenia.

- Plan prosty i skuteczny - zgodził się Will, ale nie mógł się powstrzymać, więc spytał jeszcze: - Jakież życzenia co do repertuaru na dzisiejszy wieczór?

Wiedział doskonale, że Halt zupełnie, ale to zupełnie nie interesuje się muzyką.

Mistrz zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

- Żadnych. Byle nie „Siwobrody Halt” - odpowiedział.

Horace nie omieszkał wyrazić swojego rozczarowania:

- Ależ to jedna z moich ulubionych piosenek!

Halt spoglądał na twarze obu uradowanych młodzieńców.

- Mam takie dziwne wrażenie, że jeszcze przyjdzie mi gorzko żałować, iż zgodziłem się przystać do oddziału specjalnego - burknął.

ROZDZIAŁ 16

Halt i Horace zatrzymali się przed wjazdem do Craikennis. Tu również zbudowano domowym sposobem palisadę, najwyraźniej całkiem niedawno. Po jej zewnętrznej stronie, przed bramą, na skraju drogi, rozstawiono płócienny namiot, w którym trzech zbrojnych schroniło się przed chłodem nocy. Obok, na palu, wisiał żelazny trójkąt, a przy nim zawieszono młotek. W razie napaści jeden ze strażników uderzy na alarm, waląc młotkiem w ów trójkąt - zanotował w myśli Horace.

Z namiotu wyszedł wartownik. Ruszył w ich stronę, trzymając wysoko pochodnię, aby przyrzeć się twarzom przybyłych. Halt zsunął kaptur z głowy. Blask oświetlił jego rysy.

- Kim jesteście, czego chcecie? - spytał wartownik gburowatym tonem. Horace skrzywił się w duchu. Z całą pewnością Clonmel nie był najgościnniejszym krajem, jaki zdarzyło mu się odwiedzić. Co prawda, nic w tym dziwnego, biorąc pod uwagę, co ujrzeli podczas dotychczasowej wędrówki.

- Jesteśmy podróżnymi - wyjaśnił Halt. - Zmierzamy do Dun Kilty, żeby kupić tam owce na targu.

- Czy pasterze zwykle są tak uzbrojeni? - spytał wartownik, spoglądając na długi łuk Halta oraz miecz u boku Horace'a. Halt odpowiedział ponurym uśmiechem.

- Owszem, o ile zamierzają dotrzeć cali i zdrowi do domu ze swymi owcami - odparł. - A czasy są niespokojne, chyba sam dobrze wiesz.

Wartownik skinął głową.

- A juści - przyznał. Obcy miał słuszność. To, co ostatnio działo się w Clonmelu, niewiele miało wspólnego z prawem i porządkiem. Tak, ten niższy może owce pasać - pomyślał. Wyglądał przeciętnie, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Za to drugi z przybyszów był znacznie pokaźniejszej postury. Z pewnością zbrojny pacholek, którego pasterz najął dla zapewnienia bezpieczeństwa sobie, a także zakupionemu stadu.

- Chcemy posilić się i ogrzać przy ogniu, potem wyruszymy w dalszą drogę. Słyszałem, że w Craikennis jest gospoda?

Wartownik przytaknął, uznawszy ostatecznie, że ci dwaj nie stanowią zagrożenia dla bezpieczeństwa osady. Na wszelki wypadek spojrzął w ciemności, by sprawdzić, czy ktoś więcej nie czai się w cieniu. Jednak nie dostrzegł na drodze żadnego ruchu. Cofnął się.

- No, dobra. Tylko żeby nie było z wami kłopotów. Bo jakby co, będziecie mieli do czynienia z nami i jeszcze z tuzinem innych.

- Nie musisz obawiać się kłopotów z naszej strony, przyjacielu - zapewnił go Halt. - A gdzie ta gospoda?

Wartownik wskazał palcem za siebie.

- Pójdziecie prosto, jakieś pięćdziesiąt metrów, gospoda nazywa się „Pod zieloną harfą”.

Odstąpił, żeby pozwolić im przejechać. Znaleźli się w Craikennis.

Gospoda „Pod zieloną harfą” wznosiła się przy głównej uliczce. Miasteczko wyglądało na całkiem spore, składało się z pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu budynków, skupionych przy głównej uliczce, od której odchodziły na boki węższe alejki. Wszystkie chaty były parterowe, zbudowane z cegieł, kryte słomą. Sprawiały wrażenie niższych od domów, do których przywykli. Horace miał wrażenie, że gdyby kazano mu wejść do którejś z nich, musiałby zgiąć się wpół, żeby nie walnąć głową w strop. Gospoda, jak należało się spodziewać, stanowiła najpokaźniejszy budynek osady, jedyny piętrowy. Za wąskimi okienkami u góry niewątpliwie kryły się trzy czy cztery pokoje dla gości.

Szyld tego przybytku kołysał się, skrzypiąc hałaśliwie, na wietrze hulającym po głównej ulicy. Była to właściwie mocno podniszczona deska, na której widniało zblakłe malowidło przedstawiające odzianą na zielono postać, która dzierżyła w dłoniach małą harfę. Gdy Horace przyjrzał się z bliska wizerunkowi karła, dostrzegł złośliwie wykrzywione oblicze.

- Nieciekawy typ, co? - zagadnął.

Halt spojrzął na szyld.

- To *laechonnachie* - stwierdził. Widząc pytające spojrzenie Horace'a, dodał: - Mały Człowiek.

- No, widzę, duży to on nie jest - zauważył Horace, ale Halt pokręcił głową.

- Nie w tym rzecz. Mali Ludzie, coś w rodzaju chochlików, to bohaterowie niezliczonych tutejszych legend. Są obdarzeni czarodziejskimi mocami. Lepiej trzymać się od nich z daleka. Mają paskudne poczucie humoru, uwielbiają płatać złośliwe figle.

Rozległ się głośny śpiew z wnętrza gospody; kilkanaście głosów przyłączyło się do refrenu jednej z pieśni Willa. Przybył do Craikennis na godzinę przed Horace'em i Haltem.

Sądząc po odgłosach dochodzących z wnętrza - teraz rozległy się burzliwe oklaski - występ spodobał się miejscowym.

- Stara buda trzęsie się w posadach! - zauważył Horace.

Halt zerknął krytycznie na krzywe ściany budynku; piętro zdawało się pochylać nad wąską uliczką.

- Żeby się aby nie zawaliła - mruknął. - Wejźmy do środka, póki jeszcze stoi.

Zsiedli z koni. Horace uwiązał Kickera do specjalnej poręczy, a Halt tylko rzucił na nią wodze Abelarda. Zwiadowczego konia nie trzeba było uwiązywać.

Horace rozejrzał się.

- Jak myślisz, gdzie kwateruje Wyrwij?

Halt wskazał alejkę prowadzącą na tyły gospody.

- Na pewno w stajni, dobrze mu tam i ciepło - odpowiedział Halt. - Skoro Will wzięł pokój dla siebie, bez wątpienia wprzódy zadbał o Wyrwija.

- Bez wątpienia - przyznał mu rację Horace. - Właźmy już do środka, zrobiłem się głodny jak wilk.

- A kiedy ty nie jesteś głodny? - zdziwił się Halt, lecz Horace kroczył już w stronę drzwi. Nim zdążył je pchnąć, Halt chwycił rycerza za ramię. Horace spojrział pytająco na zwiadowcę.

- Zaczekaj, aż Will zacznie następny utwór. Wejdziemy, gdy uwaga wszystkich bez reszty skupi się na grajku. Pamiętaj, miej uszy otwarte, a usta zamknięte.

Horace w milczeniu skinął głową. Już wcześniej zauważył, że w ciągu minionego dnia Halt, który zazwyczaj przemawiał tylko z ledwie dosłyszalnym hibernijskim akcentem, zaciągał coraz bardziej, a jego wymowa stała się twardsza. Najwyraźniej ćwiczył ją w ten sposób, przypominając sobie język, którym mówił w młodości.

- Po co wszyscy mają od razu wiedzieć, że przybywamy z zagranicy - odparł, gdy Horace poczynił jakąś uwagę na ten temat.

Odczekali chwilę, aż znów usłyszeli głos Willa i towarzyszące mu dźwięki mandoli. Wkrótce rozległ się śpiewny chór; tym razem cała sala przyłączyła się do refrenu. Halt skinął na Horace'a.

- Wchodzimy - powiedział.

Wślizgnęli się przez uchylone drzwi do sali jadalnej. Uderzyła ich fala gorąca bijącego od otwartego paleniska, a także od trzydziestu, może nawet czterdziestu ciał. Tuż przy kominku, w pełnym świetle stał Will. Nie trzeba było wiele, aby zachęcić Hibernijczyków do zabawy - uwielbiali muzykę i śpiew, a Will dysponował niezłym repertuarem skocznych

utworów. W chwili, gdy dwaj Aralueńczycy stanęli w drzwiach, dwoje z widowni, mężczyzna oraz kobieta, zerwało się z miejsc. Ruszyli w tany, głośno wybijając rytm stopami. Pozostali widzowie zakrzyknęli gromko, wyrażając w ten sposób uznanie, po czym rozległy się oklaski do taktu. Halt z Horace'em wymienili spojrzenia, po czym zwiadowca wskazał ruchem głowy stół w głębi sali. Podeszli do niego. Will oczywiście nawet nie spojrzął w stronę druhów. Ich przybycie zauważyła jedna, góra dwie osoby. Wszyscy inni pochłonięci byli muzyką i obserwowaniem tańczącej pary.

Dwóch nowych gości dostrzegł wszelako właściciel gospody - bądź co bądź na tym polegała jego praca. Wkrótce przez tłum do ich stołu precyzyjnie się posługaczka. Halt zamówił kawę oraz potrawkę z jagnięcia dla nich obu. Dziewczyna zaraz znikła, przemykając zręcznie, z widoczną wprawą między zgromadzonymi.

Will odegrał ostatni akord pieśni. Wyczerpani do cna tancerze opadli bez sił na ławy. Młody zwiadowca, zgodnie z sugestią Halta, na ten wieczór zrezygnował ze zwiadowczego płaszcza. Przywdział natomiast długi, ciepły wełniany kaftan. W obozowisku zostawił też łuk i strzały, więc na pozór uzbrojony był tylko w wiszącą u pasa sakwę - drugą część pochwy wraz z nożem służącym do rzucania ukrył w specjalnej kieszeni, wszytej pod lewym ramieniem. Kilka lat wcześniej Will przeprowadził eksperyment z nożem ukrytym w kołnierzu, co omal nie skończyło się dla niego tragicznie.

Halt pozostał w zwykłym stroju zwiadowcy. Rzecz jasna, nosił przy sobie łuk. Nie zwracało to niczyjej uwagi w kraju, gdzie na baczności mieli się wszyscy i każdy zbroił się, jak potrafił. Maskujący wzór na płaszczu mógł wydawać się dziwaczny, ale i tak Halt wyglądał na myśliwego lub rolnika. Horace ubrany był w prostą skórzaną kurtkę, obcisłe spodnie i wysokie buty, a do boku przypasał miecz i sztylet. Oczywiście, nosił też płaszcz chroniący go przed kąśliwym chłodem oraz wiatrem. Jednak okrycie pozbawione było kaptura, toteż Horace używał wełnianej czapki, którą naciągał na uszy. Nie okrywała go zbroja (ukrył ją w jukach), nie zdobiły żadnego rodzaju insygnia. Gdyby sądzić tylko z wyglądu, przypominał zwyczajnego zbrojnego pacholka.

Ponieważ różnił ich strój, nie istniały żadne przesłanki, by przypuszczać, iż tych dwóch nowo przybyłych cokolwiek łączy z cudzoziemskim minstrelem, który zjawił się wcześniej tego wieczoru. Ponadto, dzięki hibernijskiej wymowie Halta, nie sprawiali nawet wrażenia obcokrajowców.

Na stole pojawiło się jedzenie i kawa; ochoczo więc zabrali się za posiłek. Szczególnie Horace okazał entuzjazm w tym względzie, co jednak nie zaskoczyło Halta, który zdążył już mniej więcej przywyknąć do żarłoczości swego młodszego towarzysza. Horace pochłoniął

smakowitą potrawkę z jagnięciny i ziemniaków, po czym wytarł talerz za pomocą kawałka chleba. Zerknął łakomie na połówkę kromki leżącą wciąż jeszcze przed Haltem. Wymownym gestem wyciągnął rękę w jej stronę.

- Już nie jesz?

- Jem. Łapy przy sobie.

Horace chciał coś dodać, ale uciszył go ostrzegawczy ruch głowy Halta. Zdał sobie sprawę, że zwiadowca, udając, iż posiłek pochłania go bez reszty, nasłuchuje uważnie rozmów przy sąsiednich stołach. Kiedy Will przerwał występ, żeby nieco odetchnąć, w pomieszczeniu zrobiło się gwaro.

Przy stole obok siedziało trzech mężczyzn. Z wyglądu sprawiali wrażenie mieszczan. Pewnie tutejsi - pomyślał Horace. Widział ich dobrze, natomiast Halt, siedzący tyłem do owych trzech, znajdował się znacznie bliżej nich i lepiej ich słyszał. Nie było to zresztą bardzo trudne, bowiem w gorącym, zadymionym pomieszczeniu panował taki zgiełk, że goście musieli zwracać się do siebie podniesionymi głosami.

- Z tego, com słyszał, to paskudna historia, nie ma dwóch zdań - perorował właśnie łysy mężczyzna. Sądząc po śladach mąki na koszuli, Horace wywnioskował, iż przemawia tutejszy młynarz albo piekarz. Dostrzegł kątem oka kolejny ostrzegawczy ruch głowy Halta, zdał sobie sprawę, że gapi się wprost na siedzących przy sąsiednim stole. Spuścił czym prędzej wzrok, wbijając oczy w talerz, w samą porę, by zauważyć, że Halt podsuwa mu właśnie skórkę od chleba. Przyjął dar z uśmiechem, zaczął ostentacyjnie wycierać niewidoczne resztki potrawy z talerza.

- Czterech zabitych, takem słyszał. Coś okropnego. Brat mojej żony przejeżdżał tamtędy nie dalej jak trzy dni temu. Gdyby udał się tam wczoraj, kto wie, może nie byłoby już go pośród żywych.

Halt upił łyk kawy. Korciło go, żeby odwrócić się i wypytać miejscowych o szczegóły. Tymczasem jednak on i Horace pozostali właściwie niezauważeni przez zebranych. Miejscowi czuli się swobodnie pośród znajomych, natomiast mogłoby się okazać, że nie mają chęci na pogawędki z obcymi.

- A co myślicie o tych kapłanach w Mountshannon? - spytał inny mężczyzna. Horace zerknął ukradkiem, dostrzegając człowieka o kilka lat młodszego od łysego młynarza czy też piekarza. Przypuszczalnie trudnił się handlem, raczej nie zaliczał się do wojowników.

Dwaj pozostali parsknęli pogardliwie.

- Zwykle nabieranie i tyle! - rzekł trzeci, który jak dotąd jeszcze się nie odezwał. Łysy zgodził się z nim bez wahania:

- Ano! Wmawiają ludziom z Mountshannon, że potrafią zapewnić im bezpieczeństwo. Też mi coś! Śmiać mi się chce, jak pomyślę, że ci wszyscy pobożnisie tak długo twierdzą, że ich bóg sprawuje nad ludźmi opiekę, aż ktoś walnie takiego pałką przez łeb.

- Lecz przyznać musicie - kupiec nie dawał za wygraną - że póki co w Mountshannon nic złego się nie stało. A tymczasem w Duffy's Ford cztery trupy! A reszta rozbiegła się po świecie i nie wiedzieć, gdzie ich szukać.

- To dlatego, że w Mountshannon pełno ludzi, pewnie ze setka - wyjaśnił mu łysy. - A w Duffy's Ford tylko cztery chaty na krzyż. I może z tuzin mieszkańców na stałe. W kupie nie ma czego się obawiać, no i dlatego Mountshannon jest bezpieczne.

- A Craikennis tak samo - wtrącił ten, który pogardliwie wyraził się o kapłanach.

- Ano, oby - stwierdził łysy. - Coś mi się jednak widzi, że tutaj nic nam nie grozi. Dennis i jego strażnicy dobrze się sprawują, mają na oku wszystkich obcych.

Akurat wtedy wzrok jego spoczął na dwóch nieznanym siedzących przy sąsiednim stole. Dostrzegłszy Halta i Horace'a, mruknął coś półgłosem do swych towarzyszy, z pewnością ostrzeżenie, gdyż obaj odwrócili się, by zmierzyć wzrokiem przybyłych. Potem pochylili się nad swoim stołem i ciągnęli rozmowę przyciszonymi głosami, tak że nie sposób było rozróżnić już ani słowa w panującym wokół gwarze. Halt nie widział, co się stało, więc spojrzał pytająco na Horace'a, który wykonał ledwo dostrzegalny przeczący ruch głową. Z całą pewnością nie usłyszą już nic więcej.

Gdy upłynęło kilka minut, w sali znów zapanowało ożywienie, bowiem Will rozpoczął drugą część swojego koncertu, uderzając w struny, by zaintonować kolejną pieśń. Rozmowy ucichły, goście nastawili uszu. Kiedy służąca przyszła, żeby pozbierać ich talerze i spytać, czy chcą więcej kawy, Halt potrząsnął głową i rzucił na stół garść monet. Ruchem głowy dał znak Horace'owi.

- Pora nam w drogę - stwierdził.

Wstali, skierowali się do drzwi. Łysy tubylec spoglądał przez chwilę w ślad za nimi. Następnie, uznawszy, że ze strony tych dwóch przybłądów nie grozi żadne niebezpieczeństwo, skupił się znów na muzyce.

Na zewnątrz chłodny wiatr przewiał ich do szpiku kości, gdy dosiadali wierzchowców. Horace wzdrygnął się i owinął szczelnie płaszczem.

- Może też powinniśmy wziąć dla siebie pokoje - powiedział. - Zimno jak wszyscy diabli.

Halt potrząsnął głową.

- Nie, dobrze zrobiliśmy. W ten sposób za pół godziny o nas zapomną. Gdybyśmy

zostali, więcej ludzi zwróciłoby na nas uwagę. Zaczęłyby się pytania, podejrzenia. Wkrótce ogrzejesz się przy ognisku.

Horace uśmiechnął się do mrukliwego towarzysza.

- Tak bardzo ci zależy, żeby nikt nie zwracał na ciebie uwagi?

Zwiadowca przytaknął z przekonaniem:

- Tak bardzo, a nawet jeszcze bardziej.

Minęli strażników czuwających w bramie i pozdrowili ich. Tym razem żadnemu nie chciało się wyjść, bo trzeba by w tym celu odejść od ciepłego ognia płonącego w żelaznym piecyku wewnątrz namiotu. I tak, jak spodziewał się tego Halt, nie minęło wiele czasu, a miejscowi całkiem zapomnieli o ich bytności w Craikennis.

ROZDZIAŁ 17

Następnego ranka Halt i Horace siedzieli przy ogniu, kiedy Abelard wydał powitalne rżenie. Po kilku chwilach na polanę, gdzie obozowali, na grzbiecie Wyrwija wjechał Will. Rzucił okiem w stronę dwóch małych namiotów, wysokich zaledwie na metr. W nocy padało, toteż płótna przesiąkły wilgocią.

- Jak wam się spało? Ciepło i miło, co? - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Halt zachnął się.

- Przynajmniej pluskwy nas nie żarły.

Will skrzywił się.

- Owszem, muszę przyznać, że oberży „Pod zieloną harfą” przydałyby się gruntowne wiosenne porządki. Bo, w rzeczy samej, nocą odwiedziło mnie kilku nieproszonych gości. - Wypowiadając te słowa, odruchowo podrapał się w bok. Halt odwrócił głowę w stronę ogniska, aby skryć uśmiezek satysfakcji.

Will zsiadł z Wyrwija, zdjął siodło i puścił konika luzem. Dosiadł się do towarzyszy; na ogniu grzał się dzbanek z kawą.

- Trzeba jednak też przyznać - mówił dalej - że śniadania „Pod harfą” są całkiem niezłe. Boczek, kielbaski, grzyby, świeży chlebuś. W sam raz, żeby nabrać sił w chłodny poranek.

Stamtąd, gdzie siedział Horace, dobiegł niski pomruk; wojownik zabawiał się, dźgając patykiem węgle, z ponurą miną. Will nie był całkiem pewien, czy pomruk wydaje z siebie Horace, czy też burczy jego żołądek. Obozowe śniadania składały się z podgrzanych na ogniu czerstwych podpłomyków i porcji suszonego mięsa.

- Skromne posiłki kształtują charakter - oświadczył sentencjonalnie Halt. Horace rzucił mu spojrzenie spode łba. Obfita porcja potrawy jagnięcej z kolacji zeszłego wieczoru odpłynęła do grona odległych wspomnień.

- Przede wszystkim kształtują głód - stwierdził.

Will odczekał jeszcze chwilę, po czym zlitował się i położył obok Horace'a pokaźnych

rozmiarów zawiniątko.

- Szczęśliwym trafem, jedna dziewczyna pomagająca w kuchni zechciała zaopatrzyć mnie na dalszą drogę - rzekł. - Chyba lubi muzykę.

Horace czym prędzej rozwinął pakunek, w którym znajdowało się wciąż jeszcze ciepłe jedzenie.

Nałożył czym prędzej na czekający przy ognisku talerz okazałą porcję i sięgnął po widelec. Halt, nie zwlekając, dołączył do młodego rycerza, także częstując się boczkiem, kiełbaskami i świeżym chlebem.

- O, a ja chyba coś słyszałem o tym, że skromne posiłki kształtują charakter? - zainteresował się Will, usiłując zachować kamienną twarz. Halt obdarzył go spojrzeniem pełnym godności.

- Mój charakter został ukształtowany już dawno - oświadczył. - Nie muszę nad nim pracować. Co innego wy, młodzi.

- Ja nad swoim popracuję od jutra - oznajmił Horace z pełnymi ustami. - Willu, uwielbiam cię! Kiedy będę miał wnuki, na pewno nadam któremuś z nich twoje imię!

Will zaśmiał się. Nalał sobie kubek kawy. I oczywiście dodał miodu.

- Ach! - jęknął w zachwycie. - Boczek, a nawet kiełbaski podają w tej gospodzie przednie, ale ich kawa nie może się równać z naparem w wykonaniu Halta!

Halt mruknął tylko, bo miał pełne usta. Opróżnił talerz i rozsiadł się wygodnie. Poklepał się, zadowolony, po brzuchu, lecz nie mógł się powstrzymać, więc sięgnął po jeszcze jeden plasterek przysmażonego boczku.

- I cóż, usłyszałeś coś ciekawego w gospodzie? - spytał, pochłonawszy ostatni pyszny kąsek.

- Owszem - przytaknął Will. - Głównym tematem rozmów była napaść na osadę zwaną Duffy's Ford - małą miejscowość położoną nad rzeką, w odległości około dziesięciu kilometrów stąd.

- Też o tym słyszeliśmy - powiedział Halt. - A wspominali o miasteczku Mountshannon?

Will dopił kawę i wytrząsnął fusy do ogniska, nim odpowiedział:

- Tak. Nazwa Mountshannon oblała mi się o uszy, zresztą nie raz. Wszystko wskazuje na to, że nasi przyjaciele właśnie tam urządzili sobie kwaterę główną.

- Z tego, co do nas dotarło, kapłani twierdzą, że są w stanie ochronić Mountshannon przed podobnymi napaściami - wtrącił Horace. Co prawda zeszłej nocy nie słyszał zbyt dobrze rozmowy prowadzonej w oberży, ale później miał okazję rozmawiać o wszystkim z

Haltem - gdy znaleźli się już w obozowisku.

- Zgadza się. Natomiast opinie na temat Odszczepieńców zdają się podzielone - odpowiedział Will.

Halt spojrział na niego uważnie.

- A co sądzi większość? Umiałbyś to określić?

Will wzruszył ramionami.

- Owszem, z grubsza. Prawdę mówiąc, kiedy skończyłem występ, nie rozmawiano właściwie o niczym innym, toteż chyba mogę się pokusić o ocenę. Moim zdaniem mniej więcej dwóch ludzi na trzech po prostu nie wierzy w boga Odszczepieńców. Większość tubylców, z którymi rozmawiałem albo którzy wypowiadali się na ten temat, jest przekonana, że Montshannon dałoby sobie radę i bez kapłanów. To ponoć całkiem spora miejscowość.

Halt zaśmiał się cicho.

- Otóż to: jak dobrze jest mieć w swym gronie wędrownego barda - stwierdził. - Ludzie od razu biorą cię za swojego, więc paplają przy tobie otwarcie. Dowiedziałeś się jeszcze czegoś istotnego?

Will nie był całkiem pewien, jak Halt przyjmie dalsze wiadomości. Przez chwilę wydawało mu się, że zapewne powinien ostrożnie dobierać słowa. Potem jednak uznał, że nie ma co owijać w bawełnę:

- Ogólnie rzecz ujmując, panuje przekonanie, że król Ferris jest słabym, nieudolnym władcą. Nie można powiedzieć, by cieszył się poważaniem, wręcz przeciwnie. Chyba nikt tutaj się nie spodziewa, że władca upora się z problemami nękającymi Clonmel. Szczególnie podkreślają to ci, którzy skłonni są zaufać Odszczepieńcom. Tyle że pozostali, choć wyraźnie nie w smak im religijne bajdurzenia, akurat pod tym jednym względem się z nimi zgadzają: król Ferris to władca gnuśny, niezdolny do skutecznego działania. Nikt nawet nie próbował go bronić - umilkł i dodał: - Wybacz, Halt. Ja tylko powtarzam, co ludzie gadają.

Halt machnął ręką.

- Nie mogę powiedzieć, by było to dla mnie zaskoczeniem. Przez długie lata Ferris tak wiele energii poświęcił na utrzymanie tronu, że w rezultacie zupełnie zaniedbał sprawę znacznie ważniejszą - otóż nie postępuje on, jak na monarchę przystało. Tak działo się od samego początku jego panowania. - W głosie Halta pobrzmiwała gorycz. Willowi tym bardziej przykro się zrobiło, że musiał przekazywać Haltowi równie niepochlebne opinie dotyczące rządów jego brata.

Horace zerknął na rozłożoną serwetę, by upewnić się, czy nie pozostało jeszcze coś do zjedzenia. Stwierdziwszy z niejakim smutkiem, że uczta skończona, usiadł wygodniej.

- Halt - odezwał się poważnym głosem. - Myślę, że już czas, żebyś opowiedział nam nieco więcej o sobie i swoim bracie.

Półzartobliwy ton, jakim jeszcze niedawno wypowiadał się w sprawie śniadania, znikł bez śladu. Rycerz poruszył kwestię nader zasadniczą i zapewne drażliwą, ale Horace nie zamierzał przeproszać ani się tłumaczyć. Owszem, zdawał sobie sprawę, że młodzieniec grzeszy brakiem dyskrecji, skoro pytanie dotyczyło przeszłości Halta, jednak odpowiedź mogła mieć ogromne znaczenie zarówno dla niego, jak i dla Willa. Bądź co bądź, skoro mieli współpracować z Haltem, który postawił sobie za cel, by przekonać brata do stawienia oporu Odszczepieńcom, powinni wiedzieć jak najwięcej o relacjach między nimi. A ponadto, jak w każdej potencjalnie niebezpiecznej sytuacji, wszyscy zainteresowani z natury rzeczy powinni dysponować możliwie największą ilością informacji.

Gdy się chwilę zastanowił, zdał sobie sprawę, że nauczył się tak rozumować dzięki częstemu, długotrwałemu przestawianiu z oboma zwiadowcami. Halt tymczasem spojrzał nań, zachowując spokój i powagę. Horace wyczytał z oczu doświadczonego zwiadowcy, że zgadza się z nim w zupełności.

- Tak. Słusznie - rzekł Halt. - Powinniście poznać wszystkie fakty i dowiedzieć się, jak doszło do obecnej sytuacji. Przede wszystkim, musicie wiedzieć jedno: Ferris i ja jesteśmy nie tylko braćmi. Jesteśmy bliźniakami. Właśnie dlatego przywódca Odszczepieńców w Selsey tak się zdziwił na mój widok. Otóż drab spędził nieco czasu w Clonmelu i miał okazję wielokrotnie widywać Ferrisa.

- Bliźniakami? - powtórzył Will, nie wierząc własnym uszom. Znał Halta od tylu lat, a przecież ani razu nie słyszał, by jego mentor miał jakiegokolwiek rodzeństwo. Cóż dopiero brata bliźniaka.

- Owszem. Jesteśmy identyczni - potwierdził Halt. - A jeśli chodzi o wiek i urodzenie, dzieli nas siedem minut różnicy.

- Niesamowite - odezwał się Horace, kręcąc głową. - Dziwny jest ten świat, prawda? Gdyby nie owe siedem minut, byłbyś teraz królem Clonmelu, a Ferris...?

Urwał, bowiem już miał na końcu języka „Ferris byłby zwiadowcą”. Lecz uzmysłowił sobie, że z tego, co na temat clonmelskiego władcy już usłyszał - o jego nieudolności i niezdecydowaniu - brat Halta nie mógłby nawet marzyć o przyjęciu w szeregi zwiadowców. Halt spojrzał na rycerza, rozbawiony, jakby czytał w myślach młodego wojownika.

- No właśnie - rzekł cicho. - Dobre pytanie. Kim stałby się wówczas Ferris? Tyle tylko, że sprawy mają się nieco inaczej, Horace. Bo to ja przyszedłem na świat jako pierwszy. Ferris jest moim młodszym bratem.

Horace oniemiał, gdy dotarło do niego znaczenie słów Halta. Natomiast Will od razu zadał narzucające się pytanie:

- W takim razie, co się wydarzyło? Przecież, zgodnie z prawem pierworództwa, właśnie ty powinieneś zostać królem? Czy w Hiberni obowiązują jakieś inne zasady?

- Nie. Również tutaj, jak wszędzie indziej, ten, który pierwszy się urodzi, dziedziczy koronę. Jednak w tym wypadku pojawił się pewien problem. Otóż mój brat nie był w stanie pogodzić się z porządkiem sukcesji. Nie potrafił wybaczyć mi wspomnianych siedmiu minut. Był przekonany, że w związku z tym nieszczęsnym pierworództwem padł ofiarą oszustwa. Oszustwa, do którego doszło za moją przyczyną - dodał.

Horace nadal nie wierzył.

- To jakieś szaleństwo. Nie z własnej woli przyszedłeś pierwszy na świat, jakże więc mógł mieć ci to za złe?

Halt uśmiechnął się ze smutkiem. Horace... Szczery i prostolinijny. Horace, któremu obca jest zawiść, który odrzuca wszelkie podstępne knowania. Gdybyż na tym świecie istniało więcej ludzi takich jak on, a mniej osobników podobnych do mojego brata - pomyślał. Przykro mu było to stwierdzić, jednak musiał przyznać, iż bez wątpienia świat byłby wówczas lepszy.

- Przekonał sam siebie, że winę ponoszę ja - rzekł głośno. - Tym sposobem łatwiej mu przyszło siebie usprawiedliwić, gdy próbował mnie uśmiercić.

- Próbował cię zabić? - zdumiał się Will. - Rodzonego brata? Bliźniaka?

- Starszego brata. W tym cała rzecz - poprawił go Halt. Zapatrzył się w żar ogniska, wspominając wydarzenia z zamierzchłej przeszłości. - Domyślcie się, że nie jest mi specjalnie miło o tym opowiadać...

Will i Horace zareagowali natychmiast:

- W takim razie, nie opowiadaj - rzekł Will.

- Przecież to w końcu nie nasza sprawa - zgodził się z nim Horace. - Dajmy temu spokój, Halt.

Halt popatrzył na jednego i drugiego. Każdemu z nich bez wahania powierzyłyby własne życie. Tymczasem, jeśli chodzi o mojego brata... - pomyślał i zaśmiał się niewesoło.

- O, nie. Uważam, że powinniście wiedzieć. Zresztą także ja zbyt długo uciekałem przed tą świadomością, chyba próbowałem zapomnieć... Tymczasem prawdzie należy spojrzeć w oczy.

Zdawał sobie sprawę, że czują się skępowani, słysząc tak osobiste wynurzenia, więc dodał:

- Naprawdę sędzę, że te informacje są wam potrzebne. A nawet, mogą okazać się dla was niezwykle ważne. Tedy pozwólcie, że uporam się z tym krótko i bezboleśnie. Otóż Ferris uważał, że jemu należy się tron. Skąd to przekonanie? Nie wiem, po dziś dzień. Jednak bez wątpienia tak właśnie myślał. Trudno stwierdzić, może dlatego, że nasi rodzice poświęcali mu znacznie więcej uwagi. A to z kolei mogło wziąć się stąd, że w ich mniemaniu on bardziej troskliwości potrzebował. No, bo i rzeczywiście, ja wszak miałem zostać królem, toteż pewnie pragnęli mu to jakoś wynagrodzić. Wreszcie, on był dzieckiem radosnym, gadatliwym, tymczasem ja... No cóż, znacie mnie.

Kiedy mieliśmy po szesnaście lat, spróbował mnie otruć. Na szczęście użył niewłaściwej dawki, więc zdołał tylko doprowadzić mnie do potwornej niestrawności - uśmiechnął się krzywo. - Nadal nie mogę bez obrzydzenia patrzeć na krewetki.

- Ale dlaczego... Dlaczego twoi rodzice nie uczynili wtedy czegoś...? - oburzył się Will.

Halt pokiwał głową.

- Dlatego, że nie wiedzieli. Ja też nie wiedziałem. Zorientowałem się dużo później. Kiedy to się zdarzyło, byłem przekonany, że padłem ofiarą wyjątkowo ciężkiego zatrucia pokarmowego, więc po prostu cieszyłem się, że wyszedłem z niego żywy.

Kolejna próba nastąpiła po sześciu miesiącach. Przechadzałem się po dziedzińcu zamkowym, aż tu nagle cały stos dachówek roztrzaskał się o ziemię, ledwie metr za mną. Odpryski poważnie mnie poraniły, zwłaszcza w nogi. Jednak rzucone dachówki nie wylądowały na mojej głowie, choć taki był zamiar Ferrisa. Bo z pewnością właśnie jego spostrzegłem nade mną, na murze. Schował się, rzecz jasna, ale nie dość szybko.

Co najgorsze, a może, kto wie, dla mnie najlepsze - widziałem też wyraz jego twarzy. Otóż spodziewalibyście się chyba, że na obliczu kogoś, kto właśnie ujrzał, że jego brat o mało nie został zmiążdżony stosem dachówek, malować się powinno, założmy, niejakie zaniepokojenie. Tymczasem Ferris był tylko wściekły i nic więcej, dobrze widziałem. No, i uciekł, skrył się - zamiast okazać - hm, lub choćby udąć, że okazuje - jakiegokolwiek zainteresowanie stanem mojego zdrowia po tym „wypadku”.

Tak więc wiedziałem. Wiedziałem, ale musicie zdać sobie sprawę, że nie dysponowałem żadnym namacalnym dowodem, że właśnie on próbował mnie zabić. Tu powinienem dodać, że w owym akurat czasie moi rodzice byli skłócenii ze sobą bardziej niż zwykle. Zresztą, doprawdy, w ogóle trudno było ich nazwać szczęśliwym małżeństwem. Jedyną radością w ich życiu był ów ujmujący młodzieniec, czyli mój brat, Ferris. Może to dziwne, ale jakoś nie umiałem ich tego pozbawić. I tak by mi nie uwierzyli, jednak takie

oskarżenie zasiałoby przecież podejrzenia, wątpliwości. Zwierzyłem się tylko jednej osobie, mojej młodszej siostrze. Nikomu poza nią nie umiałem i nie mogłem zaufać.

Horace z Willem spojrzeli po sobie, oszołomieni. W ciągu ledwie kilku minut dowiedzieli się o Halcie więcej niż przez ostatnich pięć czy sześć lat.

- Masz więc także siostrę? - spytał Will.

Halt jednak potrząsnął przecząco głową.

- Miałem. Nie żyje już od kilku lat. O ile wiem, pozostawiła syna. - Umilkł na kilka chwil w zamyśleniu, po czym otrząsnął się. Ciągnął dalej: - A potem to się powtórzyło jeszcze raz, rok po tamtym zdarzeniu, kiedy mój ojciec był już umierający. Ferris zdawał sobie sprawę, że trzeba działać szybko. Wybraliśmy się na ryby. Ściśle rzecz biorąc, na łososie. W łodzi siedzieliśmy tylko my dwaj. W pewnej chwili pochyliłem się, żeby rozplatać linkę, i nagle poczułem gwałtowne pchnięcie. Wylądowałem w wodzie. Kiedy się wynurzyłem, Ferris zamachnął się na mnie wiosłem. Z początku myślałem, że chce mi je podać, aby wciągnąć mnie z powrotem na łódź. Ale nie, poczułem potężne uderzenie w ramię. Zdałem sobie sprawę, że znajduję się o krok od śmierci.

Machinalnie dotknął ramienia, jakby wciąż, po tylu latach, czuł przeszywający ból. Will i Horace słuchali w milczeniu. Jakimś sposobem obaj rozumieli, że Halt musi dopowiedzieć tę historię do samego końca, by oczyścić duszę z mrocznego wspomnienia, które tak długo krył przed światem.

- Zamachnął się jeszcze raz, ale tym razem chybił, bo zdążyłem dać nura pod wodę, a potem popłynąłem w stronę brzegu. Wypłynęliśmy łódką naprawdę daleko, więc ledwie dałem radę, lecz w końcu, kiedy zdawało mi się, że już ze mną koniec, poczułem grunt pod nogami. Potem Ferris zapewniał mnie, że nastąpił wypadek, dopytywał się, czy nic mi nie jest, krótko mówiąc - tym razem wprost wychodził z siebie, bylebym tylko uwierzył, że nie próbował mnie uśmiercić.

Wzdrygnął się i skrzywił.

- Tylko że ja już wiedziałem. Zrozumiałem, że nigdy nie da za wygraną. Miałem dwa wyjścia: zabić go albo uciec z kraju. Bo gdybym po prostu zszedł mu z drogi, abdykował - to by nie wystarczyło. Wciąż czułby się zagrożony. Dniem i nocą spodziewałby się, że podejmę jakieś starania, by odzyskać tron. Tron, który dla niego wart był ceny większej niż dla mnie. Ceny, którą było życie rodzzonego brata.

- Powiedziałem mu to, a potem - cóż, rzecz można, że uciekłem przed moim bratem. Nawiasem mówiąc, pochlebiam sobie, że najprawdopodobniej po dziś dzień nikt nie ma pojęcia, jak udało mi się tego dokonać - spojrzął na twarze młodych towarzyszy. Dodał: -

Może nie od rzeczy będzie wspomnieć, że ani przez jedną chwilę tego nie żałowałem.

Will i Horace słuchali opowieści w milczeniu. W takich chwilach niełatwo o słowa odpowiednie, by wyrazić współodczuwanie, sympatię. A zresztą, zdawali sobie sprawę, że nie trzeba nic mówić, że Halt dobrze wie, jak silne więzy przyjaźni ich łączą.

- Być może nie uszło waszej uwadze - rzekł zwiadowca, aby zmienić nieco nastrój - że przejawiam zdecydowaną niechęć wobec dziedzicznej władzy, królewskiej czy innej. To, że czyjś ojciec jest królem, niekoniecznie znaczy, iż on sam nadaje się na monarchę. Najczęściej bywa wręcz przeciwnie. Dużo bardziej odpowiada mi metoda stosowana w Skandii, gdzie ktoś taki, jak Erak, dochodzi do władzy w drodze wyborów.

- Jednak nasz Duncan rządzi dobrze - wtrącił półgłosem Horace.

Halt spojrział nań i skinął głową.

- Owszem, to prawda. Duncan jest wyjątkiem potwierdzającym regułę. I naprawdę dobrym władcą. A jego córka doskonale nadaje się na królową. Dlatego wszyscy możemy służyć im z czystym sumieniem. Co zaś się tyczy Ferrisa, wyznam szczerze, iż nie pęknie mi serce, jeśli ów Tennyson wydrze mu tron Clonmelu. Tylko że wtedy Araluen znalazłby się w niebezpieczeństwie. Dlatego też nie wolno nam do tego dopuścić, co w praktyce oznacza, że będziemy wspierać Ferrisa.

- ...Choć bez wielkiego entuzjazmu - dokończył Will.

- Czasami trzeba wybrać mniejsze zło - stwierdził Halt.

Wstał, otrzepał się z igliwia, tak jakby chciał strząsnąć z siebie melancholię, która ogarnęła go w trakcie opowieści. Kiedy odezwał się znowu, jego głos brzmiał rześko i rzeczowo:

- Czas nam się zbierać. Willu, chcę, żebyś udał się do Duffy's Ford. Ruszysz śladem bandytów. Wytropisz ich obozowisko, postarasz się dowiedzieć jak najwięcej - jak są liczni, jak uzbrojeni - sam wiesz. Gdyby udało ci się czegoś dowiedzieć o ich planach, jeszcze lepiej. Zachowaj ostrożność, żebyśmy nie musieli spieszyć ci na ratunek. Nie wolno tych ludzi lekceważyć. Mogą sprawiać wrażenie zbieraniny niewyszkolonych opryszków, ale nie daj się zwieść pozorom. Uprawiają swe rzemiosło już od lat i wiedzą, co robią.

Will skinął głową na znak, że zrozumiał. Pozbierał swój sprzęt, następnie gwizdnął na Wyrwija, który podszedł do niego, żeby dać się osiodłać.

- Spotkamy się tutaj? - spytał zwiadowca.

- Nie, w Mountshannon. - odparł Halt. - Horace i ja przyjrzymy się tymczasem z bliska Tennysonowi.

ROZDZIAŁ 18

Gród, od którego wzięła swą nazwę osada Duffy's Ford, znajdował się w miejscu, gdzie rzeka brała szeroki, łagodny zakręt. Przez setki lat woda podmywała brzeg, aż koryto stawało się stopniowo coraz szersze i szersze. Rozlana szeroko woda płynęła wolniej, więc naturalną koleją rzeczy zaczął osadzać się tutaj niesiony dotąd prądem piasek. Z czasem dno stawało się płytsze. W ten właśnie sposób, za sprawą sił natury, powstało miejsce wielce sposobne do wygodnego przekraczania rzeki. Właściwie nie istniały powody, dla których podróżni mieliby zatrzymywać się na odpoczynek akurat tutaj, jednak tak jakoś się dzieje, że podczas wędrówki przejawiamy skłonność, by stawać na popas wtedy, gdy dotrzemy do któregoś z konkretnych punktów orientacyjnych wyznaczających naszą marszrutę. W dodatku okolica nadawała się do odpoczynku wyśmienicie - łagodnie opadające ku rzece porośnięte trawą brzegi w cieniu wierzb wprost zapraszały, by się usiąść, zaczerpnąć wytchnienia, posilić się.

Jak to bywa, tam gdzie podróżni zwykli się zatrzymywać, wyrosła po latach niewielka osada. Jej mieszkańcy postawili sobie za cel zaspokajanie potrzeb wędrowców i czerpanie z tego godziwych zysków. Wycięto nieco drzew, po jednej stronie brodu pojawiły się zabudowania.

Jednak niewiele z nich obecnie zostało. Will, zeskoczywszy z siodła, przeszedł wśród zwęglonych resztek domostw. Tu i ówdzie wciąż jeszcze dostrzegał wznoszące się ku niebu smugi dymu. Największy z budynków, gospoda, w której podróżni raczyli się jadłem oraz napitkiem, był swego czasu dość niechlujnie skleconym barakiem, obrastającym z biegiem lat w kolejne przybudówki. W razie potrzeby barak zapewniał też możliwość noclegu. Teraz wszakże więcej niż połowa prymitywnej gospody obróciła się w czarny popiół. Słomiany dach oczywiście spłonął ze szczętem. Ściany, wykonane z glinianych cegieł, popękały od żaru, po czym runęły. Ocalała jednak część belkowania - osmolony szkielet, który w każdej chwili mógł zważyć się na zwęglone resztki łóżek, stołów, krzeseł i innych mebli. W jeszcze istniejącym pomieszczeniu znajdowało się też kilka na wpół spalonych beczulek. Will przez krótką chwilę wyobraził sobie zdrożonych kupców pokrzepiających się tu kuflem mocnego

piwa. Co ciekawe, dziwnym kaprysem szalejącego żywiołu, część jednej ściany pozostała nietknięta, za całkowicie spalonym barem na półkach stało trochę ciemnych butelek. Brodząc pośród stert popiołu i wypalonych resztek, Will podszedł do baru. Sięgnął po jedną z flaszek. Odkorkował, powąchał. Zmarszczył nos z obrzydzeniem, gdy wyczuł ostry zapach taniej gorzałki. Zakorkował butelkę czym prędzej. Już miał odstawić ją na miejsce, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Kto wie, do czego jeszcze może się przydać takie znalezisko. Wetknął więc zdobycz do wewnętrznej kieszeni.

Wyszedł na zewnątrz, okrążył zrujnowaną gospodę, przyglądając się pozostałym trzem budynkom, także spalonym. Jeden z nich był kiedyś stajnią, wzniesioną na tyłach karczmy. Prawie nic z niego nie zostało, musiał płonąć jak pochodnia.

- Pewnie trzymali tam mnóstwo siana - rzekł do siebie. - Tak, suche siano pali się przecież doskonale.

W tyle, za zgliszczami stajni, wznosiły się jeszcze dwa mniejsze budynki. Przed jednym z nich znajdowało się kamienne palenisko, wokół którego walały się narzędzia kowalskie - młoty, obcęgi, przebijaki. Naturalnie, była to wyśmienita lokalizacja dla warsztatu kowalskiego. Przejeżdżało tędy mnóstwo podróżnych, a więc z pewnością często przychodziło im naprawić obręcze kół wozów, podkuwać konie lub reperować jakąś część uprzęży. W takich razach kowal zamieniał się w kołodzieja albo rymarza. Drugi budynek wyglądał na mieszkalny - pewnie należał do kowala i jego rodziny. Z niego również niewiele zostało. Osada robiła przygnębiające wrażenie - zrujnowana, opustoszała. Wymarła.

To ostatnie słowo uświadomiło mu odczucie, z którego zrazu nie zdawał sobie sprawy - przywykł już bowiem do mdłego odoru rozkładającego się mięsa. Nieco dalej, na tyłach domu dostrzegł niewielką łąkę, a na niej padlinę: martwe owce. Obok leżał nieruchomy kudłaty kształt, który kiedyś był strzegącym ich psem.

Ci, którzy przeżyli napaść, z pewnością pogrzebali lub zabrali dokądś ciała zabitych ludzi, lecz nie mieli czasu czy też chęci zająć się szczątkami zwierząt.

- Trudno mieć im to za złe - mruknął. Zawrócił w stronę głównego budynku; tam smród spalenizny był tak silny, że maskował wstrętną woń padliny. Will zaczął rozglądać się za śladami. Niemal natychmiast zobaczył wielką, brunatną plamę na trawie porastającej brzeg, łagodnie opadający do rzeki.

Krew.

Znalazł więcej tropów. Odciski stóp, teraz już niezbyt wyraźne, bowiem minęło nieco czasu. Spostrzegł także ślady pozostawione przez konie wychodzące z wody. Kopyta wryły się głęboko, więc na miękkiej ziemi pozostały bardzo wyraźne ślady - przy tym znacznie

głębsze, niż trop zwierzęcia zdużającego zwykłym krokiem. Te konie najwyraźniej tu nie przyczłapały, lecz przybyły galopem. Któryś przebiegł nawet dokładnie przez to miejsce, gdzie na trawie widniała plama krwi.

Rozejrzał się, zerknął na rzekę i w stronę oberży, próbując wyobrazić sobie przebieg wydarzeń.

Napastnicy przebyli bród. Później wyszli na wznoszący się łagodną pochyłością brzeg i zdeptali porośniętą trawą łąkę. Ktoś z Duffy's Ford wybiegł im naprzeciw - próbował odeprzeć napaść, a może tylko liczył, że zdoła na chwilę zbirów powstrzymać, by umożliwić ucieczkę swym bliskim. W tym miejscu spotkała go śmierć.

Po chwili dokładniejszych poszukiwań Will natrafił na sierp. Leżał kilka metrów dalej, niemal całkowicie ukryty w wysokiej trawie. Tracił narzędzie czubkiem buta. Na krzywym ostrzu pojawiły się już pierwsze plamy rdzy. Pokiwał głową. Prowizoryczna broń, choć z pewnością groźna w trakcie starcia wręcz, nie dawała żadnych szans wobec przewagi licznych, dobrze uzbrojonych przeciwników. Nieszczęśnik padł na miejscu, sam zresztą prawdopodobnie nie zdołał zadać ani jednego ciosu - na sierpnie brakowało śladów krwi. Przypuszczalnie obrońca osady został cięty mieczem lub pchnięty włócznią - w każdym razie orężem o większym zasięgu rażenia niż sierp. Poświęcenie dzielnego człowieka i jego odwaga na niewiele się zdały.

Will ruszył śladem kopyt pod górę. Kilka metrów dalej jeden z koni skręcił w prawo, trop prowadził do następnej brunatnej plamy. Przyklęknął na kolano, by przyjrzeć się z bliska ziemi. W trawie i błocie odnalazł słabe odciski stóp. Małych stóp, stóp dziecka.

Na chwilę zamknął oczy. Oczami duszy dojrzał całą scenę: przerażony chłopiec albo dziewczynka usiłuje uciec, schować się pośród drzew przed galopującymi, wrzeszczącymi dziko napastnikami. Jeden z jeźdźców odrywa się od towarzyszy, by wszczać pościg za uciekającą drobną postacią. A potem zadaje morderczy cios. Z tyłu, bez litości, bez wahania. Chociaż mógłby pozwolić dziecku uciec. Żadne to zagrożenie dla uzbrojonych bandytów. Ale nie... Will zacisnął usta, bo zdał sobie sprawę, że zbrodnia została popełniona w imię religii, aby napełnić lękiem serca mieszkańców tej krainy i uczynić ich podatnymi na nauki samozwańczych kapłanów.

- Módlcie się co sił do waszego bożka, żeby zdołał was uratować - warknął półgłosem.

Wyprostował się. Wiedział już wszystko, czego było mu trzeba. Nie było sensu dalej odtwarzać przebiegu wydarzeń. Zyskał ogólne pojęcie, w jaki sposób odbyła się napaść, poznał też nieco szczegółów. Teraz nadchodził czas, by wytropić morderców, gdziekolwiek się skryli.

Wskoczył na siodło Wyrwija, skierował konika w stronę rzeki. Już wcześniej, po śladach kopyt stwierdził, że napastnicy przybyli z drugiego brzegu i wrócili tą samą drogą. Woda sięgała Wyrwijowi ledwie do brzucha, prąd w tym miejscu był słaby, toteż wierzchowiec w kilka minut bez trudu przedostał się na przeciwległy brzeg. Will pochylił się, szukając w piasku śladów pozostawionych przez odjeżdżających bandytów.

Nie potrzebował szukać długo. Banda musiała być liczna, składała się z dwudziestu, może nawet z trzydziestu ludzi. Na pewno stanowiła najliczniejszą grupę, jaka przekroczyła bród w ciągu minionych kilku dni, toteż Will bez trudu będzie mógł podążyć tropem zbrodniarzy. Nie czynili zresztą żadnych prób zatarcia śladów, co dodatkowo ułatwiało zadanie, choć może ktoś inny, nieposiadający zwiadowczych umiejętności byłby w kłopotcie, usiłując podjąć trop po dość już długim czasie.

Jako się rzekło - nie zacierali za sobą śladów; może po prostu nie potrafili tego robić, ale najprawdopodobniej po prostu nie przypuszczali, by ktokolwiek okazał się na tyle odważny, żeby ich śledzić.

Will nie wątpił, iż tak właśnie było. Przecież napadali, palili, mordowali, grasując bezkarnie od miesięcy w całej Hibernii. Praktycznie nie napotykali przy tym żadnego oporu. Nic dziwnego, że z czasem doszli do przekonania, iż nie ma tu po prostu nikogo, kto zdołałby im zagrozić. Zwiadowca uśmiechnął się sam do siebie.

- No i świetnie. Łudźcie się dalej - syknął półgłosem.

Na głos pana Wyrwij odwrócił łeb. Spojrzał, zaciekawiony. Will poklepał konika po szyi.

- Nic, nic. Mówiłem sam do siebie, nie zwracaj na mnie uwagi.

Wyrwij potrząsnął z lekka łbem.

Ależ proszę bardzo. Daj znać, jak będziesz chciał pogadać.

Ślady rozbójników skrzyły teraz w węższą drogę, mniej uczęszczaną, toteż nie musiał już rozglądać się tak bardzo i badać uważnie każdego odcisku podkowy czy stopy, sprawdzając każde wgłębienie w wilgotnym gruncie. Na to przyjdzie pora, kiedy dojedzie do rozstajów. Chwilowo wystarczyło po prostu jechać drogą. Zresztą i tak dostrzegał od czasu do czasu widoczne znaki. Wskazywały, że niedawno szlak przemierzała znaczna grupa ludzi - złamane gałęzie, w jednym miejscu kilka nitek z czyjegoś okrycia, które zawadziło o kolczastą gałąź oraz pryzmy końskiego nawozu. Droga, a również ślady prowadziły na południowy zachód. Willowi przyszło na myśl, że przy tak sprzyjających warunkach potrafiłby tropić nieprzyjaciela nawet we śnie.

Po jakimś czasie dotarł do rozwidlenia. Bandyci skrzyli na lewo, w węższą z dwóch

dróg. Stopniowo prowadziła coraz ostrzej, wciąż przez las, tyle że teraz już jakby rzadszy. Gdy wydostali się wraz z Wyrwijem na kolejny garb, ich oczom ukazały się strome skały wypiętrzonego płaskowyżu, całkiem już niedalekie. Will miał przeczucie, że cel także jest bliski. Wątpił bowiem, by bandyci podjęli mozolną wspinaczkę. Skoro uprzednio nie zadali sobie trudu, żeby zatrzeć ślady i nie obawiali się pościgu, raczej nie należało oczekiwać, by teraz zechcieli piąć się w górę po niedostępnych, granitowych skałach - choć gdyby tak uczynili, zyskaliby schronienie idealne, w naturalnej twierdzy, praktycznie nie do zdobycia.

Will ściągnął wodze Wyrwija, bowiem poczuł jakiś zapach. Lekki wietrzyk niósł woń znajomą, ale z lekka nieoczekiwaną, trochę nie na miejscu. Przechylił głowę na bok, raz i drugi, próbując określić ten zapach. Nagle zdał sobie sprawę, że chodzi o dym. Nie, raczej o popioły. Popioły wygasłego ogniska.

Ruszył przed siebie. Woń z każdą chwilą stawała się intensywniejsza. Jeszcze sto metrów i znalazł jej źródło - na polanie, przez którą wiodła droga. Widać było wyraźnie, że rozbójnicy zatrzymali się tu na noc. Cztery czarne kręgi znaczyły miejsca, gdzie płonęły ogniska, a wygnieciona trawa wskazywała, gdzie legli, zawinawszy się w koce. Końskie łajno ujawniało miejsce, gdzie uwiązali wierzchowce.

Will siadł na pieńku, żeby się zastanowić. Wyrwij przyglądał mu się wyczekująco.

- Spędzili tu noc, z tego zaś wniosek, że miejsce, do którego zmierzają, jest jeszcze dość daleko - odezwał się Will. Zgadzało się to z jego wcześniejszymi przemyśleniami. Od urwistych skał dzieliło ich jeszcze co najmniej pół dnia drogi. Jeśli tamci zmierzali do obozowiska i jeżeli znajdowało się ono gdzieś u stóp płaskowyżu, to całkiem naturalne, że ciągle mając przed sobą spory kawałek drogi, postanowili zatrzymać się tu na noc. Oczywiście, istniało też prawdopodobieństwo, iż powędrowali znacznie dalej lub że jednak wspięli się na płaskowyż, lecz Willowi jakoś nie chciało się w to wierzyć.

- Jedno co pewne: jesteśmy na właściwym tropie - stwierdził, zwracając się do Wyrwija. W odpowiedzi konik przechylił łeb:

Ani przez chwilę w to nie wątpię.

Will uśmiechnął się. Czasami zastanawiał się, czy rzeczywiście trafnie odczytuje niewypowiedziane, lecz jakże wyraziste sygnały dawane przez Wyrwija. No, i ciekaw był, czy inni zwiadowcy również rozmawiają ze swoimi wierzchowcami, tak samo jak on - rzecz jasna, kiedy nikt nie widzi i nie słyszy. Miał graniczące z pewnością podejrzenie, iż przynajmniej Halt tak czyni, jednak nigdy mistrza na pogwarkach z Abelardem nie przyłapał.

Wstał, spojrzął w niebo. Do zachodu słońca pozostało kilka godzin. Jeśli droga okaże się nadal tak łatwa, a ślad równie wyraźny, zdoła dotrzeć do obozowiska złoczyńców jeszcze

przed wieczorem.

Wskoczył na siodło, ruszył. Droga stała się nieco szersza, lecz za to o wiele bardziej kręta. Wciąż prowadziła pod górę. Nie było sensu zwlekać. Skoro dopiero minął polanę, na której bandyci spędzili noc, mógł mieć pewność, że jeszcze przez następne dwie lub trzy godziny na nich się nie natknie. Pozwolił więc Wyrwijowi na szybki, swobodny bieg.

Dzień miał się ku końcowi, a czarne ściany urwiska zbliżały się coraz bardziej. Późnym popołudniem słońce skryło się za nimi, pogrążając równinę w cieniu. Kiedy Will uznał, że od wypiętrzenia dzieli go już tylko godzina jazdy, zatrzymał Wyrwija. Zsiadł, przez dziesięć minut dał konikowi odpocząć. Nalał z bukłaka wody do skórzanego poidła. Sam także upił łyk, włożył do ust kawałek suszonej wołowiny. Uśmiechnął się, wspomniawszy, jak Horace kręcił nosem na podróżny wikt, narzekając nie tylko na skromne racje, lecz także utyskując na smak prowiantu. Will raczej lubił suszone i wędzone mięso, natomiast musiał przyznać, że jest ono strasznie twarde, toteż dość uciążliwe w spożyciu. Krótko mówiąc, smakowało wyśmienicie, choć miało konsystencję podeszwy starego buta.

Dosiadł Wyrwija, lecz teraz posuwał się naprzód powoli, ostrożnie. Odtąd należało zachować wzmożoną czujność. Niefrasobliwi bandyci z pewnością nie zadbali o wystawienie czujek w jakimś znacząco odleglejszym punkcie od kwatery głównej, jednak ostrożność nigdy nie zawadzi. Dał Wyrwijowi sygnał; konik natychmiast zaczął stąpać cicho, delikatnie, starannie wyszukując miejsca, w których stawiał kopyta - jak go nauczono. Poruszał się teraz niemal bezgłośnie.

Po raz wtóry w trakcie wyprawy ostrzeżenie przyszło wraz z wiatrem. Poprzez drzewa dotarł do nozdrzy Willa charakterystyczny zapach palonego drewna. Jechali grzbietem pagórka wznoszącego się nad kotliną, a czarne urwiska były już tak blisko, iż wydawało się, że starczy sięgnąć ręką, by ich dotknąć. Teraz Will przekonał się, że wznosiły się zaledwie na sto do dwustu metrów. Zdarzało mu się już widywać dużo wyższe. Tylko że te były lite, gładkie, z lśniącego czarnego kamienia. Nie do zdobycia, o ile nie istniała jakaś ukryta ścieżka prowadząca na górę. Tymczasem zapach dymu wyraźnie gęstniał, w dodatku zwiadowcy zdawało się, że słyszy głosy w oddali. Zatrzymał Wyrwija, zsunął się z siodła.

- Zostań tutaj - polecił, po czym ruszył w stronę następnego zakrętu drogi. Opuszczając rankiem obozowisko, przywdział oczywiście z powrotem swój zwiadowczy płaszcz. Teraz przemykał jak duch między drzewami, tym bardziej niewidoczny, że już na dobre zaczęło się zmierzchać.

Will przystanął za zakrętem, bowiem las już się kończył. Spojrzał na rozległą nieckę, rozciągającą się u stóp urwiska. Rozstawiono tam w nierównych rzędach namioty, pomiędzy

nimi zaś płonęły ogniska. Widział też ludzi poruszających się na terenie obozu lub siedzących przy ogniu. Według oceny Willa zgromadziło się ich tam co najmniej stu pięćdziesięciu. Stu pięćdziesięciu uzbrojonych mężczyzn. A mieszkańcy Craikennis pozostawali w błogim przeświadczeniu, że nic im nie zagraża, łudząc się, że z łatwością odeprą atak. Tymczasem, gdyby tak liczna banda napadła na miasteczko, szanse obrońców byłyby bardzo nikłe.

Przez następną godzinę, aż do zapadnięcia nocy, obserwował obóz, ukryty za drzewem. Wreszcie wypatrzył namiot rozstawiony pośrodku. Największy. Sądząc po liczbie wchodzących i wychodzących, musiał należeć do przywódcy bandytów. Will miał także okazję przekonać się, jak o zmroku wystawiano warty. Strażnicy utworzyli półokrąg, zajmując stanowiska tam, gdzie kończył się otwarty teren, a zaczynał las. Bandyci zatem, choć czuli się bezpiecznie, nie zaniedbali podstawowych środków ostrożności.

Zanotował w pamięci jednego z wartowników, który zapuścił się nieco dalej niż jego pobratymcy, między drzewa. Z góry Will dobrze go widział. Co istotne, zdał sobie sprawę, że ów wartownik pozostaje niewidoczny dla pozostałych. Może postanowił znaleźć sobie wygodniejsze miejsce, gdzie spędzi długie godziny nudnej warty. A może chodziło mu o to, żeby nie pozostawać przez cały czas na oku przełożonego dowodzącego strażnikami.

Tak czy inaczej, popełnił błąd - błąd, który Will zamierzał wykorzystać.

ROZDZIAŁ 19

Po odjeździe Willa do Duffy's Ford, Halt oraz Horace zwinęli obóz, po czym wyruszyli traktem prowadzącym na północny zachód, do Mountshannon. Na drodze spotykali tylko nielicznych podróżnych: samotnego jeźdźca dosiadającego zmęczonej, starej szkapy i grupkę kupców wędrujących z wozem zaprzężonym w muła.

Halt powitał kupców grzecznym słowem, ale nie otrzymał odpowiedzi. Cztery pary oczu zmierzyły jeźdźców podejrzliwym spojrzeniem. Łuk Halta, a ponadto miecz u boku Horace'a, który w dodatku dosiadał bojowego rumaka, były wystarczającą przyczyną, by odnieść się do obcych podejrzliwie.

Siwobrody zwiadowca westchnął cicho. Horace popatrzył nań ze zdziwieniem. Znał Halta dość dobrze, by wiedzieć, że nieczęsto mu się zdarza okazywać uczucia, zwłaszcza w ten akurat sposób.

- Co się stało? - spytał.

- Och, nic. Tak tylko rozmyślałem - odpowiedział Halt. - Kiedyś to był taki pogodny, beztroski kraj. Ludzie okazywali sobie przyjaźń, spotkając zaś bliźniego na drodze, zatrzymywali się dla ucięcia pogawędki. Gościńce, takie jak ten, pełne były podróżnych zmierzających tu czy tam w różnych ważnych sprawach. A teraz co?

Wymownym gestem wskazał pustą drogę. Prowadziła jak strzeżoną, więc widać ją było na co najmniej kilometr w obie strony. Przed oczami Halta i Horace'a widniała całkowicie opustoszała przestrzeń.

Spodziewali się, że w pobliżu Mountshannon gościniec zaludni się choć trochę, jednak pylista droga, ciągnąca się przed nimi, wciąż świeciła pustkami.

Las po obu stronach stopniowo rzedł, pojawiły się pierwsze gospodarstwa. Tutaj pola pozostawały w nieco lepszym stanie niż te, które widzieli wkrótce po przybyciu do Clonmelu. Wieśniacy nie kryli się w swych domostwach. Widzieli od czasu do czasu kogoś chodzącego po podwórzu - choć podwórza te również ogrodzono, tworząc prowizoryczne umocnienia, jakich widzieli już wiele. Poza tym z rzadka tylko zdarzało się, by ktoś bardziej oddalił się od

zabudowań.

- Tutaj wszystko nie wygląda jeszcze tak źle - zauważył Horace.

- Jak dotąd w okolicy nie doszło do żadnych napaści - przypomniał mu Halt. - Wieśniacy czują się też trochę pewniej, bo w pobliżu znajduje się spora miejscowość, czyli Mountshannon. A zresztą ich gospodarstwa nie są położone na takim odludziu, jak niektóre z tamtych.

Tymczasem od strony chaty, którą właśnie mijali, rozległ się ostrzegawczy okrzyk; gdy spojrzeli w tamtą stronę, dostrzegli dwóch mężczyzn biegnących z pola, gdzie jeszcze chwilę temu układali siano w stogi. Uciekinierzy skryli się za „umocnieniami” gospodarstwa. Halt zwrócił uwagę, że nie zapomnieli o widłach, które przed chwilą służyły im za narzędzie, a teraz miały pełnić rolę oręza.

- Tu jest trochę lepiej - stwierdził. - Ale tylko trochę.

W ogólnym zarysie Mountshannon przypominało Craikennis, chociaż było znacznie większe. Najważniejsze budynki wzniesiono wzdłuż głównej ulicy - a więc gospodę i siedziby kupców oraz rzemieślników, jakich nigdy nie brakowało tam, gdzie skupiało się więcej ludzi. Przy centralnym trakcie urzędował kowal, kołodziej, inny kowal - specjalizujący się w podkuwaniu koni - oraz jeszcze jeden, który trudnił się wyrobem narzędzi rolniczych. Ponadto rymarz, szewc, kilku kupców, u których miejscowe damy mogły zakupić przyodziewek, przędzę i żywność, a ich mężowie nasiona, narzędzia, oliwę oraz sto i jeden innych drobiazgów, które potrzebne są w gospodarstwie.

Oczywiście, u kupców zaopatrywali się tylko ci, którym się spieszyło lub mieli pod dostatkiem pieniędzy; najwięcej transakcji dokonywało się podczas cotygodniowego jarmarku.

Od głównej ulicy odchodziły mniejsze aleje, prowadzące ku mniej lub bardziej równoległym w stosunku do niej uliczkom. Podobnie jak w Craikennis, większość krytych słomą domów wzniesiono z błotnych cegieł lub pobielonego wapnem drewna. Do nielicznych budynków piętrowych zaliczała się gospoda, a także dom kowala oraz miejski spichlerz ze sterczącym nad ulicą żurawiem, za pomocą którego wciągano na górę ciężkie wory z mąką i inne ładunki.

Również tym razem obaj jeźdźcy, nim wpuszczono ich do miasta, musieli zdać sprawę ze swych zamiarów. Tutaj nie ustawiono zapory, lecz drogę przecinała rzeczka, nad którą wznosił się most, więc strażnicy czuwali właśnie na nim. Podobnie jak w Craikennis, opodal rozstawiono spory namiot, w którym stało kilka krzesel i łóżek oraz żelazny piecyk, dający ciepło nocą. Wjazdu pilnowało dwóch członków straży miejskiej uzbrojonych w ciężkie

maczugi oraz długie sztylety przytroczone do pasów. Wyszli na drogę, spoglądając podejrzliwie na nowo przybyłych. Tak jak poprzednio, Halt zsunął kaptur z głowy.

- Kim jesteście i czego szukacie w Mountshannon? - spytał wyższy. Horace szybkim spojrzeniem otaksował strażników. Obaj pokaźnego wzrostu, mocno zbudowani, przypuszczalnie całkiem nieźle potrafili się bić. Jednak po tym, jak obchodzili się z bronią, widać było od razu, że nie są zawodowymi wojownikami. Najwidoczniej do straży miejskiej zwerbowano co bardziej krzepkich mieszczan, a także okolicznych wieśniaków.

- Przybywam, żeby kupić owce - wyjaśnił Halt. - Tryka, może i ze dwie czy trzy jarki. Potrzebne mi rozplodowe sztuki. Tutaj macie targ, jak mi się zdaje?

Strażnik przytaknął:

- Tak, ale w sobotę - rzekł. - Przyjechaliście o dzień za wcześnie.

Halt wzruszył ramionami.

- Jesteśmy z Ballygannon - wymienił nazwę miejscowości położonej na południu, gdzie Odszczepieńcy działali już od dłuższego czasu. - Lepiej o dzień za wcześnie niż o dzień za późno.

Wartownik na dźwięk nazwy miejscowości zmarszczył brwi. Słyszał pogłoski o tym, co działo się na południu - jak wszyscy. Ale Halt był pierwszym od tygodni przybyszem z tamtych rejonów.

- I co tam słyhać w Ballygannon? - spytał.

Halt zerknął na niego.

- Jak mówiłem, potrzebuję sztuk rozplodowych, żeby uzupełnić stado. Co tu dużo gadać, zwierzęta nie padły ze starości.

Wartownik ze zrozumieniem skinął głową.

- Ano, ano. Słyszeliśmy niejedno o tym, co się wyprawia na południu - spojrzał teraz na Horace'a. Podobnie jak wartownik w Craikennis, zorientował się, że ten młodzieniec o szerokich barach nie wygląda na rolnika ani na pasterza. Na dodatek nosił u pasa długi miecz i do siodła jego wierzchowca przytroczony był okrągły puklerz. - A ten to kto? - spytał.

- Mój siostrzeniec, Michael. Dobry chłopak - powiedział Halt.

Po raz pierwszy odezwał się drugi ze strażników.

- I co, Michaelu, ty też będziesz pasał owce? - spytał.

Horace rzucił mu chłodne spojrzenie.

- Zamierzam zostać żołnierzem - odparł zwięźle.

- No, a co ma żołnierz do roboty na targu? - zainteresował się wartownik.

Halt odpowiedział za Horace'a, nie dając mu dojść do słowa, bowiem obawiał się, że

cudzoziemski akcent może młodzieńca zdradzić.

- Prosta rzecz. Moja głowa w tym, żeby kupić owce i zagnać je do domu - rzekł. - A jego głowa w tym, żebym ja cały i zdrowy dotarł, gdzie należy.

Wartownik przyglądał się im obu przez krótką chwilę. Wyjaśnienie brzmi całkiem przekonująco - pomyślał.

- Młody wygląda na zawadiakę, co nie da sobie w kaszę dmuchać - stwierdził z niejakim uznaniem. Uśmiechnął się lekko.

Horace nie odezwał się. Popatrzył tylko tamtemu w oczy i skinał głową. To jeszcze bardziej przypadło do gustu wartownikowi. Mocny gość, który nie trwoni słów po próżnicy - pomyślał.

Obaj strażnicy wyraźnie uznali, że przybysze są godni zaufania. Odsunęli się na bok, dając znak Haltowi i Horace'owi, że mogą wjechać do miasta.

- Witamy w Mountshannon - rzucił ten, który odezwał się jako pierwszy. - Przy głównej ulicy znajdziecie gospodę, ale jeśli pragniecie zaoszczędzić nieco grosza, rozstawcie namiot na placu targowym, bo to nic nie kosztuje. Tylko nie wszczynać mi tu żadnych awantur - dodał, niemal machinalnie. Horace miał wrażenie, że wszyscy strażnicy uważają za swój obowiązek wygłaszanie takich pouczeń. Prawdopodobnie ostrzegaliby identycznym zwrotem nawet osiemdziesięcioletnich starców o lasce.

Halt wznosił dłoń w geście pozdrowienia i ruszył naprzód. Jednak zatrzymał się zaraz, jakby dopiero teraz przyszło mu coś na myśl. Zawołał do wartowników, wracających już do swojego namiotu.

- A, jeszcze jedno. - Mężczyźni odwrócili się w jego stronę. - Słyszałem po drodze, że tutaj w okolicy naucza niejaki Tennyson, jakiś ksiądz czy kapłan, w każdym razie ktoś w tym rodzaju?

Wartownicy spojrzeli po sobie, jakby przybysz poruszył temat, który niedawno omawiali.

- Ano - przytaknął ten wyższy - tak jakby kapłan, albo co - w jego głosie słychać było sarkazm.

- A czy...? - zaczął Halt, lecz drugi ze strażników odpowiedział na pytanie, nim zwiadowca zdążył je zadać.

- A jakże, są tu u nas, w mieście. Ustawili swój namiot na placu targowym. Jak nie macie nic lepszego do roboty, możecie ich sobie posłuchać, bo po południu zawsze głoszą te swoje kazania.

- No, jużci, głoszą i głoszą. - Jego towarzysz wyraźnie odnosił się do

odszczepieńczego kaznodziei jeszcze bardziej sceptycznie. - Ci to dopiero nie mają nic do roboty, tylko gadają i tyle.

Halt, z obojętnym wyrazem twarzy, pokiwał głową, jakby zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- No, to może ich posłuchamy - zerknął na Horace'a. - Zawsze to jakaś rozrywka, no nie, Michaelu?

- Et, brednie jeno, nic tylko brednie - stwierdził stanowczo drugi z wartowników. - Ja tam na waszym miejscu wolałbym pójść do gospody i wypić po kufelku.

- Też racja - zgodził się z nim Halt. - Lecz posłuchać, posłuchamy, kto tam wie, co ten Tennyson ma do powiedzenia.

Machnął ręką na pożegnanie. Ruszył do przodu, a Horace za nim.

ROZDZIAŁ 20

Jeszcze zanim całkiem się ściemniło, Will powrócił do miejsca, w którym pozostawił Wyrwija. Postanowił rozejrzeć się za odpowiedniejszą kryjówką. Cofnąwszy się o dwieście metrów, spostrzegł małą polankę, całkiem niedaleko od drogi. Powstała w ten sposób, że jedno z wielkich drzew przewróciło się, powalając przy tym kilka mniejszych sosen. Sądząc po mchu porastającym pień, zdarzyło się to dobrych kilka lat wcześniej. W ten sposób w lesie utworzyła się niewielka pustać. Miejsce idealne, niezbyt odległe od gościńca i zarazem od strony traktu niewidoczne. Gdyby Will jechał drogą i szukał miejsca na nocleg, z pewnością by tej polanki nie zauważył.

Ukrył Wyrwija pośród drzew i wysokich zarośli. Rozejrzał się. Upewnił się, że drogi właściwie nie było stamtąd widać, co oznaczało, że i polanka pozostawała niewidoczna od strony gościńca. Dysponował wolną przestrzenią o rozmiarach rzędu cztery na pięć metrów - czyli w zupełności wystarczająco na obozowisko.

Tyle że co to za obozowisko - pomyślał. Nie będzie tu ani namiotu, ani ogniska. Wyrwij jednak mógł posilić się gęstą trawą, a Willowi chodziło głównie o to, by znaleźć kryjówkę, w której jego wierzchowiec nie będzie rzucać się w oczy.

Napoił Wyrwija i dał mu ręką sygnał, że może paść się swobodnie. Konik postąpił kilka kroków, z nozdrzami przy ziemi, dokonując oceny pokarmu. Ocena najwyraźniej wypadła pomyślnie, bowiem zaczął wrywać pęki traw i przeżuwać je z upodobaniem.

- Wybacz, że cię nie rozsiodłam - odezwał się Will. - Trzeba się liczyć z tym, że przyjdzie nam stąd wiać, i to w pośpiechu.

Wyrwij zerknął na niego z postawionymi uszami, jakby rozumiał każde słowo.

Nie ma problemu, szefie.

Koń wiedział, nauczony doświadczeniem, że w sprzyjających okolicznościach Will nie omieszkałby zadbać o jego wygodę; skoro tego nie uczynił, widocznie miał po temu istotne powody.

Will usiadł i podciągnąwszy kolana, oparł się plecami o powalone drzewo. Wiedział,

że za chwilę będzie musiał powrócić na swój punkt obserwacyjny. Za jakiś czas z pewnością nastąpi zmiana warty. Miał nadzieję, że następca upatrzonego przezeń strażnika zachowa się tak samo jak obecny. Teoretycznie istniała możliwość, że trafi się jakiś nadgorliwiec, ale Will przypuszczał, że pełniący straż bandyci potraktują służbę wartowniczą jako czystą formalność.

Kiedy ściemniło się już na dobre, Will wstał. Wyrwij natychmiast zastrzygł uszami i uniósł łeb, gotów od razu podejść do Willa. Jednak młody zwiadowca potrząsnął głową.

- Nie, zostań - polecił. A potem dodał jeszcze słowo komendy: - Cisza.

Wyrwij otrzymał jedno z najważniejszych poleceń, wyuczonych jeszcze podczas podstawowej tresury u Starego Boba. „Cisza” - znaczyło, że jeśli Wyrwij usłyszy w pobliżu jakiś ruch, czyli jeśli ktoś, na przykład, będzie szedł lub jechał gościńcem - konik znieruchomieje, pilnując się skrętnie, by nie wydawać jakichkolwiek odgłosów. W gęstniejących ciemnościach nikt, kto znalazłby się opodal, nie domyśliłby się, że kilka metrów od drogi ukrywa się wierzchowiec.

Owinąwszy się płaszczem, Will wrócił na gościniec. Zatrzymał się na jego skraju, nasłuchując, czy nikt się nie zbliża. Potem kilkoma szybkimi susami przekroczył gościniec. Przemknął między drzewa po drugiej stronie. Poruszał się teraz równolegle do drogi, cały czas pozostając jednak w ukryciu.

Gdyby przypadkiem ktoś go w tamtej chwili obserwował, myślałby, że uroił mu się szary cień, złudzenie, jakie rodzi mrok. W następnej chwili nie zobaczyłby już nic więcej, bo zwiadowca skrył się bezgłośnie wśród drzew.

Will powrócił na swój punkt obserwacyjny i padł na ziemię. Odkąd rozstawiono warty, minęły zaledwie trzy godziny, więc spodziewał się, że wciąż ci sami ludzie będą czuwali na swych stanowiskach. Na ogół, jak się orientował, warty zmienia się co cztery godziny. W mniemaniu zwiadowcy czyniono tak bez sensu: doświadczenie nauczyło go, że przez cztery długie godziny czujność strażnika zamiera - w miarę upływu czasu oraz narastającego zmęczenia. Po czterech godzinach wpatrywania się w ciemności, większość wartowników popada w swoisty letarg. Trzy godziny byłyby lepszym rozwiązaniem. Tyle że wówczas trzeba do służby wartowniczej zaprząć więcej ludzi, tutaj zaś, zgodnie z odczuciem Willa, wystawianie wart było raczej formalnością. Rozbójnicy nie spodziewali się, tak naprawdę, by ktoś odważył się ich napaść albo zakraść się do obozowiska.

Właśnie dlatego i po to wziął ze sobą tę butelczynę gorzałki z Duffy's Ford. Machinalnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni serdaka. Sprawdził, czy flaszka wciąż tam jeszcze spoczywa. Zamierzał zakraść się do obozu nieprzyjaciela, a w tym celu musiał usunąć

jednego ze strażników - przypuszczalnie tego, którego sobie wcześniej upatrzył. Rzecz jasna, gdyby okazało się konieczne, zdołałby minąć linię straży, nie uciekając się do przemocy. Tyle że straciłby o wiele więcej czasu. Przekradać się niepostrzeżenie przez bądź co bądź otwartą przestrzeń... Zresztą byłby łatwo dostrzegalny w blasku płonących ognisk.

Wziąwszy wszystkie okoliczności pod uwagę, najszybciej i najprościej będzie unieszkodliwić jednego z wartowników, tworząc w ten sposób lukę, przez którą da się przemknąć. Z tym jednak wiązał się inny kłopot. Will ani myślał informować nieprzyjaciela, iż do obozowiska wtargnął ktoś z zewnątrz. Tymczasem ciało nieprzytomnego strażnika nieomylnie by na taki fakt wskazywało. Chyba że bandyci uznali, iż wartownik po prostu upił się na służbie. Ktoś, kto leży nieprzytomny i cuchnie od niego wódką, może do woli wmawiać przełożonym, że go napadnięto: i tak nikt mu nie uwierzy.

Will wpatrywał się w okrywające kotlinę ciemności. Przedtem, póki było jeszcze jasno, zanotował w pamięci kilka punktów orientacyjnych, pomagających teraz, wśród mroku zlokalizować upatrzonego strażnika. Po chwili dostrzegł, że coś się poruszyło. Zaczął schodzić po zboczu, gramoląc się niczym krab; starał się znaleźć na tym samym poziomie, co wartownik.

Od strony obozowiska wciąż dochodził gwar rozmów. Czasem rozlegał się głośniejszy wybuch śmiechu lub odgłosy kłótni. Właśnie dlatego Will chciał jak najszybciej przedostać się za linię straży. Chciał posłuchać tych pogawędek, póki Odszczepieńcy nie udadzą się na spoczynek. Liczył, że uda mu się zasłyszeć coś, z czego zdoła wnioskować o dalszych planach zbirów. Kiedy już znajdzie się na terenie obozowiska, będzie się mógł po nim poruszać w miarę swobodnie, a właściwie nawet powinien; paradoksalnie, im bardziej naturalne będzie jego zachowanie, tym mniejsze wzbudzi podejrzenia. Najniebezpieczniejszy do pokonania będzie mniej więcej stumetrowy odcinek, który dzielił pozycje wartowników od samego obozu. Tam, na otwartej przestrzeni, bandyci siedzący przy ogniskach, oślepieni blaskiem, raczej nie powinni go dostrzec. Natomiast strażnik siedzący w ciemnościach mógłby zauważyć jego ciemną sylwetkę. Nie istniał przecież żaden racjonalny powód, by ktoś włóczył się po tym terenie, zmierzając na dodatek w stronę obozu. Od razu rozpoznano by w nim intruza.

Wyczuł, że zbocze się skończyło. Teraz szedł po płaskim gruncie. Musiał być blisko strażnika. Jak cień przemykał od drzewa do drzewa, aż usłyszał, jak tamten pokasłuje, a potem przestępuje z nogi na nogę. Dzielilo ich tylko kilka metrów. Wystarczy - stwierdził Will. Wsunął się za pień drzewa, tak żeby znaleźć się po przeciwnej stronie niż wartownik, owinał się płaszczem i znieruchomiał. Czekał.

W ten sposób upłynęła bez mała godzina. Trwał, zastygły w bezruchu. Bezgłośny. Niewidoczny. Od czasu do czasu strażnik się poruszał, ziewnął raz czy dwa; w ciszy panującej pośród drzew słyhać go było doskonale. Od strony obozowiska wciąż dochodził jednostajny gwar. Gdyby Will wywołał jakiś szelest, głosy dobiegające z obozu spełnią rolę dźwiękowego kamuflażu.

Kiedy tak siedział w ciemnościach, przyszło mu na myśl, że w zwiadowczym rzemiośle to właśnie jest najtrudniejsze: zmusić się do bezruchu, w porę opanowując odruchową chęć podrapania swędzącego miejsca lub zmiany pozycji dla ożywienia przepływu krwi w zdrętwiałej kończynie. Dlatego trzeba zadbać, by od razu przybrać wygodną pozycję, całkowicie rozluźniwszy wszystkie mięśnie. Tyle że nie istnieje coś takiego, jak pozycja idealna - w każdym razie nie wtedy, gdy utrzymuje się ją przez ponad pół godziny.

Z początku podłoże wydawało się miękkie, bo siadł na grubej warstwie opadłych liści. Z czasem jednak narastało dotkliwe odczucie, iż w pośladek Willa wpija się jakaś gałązka, czy może kamień. Okrutnie chciało mu się przechylić na bok, sięgnąć tam, usunąć to coś, ale wytrzymał. Z pewnością zdołałby uporać się z niewygodą bez najmniejszego zakłócenia absolutnej ciszy. Bez wątpienia. Ale ulec pokusie oznaczało poddać się słabości. Więcej nawet, gdyby znów poczuł potrzebę zmiany pozycji, znacznie łatwiej zdołałby przekonać sam siebie, że nic złego się nie stanie, jeżeli znowu tak zrobi. Raz, drugi, trzeci. Aż w końcu wierciłby się nieustannie. A choćby czynił to całkiem bezgłośnie, mógłby zostać wykryty tylko dlatego, że się poruszał. Tymczasem bezruch stanowi podstawę ukrywania się i maskowania. Siedział więc, ani drgnął. Zaciśnął tylko pięść, skupiając się na palcach oraz mięśniach przedramienia. Starał się nie myśleć o tym czymś, co uwierało go w tylną część ciała. Pomogło, przynajmniej na jakiś czas. Kiedy nieszczęsna gałązka - lub może kamyk - znów przypominała o sobie, dla odmiany przygryzł lekko dolną wargę, gdyż nowe odczucie odwracało uwagę od starego.

- No, jesteś! Aleś się przyczaił!

Przez krótki ułamek chwili, Willowi wydawało się, że słowa rozbrzmiewające tak blisko ktoś skierował wprost do niego. Jednak natychmiast zdał sobie sprawę, że wypowiedział je człowiek, który przyszedł, by zmienić strażnika pełniącego wartę przez ostatnie cztery godziny.

- Wreszcie raczyłeś się przywlec - mruknął urągliwie ten, który dotychczas pełnił wartę. Uczynił to takim tonem, jakby czuł się urażony. Zwyczajna rzecz, wartownikom zawsze wydaje się, że zmiennicy nadchodzą zbyt późno. Will słyszał, jak bandyta zbiera

swoje manatki, aby powędrować do obozu i udać się na spoczynek.

Nowo przybyły zignorował marudny ton głosu towarzysza. Stwierdził tylko:

- Przytulny zakątek sobie znalazłeś, szkoda gadać.

- No, pewnie. Tully cię stąd nie wypatrzy, to najważniejsze. A poza tym, jakby spadł deszcz, tu, pod drzewami, nie zmokniesz.

Aha, stwierdził Will, czyli zawiadujący strażnikami ma na imię Tully.

- No, zmywam się. Co dzisiaj do żarcia? - zapytał strażnik zdający wartę.

- Obłeci. Myśliwi upolowali jelenia i parę gęsi. Akurat tym razem kucharze wszystkiego nie przypalili.

Schodzący z warty strażnik mruknął, zadowolony.

- Czyli najwyższy czas, żebym się posilił. Umieram z głodu. A ty baw się dobrze - rzucił towarzyszowi ironiczne pożegnanie.

- Dzięki ci wielkie - odparł zmiennik identycznie brzmiącym tonem.

Will, ze sposobu, w jaki mężczyźni się do siebie odnosili, wywnioskował, że to dobrzy znajomi, ale nie bliscy przyjaciele.

Wykorzystał chwilę, kiedy rozmawiali, przysunął się jeszcze bliżej, jako że podczas wymiany zdań nie usłyszeli go, nawet gdyby narobił trochę hałasu. Nie obawiał się, by któryś go dostrzegł; pod tym względem mógł bez wahania zaufać maskującemu strojowi i panującym ciemnościom. Znajdował się już w odległości zaledwie trzech metrów od nowego wartownika. Upewnił się, że kaptur dokładnie zaciemnia jego twarz. W pięści zaciskał obuch. Zbliżał się do wartownika po łuku, by zająć go od tyłu. Czekał, przyciśnięty plecami do drzewa, aż ucichną kroki zluzowanego strażnika. Tak jak się spodziewał, nowo przybyły potrzebował chwili, żeby urządzić się wygodnie. Na ten czas odłożył broń.

Will uznał, że nadszedł właściwy moment - póki myśli tamtego zajmowała jeszcze odbyta dopiero co rozmowa. Wyrzwał zza drzewa. Mężczyzna stał do niego plecami. Uzbrojony był we włócznię oraz nabijaną ćwiekami maczugę, która zwisała mu u pasa. Płaszcz wartownika leżał zwinięty obok, na ziemi. Przypuszczalnie zamierzał się nim okryć, kiedy nastanie większy chłód. Obok stał kubek, a także manierka. Will przysunął się bliżej. Tamten tymczasem przysiadł na głazie, z włócznią w prawej dłoni. Westchnął cicho - jak wzdychać może ktoś, kto musi pogodzić się z czterema godzinami nudy.

Will uderzył mocno, za uchem. Westchnienie, choć trwało jeszcze, przerodziło się od razu w stłumione stęknięcie. Mężczyzna upadł bokiem na kamień, nieprzytomny. Wypuścił z dłoni oręż, włócznia potoczyła się w przeciwną stronę, prawie nie czyniąc hałasu na miękkim poszyciu.

Will stał nad bezwładnym ciałem przez kilka chwil, z obuchem w pogotowiu, gotów w razie potrzeby zadać kolejny cios.

Jednak wartownik został na dobre wyłączony z akcji. Jego ręce i nogi ułożyły się dziwacznie, co wskazywało na całkowity brak napięcia mięśni. Will mógł mieć pewność, że ogłuszony nie przyjdzie do siebie jeszcze przez co najmniej godzinę. Oznaczało to dość czasu, by dokonać rozpoznania w obozowisku. Przewrócił mężczyznę na plecy i uchwyciwszy go za ramiona, zaciągnął jego bezwładne ciało pod pień drzewa. Jak zwykle przy takich okazjach, nie mógł się nadziwić, że gdy zwiotczą mięśnie, ciało staje się niezwykle ciężkie. Ulokował mężczyznę w pozycji półsiedzącej, ręce i nogi ułożył tak, żeby wyglądało, iż strażnik śpi, a potem sięgnął po butelkę z gorzałką. Pokropił szczerze płynem serdak nieprzytomnego mężczyzny, następnie rozwarł mu usta i wlał nieco do środka.

Postąpił dwa kroki do tyłu, przyjrzał się swojemu dziełu. Kiedy wartownik odzyska przytomność i podniesie alarm, smród alkoholu sprawi, że cokolwiek powie, nie będzie się to wydawało wiarygodne. Resztę wódki Will wylał na ziemię, położył butelkę obok prawej ręki strażnika. Nie zwlekając, owinął się płaszczem i wychynął na otwartą przestrzeń, dzielącą las od obozowiska.

Przypadł do ziemi. Czołgając się, dotarł do pierwszych namiotów, ale nie zatrzymał się, nim nie minął dwóch pierwszych rzędów. Dopiero wtedy, znalazłszy się w cieniu między dwoma namiotami, wstał ostrożnie. Odczekał kilka chwil.

Nic nie wskazywało na to, by ktoś go zauważył. Zsunął kaptur, wyszedł z cienia i swobodnym krokiem ruszył przez obozowisko, kierując się ku głównemu namiotowi. Po drodze spostrzegł wiadro pełne wody. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś patrzy. Ponieważ jednak nikt nie zwracał na niego uwagi, pochwycił naczynie i ruszył przed siebie.

Kilka metrów dalej minęło go trzech mężczyzn. Nawet nie spojrzeli w stronę zwiadowcy, przekonani, że widzą jednego z towarzyszy, który właśnie wraca, zaczerpnąwszy wody. *Zawsze staraj się sprawiać wrażenie, że jesteś czymś zajęty, że robisz coś, co służy jakiemuś celowi - tę zasadę Halt wpoił mu już wiele lat temu. - Kto zajęty jest swoimi sprawami, nie wzbudza podejrzeń* - powiadał. I rzeczywiście po co kryć się, po co przemykać od cienia do cienia, skoro przecież żaden ze stu pięćdziesięciu bandytów nie znał wszystkich pozostałych. Tak było prościej i szybciej.

- Halt jak zwykle miał rację - mruknął Will do siebie gdy wnikał coraz dalej w głąb obozu nieprzyjaciela.

ROZDZIAŁ 21

Przyglądając się obozowisku ze swojego punktu obserwacyjnego, Will zanotował w pamięci, jak zostało rozplanowane. Miejsce, w którym pichcono strawę dla całej bandy, usytuowano pośrodku. Sensowne rozwiązanie. Gdyby w tak dużym zgromadzeniu paleniska umiejscowiono po jednej tylko stronie, niektórzy musieliby przemierzać cały teren, aby otrzymać należne porcje. Rozkład centralny gwarantował każdemu wygodny dostęp do pożywienia. Rzecz jasna, do najlepszych miejsc zaliczały się pozycje usytuowane najbliżej kucharzy. Mieszkańcy namiotów rozbitych wokół paleniska mogli zawsze liczyć na ciepłe posiłki. Dlatego też tam właśnie obozowała starszyzna, zbójcy postawieni wyżej w hierarchii bandy. Ci, którzy koczowali na samym skraju, spożywali jadło zimne lub co najwyżej ledwo ciepłe.

Z tej właśnie przyczyny namiot dowódcy znajdował się w pobliżu stanowisk kucharskich. Jego lokator miał pod dostatkiem stawy gorącej i świeżej, choć nie obozował tak blisko, żeby mu przeszkadzał swąd oraz dym.

Will od razu skierował kroki w tamtą stronę. Drogę wskazywały mu iskry, strzelające wysoko w niebo i poświata, widoczna z każdego miejsca w obozowisku: paleniska, na których warzono jadło dla półtorej setki ludzi, musiały być liczne i pokaźnych rozmiarów.

Wkrótce dotarł w pobliże ognisk. Płoneły na pustej przestrzeni, a wokół kręciło się mnóstwo ludzi, zajętych kucharzeniem. Zgodnie z tym, co rzekł wartownik, na roznach obracały się jelenie tusze. Na osobnym palenisku pieczono kilka gęsi, za każdym obrotem skapywały z nich krople tłuszczu, który podsyczał płomienie i przyskał we wszystkie strony. Nad mniejszymi ogniskami zawieszono pokaźnych rozmiarów kotły. Ociekający potem kuchcik, którego twarz w blasku ognia połyskiwała czerwienią, właśnie wsypał do jednego z garów całe wiadro obranych kartofli, po czym natychmiast odskoczył, by uniknąć poparzenia wrzątkiem.

Obserwujący wszystko Will pamiętał jednak, że nie wolno mu się zatrzymywać ani na moment. Jakby to wyglądało, gdyby stanął w miejscu i zaczął się gapić - prędzej czy później

ktos zainteresowałby się, kim jest oraz czego tutaj szuka. Rzecz jasna, nim wyszedł z ukrycia, zsunął kaptur, a maskujące wzory jego płaszcza nie zwracały szczególnej uwagi w migocącym świetle ognia. Łuk i strzały powierzył opiece Wyrwija, uzbrojony więc był tylko w oba noże. Nie odróżniał się niczym specjalnym od mieszkańców obozowiska. Jeśli będzie uważał, by nie zachowywać się nienaturalnie, raczej nic mu nie grozi. Ruszył nieśpiesznym krokiem w stronę osobnika, który wsypał ziemniaki do kotła. Kucharz rzucił mu gniewnie spojrzenie.

- Jak żarcie się upichci, to się was zawoła - warknął opryskliwie. Kucharze przywykli, że inni członkowie bandy wciąż mają im coś za złe. Posiłki wiecznie się spóźniały, zresztą okazywały się albo za zimne, albo przypalone - albo po prostu zbójcom nie smakowały.

Will zaprzeczył ruchem ręki, dając do zrozumienia, że wcale nie ma zamiaru ponaglać kucharza ani domagać się od niego jakichś specjalnych faworów.

- John powiedział, że mam przynieść wody - oznajmił.

Akurat tych dwóch rzeczy mógł być pewien: w tak dużym obozie bez wątplenia przebywa co najmniej kilku mężczyzn imieniem John. Po drugie zaś, obozowym kucharzom zawsze trzeba wody. Jego rozmówca zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam, żebym wydawał takie polecenie - rzekł naburmuszonym tonem. - Coś mu się chyba pomyliło.

Will wzruszył ramionami, zbierając się do odejścia. Podniósł wiadro, które zdążył tymczasem postawić na ziemi.

- Nie, to nie - mruknął. Ale kucharz powstrzymał go czym prędzej, bo choć na razie wody mu nie brakowało, to wiedział doskonale, że w którymś momencie okaże się jednak potrzebna.

- Postaw tutaj. Zawsze się przyda.

- No i dobrze. - Will odstawił wiadro. Kucharz gburowato skinął głową.

- Podziękuj ode mnie Johnowi - mruknął, na co Will obruszył się:

- A czy przypadkiem nie sądzisz, że to właśnie jemu, a nie mnie kazali przytargać wiadro przez cały obóz? - rzekł z urazą w głosie.

- Święta racja. - Kucharz domyślał się, że po wodę posłał Johna któryś z jego kolegów, lecz spryciarz wyręczył się młodszym towarzyszem. Nie zamierzał jednak wyprowadzać chłopaka z błędu, zresztą pojął aluzję zawartą w jego słowach: - Zajrzyj do mnie, jak zaczniemy wydawać jadło. Coś dobrego pewno wpadnie ci do michy.

Will uniósł dłoń do czoła w niedbałym geście pożegnania.

- Wielkie dzięki - rzekł i ruszył w przeciwnym kierunku. Po kilku krokach zerknął

przez ramię. Kucharz już całkiem o nim zapomniał. Szedł więc dalej stanowczym krokiem, spoglądając teraz w stronę odległego o kilkanaście metrów namiotu dowódcy. Rozbito go w pewnej odległości od pozostałych, na szczycie niewielkiego wzniesienia. Przed wejściem płonęło duże ognisko, straż pełniło dwóch wartowników. Chwilę potem pojawiło się trzech mężczyzn, którzy opowiedzieli się, wyjaśniając, w jakiej sprawie przychodzą i zostali wpuszczeni do środka. Niedługo zjawił się też służący z tacą, na której niósł kubki z grubego szkła oraz flaszkę wina. Jemu także pozwolono wejść; po chwili pojawił się z powrotem, już z pustymi rękami.

Will przeszedł dalej, trzymając się w rozsądnej odległości, po przeciwnej stronie placu. Kątem oka wciąż przyglądał się namiotowi wodza. Owszem, od frontu strzegło go dwóch zbrojnych, lecz dałby głowę, że od tyłu nie napotka wart. Z pewnością obecność strażników stanowiła raczej oznakę władzy herszta, nie postawiono ich tu dla zapewnienia mu bezpieczeństwa. Kto by się spodziewał napaści na dowódcę przebywającego w namiocie rozstawionym pośrodku obozowiska? Po chwili Will znalazł się znów między rzędami namiotów, rozbitych w niewielkiej odległości od siebie. Minął kilka kolejnych; bandyci wylegiwali się wewnątrz lub u wejścia, grzejąc się przy ogniu i gawędząc. Któryś spojrzał, choć bez szczególnego zainteresowania, więc Will mruknął pod nosem zdawkowe pozdrowienie - tamten w odpowiedzi uniósł dłoń. Po chwili zwiadowca doszedł do miejsca, gdzie stało kilka namiotów, przed którymi nie płonęły ogniska, a mieszkańcy wyraźnie przebywali gdzie indziej - może wyprawili się na jakąś zbójcką ekspedycję. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, po czym dał nura między dwa ciemne namioty. Skulony, przedostał się na tyły, do następnego rzędu. Padł na ziemię i nasunął kaptur. Leżał, nieruchomy jak cień, obserwując pustą przestrzeń, którą musiał przebyć. Niewiele się tam działo. Odczekał na wszelki wypadek kilka minut, po czym wstał bezszelestnie, by w następnej chwili zniknąć między kolejnymi dwoma namiotami, po drugiej stronie. W jednym siedzieli jacyś ludzie, światło lampki rzucało ich cienie na płótno. Przekradł się ku następnej alei. Teraz, o ile się nie mylił, powinien już znajdować się na tyłach namiotu dowódcy. Przez moment obserwował teren, następnie wstał i swobodnym, nieśpiesznym krokiem ruszył w stronę, z której przyszedł.

Nie minęła chwila, gdy znów zobaczył siedzibę herszta. Rozpoznał ją od razu po rozmiarach i usytuowaniu. Czyli wyliczenia okazały się trafne, znalazł się tam, gdzie zamierzał. Nie mylił się też, przypuszczając, że po tej stronie nie spotka wartowników. Obrany przez Willa cel otaczała jednak pusta przestrzeń, toteż nie mógł liczyć, że uda mu się podejść tam z głupia frant. Ruszył więc dalej między namiotami, do następnej alei.

Tu i ówdzie napotykał co prawda grupki siedzących mężczyzn, ale dwa namioty znajdujące się najbliżej otwartej przestrzeni na szczęście okazały się ciemne i puste. Will rozejrzał się. W namiocie znajdującym się po jego lewej stronie świeciła się lampa, lecz zasłona przy wejściu była zaciągnięta. Obok małego ogniska piętrzyła się sterta chrustu. Podeszedł szybko i zarzucił spory pęk suchych gałęzi na ramię. Uginając się pod ciężarem, ruszył aleją, mijając po drodze siedzących. Nawet na niego nie spojrzeli. Gdy dotarł do ostatniego namiotu, cisnął brzemień obok ogniska i jednym szybkim ruchem wślizgnął się w cień. Przypadł do ziemi, okrył się płaszczem, nasunął kaptur.

Czołgając się jak wąż, przebył kilka metrów po otwartej, lecz nieoświetlonej przestrzeni. Po chwili zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie spostrzegł jego poczynąń. Ale nie, w obozowisku panował spokój, jeśli nie liczyć gwaru ożywionych głosów. Zerknął przed siebie, by upewnić się, że zmierza we właściwym kierunku i ruszył dalej. Maskujący wzór na płaszczu sprawiał, iż zarys jego sylwetki pozostawał całkiem niewidoczny wśród cieni i nierówności gruntu.

Nie zamierzał mimo wszystko ryzykować, więc posuwał się do przodu powoli, bardzo ostrożnie. Przebycie kilkunastu metrów zajęło mu aż dziesięć minut. W pewnej chwili spośród rzędów namiotów wyłoniła się grupka obwiesi, którzy najwyraźniej ruszyli akurat w jego stronę. Naliczył czterech. Minęli go niebezpiecznie blisko. Leżąc w całkowitym bezruchu, czuł, jak serce tłucze mu się o żebra i choć wiedział doskonale, że to niemożliwe, mimo woli obawiał się, żeby nie dosłyszeli tego odgłosu. Niejednokrotnie już zdarzało mu się znajdować w takiej sytuacji, a jednak nie potrafił wyzbyć się instynktownego lęku, że tym razem na pewno go zauważą: przecież nie sposób nie dostrzec kogoś, kto leży tak blisko!

Tymczasem czterej pijani bandyci, którzy postanowili odwiedzić wodza, rozprawiali głośno, zataczali się, potykali na nierównym terenie - z pewnością nie dostrzegliby nawet dziesięciu ukrytych w trawie zwiadowców... Przeszli obok, okrążyli namiot, zbliżyli się do wejścia. Jeden ze strażników postąpił krok do przodu, wyciągając rękę, by ich zatrzymać. Will przekrzywił głowę na bok, chciał bowiem widzieć, co się dzieje.

- Ej, wy, tam. Ani kroku dalej - zawołał wartownik. Ktokolwiek obdarzony odrobiną rozsądku uzmysłowiłby sobie od razu, że polecenie wypowiedziane zostało tonem nieznoszącym sprzeciwu oraz sformułowane w sposób bardzo stanowczy, bez cienia żartu. Jednak podchmieleni zbóje stracili instynkt samozachowawczy, utopiwszy go w gorzałce.

Zatrzymali się jednak. Teraz stało się oczywiste, że wszyscy lekko chwieją się na nogach.

- My na słówko do Pradaiga - oświadczył dość bełkotliwie jeden.

Wartownik potrząsnął głową.

- Dla ciebie to kapitan, Murphy. I zapewniam cię, że kapitan Pradaig nie ma ochoty z tobą gadać.

- Chcemy złożyć skargę, mamy do tego prawo - mężczyzna zwany Murphym nie dawał za wygraną. - Każdemu wolno zwrócić się do Pradaiga, jak mu co leży na duszy, no nie? W naszej bandzie wszyscy jesteśmy równi, jak bracia. Nie jest tak?

Jego kompanioni przytaknęli zgodnym chórem. Ruszyli do przodu, lecz wartownik opuścił włócznię. Zatrzymali się więc znowu. Uwagę wszystkich przykuł głos dobywający się z wnętrza namiotu.

- Równi, czy nie, ale ja tu jestem najrówniejszy, a kto to sobie zapamięta, dłużej pożyje. Quinn!

Strażnik wyprostował się i odwrócił w stronę namiotu. Zareagował bez wątpienia na głos Pradaiga, herszta bandytów - doszedł do wniosku Will. Głos szorstki, oschły. Głos człowieka nawykłego do posłuchu bez szemrania.

- Tak jest, kapitanie! - odparł słuźbiście wartownik.

- Wyjaśnij tym pijanym głupcom, że jeśli nie przestaną mi zawracać głowy, obetnę im uszy tępym nożem.

- Tak jest, kapitanie! - odpowiedział raz jeszcze Quinn. Następnie, przyciszonym głosem, zwrócił się ponagląco do pijanych natrętów: - Sam słyszałeś, Murphy! Wiesz dobrze, że z naszym kapitanem nie ma żartów. A teraz jazda stąd!

Murphy przybrał buńczuczny wyraz oblicza, bo nie chciał tak od razu się wycofywać - żeby w oczach towarzyszy nie wyjść na słabeusza - jednak widać było, że się przestraszył i zrezygnuje pod pierwszym lepszym pretekstem.

- Jazda stąd, powiadam! - ponaglił Quinn.

- No, już dobrze, dobrze - mruknął Murphy. - Przecież nie chcemy zakłócać odpoczynku wielkiemu panu kapitanowi. Gdzieżby znowu!

Skłonił się przesadnie nisko, po czym zawrócił i wraz z towarzyszami oddalił się chwiejnym krokiem w stronę namiotów.

Gdy Will uświadomił sobie, że uwaga wartownika skupiona jest na pijanych warchołach, szybko przesunął się do przodu, by skryć się w cieniu rzucanym przez namiot dowódcy. Znalazłszy się tuż przy jego tylnej ścianie, zsunął kaptur z ucha, żeby lepiej słyszeć.

- ...No, to jak mówiłem: o świcie Driscoll weźmie trzydziestu ludzi i wyruszy do Mountshannon. Pojedziecie doliną, to krótsza droga - przemawiał Pradaig, który przed chwilą

groził, że poucina pijakom uszy.

- Na pewno trzydziestu wystarczy? - spytał inny głos.

Jeszcze inny wtrącił niecierpliwie:

- Nawet dwudziestu byłoby dość, żebym załatwił, co mam do załatwienia. Ale jak wezmę trzydziestkę, zgotuję lepsze przedstawienie - teraz z pewnością perorował właśnie ów Driscoll. Z kolei głos znów zabrał Pradaig:

- I o to chodzi. A teraz wy, czyli cała reszta: macie być gotowi w południe. Pojedziemy granią do Craikennis. Driscoll niech spotka się z nami na skrzyżowaniu dróg pojutrze rano, a potem urządzimy razem następne przedstawienie, tyle że w Craikennis.

Człowiek imieniem Driscoll zaśmiał się.

- Trochę więcej niż przedstawienie. Tam nie będzie świątobliwego kapłana, który pośle nas w diabły.

Pozostali zarechotali hałaśliwie. Will zmarszczył czoło. Odniósł nieprzyjemne wrażenie, że usłyszał coś ważnego, ale nie całkiem zrozumiał, w czym rzecz. Przysunął się jeszcze bliżej do płóciennej ściany. Usłyszał brzęk szkła i bulgot wina nalewanego do szklanic. Bandyci nie żalowali sobie. Potem jeden czy drugi odetchnął z wyraźnym upodobaniem - taki właśnie odgłos wydaje ktoś, kto upił pokaźny łyk smakowitego trunku.

- Niezłe masz zaopatrzenie, Pradaig, bez dwóch zdań - tego akurat głosu Will jeszcze dotąd nie słyszał.

- Za parę dni dostaniemy więcej, z tego samego źródła - oznajmił Pradaig. - Teraz dalej: kiedy spotkamy się z Driscollem, zrobimy, co następuje...

Willowi nie było jednak sądzone dowiedzieć się, co ma nastąpić potem. W tej właśnie chwili u skraju obozowiska wybuchło zamieszanie. Czyjś gniewny głos górował nad pozostałymi, wydając rozkazy; rozległy się okrzyki ze wszystkich stron, ludzie biegli w stronę lasu.

Will wiedział już, co się wydarzyło. Po prostu wyszło na jaw, że jeden ze strażników strzegących obozu leży nieprzytomny. Zdał sobie sprawę, że niczego więcej już się nie dowie, więc wycofał się pospiesznie. Wiedział, że nikt nie zwróci nań uwagi, bo uwaga wszystkich skierowała się teraz na źródło tak gwałtownie powstałego zamętu. Gdy dotarł do pierwszych namiotów, na wszelki wypadek rozejrzał się, a potem wstał i zaczął biec w tym samym kierunku, co bezładne grupki zbrojnych. Dostrzegł po drodze pęk włóczni opartych o namiot, pochwyił jedną - pozostałe runęły na ziemię z trzaskiem, niczym olbrzymie bierki. Po chwili wypadł na otwartą, porośniętą trawą przestrzeń, oddzielającą obóz od lasu. W tę samą stronę obok Willa gnało jeszcze kilku ludzi. Słyszał okrzyki dowódców usiłujących zaprowadzić

jakiś ład w całym zamieszaniu - tymczasem Willowi rozgardiasz był jak najbardziej na rękę.

- Tędy! - wrzasnął, nie zwracając się do nikogo konkretnego i skręcił w stronę miejsca odległego o dobre pięćdziesiąt metrów od powalonego strażnika. Im więcej hałasu narobi, im bardziej ostentacyjnie się będzie zachowywał, tym mniejszą zwróci na siebie uwagę. Nie wątpił, iż nawet gdyby ktoś rzeczywiście zechciał za nim podążyć, skoro już znajdzie się w lesie, zdoła go zgubić w ciągu kilku minut.

Obejrzał się przez ramię, ale nikt nie uznał za stosowne ruszyć jego śladem. Już rozeszła się wieść, że nic takiego się nie dzieje, po prostu jeden ze strażników usnął na służbie. Ci z bandytów, którzy zdążyli dobiec do drzew, wracali, uspokojeni. Pozostali na ich widok zwalniali biegu lub zatrzymywali się w pół drogi.

Żaden nie zauważył, kiedy Will dał nura pomiędzy drzewa. Zniknął, pochłonęły go ciemności. Pozostała tylko włócznia - cisnął ją w trawę, bowiem nie była mu już potrzebna.

Biegając bezgłośnie przez las, uśmiechał się do siebie. Tego wieczoru kilku mieszkańców obozu czekają większe lub mniejsze przykrości. Właściciel włóczni wścieknie się, nie mogąc odnaleźć oręża - bowiem chodziło o broń wysokiej klasy, a zatem kosztowną. Ten, który zbierał pęk chrustu, też bez zachwyty przekona się, że najwidoczniej któryś z kompanionów przywłaszczył sobie wiązkę.

Co do obezwładnionego wartownika, jego los był zgoła nie do pozazdroszczenia. Na próżno będzie się tłumaczył, że go napadnięto. Zwłaszcza, kiedy zionie gorzałką. Najprawdopodobniej zostanie ukarany - zapewne surowo. Aby utrzymać dyscyplinę w takiej zbieraniu mętów i rzezimieszków, dowódcy uciekali się do drakońskich metod, niekiedy naprawdę przerażająco okrutnych. A upicie się podczas warty z pewnością należało zaliczyć do najpoważniejszych wykroczeń.

Podsumowując, całkiem udany wieczór. Napsuł krwi co najmniej trzem złoczyńcom...

- Dobra robota - stwierdził z satysfakcją.

ROZDZIAŁ 22

Plac targowy okazał się właściwie rozległą łąką na wschodnim krańcu miasteczka. Od północy i południa okalały go pola uprawne; niektóre dopiero zaorano, na innych zieleniły się już zboża. Po wschodniej stronie znów zaczynał się las.

- Patrz, kogo tu mamy - rzekł półgłosem Halt. Horace spojrział w tym samym kierunku. Opodal, w południowo zachodniej części łąki, wznosił się okazałych rozmiarów biały namiot. Wokół kręciły się odziane na biało postacie, zajęte rozpalaniem ognia i przygotowywaniem posiłku.

- To oni? - upewnił się Horace, a Halt skinął głową.

- Owszem.

Rozbili dwa małe namioty przy jednym z poczerniałych kamiennych kręgów.

- I co teraz? - zainteresował się Horace.

Halt zerknął na niebo. Południe już minęło.

- Teraz coś przekąsimy - oznajmił. - A potem pójdziemy posłuchać, co Tennyson ma do powiedzenia.

Oblicze Horace'a rozjaśniło się na wzmiankę o posiłku.

- Szczególnie pierwsza część twojego planu przypadła mi do gustu.

* * *

Późnym popołudniem wokół obozowiska Odszczepieńców zaczęli gromadzić się gapie. Halt i Horace przyłączyli się do zgromadzonych, których liczba rosła z każdą chwilą. Halt uniósł jedną brew, gdy ujrzał, że pod obszernym baldachimem wyznawcy wystawili kilka beczulek piwa oraz wina i szczerze częstowali wszystkich chętnych trunkami.

- Zawsze to jakiś sposób na pozyskanie słuchaczy - mruknął do Horace'a. Przecisnęli się przez spragnionych darmowego poczęstunku. - Postaraj się wyglądać niepewnie.

Wysoki wojownik zmarszczył czoło.

- A jak to się robi?

- Trzeba, żebyś sprawiał wrażenie kogoś, kto nie jest całkiem pewien, czy powinien się tu znajdować - wyjaśnił Halt. - Jak ktoś niepewny siebie.

- Ależ tak właśnie jest. Wcale nie jestem pewien, czy nie powinienem przebywać zupełnie gdzie indziej. Na przykład w gospodzie - zapewnił Horace.

Halt westchnął ciężko.

- Och, nie wątpię. Ujmijmy rzecz inaczej: nie stąpaj tak pewnym krokiem i spuść nieco czoło. Wyobraź sobie, że w każdej chwili mogę cię walnąć w głowę. To powinno wystarczyć.

- Ale za co? - spytał Horace, uśmiechając się lekko. - Za co chcesz mi dać w głowę?

Halt rzucił młodzieńcowi lodowate spojrzenie. Nim jednak zdążył się odezwać, przerwał im donośny głos:

- Witajcie, przyjaciele! Witajcie!

Głos głęboki, dźwięczny, dobitny, głos doświadczonego mówcy. Halt i Horace odwrócili się w stronę, z której dochodził. Ujrzeni wysokiego, mocnej budowy mężczyznę w długiej białej szacie, który w prawej dłoni dzierżył laskę. Po jego bokach, lecz o krok z tyłu, podążali dwaj zdumiewająco podobni do siebie mężczyźni. Każdy z nich miał ponad dwa metry wzrostu, obaj sylwetkami przywodzili na myśl atletów i obaj byli zupełnie łysi. Choć przywódca też wcale nie zaliczał się do ułomków, przy tych dwóch prezentował się wręcz skromnie. Horace taksował ich przez krótką chwilę wzrokiem, po czym znów zwrócił uwagę na kapłana.

Twarz miał szeroką, o wyrazistych rysach i dużym nosie. Oczy lśniły mu niesamowitym odcieniem błękitu. Sprawiały wrażenie, jakby ich właściciel spoglądał dalej niż zwykli śmiertelnicy i widział rzeczy dla nich niedostrzegalne. Horace gotów był się założyć, że mężczyzna ów troskliwie dba o podtrzymywanie stosownego wrażenia także za pomocą wszelkich innych dostępnych środków. Patrząc z bliska, stwierdził ponadto, iż ma do czynienia z człowiekiem silnie zbudowanym, lecz zarazem nieco otyłym. Z pewnością nie z wojownikiem. Kroczył z gołą głową; całkiem siwe włosy sięgały mu ramion, zaczesane były do tyłu. Nie szpakowate, jak włosy Halta, lecz jednolicie siwe, prawie białe. Przybyły rzucił szybko okiem na Halta i Horace'a, po czym zwrócił się od razu do zwiadowcy, bezbłędnie rozpoznawszy, który z nich dwóch jest tu ważniejszy:

- Jesteście nowi w tym mieście. - Przemawiał tonem przyjacielskim, uśmiechając się na powitanie. - Widziałem, żeście dopiero dziś przybyli.

Halt skinął głową. Nawet nie próbował odwzajemnić uśmiechu.

- A wy co? Robicie jakiś spis tych, co na targ zjechali? - odparł niemal opryskliwie.

Horace nie odzywał się, pozostawiając trud prowadzenia rozmowy Haltowi. Zdał sobie

sprawę, że zwiadowca odgrywa rolę typowego wieśniaka - podejrzliwego, nieufnego wobec obcych. Kapłan zresztą wcale się nie obraził, wręcz przeciwnie. Sprawiał raczej wrażenie rozbawionego przypuszczeniem Halta.

- Skądże znowu. My tylko cieszymy się za każdym razem, gdy dane nam jest powitać nowego przyjaciela.

- A odkąd to jesteśmy przyjaciółmi? - Halt nie dał się tak łatwo udobruchać.

Rosły kapłan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jestem sługą Złotego Boga Alsejasza. On zaś powiada, że wszyscy ludzie są moimi przyjaciółmi, ja zaś winieniem być im przyjacielem.

Halt wzruszył ramionami, nadal nieprzekonany.

- Nie powiem, żebym o takim kiedy słyszał - burknął. - To jakiś nowy, czy co? Rodem z innej części nieba?

Ich rozmówca roześmiał się serdecznie, szczerze ubawiony. Horace przyłapał się na myśli, że gdyby nie wiedział, kim jest ów człowiek, pewnie by go polubił.

- Przyznaję, że Alsejasz nie jest dobrze znany w tej części kraju - odpowiedział kapłan - lecz to się zmieni. Tak przy okazji, na imię mam Tennyson. Jestem kapłanem Złotego Boga, a to moi pomocnicy, Gerard i Killeen, także wierni słudzy Alsejasza. - Wskazał ruchem dłoni dwóch milczących olbrzymów stojących za nim. - Witamy serdecznie w naszym obozowisku.

Ani Gerard, ani Killeen nie sprawiali szczególnie serdecznego wrażenia. Horace'owi przyszło na myśl, że powitanie Tennysona kryło w sobie pewien istotny, choć niewypowiedziany przekaz: „Witajcie, a jak mi podpadniecie, ci dwaj zrobią z wami porządek”.

Tymczasem Tennyson ciągnął dalej:

- Proszę, bądźcie naszymi gośćmi. Alsejasz naucza, iż winniśmy dzielić się jadłem oraz napitkiem z przyjaciółmi. - Znow obdarzył ich promiennym uśmiechem. - Zwłaszcza z nowymi przyjaciółmi.

Tym razem jego powitalny uśmiech zwrócony był zarówno do Halta, jak i do Horace'a. Potem kapłan odwrócił się. Spojrzał na tłumek gromadzący się wokół podium wzniesionego po drugiej stronie baldachimu.

- Na mnie już czas - oznajmił. - Bądźcie pozdrowieni.

Uniósł dłoń, wykonał półkolisty ruch, który najwyraźniej oznaczał błogosławieństwo. Zmierzając ku podwyższeniu w towarzystwie przybocznych, zatrzymywał się to tu, to tam, by zamienić kilka słów lub obdarzyć zgromadzonych takim samym błogosławieństwem.

- A więc to jest Tennyson - rzekł cicho Halt. - Jakie wywarł na tobie wrażenie?

Horace zastanowił się, a potem z pewną niechęcią stwierdził:

- Prawdę mówiąc, dosyć duże.

Halt przytaknął:

- No, właśnie.

Wśród zgromadzonych przeszedł szmer zaciekawienia, gdy Tennyson wstąpił na podium. Kapłan uśmiechnął się i uniósł ręce. Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Gdy przemówił, słowa rozbrzmiewały gromko, słyszane wyraźnie ze sporej odległości, toteż nawet w najdalszym zakątku pod baldachimem nikt nie musiał pochylać się, czy nadstawiać ucha.

Tennyson bez wątpienia doskonale opanował sztukę oratorską, bo panował nad publicznością niczym wytrawny aktor. Jak przystało na doświadczonego mówcę, zaczął od żartu - a zażartował z samego siebie, opowiadając, jak ośmieszył się, próbując wydoić krowę. Dla jego słuchaczy, wieśniaków z krwi i kości, dojenie to czynność naturalna i oczywista, toteż wszyscy śmiali się do rozpuku, gdy opowiadał o swym niepowodzeniu. Potem przeszedł gładko do tego, iż wszak różni ludzie obdarzeni są różnymi uzdolnieniami oraz posiadają inne umiejętności, a rzecz w tym, by współdziałali ze sobą, by każdy czynił to, co potrafi najlepiej. Następnie już tylko krok dzielił go od stwierdzenia, że w trudnych czasach, jak obecne, trzeba trzymać się razem.

- Na tym świecie nie brak bowiem ludzi podłych, podstępnych. Służą oni czarnemu demonowi, imieniem Balsennis. Dokądkolwiek się udam, natychmiast dostrzegam złowieszczy ślad jego mrocznych knozań, które niosą smutek, rozpacz, które sprowadzają śmierć na mieszkańców tej pięknej krainy - oznajmił. - Gdzie szukać pomocy, jakiego nam trzeba wsparcia, by ich pokonać, by wygnać ich precz? By w kraju tym, jak ongiś, zapanował pokój i dobrobyt? Kto, powiadam, kto nam dopomoże?

- Może król? - odezwał się pytającym tonem głos z widowni. Halt był pewien, że wypowiedział te słowa jeden z podstawionych ludzi Tennysona.

Rosły mówca uśmiechnął się smutno.

- Król, powiadacie? Trudno nie przyznać, że jego to rola, on bowiem jako władca tej krainy powinien przywrócić w niej ład i porządek. Lecz zaprawdę, cóż uczynił król, by położyć kres waszym udrękom?

Tu i ówdzie rozległy się gniewne pomruki. Tennyson dotknął czułego punktu. Jednak tutejsi ludzie nie wpadli jeszcze w taką desperację, by otwarcie się zgadzać z przybyszem. W skrytości ducha, w poufnych rozmowach wszyscy się co do tego zgadzali. Jednak przyznać taką rzecz wszem i wobec, to całkiem inna sprawa. Zakrawało to bowiem na bunt, jawny sprzeciw wobec królewskiej władzy, a więc postępowanie nader nieroztropne.

Tennyson pozwolił, by zgromadzeni przetrwali przez krótką chwilę jego słowa, a potem podjął:

- Wybaczcie, przyjaciele moi, lecz ja nie widzę, by czynił cokolwiek. A może się mylę, może oku mojemu uszły zbrojne zastępy nadciągające, by przegnać bandytów, rozmaitych opryszków spod ciemnej gwiazdy, którzy pustoszą ten kraj? Wszak to król dzierży niepodzielną władzę, czyż nie, przyjaciele? Bo powiedzcie sami, czy komukolwiek innemu wolno posiadać własne wojska?

Z kilku miejsc w tłumie rozległa się głośna odpowiedź:

- Nie!

Również ludzie Tennysona - pomyślał Halt. Potem zaś okrzyki rozlegały się coraz liczniej, coraz głośniej. Ten i ów uniósł pięść, potrząsając nią w powietrzu. Tennyson dał znak nakazujący ciszę, więc wrzawa stopniowo umilkła.

- Otóż zaiste, poddani winni są wierność swojemu królowi. Wszyscy o tym wiemy... - zaczął, a w tłumie odezwały się głośne protesty, jakby sądzono, że kapłan zamierza bronić króla Ferrisa.

Tennyson znów uciszył gawieź ruchem ręki, choć tym razem trwało nieco dłużej, nim sprzeciw zgasł.

- Jednak... - odezwał się, mówił z naciskiem: - Jednak wierność zobowiązuje obie strony. Poddani winni wiernie służyć swojemu władcy, a władca winien wiernie otaczać ich swą królewską opieką. W przeciwnym razie... - urwał, a zgromadzeni odruchowo pochylili się nieco do przodu, nasłuchując kolejnych słów, choć domyślali się już ich sensu: - ...król nie może rościć sobie pretensji do wierności swoich poddanych - dokończył.

Zgromadzeni powitali tę wypowiedź gromkim rykiem, całkiem już wyzbywszy się lęku. Halt przysunął się do Horace'a i szepnął mu na ucho:

- Niebezpieczna sprawa. Otwarte nawoływanie do buntu. Musi być piekielnie pewny siebie.

Horace skinął głową i odpowiedział zwiadowcy, także na ucho:

- Z tego, co mówiłeś, dla niego to nie pierwszyzna.

Gdy tłum wreszcie znów się uciszył, Tennyson prawił dalej:

- Król Ferris nie uczynił nic, by ocalić lud Clonmelu od poczynań bandytów i morderców wyjętych spod prawa, którzy grasują po całym kraju, dokonując złowieszczych dzieł Balsennisa. Albowiem cóż uczynił dla mieszkańców Duffy's Ford? - umilkł, spojrzał wyczekująco, przesuwał spojrzeniem po twarzach zgromadzonych.

Kilkanaście głosów naraz udzieliło odpowiedzi:

- Nic.

Tennyson przyłożył dłoń do ucha. Uniósł brwi, jakby nie słysząc.

- Coście rzekli? - spytał, a tym razem odpowiedź zabrzmiała jak grom, dobywając się z gardzieli całego tłumu:

- NIC!

- Co zrobił, by ocalić tę niewinną dwunastoletnią dziewczynkę, którą zamordowano u brodu? Pytam was, co dla niej uczynił?

I znowu:

- NIC!

- I nie jest prawdą, że Ferris dopomóc wam nie może. O nie, mógłby, zaiste, lecz tego nie chce! - grzmiał Tennyson. - Któż ma władzę, jak nie on, któż ma wojsko? On, lecz nawet przez myśl mu nie przejdzie, by posłużyć się armią w waszej obronie. Cóż obchodzi go wasz los, skoro on sam siedzi bezpieczny za murami Zamku Dun Kilty, wyleguje się na miękkich piernatach, nie brak mu jadła ani napoju. Gnuśny król, który nawet nie kiwnie palcem, by ocalić swój lud. To on pierwszy złamał świętą zasadę wierności!

Ostatnie słowa wypowiedział, podnosząc stopniowo głos. Potem urwał i spojrzał po zgromadzonych. Tu i ówdzie rozległ się okrzyk poparcia, następnie krzyczało już po dwóch lub trzech słuchaczy naraz. Z początku zawołania brzmiały niepewnie, lecz stopniowo pobrzmiwało w nich coraz większe przekonanie. Tennyson nie odzywał się. Już nie dawał znaku, już nie uciszał tłumu. Pozwolił, by gniew rozwinął się w nich, by ich poniósł na swej fali. A potem, gdy zdali sobie sprawę, że kapłan czeka, aż umilkną - uciszyli się sami. Tym razem, gdy przemówił, bynajmniej nie grzmiał ze swej trybuny, lecz odezwał się głosem spokojnym, a zarazem dobitnym:

- Skoro więc on nie jest wam wierny, wy także nie jesteście mu nic winni. Nic a nic!

Znów rozległy się okrzyki, ale głos Tennysona górował nad zgromadzeniem:

- Ferris nie robi dla was nic! A wam trzeba kogoś, kto was ochroni!

W różnych rozległy się te same wezwania. Ciekawostka - pomyślał mimochodem Halt - że wszystkie brzmiały jednakowo:

- Tennyson! - wkrótce przyłączyli do nich i inni zgromadzeni. - Tennysonie, ty nas obronisz!

Jednak Tennyson uniósł obie dłonie i pokręcił przecząco głową. Kiedy okrzyki umilkły, przemówił znów tym samym dźwięcznym, donośnym głosem:

- Nie! Nie! Nie! Uwierzcie mi, przyjaciele, zaprawdę, nie ja jestem waszym obrońcą. Nie w mej mocy leży, by was chronić. Ocalić was może tylko potęża Alsejasza.

W tłumie dał się słyszeć pomruk rozczarowania. Ktoś zawołał:

- Co komu po takich bajeczkach? Ciemnota i tyle! A bandyci grasują w najlepsze!

Poparli go inni, lecz Halt zwrócił uwagę, iż nie stanowili większości. Najliczniejsi ze zgromadzonych spoglądali to na mówcę, to na współtowarzyszy, zastanawiając się, co o tym wszystkim sądzić. Ważyli w myślach zdania wypowiedziane przed chwilą przez Tennysona. Najwyraźniej nie byli jeszcze gotowi na decyzję, po której opowiedzieć się stronie.

- Trzeba nam mieczy i żołnierzy, a nie bożków!

- Ty nas poprowadź! - odezwał się znów jakiś głos. - Tennyson naszym wodzem, za nim pójdziemy! Damy bandytom srogą nauczkę, żaden bóg nam do tego niepotrzebny.

Horace i Halt stwierdzili, że ujawniony wszem i wobec pomysł przypadł większości do gustu. Pozbawieni oparcia autorytetu ludzie, nie wiedząc, co robić, gotowi byli pójść za każdym, kto zdołałby poprowadzić ich przeciwko wyjętym spod prawa rabusiom pustoszącym kraj. Zaczęli więc wznosić okrzyki na cześć Tennysona, gotowi obrać go za swojego wodza. Tłum wyczuł w siwowłosym mówcy urodzonego przywódcę, człowieka obdarzonego wewnętrzną siłą. Skandowanie narastało, głośniejsze i głośniejsze. Przyłączało się do niego coraz to więcej zgromadzonych:

- Ani boga, ani króla! Tennyson! Ani boga, ani króla! Tennyson!

Tennyson z uśmiechem przysłuchiwał się okrzykom i spoglądał na twarze, poczerwieniałe teraz od emocji.

- Ludzie, zaszczyt mi czynicie. Jednak powiadam wam: zaprawdę, to nie ja!

- To ty, to ty! - wrzasnął jakiś pojedynczy głos, a kilka innych poparło go hałaśliwie. Jednak większość uciszyła się, czekając na dalsze słowa kapłana.

- Nie. Uwierzcie mi, proszę. Nie jestem wodzem ani wojownikiem. Jeśli dysponuję jakąś mocą, to tylko tą, która została mi dana od Złotego Boga Alsejasza. Alsejasza Wszechwiedzącego. Uwierzcie mi.

Halt nachylił się do ucha Horace'a i szepnął znowu:

- Niezły jest, naprawdę. Mógłby stanąć na ich czele tu i teraz, przecież ma ich już w garści.

- Dlaczego więc tego nie uczyni? - zdziwił się Horace.

Halt w zamyśleniu przygryzł wargę.

- Trzeba mu większej sławy, trzeba mu czegoś znaczniejszego niż tylko podburzenie kilkuset wieśniaków. Porywa się, bądź co bądź, na króla. Nie, Tennyson na razie tylko ich urabia. Chodzi mu o to, żeby naprawdę uwierzyli w jego bożka, a więc prędzej lub później możemy spodziewać się cudu...

Tennyson zszedł tymczasem z podwyższenia i zbliżył się ku słuchaczom stojącym w pierwszym rzędzie. Przemawiał do nich przyjaźnie, obdarzając wszystkich dobrotliwym uśmiechem.

- Gdym tu przybył, zapewniałem was, iż nie myślę nikogo zmuszać lub namawiać usilnie, by zechciał podążyć za mym bogiem. Przyznajcie, dotrzymałem słowa?

Rozłożył ramiona, spoglądając po zebranych. Kilka głów skłoniło się potakująco.

- Otóż to. Dotrzymałem słowa i nie próbuję nikogo zmusić, by przyjął naukę Alsejasza, bowiem nie takie są ścieżki mojego boga. On nie chce się narzucać nikomu z was. Jeśli wolicie czcić innych bogów, on was nie potępi. Nie wierzycie w żadnego boga? On uznaje, że macie do tego prawo. Macie prawo wybierać i decydować. Nie trzeba, by ktoś was ponaglał, zastraszał, by ktoś na was krzyczał.

- A, to ciekawe - rzekł półgłosem Halt. - Tacy kaznodzieje najczęściej straszą wszystkich niewiernych ogniem piekielnym oraz siarką.

- Ja jednak znam moc Alsejasza - perorował dalej Tennyson. - I jedno wam rzec mogę: czy należycie do jego wiernych, czy nie, on umie was ocalić. I ocali was. Ja jestem tylko narzędziem w jego ręku. Pamiętajcie, Alsejasz was miłuje. A dlatego, że miłuje, daje wam wolny wybór, bowiem wolno wam się ze mną nie zgadzać. Jeśli jednak znajdziecie się w potrzebie, a ja go przywołam, on zjawi się i okaże swą moc. Moc, jakiej nie oglądaliście jeszcze!

Na łące zapanowała cisza. Kapłan szedł pośród zgromadzonych; ci, którzy stali z przodu, odwracali się, spoglądając w ślad za nim.

- Wówczas, gdy ujrzycie jego moc, gdy poznacie jego miłosierdzie, a zechcecie pójść za nim i przyłączyć się do nas, Alsejasz przyjmie was z otwartymi rękoma, w dwójnasób rad was widzieć pośród swych wyznawców.

- Dobrze prawi! - zawołała jakaś kobieta; kapłan obdarzył ją uśmiechem.

- Miejmy jednak nadzieję, że nie zajdzie taka konieczność - rzekł. - Ufajmy, że wasze piękne miasteczko pozostanie oazą pokoju, zatem nie będzie trzeba przyzywać Alsejasza dla jego obrony.

Bez wątpienia, słowa kapłana brzmiały jak pod każdym względem korzystna propozycja. Wydawało się, że odpowiada na pragnienia wszystkich zgromadzonych. Innymi słowy, Tennyson oferował bezpieczeństwo, na pozór nie wymagając niczego w zamian: „Nie musicie wierzyć w mojego boga. Lecz jeśli nadciągnie niebezpieczeństwo, on i tak was obroni.”

Zebrani zaczęli się rozchodzić, a Tennyson przechadzał się znowu pośród nich,

przystając, by zamienić kilka słów z pojedynczymi uczestnikami zgromadzenia.

Horace dostrzegł spojrzenie Halta.

- Sądysz, że trzeba będzie uciec się do pomocy Alsejasza, aby ocalić ich piękne miasteczko?

Kącik ust Halta wykrzywił się w ledwie dostrzegalnym cynicznym uśmiešku.

- Och, za to gotów jestem ręczyć własnym życiem.

ROZDZIAŁ 23

Gdy młody zwiadowca powrócił na polankę, Wyrwij powitał pana, potrząsając łbem. Will pogłodził go po miękkich nozdrzach.

- Dobry konik - rzucił cicho, na co zwierzak parsknął przyjaźnie, skoro bowiem Will odezwał się niestłumionym do szeptu głosem, on także nie musiał zachowywać całkowitej ciszy. Will zastanowił się przez krótką chwilę, po czym uznał, że może sobie pozwolić na kilka godzin odpoczynku. Bandyta imieniem Driscoll planował wyruszyć ze swymi ludźmi o świcie. Jednak, ponieważ jego droga wiodła doliną, przez bród płynącej opodal rzeki, a potem gościńcem na równiny, nie istniała obawa, że się spotkają.

Drugi oddział, zgodnie z rozkazami Pradaiga, miał wyruszyć w południe, tym samym traktem, co Will. Zwiadowca zamierzał udać się jednak w drogę jeszcze przed świtem, mógł więc być pewien, że go nie dogonią. Potrzebował odpoczynku; bądź co bądź spędził cały dzień w drodze i nie spał przez znaczną część nocy.

Rozsiodłał Wyrwija. Niech konik odpocznie od ściskającego tułów popręgu. Zadowolony Wyrwij, otrząsnąwszy się, odszedł skubać trawę. Will spojrzął na niebo, w lśniące gwiazdy pobłyskujące przez gałęzie drzew. Od czasu do czasu przysłaniała je chmurka, ale nic nie zapowiadało deszczu. Uznał więc, że nie warto rozbijać namiotu. Spędzi tę noc pod gołym niebem.

Spożył zimny posiłek. Nie chciał rozpalać ognia, by nie zostawiać śladów. Kiedy żuł zawzięcie twardą, suszoną wołowinę, przyszło mu na myśl, że jednak nie ma to jak solidny, ciepły posiłek.

W tej chwili akurat naszła go ochota na ziemniaki. Na przykład ugotowane w mundurkach, posolone, z maselkiem? Ta wizja sprawiła, że zaburczało mu w brzuchu. Skrzywił się, spoglądając na zupełnie nieapetyczny skrawek suszonego mięsa. A przecież wcześniej tego samego dnia stwierdził, że lubi jego smak. Jakoś w miarę upływających godzin zmieniały mu się upodobania.

Willowi wciąż nie dawało spokoju coś, co podsłuchał podczas rozmowy Pradaiga z

podwładnymi. Coś, co wydawało się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, ale przez dłuższą chwilę nie mógł sobie uzmysłowić, w czym rzecz.

Ależ tak, jasne: przecież z tego, co słyszał, miasteczko Mountshannon było znacznie większe od Craikennis. Tymczasem Driscoll miał na nie napaść na czele zaledwie trzydziestu ludzi. Dopiero potem - spotka się z drugim oddziałem, liczącym pięćdziesięciu zbrojnych i dowodzonym przez Pradaiga we własnej osobie, by przypuścić atak na Craikennis. Tymczasem, logicznie rzecz biorąc, to raczej do zdobycia Mountshannon należało użyć liczniejszego oddziału.

Chyba że źle usłyszał...

Upił łyk zimnej wody z manierki, tęskniąc za gorącą, słodką kawą.

Nie. Był przekonany, że niczego nie pomylił. Trzydziestu ludzi, żeby napaść na Mountshannon. A potem w sumie osiemdziesięciu i atak na Craikennis.

Tylko czy naprawdę zamierzają napaść na Mountshannon. Może chodzi tylko o przeprowadzenie rozpoznania, ewentualnie rozpoznania bojem? Żeby sprawdzić, jak silnie bronione jest Mountshannon? Pokręcił jednak przecząco głową. To także bez sensu, o ileż prościej byłoby wysłać jednego czy dwóch ludzi, którzy dyskretnie dokonaliby zwiadu.

Zatkał manierkę, odłożył ją na bok. Teraz, skoro uznał, że może sobie pozwolić na odpoczynek, poczuł, jaki jest zmęczony. Wysilek oraz napięcie zrobiły swoje, wprost nie potrafił powstrzymać rozziewającego ziewnięcia. Sięgnął po koce i przeszedł na drugą stronę polanki, gdzie umościł sobie legowisko za krzakiem zasłaniającym go dodatkowo przed czymś niepowołanym spojrzeniem.

Jego umysł nadal roztrząsał nierozwiązaną zagadkę, aż wreszcie dał za wygraną; w następnej chwili Will spał już twardo jak kamień.

ROZDZIAŁ 24

W Mountshannon trwał dzień targowy. Tuż po wschodzie słońca trochę padało - akurat wtedy, gdy większość sprzedawców przybyła, aby rozstawić stragany i wyłożyć towary na sprzedaż. Jednak potem roz pogodziło się, wyszło słońce, mokra ziemia szybko wyschła.

Horace i Halt spożywali śniadanie przed namiotami, przyglądając się nadciągającemu tłumowi. Tubylcy doskonale zdawali sobie sprawę, że w dniu targowym kto pierwszy, ten lepszy, czyli im wcześniej, tym łatwiej o okazję, toteż napłynęli tłumnie, jeszcze w strugach deszczu. Niedawno na rozległej łące wznosił się tylko wielki namiot Odszczepieńców oraz dwa maleńkie namioty; teraz było tu gęsto od kramów i straganów, pomiędzy którymi kręciły się całe tłumy ludzi; nie brakowało też wędrownych muzyków, zwierząt pociągowych, zwierząt na sprzedaż, wozów oraz przekupniów handlujących przekąskami.

Tennyson razem z wiernymi skwapliwie korzystali z okazji, by zaznaczyć swoją obecność. Kilku z nich, jak zwykle odzianych w białe szaty, śpiewało ludowe piosenki, przeplatane od czasu do czasu pochwalnymi hymnami na cześć Alsejasza.

Jak stwierdził Horace, śpiewali całkiem nieźle, na trzy głosy. Gdy poinformował o tym Halta, zwiadowca tylko machnął ręką.

- Kiedy ryczą trzy osły, dla mnie jakby ryczał jeden - stwierdził - tyle że głośniej.

Halt nigdy nie zaliczał się do wielbicieli muzyki. Horace zaśmiał się.

- A jednak, dobrze sobie radzą. Gdybym był zwykłym przechodniem, z pewnością zatrzymałbym się przy nich, żeby posłuchać - przyznał.

Halt zerknął na niego podejrzliwie.

- Naprawdę?

Młodzieniec przytaknął entuzjastycznie:

- Ależ tak, z pewnością. To naprawdę dźwięki miłe dla ucha.

Halt pokiwał głową.

- Powiedz lepiej, że wkradające się podstępnie przez ucho do serca i umysłu -

stwierdził poważnym tonem. - W ten sposób pozyskują zwolenników: z uśmiechem na ustach, nie stawiając przed nikim zbyt trudnych wymagań. Tak właśnie zastawiają pułapkę.

- Zatem sprytnie sobie radzą. A używają przynęty naprawdę zachęcającej - stwierdził Horace.

Halt powtórnie przytaknął:

- Wiem. Właśnie dlatego są tak niebezpieczni - wstał, przeciągnął się. - Chodź, pora przyjrzeć się zwierzętom. Mamy szczęście, jak dotąd nie widziałem zbyt wielu sztuk godnych uwagi. To dobrze, bo w przeciwnym razie wypadałoby jakieś bydłatko kupić.

- Zawsze dałoby się je potem zjeść - podesunął radosnym tonem Horace.

Halt zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

- Spróbuj skupić się na czymś innym niż jedzenie, a kto wie, jak wielkich czynów dokonasz - rzucił.

- Ależ Halt, ja jeszcze rosnę! - zaprotestował młody wojownik. Halt parsknął wzgardliwie i ruszył bez słowa w stronę targowiska.

Przechadzali się pomiędzy straganami, wśród zagród pełnych kur, kaczek oraz gęsi na sprzedaż. Nie brakło tam też dorodnych świń w całkiem niezłym wyborze. Natomiast bydła - ani na lekarstwo i ledwie kilka skudlonych, kiepsko utrzymanych owiec. Halt domyślił się przyczyny takiego stanu rzeczy.

- Tutaj dostaniesz zwierzęta, które hoduje się przy domu - wyjaśnił. - Kury, kaczki i świnię trzymane są w zagrodzie, rolnik nie musi wychodzić z nimi na pastwisko.

- No tak, jasne - zgodził się z nim Horace. - Ostatnimi czasy ludzie wolą trzymać się blisko domostw.

- Otóż to.

Halt zatrzymał się przy małej zagrodzie, w której zauważył trzy owce. Ich wełna była ubłocona i matowa. Skinął właścicielowi, po czym wszedł do zagrody. Złapał najporządniej prezentujące się ze zwierząt, przytrzymał je kolanami, rozchylił pysk, obnażając zęby. Owca zaprotestowała przeciwko obcesowemu traktowaniu, wrywając się gwałtownie. Uwolnił ją po chwili, otrzepał dłonie, następnie opuścił zagrodę, kręcąc głową.

- Co z nimi jest nie tak? - spytał po chwili Horace.

Halt spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

- Co jest z czym nie tak?

Horace wskazał kciukiem za siebie, w stronę zagrody.

- No, z zębami tej owcy. W czym rzecz?

Halt dopiero teraz zrozumiał, ale wzruszył ramionami.

- Przecież nie mam pojęcia. Nie znam się na owcach.

- Ale przed chwilą...

- Owszem, obejrzałem jej zęby. Zawsze tak się robi, kiedy ktoś chce kupić jakieś zwierzę. Ogląda mu się zęby. A potem najczęściej kręci się głową i idzie dalej. I tak też uczyniłem - urwał, po czym podjął: - A co, chciałeś, żebym ją kupił?

Horace pośpiesznie uniósł obie dłonie w przeczącym geście.

- Skąd znowu, nie. Tylko byłem ciekaw.

- Aha - Halt uśmiechnął się złośliwie. - To dobrze, bo już się obawiałem, że nabrałeś chęci na przekąskę.

Zatrzymali się przy straganie z owocami, żeby kupić kilka jabłek. Owoce okazały się smaczne, jędrne i soczyste - słodkie, a zarazem orzeźwiające. Chrupali je, przyglądając się następnemu straganowi, na którym wystawiono sprzęt obozowy i narzędzia kuchenne.

Halt upatrzył sobie jeden z noży. Spytał o cenę, targował się przez dłuższą chwilę, następnie odszedł, udając, że cena jest nie do przyjęcia. Gdy kupiec zawołał za nim, zawrócił, dogadali się wreszcie co do ceny i nóż o cienkim ostrzu zmienił właściciela.

- Dobry nóż. Przyda się do filetowania ryb - oznajmił, zwracając się do Horace'a. - Trzeba się rozejrzeć, bo w okolicznych strumieniach powinno pluskać się pełno pstrągów. Nie zaszkodzi nam urozmaicenie jadłospisu. - Zatrzymał się, rozejrzał dookoła. - Warto poszukać migdałów. Przydadzą się, jeżeli uda nam się złapać kilka ryb.

- Złapać, czy złowić? Bo to niekoniecznie to samo - zauważył Horace. Halt zerknął na niego z ukosa.

- Co masz na myśli? Sądzisz, że nie potrafię złowić ryby?

Horace nie spuścił wzroku.

- No, jakoś nie wyglądasz mi na wędkarza. To dosyć spokojny i wytworny sposób spędzania czasu. Trudno mi sobie wyobrazić ciebie przesiadującego godzinami na brzegu rzeki z wędką w ręku.

- A po cóż mi wędka, skoro mam łuk? - zdziwił się Halt, na co Horace uniósł wysoko brwi.

- Zamierzasz strzelać do ryb? - upewnił się, a kiedy Halt skinął głową, dodał: - Niezbyt to szlachetne.

Mieszkańcy Zamku Araluen z upodobaniem oddawali się łowiectwu tudzież wędkowaniu, często brał w tym udział sam monarcha. Z owymi szlachetnymi rozrywkami łączyło się całe mnóstwo ściśle określonych zasad. Horace'owi wpojono na przykład, że pstrągi wolno łowić tylko za pomocą wędki oraz przy użyciu błystki, nigdy zaś żywej

przynęty. Nadziewanie ryb na groty strzał z pewnością nie mieściło się w tych regułach. Cóż - pomyślał Horace - Halt przynajmniej nie stosuje żywej przynęty.

- Nigdy nie twierdziłem, że jest w tym coś szlachetnego - rzekł zwiadowca - a jedynie, że to dobry sposób. Mam wrażenie, że rybom wszystko jedno, czy zostaną złowione na wędkę, czy też ustrzeli się je z łuku. W każdym razie, jeśli chodzi o smak, nie dostrzegam różnicy.

Horace już miał coś odpowiedzieć, gdy ich rozmowę przerwał czyjś krzyk. Słysząc w nim było przestрах i zgrozę. Zatrzymali się obaj. Dłoń Halta machinalnie powędrowała ku rękojeści saksy. Horace pochwycił lewą ręką pochwę miecza, gotów w każdej chwili dobyć oręża.

Pośród zgromadzonych zapanowało lękliwe zamieszanie. Alarmujący okrzyk rozległ się znowu; teraz mogli już stwierdzić, skąd dochodzi - ktoś wzywał pomocy od strony lasu, określającego wschodnią granicę placu targowego. Niektórzy z miejscowych, co bardziej tchórzem podszyci, zaczęli już kierować się ku zabudowaniom, w nadziei, że tam znajdą bezpieczne schronienie.

- Chyba się zaczęło - stwierdził Halt. - Chociaż jeszcze nie wiemy, co takiego się zaczęło.

Ruszyli między straganami w stronę drzew. Przez chwilę Halt zastanawiał się, czy nie lepiej cofnąć się po łuk. Zostawił go wcześniej w namiocie, broń nie pasowała mu bowiem do postaci pasterza szukającego na targu owiec. Jednak w następnej chwili zrezygnował. Miał instynktowne przeczucie, że tym razem łuk nie będzie potrzebny. Nie wiedział, skąd owo przeczucie się wzięło, przenikało go jednak na tyle znacząco, że postanowił mu się nie sprzeciwiać.

Wyszli spośród straganów na otwartą przestrzeń.

- Tam - wskazał Horace.

Kilka metrów od linii drzew stał uzbrojony mężczyzna. Za nim widać było następnych, którzy kryli się w cieniu drzew. Między nimi, a miejscem, gdzie znaleźli się Halt i Horace, stało trzech osiłków ze straży miejskiej. Oni także dzierżyli oręż - lecz draży, ostrze sierpa zamocowane na drzewcu włóczni oraz jeden nieco zardzewiały miecz - nie prezentowały się zbyt przekonująco, jeśli wziąć pod uwagę, że obcych okrywały kolczugi, mieli miecze, tarcze, a nawet i maczugi nabijane żelaznymi ćwiekami.

Właśnie w tej chwili jeden ze strażników zawołał do zbrojnego przybysza:

- Ani kroku dalej! Nie macie tu czego szukać. Idźcie precz, ruszajcie w swoją drogę!

Obcy roześmiał się - zabrzmiało to chrapliwie i wcale nie wesoło.

- Nie ty będziesz mi nakazywał, co mam robić, kmiocie! Przychodzę i odchodzę, kiedy mam ochotę, a panem mych poczynań jest jedynie potężny Balsennis, bóg chaosu i zniszczenia. Tym razem na was wypadło, złóżcie mu więc należną daninę!

Wśród przysłuchujących się tej wymianie zdań rozległ się zaleźniony pomruk. Imię Balsennisa nie było im obce, wszak Tennyson ostrzegał tutejszych przed mrocznym, niecnym demonem, twierdząc, iż to za jego sprawą w Clonmelu zapanował terror.

Tymczasem przez tłum przedarło się jeszcze kilku strażników. Widać było na pierwszy rzut oka, że uzbroili się pospiesznie, w prowizoryczny oręż. Utworzyli nierówną linię za pierwszymi trzema. W sumie stanęło ich dwunastu. Bez wątplenia przeciwnik dysponował znaczną przewagą liczebną. Herszt napastników znów się zaśmiał.

- I to wszystko, co macie na swoją obronę? - rzucił kpiąco. - Sierpy, zaostrzone patyki, a jest was ledwie tuzin... Z drogi, chamie! Mam tu osiemdziesięciu zbrojnych ukrytych wśród drzew. Jeśli stawicie opór, zabijemy wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, a potem i tak weźmiemy sobie wszystko, co wziąć zechcemy. Rzućcie broń, wtedy może łaskawie darujemy wam życie. Macie dziesięć sekund, żeby przemyśleć propozycję.

Halt pochylił się w stronę Horace'a. Rzekł półgłosem:

- Gdybyś chciał kogoś przekonać o swej miążdżącej przewadze liczebnej, czy ukryłbyś swoich ludzi w lesie?

Horace zmarszczył brwi, bo to samo właśnie przyszło mu na myśl.

- Nie sądzę, gdybym miał ze sobą osiemdziesięciu ludzi, na pewno bym ich pokazał. To poskutkowałoby o wiele lepiej niż jakieś głodne kawałki.

- Tak więc możemy przyjąć - stwierdził Halt - że słyszymy zwykle łągarstwo.

- Przypuszczalnie. Choć czegoś tu nie rozumiem - przecież Odszczepieńcy i tak dysponują znaczną przewagą liczebną. Naliczyłem co najmniej dwudziestu ludzi, ukrytych w lesie. Co ważniejsze - dodał - jeśli mieszkańcy miasteczka będą mieli więcej czasu, zmobilizują więcej zbrojnych. Po co więc zwlekać?

Jakby w odpowiedzi na pytanie Horace'a, intruz zawołał:

- Czas mija! Schodzić mi z drogi, wiejski motłochu albo czeka was śmierć!

Tymczasem w tłumie zapanowało jakieś poruszenie. Halt spojrzął w tamtą stronę i skinął z wolną głową.

- Aha, oczywiście. Właśnie czegoś takiego się spodziewałem.

Horace ujrzał krzepką, odzianą na białą postać Tennysona, torującego sobie drogę przez tłum. Za nim podążało kilku akolitów. Horace rozpoznał ich. Oto ci sami, którzy zabawiali widzów śpiewem: dwie kobiety i czterech mężczyzn. Co ciekawe, pomimo grozy

sytuacji, nie pojawili się tym razem dwaj giganci, straż przyboczna Tennysona.

Kapłan w białej szacie stanowczym krokiem wyszedł przed linię strażników, stając między nimi, a przywódcą bandytów. W dłoni dzierżył laskę, oznakę swej godności, przyozdobioną dziwnym podwójnym krążkiem z kamienia - symbolem Odszczepieńców. Jego głos, głęboki i dźwięczny, niósł się daleko.

- Ostrzegam cię, o nieznajomy! Nad tym miasteczkiem sprawuje opiekę Alsejasz, Złoty Bóg miłości.

Zbójnik roześmiał się raz jeszcze. Tym razem jednak w jego głosie zabrzmiało prawdziwe rozbawienie.

- Ho, ho! Co my tu mamy? Grubasa z kijem! Wprost trzęsę się ze strachu!

Tymczasem część jego ludzi wyszła spomiędzy drzew, ustawiając się za przywódcą w szeregu. I oni śmiali się w głos, obrzucając obelgami białego kaznodzieję. Ten jednak ani drgnął, stał bez ruchu, z szeroko rozłożonymi ramionami. Lecz kiedy odezwał się znowu, jego głos zagłuszył wszystkie okrzyki napastników:

- Ostrzegam cię powtórnie! Ty i twój fałszywy demon ciemności nie potraficie sprostać potędze Alsejasza! Odejdźcie, nim będzie za późno. Jeśli przywołam Alsejasza, poznacie cierpienie, jakie nigdy dotąd nie stało się waszym udziałem!

- Ejże, klecho! Kiedy oberwiesz, sam się dowiesz, co to cierpienie!

Bandyta dobył miecza, a w ślad za nim jego podwładni; rozległ się brzęk stali. Dwunastu strażników, którzy stali nieco za Tennysonem, ruszyło dzielnie naprzód, ale kapłan dał znak, by się cofnęli. Jednocześnie do natarcia ruszyli napastnicy, a spomiędzy drzew wyłoniło się ich więcej, wszyscy z dobytymi mieczami.

Tennyson ani drgnął. Odwrócił się tylko do swych wyznawców i wydał polecenie. Natychmiast upadli na kolana, tworząc wokół niego półokrąg, odwróceni twarzami do rozbójników - po czym wzniesli pieśń w jakimś obcym języku. Tennyson uniósł berło, wymierzył je w stronę zbliżających się napastników.

Bandyci znajdowali się już tylko o kilka kroków, kiedy pieśń rozbrzmiała w innej tonacji; głosy śpiewaków zespoliły się w niezwykłym unisono - przenikliwym, wibrującym. Tennyson uniósł laskę wysoko w powietrze, a na ten znak śpiewający odezwali się jeszcze donośniej.

Efekt był natychmiastowy. Herszt bandytów zatrzymał się, zachwiał, jakby odepchnęła go jakaś niewidzialna siła. Pod jego ludźmi także uginały się nogi; zataczając się niczym w zamroczeniu, zaczęli krążyć w kółko. Niektórzy unieśli dłonie, jakby pragnęli zasłonić się przed uderzeniem. Przełęknięci, jęczeli i krzyczeli z bólu.

Śpiewacy zaczerpnęli tchu, a potem znów odezwali się w tej samej dziwacznej harmonii, tym razem nawet głośniej. Tennyson skinieniem dłoni dał znak, by powstali. Wszyscy siedmioro ruszyli w stronę oszołomionych, ogłupiałych bandytów, chronieni mocą dźwięku.

Dla napastników tego okazało się zbyt wiele. Pozbawieni woli walki, popadli w rozsypkę. Odwrócili się, rzucili do ucieczki, potykali się, wpadali jeden na drugiego. Wkrótce ostatni zniknął w cieniu drzew. Wtedy Tennyson uniósł dłoń. Chór umilkł.

Kapłan odwrócił się do mieszkańców Mountshannon, którzy przyglądali się temu wszystkiemu z rozdziawionymi ustami. Oto na własne oczy ujrzeli, jak bezbronny kapłan przegania krwiożerczych napastników. Tennyson rozłożył ramiona, jakby pragnął wziąć ich wszystkich w swe objęcia, i zawołał z promiennym uśmiechem:

- Drodzy przyjaciele, sławcie dobrego boga Alsejasza, który nas ocalił! - zagrzemiał.

Mieszkańcy miasteczka otoczyli siwowłosego tłumnie, wykrzykując jego imię - oraz imię jego boga. Tennyson stał pośród nich, uśmiechnięty, rozdając błogosławieństwa, oni zaś starali się zbliżyć, uklęknąć przed nim, dotknąć skraju jego szaty. Podziękowaniom oraz wyrazom uwielbienia nie było końca.

Halt i Horace stali na uboczu. Wymienili spojrzenia. Horace w zamyśleniu potarł podbródek.

- Dziwne - stwierdził. - Bandyci okazali się całkiem bezradni. Ta pieśń przegoniła ich na cztery wiatry.

- Tak to wyglądało - przyznał Halt.

- A jednak - mówił dalej Horace - jeszcze bardziej zdziwiło mnie co innego. Chwiali się wszyscy na nogach, nie posiadali się z przerażenia, przeżywali katusze i tak dalej. Lecz ani jeden nie wypuścił z ręki miecza.

ROZDZIAŁ 25

Przez cały dzień Will utrzymywał stałą szybkość. Nie forsował tempa, rezygnując z pośpiechu, do jakiego w razie potrzeby zdolny był Wyrwija, lecz i tak z każdą chwilą zbliżali się do Mountshannon. Wyznaczony rytm wędrówki jego wierzchowiec wytrzymywał bez trudu, nie czując nawet niewielkiego zmęczenia.

Zwiadowca zdawał sobie jednak sprawę, że prawdopodobnie dotrze do celu już po tym, jak ów człowiek imieniem Driscoll zrealizuje zamiar, który określił mianem „swojego przedstawienia”. Will jechał bowiem drogą o wiele dłuższą, w dodatku krętą.

Oznaczało to, że żadną miarą nie zdąży ostrzec mieszkańców miasteczka przed napaścią, lecz coraz bardziej nabierał też przekonania, iż do takowej nie dojdzie. Owszem, bandyci powzięli jakieś szczególne plany w stosunku do Mountshannon, bez dwóch zdań. Driscoll bąkał coś o „świętobliwym kapłanie”, zatem Will domyślał się, że chodziło mu o Tennysona. Nie wiedział, jaką rolę w tym planie wyznaczono kaznodziei, ale tak czy inaczej wszystko wskazywało, że prawdziwy atak nastąpi na Craikennis - i dopiero następnego dnia.

W Mountshannon Will zjawił się wczesnym popołudniem. Mijając strażnicę przy mostku, stwierdził, ku swemu zdumieniu, że wjazdu nie pilnuje ani jeden wartownik. Również ulice Mountshannon okazały się opustoszałe. Przez krótką chwilę lękał się najgorszego. Jednak zaraz potem usłyszał zgiełk dochodzący z przeciwnego krańca miasteczka. Śpiew, okrzyki, śmiechy.

- Ktoś tu się dobrze bawi - rzekł do Wyrwija. - Ciekaw jestem, czy Halt także świętuje?

Z Halta żaden pieśniarz - odpowiedziałby mu konik, gdyby umiał mówić.

Kierując się narastającym zgiełkiem, trafił wkrótce na plac targowy. Wszystko wskazywało, że cała ludność miasteczka zgromadziła się właśnie tam, poza obrębem obronnej palisady. Nikt jednak nie zajmował się handlem, stragany porzucono - za to tłum cisnął się wokół wielkiego białego namiotu w południowo-zachodniej części łąki.

Will ściągnął wodze Wyrwija. Zatrzymał się w cieniu jednego z domów, by przyjrzeć

się dokładniej całej scenerii. Szybko wypatrzył dwa małe namioty, ale w ich pobliżu nie dostrzegł Horace'a ani Halta.

Skierował więc uwagę na biały płócienny pawilon. Otaczała go hałaśliwa tłuszcza świętujących wieśniaków oraz mieszkańców miasteczka. Płonęły ogniska, na których piekło się mięso, odbito antaiki z piwem. Sądząc po zachowaniu zgromadzonych, większość zdążyła już uraczyć się obficie.

W ludzkiej masie wkrótce wysledził grupę mniej licznych białych postaci. Wysoki, potężny mężczyzna o siwych włosach sięgających do ramion to z pewnością Tennyson - uznał. Nie trudno było to odgadnąć, bowiem znajdował się w centrum zainteresowania wszystkich, wciąż ktoś do niego podchodził, dotykał ramienia mężczyzny, poklepywał go po plecach i częstował co wyborniejszymi kąskami.

- Coś tu się wydarzyło - mruknął do siebie Will. Chwilę później zauważył Halta i Horace'a. Stali nieco na uboczu. Brodaty zwiadowca dostrzegł Willa. Ich spojrzenia spotkały się, Halt trącił łokciem Horace'a, a potem wskazał dyskretnie dwa namioty, które Will zauważył już wcześniej - odległe o jakieś pięćdziesiąt metrów. Will skinął głową, po czym skierował człapiącego Wyrwija we wskazany punkt. Objechał stragany po drugiej stronie, żeby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, lecz odniósł wrażenie, że nikt w tym kierunku nie patrzy. Uwagę wszystkich zaprzętał wyłącznie Tennyson oraz jego ludzie.

Dotarł do obozowiska przyjaciół, rozsiadł konika, roztarł starannie jego grzbiet. Wyrwija miał za sobą ciężki dzień, więc należało mu się nieco troski. Potem sięgnął do tobołka i wydobyl zeń jabłko. Wyrwija z błogim wyrazem pyska pochłonał owoc, zamknawszy ślepią, by w pełni rozkoszować się aromatem i soczystym mięszem. Will czule poklepał konika po szyi, a ten trącił pana nozdrzami, domagając się drugiego jabłka. Tymczasem w polu widzenia pojawili się Halt oraz Horace. Miękkie chrapy trąciły dłoń Willa po raz kolejny. Will, nie ociągając się dłużej, wydobyl następny smakołyk.

- Rozpieszczasz tego zwierzaka - stwierdził Halt.

Will zerknął w jego stronę.

- A ty rozpieszczasz swojego.

Halt zastanowił się przez krótką chwilę, po czym skinął głową.

- To akurat prawda - przyznał.

- Witaj w naszym gronie - odezwał się Horace, postanowiwszy jednak nie włączać się do dyskusji na temat właściwego obchodzenia się z koniem. Wiedział, że kiedy zwiadowcy zaczynają pogawędkę o swoich wierzchowcach, trochę może potrwać, nim przejdą do innych zagadnień.

Will przeciągnął się. Miał wrażenie, że słyszy, jak jego ścięta trzeszcza, a zdrętwiałe ze zmęczenia mięśnie stękają, domagając się odpoczynku. Miał za sobą długą drogę, w dodatku strasznie chciało mu się pić. Odetchnął z satysfakcją, rozluźniając obolałe mięśnie. Spojrzał wymownie w stronę dzbanka, stojącego obok ogniska dnem do góry.

- Ja zaparzę kawę - ofiarował się Horace. Napełnił naczynie wodą z manierki wiszącej na pobliskim drzewie, a potem rozdmuchał węgle, aż znów pojawiły się płomienie. Dorzucił nieco chrustu, poczekał, aż ognisko rozpalilo się na dobre i postawił dzbanek na rozgrzanych węglach, tuż nad płomieniem.

Will z westchnieniem ulgi siadł na miękkiej ziemi. Znalazł się też pniak, o który mógł wygodnie oprzeć plecy. Ruchem głowy wskazał zgiełkliwe zgromadzenie w pobliżu białego namiotu.

- Domyślam się, że tam działa nasz przyjaciel, Tennyson?

Halt skinął głową.

- W oczach miejscowych wyszedł na istnego bohatera.

Will uniósł jedną brew.

- W oczach miejscowych, powiadasz? - spytał, wyczuwszy ironię w głosie Halta.

Horace, który przygotowywał właśnie porcję zmielonych ziaren kawy, wysypując je z małego lnianego woreczka, spojrzał znad swej roboty.

- A jakże! Ocalił właśnie Mountshannon przed straszliwym losem - wtrącił.

Will spojrzał pytająco na niego, a potem na Halta.

- Kilka godzin temu bandyci dokonali napaści na miasteczko - wyjaśnił zwiadowca. - Z tamtego lasu wyłoniła się grupa zbrojnych, grożąc straszliwymi konsekwencjami, jeśli mieszkańcy Mountshannon ośmielą się stawić opór. Tymczasem nasz drogi Tennyson wyszedł im śmiało na spotkanie i powiedział, żeby sobie poszli. Co też uczynili.

- No, nie całkiem. Najpierw jego wyznawcy im zaśpiewali - przypomniał Horace.

Halt przytaknął:

- To prawda. Kilka zwrotek. Wtedy zaś, jak na zawołanie bandyci zaczęli chwiać się na nogach, zasłoniwszy uszy.

- Tak strasznie fałszują ci kapłani? - spytał Will z kamienną twarzą. Domyślał się już dalszego przebiegu wydarzeń. Teraz gadanina Driscolla o „świętobliwym kapłanie” nabrała sensu.

- Ależ nie, śpiewali bardzo zacie, przynajmniej tak twierdzi Horace. Natomiast siła osobowości Tennysona oraz moc Alsejasza sprawiły, że osiemdziesięciu ludzi umknęło w popłochu.

- Trzydziestu - poprawił go Will, a obaj przyjaciele spojrzeli nań pytająco. - Było ich tylko trzydziestu. Pod wodzą niejakiego Driscolla.

- Prawdę rzekłszy, istotnie, widzieliśmy tylko mniej więcej trzydziestu - zgodził się Horace. - Twierdził jednak, że następnych pięćdziesięciu czai się w lesie. No, bo też kto o zdrowych zmysłach napadałby na całkiem spore miasteczko w sile ledwie trzydziestu zbrojnych?

- Wcale nie zamierzał na nie napaść - stwierdził Will.

Halt, zaciekawiony, przechylił głowę na bok.

- Wiesz? - spytał. - Czy tylko się domyślasz?

- Wiem. Podśluchałem rozmowę, jaka odbyła się zeszłego wieczoru w namiocie ich herszta. Nie zamierzali napaść na Mountshannon. Tutaj postanowili wyłącznie „urządzić przedstawienie”, jak to nazwali. A potem któryś stwierdził, że w Craikennis będzie się działo znacznie więcej, tam bowiem zabraknie kapłana, który posłałby ich do wszystkich diabłów - czy jakoś tak.

- Czyli zabraknie Tennysona - dopowiedział Halt.

- Otóż to. Natomiast jutro do Craikennis zjedzie ich osiemdziesięciu. Ludzie Driscolla oraz jeszcze pięćdziesięciu. Tym razem nie zamierzają niczego udawać. Planują istną rzeź.

Spochmurniał na myśl o tym, co widział w Duffy's Ford. Wiedział dobrze, do czego zdolni są ci ludzie.

Halt podrapał się po brodzie.

- Zatem wiemy już na pewno, że pozorowany atak miał posłużyć jako sposobność dla Tennysona, by kapłan mógł okazać swą moc.

- I udowodnić, że potrafi obronić miasto - uzupełnił Horace. - Pamiętasz, co mówił wczoraj? Jeśli przywoła swojego Alsejasza, jego bóg pokona złego Balsennisa. Oczywiście, nikt inny Alsejasza przywołać nie potrafi.

- Tak właśnie - rzekł Halt, mrużąc oczy. - A Craikennis stanie się najlepszym dowodem, co wydarzyć się może, jeśli Tennysona nie ma w pobliżu. Proste: bandyci napadają na Mountshannon, a Tennyson ich przegania. Następnego dnia bandyci atakują Craikennis, gdzie Tennysona brak. Nietrudno zgadnąć, co z tego wyniknie.

- Masakra - rzekł cicho Will. - Powtórzy się to samo, co w Duffy's Ford, tylko tam będzie dziesięć razy gorzej.

- Tego właśnie się spodziewam - stwierdził Halt. - Planują pogładową lekcję dla całego Clonmelu. Gdy masz Tennysona po swej stronie, nic ci nie grozi. Bez niego - już po tobie. Ha, a więc Horace i ja staliśmy się właśnie świadkami owego wielkiego wydarzenia,

jakim było cudowne przepędzenie zbirów. Teraz czas na lekcji część drugą.

Horace spoglądał na poważne twarze towarzyszy.

- Przecież nie możemy czekać z założonymi rękoma! Musimy coś zrobić - powiedział. Czuł, jak narasta w nim gniew na myśl o bezbronnych mieszkańcach miasteczka, mordowanych przez okrutnych bandytów. Gdy pasowano go na rycerza, przyrzekł bronić słabszych i pokrzywdzonych.

Halt krótko skinął głową.

- Owszem, musimy. Siodłajcie konie. Namioty pozostawimy tutaj, tak jakbyśmy mieli zamiar wrócić na noc. Nie chciałbym, żeby Tennyson zaczął się zastanawiać, dokąd to się udaliśmy. Musimy dotrzeć do Craikennis jeszcze dzisiaj i ostrzec tamtejszych mieszkańców. Dzięki temu będą mogli przygotować się do obrony.

- A co z nami? - spytał Will. - Chyba nie zamierzamy przyglądać się bezczynnie?

Halt spojrzał na swych młodszych towarzyszy. Twarz Willa była poważna i stanowcza. Oblicze Horace'a poczerwieniało od gniewu i oburzenia. Siwobrody zwiadowca skinął głową.

- O, nie - odezwał się. - Zapewniam cię, że nie zamierzamy.

ROZDZIAŁ 26

Opuścili miasteczko Mountshannon, udając się na pozór w zupełnie innym kierunku, niż w istocie planowali. Halt nie był pewien, czy Tennyson ich obserwuje, jednak na wszelki wypadek wyruszyli początkowo na południowy zachód. Dopiero kiedy miejscowość znikła im z oczu, okrążyli ją, podążając bocznymi drogami i ścieżkami, aż znów znaleźli się na trakcie prowadzącym w kierunku wschodnim, do Craikennis.

- Jak, powiadasz, nazywa się ten opryszek, który przeprowadził pozorowany atak? - spytał nagle Halt.

- Driscoll - przypomniał mu Will.

- Aha. Otóż musimy uważać, żeby nie natrafić na niego po drodze. Wypatruj pilnie śladów.

Will w milczeniu skinął głową. Zdawali sobie sprawę, że Driscoll oraz jego trzydziestu zbirów zmierzają w tę samą stronę, co oni - na spotkanie z Pradaigiem i głównymi siłami banitów, gdzieś w pobliżu Craikennis. Jednak nie natrafili na żadne ich tropy, a tymczasem popołudnie przeistoczyło się w wieczór. Halt doszedł do wniosku, że Driscoll podążał innym szlakiem.

Noc była księżycowa, więc wędrowali bez przeszkód również i po zachodzie słońca. Aby nadrobić czas, który stracili, okrążając Mountshannon, w pewnym momencie Halt poprowadził ich prosto przez pola, na skróty. Około dziewiątej wieczorem ujrzeli w oddali światła miasteczka. Wówczas zatrzymali się, by dokonać oceny sytuacji. Znajdowali się na niewysokim wzgórku, skąd mieli też widok na gościniec wiodący do Craikennis - czyli drogę, którą następnego dnia powinien nadejść Pradaig ze swoimi ludźmi. Teraz nie było na niej nikogo, tym bardziej ani śladu bandy rozbójników.

Halt mruknął pod nosem, zadowolony.

- Spokój i cisza - stwierdził. - Jednak miejcie oczy otwarte.

Musnął bok Abelarda piętą. Konik ruszył stępą przed siebie.

Przejechali jeszcze jedno pole, potem następne, nim powrócili na główny trakt. Tak

samo, jak poprzednio, wjazdu strzegło dwóch wartowników. Halt trochę liczył, że trafią im się ci sami, przed którymi już się opowiadali, lecz niestety, natknęli się na nieznanym. Wartownicy wyszli na drogę; jeden uniósł wysoko rękę, dając znak trzem jeźdźcom, by się zatrzymali.

- Idioci - mruknął Halt do swych towarzyszy. - Gdybyśmy chcieli ich napaść, po prostu byśmy po nich przejechali.

Wartownik, który gestem polecił im się zatrzymać, podszedł kilka kroków i podejrzliwie przyjrzał się przybyszom. Nie chodzi o tuzinkowych podróżnych - uznał. Dwóch obcych okrywały dziwaczne płaszcze z kapturem. Dosiadali małych, kudłatych koników, ale za to wyposażeni byli w wielgachne proste łuki. Trzeci, roślejszy, siedział na wielkim koniu, u pasa miał długi miecz, a do siodła przytroczoną tarczę.

Czyli wojownicy, bez wątpienia. Wartownik nagle zdał sobie sprawę, że stosunek sił nie przedstawia się korzystnie - trzech na dwóch.

- Czego tu chcecie? - zawołał. Lęk sprawił, że zabrzmiało to nawet bardziej gburowato, niż zamierzał.

Dowódca przybyszów, ten brodaty, pochylił się do przodu i oparł przedramionami o łęk siodła.

- Nie żywimy złych zamiarów - zapewnił, głosem spokojnym, budzącym zaufanie, ale przecież strażnik nie mógł mieć pewności, że mówi prawdę.

- Nie zbliżać się! - krzyknął. Pluł sobie w brodę, że nie wziął włóczni - została w budzie, służącej wartownikom za schronienie. Jego towarzysz zaopatrzył się przezornie w długi oręż, natomiast on sam dysponował tylko drągiem, co prawda długim i ciężkim.

- Nie zbliżymy się, spokojnie - zapewnił go Halt, tonem łagodnej perswazji. - Możemy tu pozostać. Chcielibyśmy jednak porozmawiać z waszym przełożonym.

- Z naszym... czym? - wartownik nie zrozumiał.

To nie wojskowy - pomyślał Horace.

Halt wytłumaczył cierpliwie:

- Na przykład z przywódcą starszyny. Albo może z dowódcą wartowników. Musimy porozmawiać z kimś, kto piastuje tu jakąś władzę.

Wartownik spoglądał spode łba. Przecież, jeżeli pošle Finneasa, swojego towarzysza, po przywódcę starszyny, zostanie tutaj z tymi trzema sam na sam. Bynajmniej mu się taka myśl nie uśmiechała. Co prawda, gdyby sprowadził starego, pozbyłby się problemu, ktoś inny musiałby podjąć decyzję. Wahał się przez chwilę, po czym oznajmił:

- Późno już, starszyna śpi - rzekł, chociaż nie wiedział, czy to prawda. - Przyjedźcie

jutro.

- Z koni, chłopaki - zakomenderował Halt. Wszyscy trzej zsunęli się na ziemię, mimo piskliwych okrzyków wartownika:

- Nie, nie! Nie zsiadać! Zawracać! Słyszycie? W tył zwrot, jazda stąd!

Głos zestrachanego strażnika ucichł, gdy chłopina zdał sobie sprawę, że trzej przybysze nic sobie z niego nie robią. Brodacz odezwał się znowu:

- Patrz, odkładamy broń - podszedł do skraju drogi, zdjął cięciwę z łuku, położył broń w trawie. Młodszy strzelec uczynił to samo. Wysoki młodzian odpiął od pasa pochwę z mieczem i długi miecz znalazł się obok łuków jego towarzyszy. Odłożywszy oręż, trzej obcy wyszli z powrotem na środek drogi, z dala od swojego rynsztunku. - Załatwione - stwierdził Halt. - A teraz idź po przywódcę starszyny albo po komendanta straży - umilkł na ułamek sekundy i dodał z naciskiem: - Bardzo proszę.

Strażnicy spojrzeli po sobie. Finneas wzruszył jednym ramieniem. Jego zdaniem tym obcym należy zaufać. Wyczuwał też, co trapi jego towarzysza.

- Idź po Conala. Ja będę miał na nich oko.

Starszy wartownik mimo woli odetchnął. Uf, byle tylko pozbyć się kłopotu. Podjął już decyzję, ale przyszło mu do głowy, że lepiej wypadnie, jeśli zachowa się tak, jakby sam wpadł na ów wyśmienity pomysł. Bądź co bądź, to on tu wydaje rozkazy.

- W porządku. Pilnuj ich. Idę po Conala.

Finneas spojrział na niego, uniósłszy brwi. Nie dał się nabrać, nagła, niespodziewana determinacja towarzysza nie zrobiła na nim większego wrażenia.

- Ano, tak też można, jeśli wolisz - rzekł kąśliwym tonem.

- Moglibyśmy całą sprawę załatwić przed świtem? - spytał zniecierpliwiony Halt. Wartownik postąpił krok w jego stronę, kładąc dłoń na rękojeści swojego draga.

- Pójdę, kiedy będzie mi się podobało i kiedy będę gotowy! - warknął.

- Czyli od razu, no nie? - wtrącił Finneas.

Starszy wartownik odkaszlnął, starając się odzyskać utraconą godność.

- No... Właśnie. Zaraz.

Odwrócił się na pięcie, po czym ruszył spieszonym krokiem w stronę miasteczka. Obejrzał się kilkakrotnie, ale trzej obcy ani drgnęli, a Finneas stał w swobodnej pozie, oparty niedbale o włócznię. Przyśpieszył kroku; teraz prawie już biegł.

* * *

Po upływie kwadransa powrócił z Conalem. Halt ucieszył się w duchu, widząc, że Conal, czyli dowódca straży miejskiej, to ten sam wartownik, z którym on i Horace rozmawiali kilka dni wcześniej. Odniosł wrażenie, iż jest to człowiek rozsądny. Niewątpliwie łatwiej dogadać się z nim niż z tym niemrawym tchórzem, który po niego poszedł.

Nie znaczyło to, że Conal odniósł się do przybyłych ufnie. Halt zwrócił uwagę, że nie omieszkał się uzbroić: miał u pasa miecz i długi puginał. Gdy znaleźli się na wysokości schronienia wartowników, drugi strażnik czym prędzej pobiegł tam po włócznie.

Conal zerknął na Finneasa, potem na trzy postacie stojące pośrodku drogi obok swych wierzchowców.

- No, Finneasie, co my tu mamy? - spytał.

Finneas wyprostował nieco włócznie, pozdrawiając w ten sposób dowódcę.

- Trzech wędrownych, wasza mość - oznajmił beztróska. - Nie sprawiali kłopotów.

Conal przyjrzał się z bliska Haltowi i Horace'owi.

- Tych dwóch znam - stwierdził, a Halt skinął głową. Potem przywódca straży przypatrzył się Willowi. Zmarszczył brwi. - A ty? Ciebie też gdzieś widziałem, no nie? - Młodzieniec wydawał się znajomy, ale Conal w żaden sposób nie mógł skojarzyć, przy jakiej okazji zawarł z nim znajomość.

- To grajek - odpowiedział Finneas, a Conal z wolna pokiwał głową. Teraz już pamiętał.

- Ano, jasne - rzekł powoli. - Tylko wtedy nie miałeś takiego laciatego płaszcza. Co tu się święci?

Pytanie zadał wszystkim trzem przybyszom, spoglądając na nich po kolei. Wyglądali groźnie, a w tych niespokojnych, burzliwych czasach wszystko, co podejrzane, stawało się jeszcze bardziej podejrzane. Jego dłoń opadła na rękojeść miecza. W następnej chwili spostrzegł, że broń tych trzech leży u skraju drogi, więc odprężył się nieco. Ale tylko nieco. Wbił spojrzenie w Halta.

- Domyślam się, że żaden z ciebie gospodarz i wcale nie o owce ci chodzi? - odezwał się.

Brodacz przytaknął skinieniem głowy.

- No nie. Co do tego, masz słusność.

- To znaczy, że tamtym razem mnie okłamałeś. Dlaczego? - Pytanie zadane zostało prosto z mostu, nader opryskliwe, ale Halt nie obraził się, chociaż zarzucono mu kłamstwo. Odpowiedział spokojnym, rzeczowym tonem:

- Nie bardzo wiedzieliśmy, co nas tu czeka - wyjaśnił. - A czasy są niespokojne, jak

sam dobrze wiesz.

- Ano, ano. Zwłaszcza, gdy po okolicy snują się różni i udają kogo innego, niż w rzeczywistości są - odparł gniewnie Conal. Usłyszał za sobą jakieś poruszenie. Zerknął przez ramię: główną ulicą zbliżało się truchtem jeszcze kilkunastu członków straży. Gdy tylko powiadomiono go o przybyciu trzech obcych, którzy czekają na niego u posterunku, Conal natychmiast kazał synowi zgromadzić tylu strażników, ilu się da, uzbroić ich w jak najkrótszym czasie i przyprowadzić w charakterze posiłków. Teraz, skoro się pojawili, poczuł się znacznie pewniej. Dysponował już sporą przewagą liczebną.

Horace westchnął. Jako osobnik bezpośredni z natury, nie pojmował sensu tych słownych przepychanek. Wraz z przyjaciółmi przybył tutaj, aby dopomóc mieszkańcom Craikennis, a nie przekomarzać się z nimi po nocy na środku drogi. Conal zauważył jego zniecierpliwioną minę.

- Chciałeś coś powiedzieć, chłopcze? - spytał.

Halt uniósł lekko brew.

- Z tym „chłopcem” tobym na twoim miejscu uważał - rzucił ostrzegawczym tonem, ale Conal go zignorował. Horace, nie zwlekając, odpowiedział:

- Tak. Chciałem coś powiedzieć. Moi przyjaciele i ja przybyliśmy tutaj, żeby was ostrzec. I pomóc wam. Ale jeżeli dalej będziesz nas obrażał, odjedziemy precz. Chcecie radzić sobie z bandytami na własną rękę, wasza wola.

Jak na nieopierzonego młodzika, ten zuch jest wyjątkowo pewny siebie - stwierdził w myśli Conal i zmarszczył czoło.

- Chwileczkę, co znowu za bandyci? O jakich bandytach mowa?

- O osiemdziesięciu zbrojnych, którzy zmierzają w tę stronę. Ich plan sprowadza się do tego, żeby napaść jutro na wasze miasto i zrównać je z ziemią. Przybywamy, by was ostrzec i walczyć u waszego boku. Ale jeśli wolisz, wracaj do łóżka, a my pojedziemy w swoją stronę. Nas to i grzeje, i ziębi.

Halt zerknął z ukosa na Horace'a. Na twarzy młodzieńca malowało się zniecierpliwienie.

- Mówi się „ni grzeje, ni ziębi” - zwrócił mu uwagę.

Horace wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno. On rozumie, co mam na myśli.

I rzeczywiście, Conal pojął słowa chłopaka doskonale. Owszem, jak dotąd Craikennis ominęły napaści, ale przecież wiedział, że bandy rzezimieszków grasują na południu Clonmelu, siejąc śmierć i spustoszenie. Ta zaraza docierała stopniowo również na północ,

niczym czarna plama atramentu rozlanego na mapie.

- A skąd mam wiedzieć, że się do nich nie zaliczacie? - spytał i od razu swoich słów pożałował. Jeśli to zbójcy, to i tak się nie przyznają, a zadając takie pytanie, dał im tylko do zrozumienia, że się waha. - A tak w ogóle, to co z was za jedni? - spytał obcesowo, aby zatrzeć niepożądane wrażenie.

- My dwaj należymy do Korpusu Królewskich Zwiadowców Araluenu - oznajmił Halt, wskazując siebie i Willa. - A ten wysoki, znudzony naszą rozmową młodzieniec jest rycerzem i dworzaninem naszego władcy.

Conal na chwilę aż zaniemówił. Nie miał co prawda pojęcia, kim są zwiadowcy, lecz przecież domyślał się, iż chodzi o jakieś siły rozpoznania czy zwiadu, natomiast dobrze wiedział, co to rycerz, a rosły przybysz, pomimo swej młodości, sprawiał wrażenie hardego wojownika.

- Nie podlegamy waszemu władcy. W tym kraju rządy sprawuje - jeśli można tak to określić - król Ferris - odparł Conal.

Ciekawe - pomyślał Will. Gdy Conal mówił o swoim królu, w jego głosie zadźwięczało coś na kształt wzgardy. Zerknął na Halta, by przekonać się, czy jego mentor też to zauważył. Jednak oblicze zwiadowcy pozostało niczym wykute z kamienia.

- Jasna rzecz. Jednak posiadamy pewną wprawę w wojowaniu, zatem możemy wam się przydać - zauważył Halt.

Conal podrapał się w ucho, spojrzął na swoje paznokcie, wreszcie odpowiedział:

- W to jestem skłonny uwierzyć. Tylko coś mi się zdaje, że nie najlepszym pomysłem byłoby wpuścić trzech uzbrojonych wojowników do miasta - zwłaszcza, jeśli naprawdę zagraża nam napaść.

- Nikt tego od ciebie nie żąda - odpowiedział natychmiast Halt. - Rozłożymy nasz obóz za tamtymi drzewami. Jeśli jutro nic się nie stanie, odjedziemy w swoją stronę. Jeśli dojdzie do napaści, nasza skromna pomoc może okazać się dla was użyteczna.

- Co zdoła wskórać trzech ludzi przeciwko osiemdziesięciu? - rzekł z powątpiewaniem Conal. Powiedział to głównie po to, by zyskać na czasie. Skoro przybysze nie mają nic przeciwko temu, by spędzić noc poza obrębem prowizorycznych umocnień miasteczka, w jego oczach nie stanowili istotnego zagrożenia.

- Zależy, jakich trzech - odezwał się ten, który kilka dni wcześniej podawał się za wędrownego grajka.

Brodacz uśmiechnął się do niego.

- Dobrze powiedziane, Willu - po czym zwrócił się do Conala: - Zrobimy, co w naszej

mocy. Zawsze to więcej niż nic. Chodzi mi głównie o to, abyście przygotowali się do obrony, uzbrojeni i czujni. Bandyści spróbują was bowiem zaskoczyć. Gdy się przekonają, że już na nich czekacie, zapewne zrzednie im mina.

Conal rozważył jego słowa i z wolna pokiwał głową.

- Ano, bez wątplenia - stwierdził. - O świcie zarządzę zbiórkę moich ludzi. Zresztą, tak robimy co dzień.

Halt uśmiechnął się ponuro.

- A więc nie poniechajcie zbiórki i jutro. Przypuszczam jednak, że o świcie do ataku nie dojdzie. Najczęściej właśnie wtedy urząda się zbiórki oraz przeglądy, gotowość bojowa straży miejskich jest zatem największa. Spodziewałbym się raczej, że zaczekają do późniejszych godzin. Na ich miejscu dokonałbym napaści w południe, kiedy wszyscy zmęczeni są już pracą i myślą tylko o obiedzie.

Conal przyglądał się brodaczkowi. Niewysoki, jak na wojownika - stwierdził - ale emanował pewnością siebie i zdecydowaniem. Przywódcy straży miejskiej przyszło na myśl, że gdyby doszło do walki, wolałby mieć go po swojej stronie.

- Dobra rada - przyznał. - Postaram się, żeby wszyscy stali pod bronią. A gdzie wy się zatrzymacie?

Halt wskazał w stronę lasu rozciągającego się na północ od Craikennis.

- Przenocujemy pod drzewami. Potem zajmiemy pozycję na tamym pagórku.

Conal nagle postąpił krok do przodu i wyciągnął dłoń do Halta. Zdał sobie sprawę, że ten człowiek przybył do nich z ostrzeżeniem, tymczasem jak dotąd nie spotkało go nic prócz podejrzeń.

- Winienem ci wdzięczność - oświadczył.

Halt uścisnął mu dłoń.

- Podziękujesz mi jutro, o ile obaj pozostaniemy wśród żywych - odparł.

Zwiadowca, a także jego towarzysze pozbierali swoją broń leżącą w trawie u skraju drogi, dosiedli koni i odjechali przez pola na północ.

Ujechali nie więcej jak sto metrów, gdy Horace przyśpieszył, by dogonić Halta.

- Halt? - zawołał.

Zwiadowca spojrzął w jego stronę.

- Coś cię niepokoi?

- Owszem. Właśnie zdałem sobie sprawę, że namioty zostawiliśmy w Mountshannon - oznajmił Horace.

Halt westchnął ciężko i głęboko.

- Och, tak. Również sobie o tym przypomniałem, dokładnie w tej chwili, kiedy wyjaśniałem mu, że przenocujemy pod drzewami.

Horace spojrział na niebo. Zaciągnęło się czarnymi chmurami, spomiędzy których tylko gdzieś połyskiwały pojedyncze gwiazdy.

- Sądysz, że dzisiejszej nocy będzie padać? - spytał.

- Raczej tak - stwierdził ponurym tonem Halt.

ROZDZIAŁ 27

I w rzeczy samej, tuż po północy spadł deszcz, właściwie zaś trwająca zaledwie kwadrans mżawka. Jednak noc nie przyniosła im takich niewygód, jak się obawiali, bowiem Horace przeoczył pewien istotny fakt. Mianowicie Will miał przy sobie całe wyposażenie, łącznie z namiotem, żywnością, a nawet dzbankiem do kawy.

Co prawda namiot przeznaczony był dla jednej osoby, lecz przy odrobinie dobrej woli zmieści się w nim także ktoś drugi. Trzeci z towarzyszy i tak przecież musiał pełnić wartę na zewnątrz.

Ostatnia tura przypadła w udziale Willowi. Gdy nastał świt i w krzewach oraz gałęziach drzew zaczęły budzić się ptaki, ujrzał Halt, gramolącego się z niskiego namiotu.

Starszy zwiadowca przyjrzał się z wyraźnym niesmakiem mokrym plamom na kolanach spodni. Nie sposób było wydostać się z tak niskiego namiotu inaczej niż na czworakach. Przeciągnął się, poszedł do miejsca, z którego owinięty płaszczem Will obserwował gościniec.

- Coś się dzieje? - zagadnął.

Will potrząsnął głową.

- Na razie nic - odparł. - Zresztą sam tłumaczyłeś, że atak o świcie jest mało prawdopodobny i że należy się ich spodziewać raczej około południa.

Halt sięgnął po manierkę Willa, napełnił zimną wodą usta, przeplukał je, wypluł ciec na ziemię.

- Tłumaczyłem, tłumaczyłem. Zawsze jednak może się okazać, że zachowają się w sposób najbardziej oczywisty, mniej dbając o zaskoczenie.

- Czy też, żeby ująć to prościej: oni spodziewają się, że ja będę się spodziewał z ich strony postępowania takiego a takiego, toteż postąpią dokładnie odwrotnie, gdyż nie będą myśleć, że przyjdzie mi to do głowy; ale jako że mógłbym uważać, iż wiem, jaki jest ich tok myślenia, postąpią jednak na sposób numer jeden, ponieważ spodziewają się, że ja się tego nie spodziewam - wyrecytował Will z niewinną miną.

Halt przez chwilę spoglądał na niego w milczeniu.

- Wiesz co, kusi mnie jedna rzecz. Otóż mam ochotę poprosić cię, żebyś powtórzył ten wywód.

Will zachichotał.

- To mogłoby okazać się trudne.

Halt podszedł do tobołka Willa. Wyciągnął z niego dzbanek.

- Możemy sobie pozwolić na mały ogień - stwierdził. - I tak maskują nas drzewa, a zapach dymu nikogo nie zdziwi, bądź co bądź znajdujemy się w pobliżu sporej osady.

Willowi myśl Halta wielce przypadła do gustu. Obawiał się, że czeka ich śniadanie na zimno. Tak, gorąca kawa była tym właśnie, czego potrzebował. Kilka minut później z namiotu wyszedł Horace. Dołożył wszelkich starań, by poruszać się tylko przy użyciu dłoni i stóp, nie dotykając kolanami wilgotnej trawy. Dokonawszy, co sobie zamierzył, susem godnym atlety przybrał zwykłą pozycję.

Halt skrzywił się. Ech, młodość, młodość - pomyślał zazdrośnie.

Horace przyczłapał do ogniska. Nalał kubek kawy dla Willa, potem wrócił po drugi dla siebie. Stali wszyscy trzej, sącząc gorący, aromatyczny napój i pozwalając rozluźnić się mięśniom, odrętwiałym od spania na twardej ziemi.

Po kilku minutach Horace spytał:

- I cóż? Jakie plany na dziś?

Halt wskazał niewielki garb, wznoszący się opodal granicy lasu.

- Tutaj zajmujemy pozycję. Will i ja spróbujemy uszczuplić nieco liczbę ludzi Pradaiga - zerknął na swego byłego ucznia. - Oczywiście, bez zbędnego ryzyka, ale kiedy tylko się da, strzelaj tak, żeby ranić, nie zabić - dostrzegł w oczach Willa niewypowiedziane pytanie, więc wyjaśnił: - Wiem, to mordercy. Nie mam żadnych obiekcji, co do ich zabijania, nie obawiaj się. Chodzi mi tylko o to, że rannym ktoś musi się zająć, więc automatycznie wyłączamy z walki jeszcze jednego albo nawet dwóch ludzi.

Horace uśmiechnął się.

- A już myślałem, że Halt na starość stał się litościwy i wyrozumiały.

Zwiadowca nie odezwał się, tylko wpił w Horace'a spojrzenie ciemnych oczu. Nagle rycerzowi zrobiło się strasznie wstyd, że wspomniał o starości. Zauważył przecież już kilkakrotnie w ciągu minionych tygodni, iż Halt zrobił się dziwnie drażliwy na tym punkcie.

- Wybacz - mruknął niezręcznie. Halt dalej się nie odzywał, parsknął tylko gniewnie, toteż Horace nagle z wielkim zainteresowaniem zajął się poprawianiem kłamry u pasa. Halt dopiero po chwili się rozchmurzył. Machnął ręką.

- Horace, bądź gotów w każdej chwili dosiąść konia. Trzymaj się jednak poza zasięgiem wzroku, dopóki cię nie zawołam. Aha, załóż to na tarczę.

Halt wyciągnął z sakwy przy siodle poskładany kawałek grubego płótna. Horace sięgnął ręką. Po rozwinięciu okazało się, że materiał ma kształt kolisty, o średnicy nieco większej od jego puklerza, oraz że zaopatrzony jest w przewleczony naokoło sznurek, służący do mocowania na tarczy. Niekiedy rycerze używali czegoś takiego podczas turniejów - na przykład, kiedy chcieli zachować incognito, zakrywając swój herb.

Tu jednak rzeczy miały się wręcz odwrotnie. Tarcza, którą ze sobą przywiózł, pozbawiona była jakichkolwiek insygniów, natomiast na tym płótnie wymalowano dość charakterystyczny motyw. Przedstawiał on czerwono-pomarańczowy okrąg, ucięty u dołu w jednej trzeciej wysokości prostą, czarną linią. Horace'owi coś to przywodziło na myśl, ale nie bardzo wiedział co.

- Oto znak Rycerza Wschodu - powiadomił go Halt. Horace uniósł wysoko brwi, więc zwiadowca wyjaśnił: - Rycerza Wschodzącego Słońca. To postać z tutejszej mitologii. Powiadają, że gdy królestwa znajdą się w niebezpieczeństwie, ze wschodu przybędzie rycerz i je ocali.

- Aha. I ten rycerz to niby ja? - upewnił się Horace. Jednak, kiedy Halt wspomniiał o wschodzie słońca, dotarło do niego, co ten rysunek mu przypomina.

Halt skinął głową.

- Tak jest. Od dnia dzisiejszego rozpoczyna się twoja legenda. Rycerz Wschodu ocali Craikennis, pokonując sam jeden dwustu zbrojnych.

- Chyba osiemdziesięciu? - poprawił go Will.

Halt machnął niedbale ręką.

- Za jakiś czas i tak zrobi się z tego dwustu - rzekł. - Właściwie nie byłoby źle, gdybyś ułożył balladę na cześć Rycerza Wschodu.

Horace uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To mi się podoba. - Will skrzywił się, jakby go bolały zęby, lecz młody rycerz, nie zwracając na przyjaciela uwagi, spytał Halta: - Tylko co te mity i legendy mają do rzeczy?

- Ogniem zwalczamy ogień. Tennyson twierdzi, że wspiera go potężny złoty bóg Alsejasz. Alsejasz, który rzekomo ma się okazać jedyną nadzieją dla królestwa, jedyną ucieczką uciśnionych i ochroną przed rozbójnikami. Te bajeczki wyraźnie trafiają miejscowym do przekonania. Zatem my zapraszamy do współpracy Rycerza Wschodu, dając im w ten sposób wybór, innego wybawcę. Prędzej czy później, Tennyson musi rzucić mu wyzwanie. A kiedy to uczyni, zyskamy sposobność, aby się z nim rozprawić.

- A nie prościej byłoby go po prostu ukatrupić, po cichu, bez całego tego przedstawienia? - spytał Will.

- Można by i tak zrobić. Należy jednak pokonać nie tyle samego Tennysona, co unicestwić wpływ, jaki wywiera na ludzi. Trzeba rozbić w puch mit Odszczepieńców. A jeśli zamierzamy osiągnąć ten cel, dyskrecja do niczego nas nie doprowadzi. Wręcz przeciwnie: chodzi właśnie o to, by cały lud stał się świadkiem zwycięskiego pojedynku Rycerza z Alsejaszem. Jeśli po prostu sprzątniemy Tennysona, tylko uczynimy zeń męczennika; natychmiast pojawi się jakiś jego następca, który z chęcią przejmie rolę proroka. Odszczepieńcy zyskują zwolenników dzięki temu, że król jest słaby i gnuśny, a mieszkańcom tego kraju brakuje silnego przywódcy, wokół którego mogliby się zjednoczyć. Takim właśnie wodzem okazuje się Tennyson. Musimy więc odebrać wiarygodność i jemu, i Alsejaszowi, powstałą zaś pustkę wypełnić czymś namacalnym, rzucającym się w oczy - czyli właśnie Rycerzem Wschodu.

- Chcesz więc powiedzieć, że stanę się obiektem kultu? - spytał Horace, na co Halt, choć niechętnie, przytaknął:

- W pewnym sensie.

Horace rozpromienił się.

- Stąd płynie wniosek, że powinniście obaj okazywać mi nieco więcej szacunku.

- Nie licz na to - wtrącił Will.

Horace jednak zignorował druha i tylko uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Miło pomyśleć, że staniecie się odtąd moimi wyznawcami - rzekł.

Halt z Willem spojrzeli po sobie.

- Nie przeciągaj struny - powiedzieli obaj, jednocześnie.

* * *

Mijały godziny poranka. Gdy słońce wysuszyło namiot, Will spakował go wraz z większością rzeczy, pozostawiając na wierzchu tylko najpotrzebniejsze przybory do gotowania, no i oczywiście najniezbędniejszy ze wszystkich dzbanek do parzenia kawy.

Podczas gdy jego przyjaciel krzątał się po obozowisku, Horace zajął się tymczasem ostrzeniem oraz polerowaniem broni, przesuwając osełką wzdłuż i tak już ostrej jak brzytwa klingi, czemu towarzyszył miły dla ucha brzęk. Rozłożył kolczugę, obok umieścił hełm, tak by móc w kilka chwil je narzucić; osiadł też Kickera. Sprawdził dokładnie każdy cal uprząży, zostawił jednak na razie poluzowane popręgi. Nie było sensu męczyć przedwcześnie

wierzchowca zaciśniętymi skórzanymi pasami.

W pobliskim miasteczku trwało spore ożywienie. Strażnicę u wejścia pozostawiono nieobsadzoną, natomiast po wewnętrznej stronie umocnień panował nieustanny ruch, a gwar licznych głosów niósł się aż ku nim przez pola. Od czasu do czasu w promieniach porannego słońca błyskały ostrza włóczy lub hełmy, gdy obrońcy przechodzili z miejsca na miejsce.

- Wszystko wskazuje na to, że Conal wziął sobie do serca twoje ostrzeżenie - stwierdził Will.

Oparty plecami o drzewo Halt, który spędził poranek na obserwacji gościńca, spojrzał w stronę miasteczka.

- Sprawił na mnie wrażenie człowieka rozumnego - rzekł. - Mam tylko nadzieję, że nie zdradzi się pochopnie ze swymi atutami. Lepiej, żeby Pradaig nie zdawał sobie sprawy, iż jego przybycia oczekują w gotowości wszyscy mieszkańcy Craikennis zdolni do noszenia broni.

- Na to bym nie liczył - powiedział Will. - Najprawdopodobniej Conal będzie miał nadzieję, że uniknie walki dzięki pokazowi siły.

- Nie uniknie - rzekł Halt.

- Ty to wiesz i ja to wiem - stwierdził Will. - Ale czy Conal zdaje sobie z tego sprawę?

Jednak, wbrew jego sceptycznej opinii co do Conala, okazało się, że wódz straży miejskiej chyba doceniał znaczenie elementu zaskoczenia i miał świadomość, że jeśli pojawią się napastnicy, bez walki się nie obejdzie. Gdy słońce wzniosło się wysoko nad ich głowami, w miasteczku zapanował spokój. Strażnicy przestali wyglądać zza umocnień, by sprawdzić, czy nadciąga nieprzyjaciel, ucichły też ich głosy. Craikennis sprawiało wrażenie sennej, spokojnej mieściny. Obrońcy skryli się za umocnieniami. Nic nie wskazywało, że gotowi są stawić czoło napastnikom. Ktoś przybywający z zewnątrz uznałby z pewnością, że miejscowi zażywają poobiedniej sjeisty. Słońce przygrzewało mocno, rozbrzmiewało tylko senne brzęczenie owadów. Rozgrzane powietrze zaczęło drzeć nad ubitą nawierzchnią traktu. Zwyczajny dzień na prowincji, gdzie nigdy nic się nie dzieje. A przynajmniej nie działo się nic, dopóki Halt nie przemówił:

- Są.

ROZDZIAŁ 28

Will i Horace drzemali w cieniu drzewa, o które opierał się Halt. Jako doświadczeni wojownicy, wiedzieli, że nic nie zyskają, czekając w napięciu. Znacznie lepiej jest oszczędzać siły i energię, wypoczywając - dopóki to możliwe. Gdy Halt odezwał się, obaj drgnęli i odruchowo sięgnęli po broń.

- Spokojnie - powiedział Halt. - To tylko przednia czujka.

W odległości kilkuset metrów, tam gdzie droga wyłaniała się zza szczytu pagórka, ujrzeli trzech zbrojnych. Na pierwszy rzut oka można było odgadnąć, że ci trzej coś knują i mają nieuczciwe zamiary, bo zachowywali się podejrzanie - tak jakby mogli coś osiągnąć dzięki przygarbionej postawie oraz temu, że gorączkowo rozglądali się na wszystkie strony. Stanęli w miejscu, by przyjrzeć się pogrążonemu w ciszy miasteczku. Jeden z nich uniósł dłoń, osłaniając oczy od słońca. Craikennis trwało w uśpieniu, toteż dowódca zwiadu, najwyraźniej uznawszy, że nikt nie spodziewa się ich przybycia, odwrócił się za siebie. Dał niewidocznym dotąd kompaniom znak, że droga wolna.

Na grzbiecie pagórka pojawiało się coraz więcej napastników. Kroczyli w dwóch pojedynczych kolumnach. Obserwujący ich w cieniu drzew towarzysze słyszeli już dochodzący z oddali szcęk oręża. Większość zbójów szła pieszo, tylko Pradaig i czterech jego zastępców dosiadało koni. Były to jednak zwierzęta niezbyt rosłe, nie tego pokroju, co bojowy rumak Horace'a.

Młody rycerz cofnął się szybko, by zacisnąć popręgi ukrytego wśród drzew Kickera. Potężny rumak, czując, że zbliża się bitwa, przestępował niecierpliwie z kopyta na kopyto, potrząsał łbem, rżał cicho; Horace pogłodził Kickera po szyi, żeby uspokoić zwierzę, trzymając go jednocześnie mocno za uździenicę. Kicker był koniem wyhodowanym i wyćwiczonym do walki; wojna była jego żywiołem i pod tym względem niewiele różnił się od swojego pana. Horace poczuł teraz znajome uczucie, jakby coś gniotącego w żołądku. Ale to nie strach. Raczej rosnące napięcie, kiedy cały organizm przygotowuje się, by dać z siebie jak najwięcej. Wiedział, że gdy dosiądzie Kickera i przypuści atak na wroga, ucisk ustąpi bez

śladu. Obserwując, jak starszy zwiadowca zmierza ze swym uczniem do punktu, z którego mieli prowadzić ostrzał, Horace zastanowił się, czy Halt i Will czują to samo. Uśmiechnął się zaraz, bo zdał sobie sprawę, że nadal myśli o przyjacielu jako o uczniu Halta, chociaż Will zaliczał się już do pełnoprawnych, samodzielnych członków Korpusu. Choć Horace nie wątpił, że Will wciąż w głębi ducha uważa się za czeladnika swojego mistrza.

- Staniemy za grzbietem wzniesienia - oznajmił Halt. - Widoczne będą tylko nasze głowy i ramiona. Dzięki temu istnieje szansa, że nie zorientują się, z której strony padają strzały ani jak wielu nas jest.

- Raczej, jak niewielu - poprawił Will, a Halt zastanowił się przez krótką chwilę, nim przyznał mu rację:

- Słusznie - powiedział. Zerknął za siebie, na Horace'a, który stał bez ruchu obok Kickera, przemawiając do wierzchowca kojącym półgłosem. - Horace sprawia wrażenie, jakby się wybierał na przejażdżkę - dodał.

Will także popatrzył na przyjaciela.

- Jak zwykle. Nie mam pojęcia, jak on to robi. Ja w takich chwilach zawsze mam wrażenie, że coś mi ściska żołądek i nie chce puścić.

Nie wstydził się przyznać do zdenerwowania. Halt już dawno go nauczył, że ktoś, kto przed walką nie odczuwa ani trochę lęku, nie jest wcale bohaterem, a raczej głupcem i to nadmiernie pewnym siebie. Taka beztroska może zaś doprowadzić do fatalnych konsekwencji.

- Dobrze mieć za swoimi plecami kogoś takiego jak on - przyznał Halt. Ruchem głowy wskazał nadciągających nieprzyjaciół. - Oho. Przygotowują się.

Bandyci stanęli w odległości pięćdziesięciu metrów od miasteczka. Obie kolumny przegrupowały się w dwuszereg. Pradaig oraz jego zastępcy pozostali w tyle. W miasteczku ktoś zakrzyknął na alarm, potem rozległo się bicie w dzwon. Na umocnieniach pojawiła się jakaś postać - nawet z tej odległości Will i Halt rozpoznali Conala.

- Stać! - zawołał dowódca straży. - Nie zbliżać się!

Teraz z miasteczka zaczęły dochodzić odgłosy paniki i zamieszania. Dzwon wciąż bił, a na prowizorycznych umocnieniach pojawili się obrońcy - było ich jednak żałośnie mało, a wyglądali na przerażonych i zaskoczonych. Pradaig znał się na swojej robocie, wiedział zatem, że nie odniesie żadnych korzyści z rokowań, dzięki którym obrońcy zyskaliby tylko więcej czasu, by się przygotować. Dobył miecza, uniósł go nad głowę.

- Naprzód! - zawołał. Jego głos zagrzmiął potężnie, niosąc się przez pola. Na komendę herszta bandyci ruszyli do ataku. Szli przed siebie, krokiem nieśpiesznym, lecz stanowczym;

teraz bowiem jeszcze nie było sensu biec, tylko zmęcziliby się i zadyszali, nim zdołaliby dotrzeć do umocnień.

Ze swego miejsca Halt i Will mieli na nich widok ukosem i z przodu, co dawało im idealną pozycję do ostrzału. Po chwili oba szeregi przyspieszyły kroku, a następnie przeszły do truchtu.

- Trzy strzały - rzucił krótko Halt. - Mierz w środek pierwszego rzędu.

Skryty za wzniesieniem Horace patrzył nie bez podziwu, jak obaj zwiadowcy niemal w jednej chwili wypuścili sześć strzał, jedna po drugiej. Przez kilka sekund wszystkie sześć pocisków szybowało w powietrzu, a potem dosięgły celu. Padło sześciu ludzi w środku pierwszego szeregu. Dwóch z nich nie wydało żadnego odgłosu. Inni krzyčeli z bólu, wypuściwszy broń z ręki. Jeden z nich zatoczył się, usiłując wyrwać strzałę z ramienia i wpadł na swych towarzyszy. Potem z jękiem osunął się na kolana.

Podążający za trafionymi i obok nich nagle przystanęli, zdezorientowani. Równa linia atakujących załamała się, gdy środek zarył się w miejscu, a skrzydła wciąż parły naprzód, nie wiedząc, co się stało.

- Lewa flank - rzucił Halt. Dwa długie łuki znów zaśpiewały swą złowróżbną pieśń. Padło kolejnych pięciu ludzi. Will zaklął pod nosem. Jego drugi strzał chybił. Bandyta, do którego mierzył, ujrawszy, że jego towarzysz pada na ziemię, odruchowo podniósł tarczę i pocisk Willa odbił się od niej. Will natychmiast wypuścił jeszcze jedną strzałę, która tym razem dosięgła celu, przelatując tuż nad krawędzią puklerza.

Trwało to co prawda o sekundę czy dwie dłużej, lecz także druga salwa okazała się skuteczna. Lewe skrzydło oraz centrum atakujących zatrzymały się, napastnicy zaczęli się rozglądać, próbując zmiarkować, skąd nadlatują śmiertelne pociski. Tym samym prawe skrzydło pozostało osamotnione, gdy ustawieni tam zbójcy puścili się biegiem do szturm, wydając gromki okrzyk.

Okrzykowi temu odpowiedział ryk gniewu, kiedy na umocnieniach pojawili się, niespodziewanie teraz liczni, obrońcy. Bandyty usiłowali wspinać się po barykadzie z wozów, kufrów, stołów, wiązek siana oraz innych, najprzedziwniejszych przedmiotów.

Odpierający ich mieszczanie wyposażeni byli - przynajmniej niektórzy z nich - w równie dziwaczną broń - oprócz włóczni i mieczy można było tam dostrzec postawione na sztorc kosy oraz ostrza sierpów, osadzone na długich dragach. Nie zabrakło też długich, ostrych wideł.

Ów niezwykley oręż okazał się jednak całkiem skuteczny, zwłaszcza, że obrońcy dysponowali uprzywilejowaną pozycją, rażąc napastników z góry.

Prawe skrzydło, oddzielone od reszty atakujących sił, zostało zdziesiątkowane podczas próby przełamania obrony. Bandyci cofnęli się, pozostawiając za sobą zwłoki licznych towarzyszy, zaściełające ziemię przed umocnieniami. Mieli wziąć udział w skoordynowanym ataku na całej linii, a tymczasem ponieśli ogromne straty, samotnie atakując dobrze bronioną pozycję.

Pradaig wykrzykiwał rozkazy, pędząc na koniu wzdłuż dwuszeregu swych ludzi i ponaglając ich, by ruszyli do ataku. Zorientował się, że śmiertelne strzały nadlatują z lewej strony, ale łuczników nie zdołał dostrzec. Sądząc po stratach, jakie zadały ich pociski, uznał, że gdzieś tam, między drzewami, musi się kryć co najmniej kilku, może dziesięciu łuczników. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch u szczytu niewysokiego wzgórza. Kilka chwil potem strzały dosięgły jeszcze trzech jego ludzi w środku szeregu.

Wrzasnął w kierunku pozostających w odwodzie dwunastu ludzi czekających na tyłach. Wszyscy dobrze uzbrojeni, dźwigali miecze albo okute maczugi, większość z nich wyposażona była również w tarcze. Dowódca spojrzał pytająco na herszta. Pradaig wskazał mieczem pagórek.

- Łucznicy. Tam, za wzgórzem! Zlikwidować!

Wiedział, że strzelcy zawsze są słabo uzbrojeni. A przy tym to tchórze, którzy wezmą nogi za pas, kiedy tylko pojawi się groźba walki wręcz. Przecież nie stawiają oporu zbrojnym, których przed ich pociskami chronić będą tarcze. Dwunastu ludzi złamało szyk i puściło się biegiem za swoim dowódcą, wznosząc wspólny wściekły okrzyk.

Halt zauważył, że Pradaig się zatrzymał, więc zwrócił baczniejszą uwagę na poczynania zbója. Nie uszło tedy jego uwadze, że posłał oddział w stronę ich pozycji strzeleckiej. Cóż, bywa - pomyślał.

- Grupa dowodzenia - poleciał Willowi. - Zlikwiduj ich!

Podczas gdy młodszy zwiadowca posyłał szybką salwę, zasypując strzałami Pradaiga oraz jego zastępców, Halt skupił się na tym, by przerzedzić grupkę ludzi biegnących w ich stronę. Bandyci nie zdawali sobie sprawy, z jak wyborowym strzelcem mają do czynienia, a żadna tarcza, którą człowiek byłby w stanie unieść, nie zdoła zasłonić całej postaci. Strzała, która przeszywa łydkę, udo lub ramię biegnącego, zatrzymuje go nie mniej skutecznie niż śmiertelne trafienie. Jeden po drugim z biegnących padał lub zatrzymywał się, niezdolny uczynić już ani kroku.

Pierwszą strzałę z serii Will przeznaczył dla Pradaiga. Jednak tego dnia młodego zwiadowcę prześladował pech. Gdy wypuścił już serię, jeden z przybocznych herszta pochylił się, by coś rzec swemu dowódcy i to jego strzała strąciła z siodła. Will syknął gniewnie,

widząc, że Pradaig pozostaje nietknięty. Tymczasem zdążył już posłać kolejne trzy pociski, wymierzone w otaczających go zastępców.

W ciągu kilku sekund Pradaig został sam, otoczony przez wierzchowce pozbawione jeźdźców - którzy leżeli nieruchomo lub wili się w trawie. W mgnieniu oka zsunął się z siodła, tak by koński tułów znalazł się między nim a wzgórzem.

Will zakładał już kolejną strzałę, lecz Halt go powstrzymał.

- Zaczekaj - powiedział. Miał lepszy pomysł co do tego, jak należy rozprawić się z Pradaigiem. A ponadto należało uporać się z bardziej bezpośrednim zagrożeniem. Pozostało jeszcze siedmiu biegnących ku nim uzbrojonych zbirów. Odwrócił się, skinął na Horace'a, wskazując napastników. - Horace! Coś dla ciebie! - zawołał, a potem zwrócił się do Willa: - Osłaniaj go, jeśli będzie trzeba.

Horace nie dał sobie dwa razy powtarzać. Uderzył piętami w boki Kickera. Potężny rumak runął do przodu, nabierając prędkości niczym lawina. Wypadł spomiędzy drzew. I dopiero teraz dostrzegli go nadciągający napastnicy. Zatrzymali się, przerażeni, widząc obnażone zęby ogiera oraz długi, lśniący miecz w dłoni jeźdźca.

Chcieli się cofnąć, ale za późno. Kicker powalił dwóch, jednego odrzucając na bok, drugiego zaś tratując. Horace ciął bandytę znajdującego się po prawej stronie, a potem, wyczuwając niebezpieczeństwo grożące mu z drugiej, przycisnął prawe kolano do żeber Kickera.

Rumak zareagował natychmiast. Wspiął się na zadnie nogi i wykonał półobrót; powalając przy tym barkiem napastnika, który usiłował rzucić się na Horace'a. Uderzenie było tak silne, że mężczyzna przeleciał w powietrzu kilka metrów.

Gdy rumak z powrotem opadł na cztery kopyta, do ataku gotował się już kolejny złoczyńca, zamachnąwszy się maczugą o długiej rękojeści. Jednak szybki niczym błyskawica Horace, uprzedzając uderzenie, pchnął go pod pachę, tam gdzie ciało bandyty nie było osłonięte kolczugą. Napastnik zachwiał się i wypuścił oręż z rąk; na próżno usiłował powstrzymać strumień krwi tryskającej z rany.

Horace zawrócił Kickera, który znów wspiął się, gotów roznieść na kopytach następnego. Okazało się jednak, że rycerza i jego wierzchowca uprzedził Will: szósty bandyta opadał właśnie na kolana, z niedowierzaniem wpatrując się w czarną strzałę, która utkwiała w jego piersi. W następnej chwili runął na ziemię. Jedyne napastnik, który uszedł bez szwanku, ujrzał nagle, że niektórzy z jego towarzyszy leżą nieruchomo na ziemi, inni rozpaczliwie próbują uciec, czołgając się - byle dalej od strasznego rycerza, byle dalej od jego konia. Wypuścił miecz z ręki i umknął.

Horace obrócił się w miejscu, nie wiedząc, co robić dalej. Spojrzał w kierunku wzgórza. Halt wyciągnął rękę w stronę Pradaiga, który nadal krył się za swym wierzchowcem.

- Dowódca! Bierz dowódcę! - zawołał Halt.

Horace spojrział w stronę miasteczka. Bandyci zdążyli się już przegrupować po początkowym niepowodzeniu, a teraz atakowali zawzięcie, choć wciąż ponosili niemałe straty. Zrozumiał, co Halt ma na myśli. Osoba dowódcy miała kluczowe znaczenie; gdy zabraknie Pradaiga, banda pójdzie w rozsypkę.

Potwierdzając, że zrozumiał słowa zwiadowcy, zawiązał mieczem, po czym spiął Kickera, dotykając go nieznacznie ostrogami. Widział wyraźnie herszta złoczyńców ukrywającego się przed strzałami za swym koniem. Usta Horace'a wykrzywiły się w pogardzie, gdy młody wojownik uzmysłowił sobie, że Pradaig przez cały czas trzymał się z dala, gdy jego ludzie ginęli, usiłując zdobyć barykadę. Kicker wydłużył krok, przechodząc w kłus.

Pradaig usłyszał zbliżający się tętent kopyt. Jeszcze przed momentem z przerażeniem przyglądał się, jak Horace bez najmniejszego trudu rozbija w puch siedmiu jego najlepszych ludzi, a teraz wojownik ze wschodzącym słońcem na tarczy szarżował wprost na niego. Uznał, że warto zaryzykować nawet trafienie strzałą, i wskoczył na siodło. Zawróciwszy konia, pogalopował na południe.

Jednak Kicker, choć pomału nabierał prędkości, był o wiele szybszy od wierzchowca bandyty i wkrótce dzielący ich dystans zaczął się zmniejszać. Pradaig zorientował się, że łoskot kopyt rozbrzmiewa coraz bliżej. Obejrzał się i zauważył, że młody rycerz znajduje się już bardzo blisko. Jednak, ku swemu zaskoczeniu, dostrzegł także, iż ścigający go wojownik to wyrostek ledwie, gołowąg o młodzieńczej twarzy. Kto wie, może tylko fuksem udało mu się tak sprawnie pokonać owych siedmiu ludzi - pomyślał. Bądź co bądź, jego banda to przecież tylko zbieranina oprychów spod ciemnej gwiazdy, bez żadnego wojskowego wyszkolenia. Tymczasem on, Pradaig, był swego czasu zawodowym żołnierzem. Zawrócił więc konia, by stawić czoło ścigającemu rycerzowi. Dobył miecza, tarczę zawiesił na lewym ramieniu.

Kilka metrów od przeciwnika Horace ściągnął wodze Kickera. Ujrzał błysk nienawiści w oczach tamtego, dostrzegł nagi miecz i gotową do obrony tarczę. Z całą pewnością nie miał przed sobą bezbronnej ofiary. Tym lepiej - pomyślał.

- Rzuć miecz i poddaj się. Zastanów się dobrze, bo drugi raz nie powtórzę - ostrzegł herszta bandytów. W odpowiedzi Pradaig cisnął jakieś niezrozumiałe przekleństwo i spiął

konia ostrogami, by zadać Horace'owi potężny cios z góry. Kicker, niemal tanecznym krokiem, zszedł z linii ciosu, a Horace odbił miecz swoją tarczą. W następnej chwili jego klinga opadła z potężnym impetem na puklerz przeciwnika. Łotr zachwiał się, omal nie spadając z siodła. Jednak zdołał odzyskać równowagę. Niezdarnie zawrócił konia, runął do kolejnego ataku. Młócił mieczem jak opętany; Horace bez trudu parował te uderzenia mieczem lub tarczą, czekając, aż Pradaig wyczerpie do cna swój zasób sił.

Wreszcie bandyta cofnął się, zdyszany od wysiłku, z twarzą zalaną potem. Spoglądał z niedowierzaniem na młodego przeciwnika. Horace tymczasem nawet nie sprawiał wrażenia zmęczonego, swobodnie rozparty w siodle.

- Masz już dosyć? - spytał z niezmaconym spokojem. - Rzuć broń.

Właśnie ten stoicki spokój sprawił, że Pradaig do reszty stracił panowanie nad sobą. Znów ruszył naprzód, zadając jednocześnie wściekły cios mieczem. Tym razem zasłaniając się klingą, młody rycerz wspomniawszy słowa sir Rodneya, wygłoszone przez mistrza już wiele lat temu, gdy Horace uczęszczał jeszcze do dowodzonej przez niego Szkoły Rycerskiej na Zamku Redmont.

Kimkolwiek jest twój przeciwnik, daj mu szansę, żeby się poddał - ale nie ryzykuj. Podczas pojedynku zawsze może zdarzyć się coś nieoczekiwanego. Pęknięty popręg, przecięte wodze, szczęśliwy cios, który przeniknie twoją obronę. Strzeż się zbędnego ryzyka.

Westchnął. Już dwukrotnie dał Pradaigowi szansę ujęcia z życiem. Rodney miał słuszną rację. Dalsze przeciąganie walki byłoby głupotą. Doszedłszy do tego wniosku gdy tylko odbił atak Hibernijczyka, natychmiast zadał mu cztery szybkie ciosy znad głowy. Uderzenia miecza jak młot spadały na tarczę, wyszczerbiając ją i wyginając z taką siłą, że Pradaigowi drętwiała ręka. A potem, gdy wybrzmiewał jeszcze odgłos czwartego ciosu, Horace skierował kolanem Kickera w lewo, wykorzystując impet zwrotu, by zadać poziome, koszące cięcie wymierzone w nieosłonięty bok przeciwnika.

Usłyszał chrzęst i poczuł, jak ostrze zagłębia się w ciało; od pierwszej chwili wiedział, że cios sięgnął celu. Przez kilka sekund Pradaig z osłupiałym wyrazem twarzy chwiał się w siodle, a potem jego oblicze nie wyrażało już nic. Spadł z głuchym łoskotem na ziemię.

Na umocnieniach Craikennis wciąż toczyła się walka, lecz wielu napastników, zwłaszcza tych z drugiego szeregu, zatrzymało się, by obserwować pojedynek. Teraz, gdy ujrzeli, jak konny rycerz powalił ich herszta dobijającym ciosem, zaczęli gorączkowo rozglądać się za jego zastępcami. Ci jednak powaleni zostali już wcześniej strzałami Willa. Nie było zatem komu wydawać rozkazów.

Zapanował zamęt. Najpierw do ucieczki rzuciło się kilku bandytów, kierując się na

południe. Po kilku minutach pozbawieni dowództwa, dezorientowani napastnicy poniechali ataku i zmykali w panice, pozostawiając połowę swych towarzyszy martwych lub rannych.

Bitwa o Craikennis została zakończona.

ROZDZIAŁ 29

Widok krajobrazu po bitwie zawsze jest przygnębiający - stwierdził w myśli Horace. Martwi spoczywali w dziwacznych, nienaturalnych pozach na barykadzie lub na ziemi u jej stóp, tak jakby ręka jakiegoś olbrzyma rozrzuciła niedbale bezwładne ciała. Ranni łkali i jęczeli lub wołali rozpaczliwie o ratunek. Niektórzy pełzali w beznadziejnej próbie ucieczki, obawiając się okrutnej zemsty ze strony tych, których napadli.

Mieszkańcy Craikennis spędzili lżej rannych w jedno miejsce, gdzie pilnowali ich uzbrojeni strażnicy. Ciężej poszkodowanymi zajęły się kobiety. Obmywały i opatrywały rany, podawały wodę tym, którzy o to prosili. Tak to już jest, że po bitwie wszyscy są spragnieni - cóż dopiero ranni - stwierdził w duchu Horace.

Kilku obrońców zajęło się gromadzeniem oręża oraz innych części uzbrojenia należących do bandytów. Jeden z nich spytał Willa, czy chce, żeby pozbiali wystrzelone przez niego oraz Halta strzały, ale młody zwiadowca potrząsnął głową. Połowa i tak okazałaby się niezdatna do użytku, a myśl o czyszczeniu poplamionych krwią grotów, by użyć ich powtórnie, wydała mu się wyjątkowo wstrętą. Strzał mieli pod dostatkiem, każdy z nich bowiem zabrał na tę wyprawę po kilka zapasowych kołczanów przytroczonych do siodła. Przyglądał się, jak jedna z niewiast uniosła głowę ranionego zbrojcy, pojąc draba małymi łykami wody z kubka, który przytknęła mu do ust. Mężczyzna jęczał żałośnie, usiłował podnieść rękę, by przytrzymać naczynie, jednak wysiłek okazał się zbyt wielki, ręka opadła bezwładnie wzdłuż jego boku.

Oto - pomyślał Will - jak w obliczu cierpienia i śmierci nawet najgroźniejszy, krwiożerczy nikczemnik przeistacza się w szlochającego pętaka.

Halt rozmawiał z Conalem i Terrence'em, burmistrzem miasteczka.

- Winniśmy ci wdzięczność, zwiadowco - stwierdził dowódca straży. Halt machnąwszy ręką, wskazał Horace'a. Rycerz, zgodnie z poleceniem Halta, tkwił na grzbiecie Kickera, obserwując pobojuwisko ze szczytu wzgórza, z którego Halt oraz Will strzelali podczas bitwy. Popołudniowe słońce oświetlało, wyraźnie teraz widoczny, znak na jego

puklerzu.

- Wasze podziękowania należą się Rycerzowi Wschodu - rzekł. Od razu dostrzegł w oczach Terrence'a błysk świadczący, że burmistrzowi to określenie nie jest obce. Tak jak się spodziewał, starszy mężczyzna dobrze znał dawne mity i hibernijskie legendy.

- A więc to jest...? - Terrence urwał, nie śmiejąc wymówić na głos przydomka legendarnego bohatera.

- A któżby inny? - odparł Halt. - Wszak widzicie znak wschodzącego słońca na jego tarczy. I widzieliście też, jak powalił dziewięciu nieprzyjaciół, by utorować sobie drogę do ich przywódcy - który teraz leży martwy.

Co prawda rozbity przez Horace'a oddział liczył zaledwie siedmiu ludzi, a młody wojownik powalił tylko pięciu, lecz Halt był przekonany, że im prędzej zaczną przesadzać, tym lepiej.

Terrence przysłonił oczy dłonią i spojrzał na roslą postać dosiadającą bojowego gniadosza. Musiał przyznać, że rycerz prezentował się nader okazale.

Tymczasem Horace czuł się w tej sytuacji bardzo niezręcznie. Rzecz jasna, zamierzał dopomóc w uprzątnięciu pola bitwy. Jednak Halt nakazał mu, by nie zsiadał z grzbietu Kickera, wjechał na wzgórze i nie ruszał się stamtąd.

- Masz wyglądać zagadkowo - pouczył go.

Horace najpierw skinął głową, ale zaraz zmarszczył brwi.

- Jak to się robi? - spytał. Brwi Halta uniosły się, więc Horace czym prędzej dodał: - No, tak. Bo jeżeli nie okażę się tak zagadkowy, jak trzeba, będziesz miał mi za złe. Więc na wszelki wypadek pytam.

- Dobrze, posłuchaj: masz wyglądać tak, jakbyś miał mnóstwo do powiedzenia, ale nie zamierzał rzec ani słowa - wyjaśnił Halt, lecz widząc powątpiewanie w oczach Horace'a, natychmiast zmodyfikował instrukcję. - No dobrze, masz wyglądać tak, jakby ktoś podsunął ci pod nos zepsutą, śmierdzącą rybę.

- Aha, rozumiem - stwierdził Horace i z godnością oddalił się na wyznaczone miejsce. Po drodze starał się przywołać na swe oblicze stosowny - jak mu się wydawało - wyraz obrzydzenia.

Teraz, spoglądając z góry, dostrzegł, że Halt pokazuje go swym rozmówcom i zauważył też wyraźne zainteresowanie ze strony burmistrza. Przez chwilę zastanawiał się, jaka może być treść tej rozmowy, a potem westchnął. Wiedział, że Halt, jeśli zechce, zdolny jest to niebywałego wprost kręactwa. Tak więc był niemal pewien, że słowa wypowiedane w tej chwili przez zwiadowcę nie przypadłyby mu do gustu. Nie wątpił także, iż to, co Halt

mówił, niewiele miało wspólnego z prawdą.

Halt tymczasem wyluszczał swoim słuchaczom, kim tak naprawdę jest Horace.

- Wszak nie jest wam obca prastara przepowiednia - rzekł, zwracając się do Terrence'a. Był przekonany, że burmistrz zna ją na pamięć, nie omieszkał jednak przytoczyć: - „Kiedy Królestwa znajdą się w okrutnym niebezpieczeństwie, od wschodniej strony przybędzie rycerz; zwać go będą Rycerzem Wschodu, gdyż w herbie wschodzące słońce przyniesie”.

Terrence pokiwał głową. Halt zerknął przelotnie na Conalą i dostrzegł w jego oczach coś pomiędzy kpina, a powątpiewaniem. Cóż, trudno - pomyślał. - A właściwie: nic nie szkodzi. Nie spodziewał się przecież, że ktoś o tak praktycznym nastawieniu, jak Conal, zechce uwierzyć, iż ziściła się pradawna legenda. Wystarczy, że widział, jak sprawnie Horace posługuje się bronią. To z pewnością zrobiło na nim wrażenie.

- Aha. A jakich to podziękowań oczekuje ów... Rycerz Wschodu? - spytał Conal. - Czy mają one przybrać jakąś, hm, namacalną postać? - Z tonu jego głosu dość jasno można było wywnioskować, że w prorocтва nie wierzy, natomiast spodziewa się, że Halt w imieniu mitycznego herosa zażąda gotówki.

Halt spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie trzeba podziękowań. Starczy, że oznajmicie wszem i wobec, iż Rycerz Wschodu przybył, aby nieść Clonmelowi pokój - wydeklamował uroczystym tonem.

Nie uszedł jego uwadze ledwo dostrzegalny ruch brwi Conalą, którego taka odpowiedź wyraźnie zaskoczyła. Uśmiechnął się w myśli do siebie, choć twarz jego pozostała niewzruszona. W rzeczy samej, Conal nie dał się przekonać, ale już kilku mieszkańców Craikennis dosłyszało słowa Halta i spoglądało teraz z wielkim zaciekawieniem na dosiadającego potężnego rumaka rycerza. Stąd i zowąd dochodziły go wypowiedane półgłosem słowa „Rycerz Wschodu”. Pogłoski rozejdą się błyskawicznie po całej okolicy, a potem po całym kraju. Halta zawsze zdumiewała łatwość, z jaką szerzą się wszelkie wieści. Jak to się działo, nie miał pojęcia, był natomiast pewien, że może liczyć na moc plotki. Co więcej, doskonale zdawał sobie sprawę, że w miarę rozpowszechniania, te same wiadomości okażą się coraz bardziej przesadzone. Gotów byłby się założyć, że już za tydzień usłyszy, jak to Rycerz Wschodu sam jeden pokonał bandę Pradaiga w otwartym boju, a mianowicie rozgromił ją trzema ciosami ognistego miecza.

- Z chęcią uczynimy, co się należy - zapewnił skwapliwie Terrence. - Sławić naszego wybawiciela to dla nas radość i zaszczyt!

Conal uważnie przyglądał się twarzy Halta. Szpakowaty brodac początkowo wprowadził go w błąd, a jednak on sam, Conal, poprzedniego wieczoru postanowił

przybyszowi zaufać. Dziś okazało się, że jego rodzinna miejscowość zawdzięcza tej decyzji ocalenie. Przede wszystkim jednak bandytów udało się pokonać dzięki pomocy cudzoziemca oraz jego towarzyszy. Ów przybysz z Araluenu wyraźnie życzył sobie, żeby w świat poszła wiadomość o jego sławetnym rycerzu. Ha, czemu nie. Conal nie miał nic przeciwko temu. Rzecz jasna, doszły go słuchy o jakiejś bandzie fanatyków religijnych pod wodzą proroka utrzymującego, że jego bóg zdoła zapewnić wszystkim bezpieczeństwo tudzież ochronę. Odnosił wrażenie, że Halt działa wbrew owej bandzie. Dlaczego, w jakim celu? - tego nie wiedział. Jednak polubił niskiego mężczyznę w łaciatym płaszczu i ufał mu. Ponadto, Conal niewiele dbał o mity czy legendy, więc odnosił się sceptycznie do religijnego amoku, jakiemu ulegali niektórzy z jego rodaków. Zgodził się więc z burmistrzem:

- A jakże, zamierzamy go słać - spojrzenia jego i Halta spotkały się. Zrozumieli się bez słów. Zwiadowca w milczeniu skinął głową, a Conal dodał: - Czy zostaniecie na noc? Tym razem chętnie wpuścimy was do miasta - dodał z uśmiechem.

Jednak Halt odmówił:

- Miło mi to słyszeć, ale mamy sprawy do załatwienia w Mountshannon.

Rzecz jasna, nikt w Craikennis nie wiedział, co wydarzyło się w sąsiedniej miejscowości. Jednak teraz, gdy banda rabusiów została pobita i rozproszona, nie minie kilka dni, a gościńce znów się zaludnią. Halt ciekaw był, co przedsięwziął Tennyson podczas ich nieobecności oraz czy ktoś mu doniesie o kłęsce pod Craikennis.

Ucisnął dłonie obu rozmówców i ruszył w stronę, gdzie spokojnie pasł się Abelard wraz z Wyrwijem. Obok wierzchowców czekał Will. Halt nieznacznie skinął głową. Obaj dosiedli koni. Skierowali się w stronę pagórka, na którym czekał Horace.

- Dlaczego Horace stroi takie zagadkowe miny? - zainteresował się Will. Na ustach Halta pojawił się nikły uśmieszek.

- Ktoś podetknął mu pod nos zdechłą rybę - oznajmił, a choć niczego po sobie nie pokazał, zdumienie, jakie odmalowało się na obliczu ucznia, sprawiło mu niemałą satysfakcję. Od czasu do czasu - pomyślał - nie zaszkodzi dać młodym nieco do myślenia.

* * *

Mountshannon opustoszało. W mieście została tylko garstka mieszkańców, chorych lub zbyt leciwych, by wybrać się na wędrowkę. Trzej Araluńczycy jechali w ciszy główną ulicą miasteczka, widząc po obu stronach zamknięte okiennice i zaryglowane drzwi. Nielicznym, jeśli z tych czy innych powodów w mieście pozostali, nieśpieszno było bratać się

z obcymi; od czasu do czasu w którymś z okien pokazywała się twarz, by zaraz w mgnieniu oka zniknąć. Długie cienie późnego popołudnia zdawały się wzmaczać odczucie pustki. Halt ponaglił Abelarda; truchtem dotarli do placu targowego, lecz i tam nie ujrzeli żywego ducha.

Kramy oraz stragany zniknęły. Brakowało też wielkiego białego namiotu, gdzie dotąd rezydował Tennyson. Pozostały jedynie dwa małe, zielone namioty rozstawione w odległym krańcu rozległego, pustego wygonu. W samym środku widniała spora czarna plama, najwyraźniej ślad po wielkim ognisku. Trawa dookoła została wydeptana, stratowana setkami stóp.

- Co tu mogło się wydarzyć? - spytał Will. Halt rozglądał się przez chwilę.

- Przypuszczam, że miejscowi składali Alsejaszowi dzięki za cudowne ocalenie.

- Chcesz przez to powiedzieć, że gdybym chciał, w Craikennis wydano by na moją cześć przyjęcie z wielkim ogniskiem? - zapytał Horace. Obaj zwiadowcy spojrzeli na druha. Rycerz wzruszył ramionami. - No, co? Podobno powiedzieliście im, że to ja ocaliłem tę miejscinę.

- Owszem - odparł Halt. - Lecz co z tego?

- Czy ja wiem? Skoro tak, nikomu by nie zaszkodziło nieco przejawów należnej mi wdzięczności. Jakieś wesołe ognisko, może mała ucztą? Z pewnością zadbałbym, żeby i moim wiernym wyznawcom na niczym nie zbywało. - Wskazał wielkopańskim gestem w stronę towarzyszy. Potem jednak zepsuł cały efekt, uśmiechając się szeroko.

Halt mruknął coś pod nosem, po czym oddalił się w stronę namiotów.

- Hej, ja tylko starałem się być zagadkowy! - zawołał za nim Horace.

Zwinęli obóz, po czym wrócili do miasteczka, gdzie zaczęli dobijać się do drzwi gospody. W oknach było ciemno. Nikt nie odpowiadał, chociaż łomotali z całych sił. W pewnej chwili Horace cofnął się kilka kroków i wrzasnął na cały głos:

- Hej! Jest tam kto?

Will i Halt wzdrygnęli się nerwowo.

- Następnym razem uprzedź, jeśli postanowisz tak się wydzierać - parsknął wściekle Will.

Horace spojrział na przyjaciela z niewinnym wyrazem twarzy.

- Jak to? Nie podobało wam się, kiedy byłem zagadkowy, więc właśnie przestałem.

Jednak i na to prawdziwie gromkie zawołanie nikt w gospodzie nie odpowiedział. Zastanawiali się, czy należy wyłamać drzwi, by móc spędzić tę noc wygodnie, kiedy usłyszeli za sobą odgłos kroków. Jakaś stara kobieta okutana chustą, powłócząc nogami wyszła z chatki stojącej obok, by przekonać się, cóż to za przyczyna wywołuje tak wielkie

zamieszanie. Spoglądała na nich wodnistymi, wyblakłymi oczyma. Nie było w nich jednak strachu, coś jej mówiło, że trzech obcy nie są groźni.

- Odeszli. Wszyscy odeszli - odezwała się.

- Odeszli? Dokąd? - spytał Halt.

Odpowiedziała mu niedbałym machnięciem ręki, wskazując kierunek północny.

- Do Dun Kilty, tak powiadali. Razem z prorokiem.

- Dun Kilty? - powtórzył Halt. - To znaczy do zamku króla Ferrisa?

Staruszka popatrzyła na niego zmęczonymi, mądrymi oczami. Przytaknęła.

- Ano, ano. Prorok...

- To znaczy Tennyson? - przerwał jej Will.

Zmarszczyła brwi, niezadowolona z braku uszanowania dla jej sędziwego wieku.

- Ano, przecie mówię. Prorok Tennyson głosi, że tam właśnie jego bóg przywróci pokój królestwu. Wezwał naszych z Mountshannon, żeby poszli za nim, to się przekonają na własne oczy. No i poszli, banda głupców.

- Ale wy, matko, nie poszliście - zauważył Halt.

Przez dłuższą chwilę spoglądała nań w milczeniu.

- Ano, nie - rzekła wreszcie. - Są jeszcze tacy, co pozostali wierni naszym starym bogom. Bo to i wiadomo: bogowie czasem ześlą co dobrego, a czasami co złego, żeby wystawić nas na próbę. Prosta rzecz. Za to taki bóg, co to niby obiecuje samo dobro... Dziwny jakiś.

- A to czemu? - ponaglił ją delikatnie Horace, bowiem umilkła, jakby już miała więcej się nie odezwać. Spojrzała teraz na niego.

- Wiadomo. Taki bóg, co daje dobro i zło po równi, wiele nie wymaga - odpowiedziała. - Starczy pomodlić się czasem. A czasem może i złożyć zwierzątko w ofierze. Ale taki bóg, co obiecuje samo dobro? - potrząsnęła głową, wykonała dłonią znak dla odczynienia złego uroku. - Taki bóg na pewno każe sobie drogo zapłacić.

Halt pokiwał głową. Uśmiechnął się z uznaniem dla mądrości, jaką przynosi wiek, a także dla cynizmu, jaki niesie ze sobą mądrość.

- Obawiam się, że macie rację, matko - rzekł.

Wzruszyła ramionami. Cóż jej po słowach uznania?

- Pewnie, że mam - stwierdziła, po czym dodała: - Z boku jest furta, której nigdy nie zamykają. Tamtędy możecie wejść, zamiast tłuc się i kołatać po próznicy. Taki rejwach wyczyniacie, że zbudzilibyście umarłego.

Pokazała im palcem boczną uliczkę. Potem odwróciła się, poczłapała do swej chatynki

oraz ciepłego kominka. Uważała, że nie służy jej chłodne powietrze późnego popołudnia; stare kości domagały się wygrzania przy ogniu.

Odnaleźli boczną furtkę i weszli do oberży. Halt rozpałił ogień, znalazł też kilka świec. Horace przeszukał spiżarnię, a Will zajął się ich wierzchowcami, które znalazły zakwaterowanie w stajni na tyłach głównego budynku.

Wkrótce wszyscy trzej siedzieli wygodnie przy kominku, spożywając czerstwy chleb z serem. Nie zabrakło też smacznej wiejskiej szynki i jabłek, a wszystko popili oczywiście kawą. Halt rozejrzył się po pustej sali. Zazwyczaj o tej porze powinni się w niej kłębić goście.

- Ha, a więc zaczęło się - powiedział. Gdy dwaj młodszy towarzysze spojrzeli nań pytająco, wyjaśnił: - Tennyson przeszedł do finalnego etapu swojego planu. O ile wiem, tak właśnie postępował poprzednio, w sąsiednich królestwach. Dysponuje już teraz wystarczająco licznym gronem wyznawców gotowych zaświadczyć, że na własne oczy widzieli, jak dzięki jego wstawiennictwu bandyci uciekają w popłochu. Skoro sam, we własnej osobie poprowadził już krucjatę na Dun Kilty, należy przypuszczać, że wkrótce dołączą do niego mieszkańcy innych miast czy wiosek, które w ten sam sposób pozyskał sobie wcześniej. Przybędą na jego wezwanie, może zresztą już przybyli. Prorok powiedzie ich od miasta do miasta, zyskując podczas wędrówki wciąż nowych wiernych.

- Aż wreszcie - wtrącił Will - ściągną wszyscy do Dun Kilty, by rzucić wyzwanie królewskiemu majestatowi.

Halt skinął głową.

- Tak, choć oczywiście nie odważą się cisnąć w twarz monarsze bezpośredniego wyzwania. Na to są zbyt sprytni. Z początku Tennyson będzie udawał, że działa w imieniu króla, bo też i działać będzie za jego przyzwoleniem. Jednak z czasem, kiedy stanie się jasne, kto jest prawdziwym ojcem ludu, władca zostanie zepchnięty na ubocze, a Tennyson sięgnie po prawdziwą władzę.

- Zważywszy, co ludzie mówią o królu, nie potrwa to zbyt długo - zauważył Horace. - Lecz skoro gnuśnieje w bezczynności, sam się prosi o to, co go czeka - urwał, uświadomiwszy sobie, że bądź co bądź mówi o bracie Halta, dodał, zmieszany: - Wybacz, Halt. Nie zamierzałem...

Zawiesił głos, gdy Halt machnął ręką, zbywając lekceważąco tłumaczenia.

- Daj spokój, Horace. Nie darzę szczególną estymą mojego brata. I nie mam wątpliwości, że jego poddani dzielają moje uczucia.

Will, zamyślony, spoglądał w płomienie. Zastanawiał się nad słowami Halta.

- Czy fakt, że powstrzymaliśmy napaść na Craikennis, nie pokrzyżuje planów Tennysona? - spytał.

Halt pokręcił głową.

- Dla niego to tylko drobny kłopot, na pewno nie poważna przeszkoda. Jedno niepowodzenie wobec całej serii krwawych jatek. Zawsze może powołać się na świadectwo mieszkańców Mountshannon, to w zupełności wystarczy. Oczywiście, rzeź w Craikennis byłaby mu na rękę, lecz poradzi sobie i bez niej. Niepowodzenie w Craikennis samo w sobie nie pomiesza mu szyków.

- Chyba że my się o to postaramy - zauważył Horace. Halt uśmiechnął się. Młody wojownik potrafił niekiedy w kilku słowach dojść do sedna sprawy.

- Otóż to. Bardzo możliwe, że nawet jeszcze nie wie, co się stało w Craikennis. Na miejscu tych ludzi, którzy pierzchli, kiedy Horace powalił Pradaiga, nie kwapiłbym się ze złymi wiadomościami do przywódcy. Ludzie tacy jak Tennyson mają pewną paskudną cechę, mianowicie mszczą się na tych, którzy przynoszą im niepomysłne wieści. Będzie tedy wędrował i zdobywał nowych wyznawców, spodziewając się, że pogłoski o masakrze spotęgują tylko efekt dokonywanych przezeń „cudów”. Poważne kłopoty zaczną się dla niego dopiero, gdy usłyszy nie o klęsce swoich ludzi w Craikennis, lecz o spektakularnym zwycięstwie Rycerza Wschodu. Jeśli pojawimy się w Dun Kilty po tym, jak rozejdzie się wieść, że ów legendarny bohater sam jeden pokonał dwustu krwiożerczych bandytów, zrozumie, że stanowimy dla niego bezpośrednie zagrożenie. Zagrożenie, którego nie będzie mógł zlekceważyć.

- I co, to dobrze? - zastanowił się Will.

Halt przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

- Tak, to bardzo dobrze - potwierdził. - Prawdę mówiąc, nie mogę doczekać się, kiedy Tennyson dostanie wreszcie za swoje.

Przeciągnął się. Miał za sobą ciężki i długi dzień. A takich dni zapowiadało się jeszcze wiele.

- Chodźmy spać - zaproponował. - Willu, chciałbym, żebyś jutro ruszył w ślad za Tennysonem i miał na niego oko. Mnie oraz Horace'a już zna, a ciebie nie widział. Wystąpisz znów jako wędrowny grajek.

Will skinął głową. Wiedział, że nietrudno będzie wmieszać się w bezładny tłum, jaki prowadził ze sobą Tennyson. A jako minstrel zawsze może liczyć na przychylnie przyjęcie.

- Z tego, co wiem o Odszczepieńcach, dołoży starań, by po drodze zyskać sobie jeszcze więcej zwolenników, toteż przypuszczalnie zmierza do Dun Kilty okrężną drogą,

odwiedzając kolejne miejscowości. Do zamku dotrze za jakiś tydzień. W każdym razie, kiedy wywiesz się, jakie są jego zamiary, przybywaj do nas.

- A gdzie was znajdę? - spytał Will, chociaż domyślał się odpowiedzi. Odpowiedź Halta potwierdziła jego przypuszczenia:

- Będziemy w Dun Kilty. Czas na małe rodzinne spotkanie. Złożymy wizytę mojemu braciszкови!

ROZDZIAŁ 30

Horace musiał przyznać, że Zamek Dun Kilty prezentował się imponująco.

Wznosił się wewnątrz otoczonego murami miasta, na skalnym wypiętrzeniu o tej samej nazwie. Górował nad otaczającymi go niższymi budynkami; potężne mury pięły się miejscami na dziesięć metrów.

- Tej budowli nie wzniesiono z dnia na dzień - rzekł do Halta, gdy jechali ulicą, na której roilo się od kupców, straganów, rzemieślników zajętych pracą i ludzi pchających wózki pełne wszelkiego dobra, od materiałów budowlanych, warzyw lub tusz zwierzęcych, po suszony nawóz. Horace zauważył mimochodem, że w tej ciasnocie niekiedy jedne towary ocierały się o drugie, to znaczy, że na kawałach mięsa pozostawały smugi końskiego łajna. Postanowił solennie, że tego dnia na kolację zamówi rybę.

- Tę budowlę wzniesiono kilkaset lat wcześniej niż Zamek Araluen. Dopiero później, o wiele później, wyrosło wokół niej miasto - poinformował go Halt. - To zaiste prastare zamczysko.

Horace z jeszcze większym podziwem spojrział na starożytną twierdzę. Lecz Halt zaraz popsuł wrażenie, dodając:

- Zimą hulają tam straszliwe przeciągi, aż trudno wytrzymać.

Rozstali się z Willem dwa dni wcześniej; młody zwiadowca pojechał za Tennysonem, a Halt z Horace'em ruszyli prosto do Zamku Dun Kilty. Zgodnie z przewidywaniami Halta, pogłoski o tym, co wydarzyło się w Craikennis, jakimś niezwykle sposobem zdążyły ich wyprzedzić.

Opowiadano wszelako też o Tennysonie. Oto Tennyson, z pomocą nieziemskich mocy, odparł napaść na Mountshannon. Kiedy Halt rozmawiał z przygodnie spotkanymi ludźmi, wyczuwał w nich niepokój, jakby nie wiedzieli, ku czemu mają się skłonić. Opowieści o Odszczepieńcach i o tym, że słudzy nowego boga potrafią chronić miasta czy osady przed panującym w kraju bezprawiem, pojawiły się już znacznie wcześniej. Dochodziły nawet z sąsiednich królestw Hiberni. Natomiast Rycerz Wschodu stanowił zjawisko całkiem nowe.

Choć z drugiej strony, legendę oraz przepowiednię powszechnie znano przecież od niepamiętnych czasów, natomiast o Złotym Alsejaszu do niedawna nikt nie słyszał. Tak więc obywatele Clonmelu przyjęli postawę, którą można w skrócie określić jako „pożyjemy, zobaczymy” - na co właśnie liczył Halt.

Poprzedniego wieczoru, gdy rozłożyli obóz przy gościńcu, zwiadowca poświęcił się dość szczególnemu zajęciu, które określił jako „twórczość”, a które Horace nazwałby raczej fałszerstwem. Gapił się, jak Halt rozkłada przybory do pisania, pergamin, pieczęcie i wosk. Westchnął cicho. Pamiętał, jak wielkim oburzeniem zapalał, gdy po raz pierwszy Halt w jego obecności sporządzał podrobiony dokument. Cóż, był wówczas prostolinijnym, naiwnym młokosem. Teraz nabrałem nieco więcej elastyczności - stwierdził Horace w duchu. Już się tak nie zżymam, jak wtedy. Nie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że pod wpływem częstego a długotrwałego przebywania w towarzystwie zwiadowców, jego standardy moralne doznały niejakiego uszczerbku.

Halt uniósł wzrok znad swojej roboty, dostrzegł wyraz twarzy towarzysza i odgadł jego myśli.

- To tylko list żelazny od Duncana. Prośba, aby dopuszczono cię przed królewskie oblicze - wyjaśnił. - W ten sposób dostaniemy się do Ferrisa.

- Nie mógłbyś po prostu powiedzieć Ferrisowi, że wróciłeś? - spytał Horace. - Jestem pewien, że zgodziłby się z tobą spotkać.

Halt przyglądał się swemu dziełu z wysuniętą dolną wargą.

- Może i tak - stwierdził. - A może uznałby, że prościej mnie zabić? Zapewniam cię, że taki glejt to pewniejszy sposób. Zresztą chcę zyskać szansę wyboru chwili, w której Ferris dowie się o moim powrocie.

- Zapewne masz rację - przyznał Horace. Nadal jednak nie zachwycała go perspektywa legitymowania się sfałszowanym dokumentem. Tymczasem na jego oczach Halt odcisnął w kawałku wosku u dołu dokumentu doskonałą kopię aralueńskiej pieczęci koronnej.

- Duncan z pewnością nie omieszkałby wystawić mi takiego pisma, gdybyśmy tylko mieli czas go poprosić. Nie rozumiem, co cię tak trapi - stwierdził Halt.

Horace wskazał pieczęć, którą zwiadowca schował tymczasem do zamszowego woreczka.

- Zapewne masz rację - powtórzył. - Ale czy król wie, że posiadasz jego pieczęć?

Halt nie odpowiedział od razu.

- Niezupelnie - rzekł ostrożnie. - W każdym razie coś, o czym nie wie, nie przyprawia go o ból głowy. Jego, a zwłaszcza mnie, co w tym wypadku istotniejsze.

W Araluenie obowiązywało prawo, na mocy którego posiadanie kopii królewskiej pieczęci, nie wspominając już o posługiwaniu się nią, stanowiło zbrodnię, za popełnienie której groziła najwyższa kara. Nie trzeba dodawać, że król Duncan oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, iż Halt niejednokrotnie podrabiał jego pieczęć oraz podpis. Czynił to jednak w interesie Korony i Królestwa, toteż, jako rozumny władca, Duncan dokładał wszelkich starań, by oficjalnie o niczym nie wiedzieć.

Halt pomachał pergaminem w powietrzu. Osuszył inkaust, po czym ostrożnie odłożył dokument na bok.

- Teraz pora na twoją tarczę - stwierdził.

Płócienny pokrowiec okrywający tarczę Horace'a podczas starcia z Pradaigiem, pocięty, poszarpany, nie nadawał się już do użytku. Zwiadowca postanowił przyozdobić puklerz młodego towarzysza bardziej trwałym znakiem. Gdy popołudniem tego dnia przejeżdżali przez jakąś wioskę, Halt wystarał się o farbę oraz pędzle. Teraz posłużył się nimi, by namalować na tarczy Horace'a wschodzące słońce. Horace spostrzegł, że zwiadowca, pracujący w skupieniu, wysunął koniuszek języka. Nadawało to siwowłosemu brodaczkowi wyjątkowo młodzieńczy wygląd.

- Gotowe! - oznajmił Halt, ukończywszy czarną, poziomą linię odcinającą dolną część kręgu. - Wyszło całkiem niezłe, przyznasz?

Pokazał tarczę Horace'owi. Wojownik skinął głową.

- Znakomicie - pochwalił. - Wygląda dużo lepiej niż ten nieszczęsny liść dębu, którym przyozdobiłeś moją tarczę w Gallii.

Halt zaśmiał się.

- Z pewnością. Malowałem go w pośpiechu, więc rezultat uzyskałem cokolwiek toporny. Nie to, co teraz. Ale łatwiej malować koła i linie niż liść dębu.

Oparł tarczę o pień drzewa. Do rana farba wyschła. Tedy, gdy wyruszyli w dalszą drogę, Horace znów stał się Rycerzem Wschodzącego Słońca.

Jechali przez Dun Kilty, niejeden zaś spoglądał na wymalowany herb, pokazywał go innym, aż wreszcie rozlegały się komentarze wygłaszane półgłosem, niosły się szepty, poparte stłumionymi okrzykami zdumienia. Dobrze - stwierdził w duchu Halt. - Zauważyli. I rozpoznali znak - choć nie przypuszczał, by stało się tak akurat w efekcie jego szczególnych uzdolnień malarskich.

Tymczasem Horace'a coś niepokoiło. Postanowił pomówić z Haltem.

- Halt? - odezwał się. - Chciałbym cię spytać...

Natychmiast pożałował, że użył tych właśnie słów, bowiem Halt przybrał równie

cierpiętniczy wyraz twarzy jak zawsze, gdy któryś z młodszych towarzyszy zanudzał go pytaniami. Horace nie czekał więc na odpowiedź zwiadowcy, tylko brnął dalej:

- Nie obawiasz się, że ktoś mógłby... No, wiesz, rozpoznać cię. Na ulicy albo na zamku?

- Mnie? - zapytał Halt w zdumieniu. - Nikt mnie tu nie zna. Wyjechałem z Clonmelu jako młody chłopak i odtąd mnie tu nie widziano.

- Dobrze, ciebie może nie widziano. Tylko że ty i... - urwał, po czym uznał, że nierozsądnym byłoby wspominać głośno o rodzinnych koneksjach Halta - ...Ty i „sam wiesz kto” jesteście bliźniakami, prawda? Domyślam się więc, że jesteście do siebie podobni. Czy nie lękasz się, że ktoś nagle zakrzyknie: „Patrzajcie, patrzajcie! Jedzie »sam wiesz kto«! I jaki ma łaciaty płaszcz!”

- Aha, o to ci chodzi. Już rozumiem. Nie, nie sędzę, by tak się stało. Przede wszystkim większą część mojej twarzy zakrywa kaptur. A poza tym ludzie spoglądać będą raczej na ciebie niż na mnie.

- No, tak. Pewnie tak - przyznał Horace. Nie przyszło mu to wcześniej na myśl.

Halt mówił dalej:

- Ponadto, „sam wiesz kto” i ja różnimy się obecnie wyglądem, zresztą pod wieloma względami. Ja noszę zwyczajną brodę, w dodatku dość długą, a on ledwie kozią bródkę, taki śmieszny kłaczek na podbródku i do tego ufryzowane wąsiki. - Dostrzegłszy pytający wyraz twarzy Horace'a, wyjaśnił: - Odwiedzałem ten kraj kilkakrotnie, już po moim oficjalnym zniknięciu. Stąd wiem.

Horace skinął głową.

- Ponadto - ciągnął Halt - on nosi włosy gładko zaczesane do tyłu, podczas gdy moje są, że tak powiem... - urwał, zastanawiając się nad właściwym określeniem.

- Niechlujne i zmierzwione? - Horace ugryzł się w język o kilka sekund za późno. Z rozpędu poruszył dość drażliwą kwestię. Ludzie często wypowiadali się krytycznie na temat fryzury Halta, co nieodmiennie przyprawiało zwiadowcę o złość. Także tym razem starszy zwiadowca obdarzył Horace'a lodowatym spojrzeniem.

- Dzięki za podpowiedź - burknął. Umilkł, lecz dodał po chwili: - No właśnie, sam przyznasz, że nikt nie będzie dopatrywał się podobieństwa do króla u kogoś o tak niechlujnych i zmierzwionych włosach - jak zechciałeś to elegancko określić.

Horace już miał odpowiedzieć, ale uznał, że lepiej ugryźć się w język. Wkrótce znaleźli się na stromej, krętej drodze wiodącej do bramy zamku. Jechali powoli zważając, by nie potracić któregoś z licznych pieszych podążających tym samym traktem. Jako jedyni

jeźdźcy, ściągali na siebie spojrzenia przechodniów.

- Wyglądasz dostojnie - rzekł Halt półgłosem. - Przybywasz z oficjalnym poselstwem od króla Araluenu.

- Przybywam ze sfalszowanym poselstwem, jeśli chodzi o ścisłość - poprawił go cicho Horace. - To żaden powód do dumy, więc trudno mi wyglądać dostojnie.

- Nikt się nie zorientuje. Jestem wytrawnym fałszerzem - stwierdził Halt z wyraźną satysfakcją w głosie, toteż Horace spojrzał nań kosym okiem.

- Wiesz co? To dopiero coś, z czego trudno być dumnym - zauważył.

Halt uśmiechnął się wesoło.

- Ach, Horace - rzekł. - Jaka to przyjemność podróżować w twoim towarzystwie. Przypominasz mi nieustannie, na jakie dno moralnego upadku się stoczyłem. Wszelako teraz wyglądasz dostojnie, bardzo cię proszę.

- Wolę wyglądać zagadkowo. Tak mi łatwiej. Wiesz, mam na myśli tę cuchnącą rybę, o której wspominałeś - odparował Horace.

Halt popatrzył z niejakim zaskoczeniem. Horace wyrósł, stał się naprawdę trudnym przeciwnikiem, nie tylko dla tych, którzy spotykali go z mieczem w dłoni. Już nie tak łatwo dawało się go pokonać w utarczkach słownych. Mało tego, Halt podejrzewał, że Horace uwielbia podobne przekomarzanki. Nie przychodziła mu na myśl żadna odpowiednio miażdżąca riposta, toteż tylko chrząknął.

Bramy zamku zastali otwarte. Nic dziwnego: miastu nie groziło wszak żadne niebezpieczeństwo, a bezustanne zamykanie i otwieranie krat stanowiłoby nie lada uciążliwość, bowiem panował tu ogromny ruch. Drogą prowadzącą przez bramę płynął w obie strony ciągły strumień wozów, wózków i ludzi dźwigających różne ciężary. I w tym nic dziwnego; mieszkańcy zamczyska potrzebowali stałych dostaw żywności oraz rozmaitych luksusów, jak choćby trunki: wino tudzież piwo. Ponadto tak stara budowla wymagała niemal nieustannych napraw. Właśnie dlatego pośród ludzkiej masy oprócz dostawców i kupców można było dostrzec też robotników zmierzających do pracy. Ogólnie rzecz biorąc, oglądany widok przywodził Horace'owi na myśl gigantyczne mrowisko.

A jednak, choć bramy nie zamknięto, po obu jej stronach czuwali wartownicy. Na widok jezdnych, postąpili do przodu. Skrzyżowali włócznie, zagradzając drogę. Kilku pieszych podążających przed Haltem i Horace'em przemknęło jednak obok nich lub pod włóczniami, spiesząc się do roboty.

- Ejże, kim wy jesteście i jak was zwą tam, skąd przybywacie? - zawołał wyższy ze strażników.

Horace skrył uśmiech, bowiem zabrzmiało to niemal jak poufale pozdrowienie. Na Zamku Araluenu wartownik zamiast tego wypowiedziałby regulaminową formułę: „Stój, kto idzie? Do kogo, w jakim celu?”.

- Sir Horace, dworzanin króla Araluenu, Rycerz Wschodzącego Słońca, z poselstwem od wielkiego króla Duncana do króla Ferrisa - odpowiedział Halt.

Horace siedział wyprostowany w siodle, z twarzą nieruchomą jak maska. Aha, więc król Duncan jest „wielkim królem”, a Ferris zaledwie „królem Ferrisem”. Znamienne, choć trudno się spodziewać, by prostoduszny wartownik zwrócił uwagę na taki szczegół.

Choć twarz Horace'a zachowała wyraz wyniosłej obojętności, jego oczy spoglądały uważnie. Odnotował, że kilku przechodniów zatrzymało się na wzmiankę Halta o Rycerzu Wschodu.

Jednak na wartowniku przydomek nie wywarł większego wrażenia. Swoją drogą - pomyślał Horace - strażnikom strzegącym bramy królewskiego zamku zazwyczaj niełatwo jest zaimponować. Ten nawet nie mrugnął okiem, tylko wyciągnął rękę w stronę Halta.

- A papiery jakieś na to macie? Takie, w których stoi napisane, że jesteście tymi, którymi jesteście?

I to pytanie zostało zadane tonem raczej poufałym niż służbistym. Horace sięgnął do rękawa, wydobyl list żelazny, sporządzony poprzedniego wieczoru ręką Halta. Wręczył go zwiadowcy, ten zaś przekazał dokument wartownikowi. Horace odwrócił się i ziewnął - uznał bowiem, że tak by właśnie postąpił, zachowując się dostojnie. Czy też raczej zagadkowo.

Strażnik przyjrzał się pergaminowi. Rzecz jasna, nie umiał czytać, lecz królewski herb Araluenu zwieńczony koroną wyglądał nader imponująco. Zerknął na swojego towarzysza.

- Wszystko w porządku - oznajmił, po czym oddał dokument Haltowi, który przekazał go Horace'owi. Następnie strażnicy rozsunęli się na boki, pozwalając przybyłym wjechać na zamkowy dziedziniec.

Skierowali się w stronę stołpu, gdzie mieściła się też kordegarda. Tam znów musieli okazać dokumenty, tym razem dowódcy zmiany. Horace stwierdził, iż Halt miał słuszość. Mało kto zwracał uwagę na zwiadowcę. Za to wszyscy przyglądali się Horace'owi, który w pełnej zbroi i na grzbiecie wspaniałego rumaka sprawiał wrażenie o wiele znaczniejszej osoby. Pewnie gdyby ktoś potem spytał strażników o wygląd Halta, nie potrafiliby go nawet opisać.

Pozostawili wierzchowce u wejścia, po czym kolejny strażnik poprowadził ich na drugie piętro, gdzie znajdowała się komnata audiencyjna Ferrisa. W sieni wyszedł im na spotkanie namiestnik, zarządca dóbr królewskich, młody człowiek o miłej twarzy. Horace

przyjrzał mu się uważnie. Namiestnik sprawiał wrażenie wojownika. Nosił długi miecz, zresztą wyglądał na kogoś, kto potrafi się nim posługiwać. Niemal dorównywał wzrostem Horace'owi, chociaż był mniej barczysty. Szczupłą, inteligentną twarz okalały ciemne, kręcone włosy. Obdarzył ich życzliwym, choć jakby nieco zmęczonym uśmiechem.

- Bądźcie pozdrowieni - powitał ich. - Zawsze mile witamy przedstawicieli naszych aralueńskich kuzynów. Nazywam się Sean Carrick.

Spod kaptura Halt z zainteresowaniem przyglądał się młodemu mężczyźnie. Nosił nazwisko rodu królewskiego - Carrick - co oznaczało, że jest jakimś krewnym Ferrisa. Nic dziwnego - pomyślał. Królowie często wyznaczają na odpowiedzialne stanowiska członków własnej rodziny. Znaczyło to jednak, iż ten młodzieniec zalicza się do krewnych Halta.

Horace wyciągnął rękę.

- Horace - przedstawił się. - Rycerz dworu aralueńskiego. Dowódca kompanii w Gwardii Królewskiej, rycerz księżniczki krwi, królowy Cassandry.

Sean Carrick zerknął na dokument podany mu przez Halta i uśmiechnął się.

- Zaszczytne to tytuły - stwierdził, po czym dodał, pochyliwszy głowę na bok: - Słyszałem jednak pogłoski o pewnym wojowniku, którego zwą Rycerzem Wschodu? - spojrzał wymownie na znak zdobiący tunikę Horace'a. Jako perfekcjonista, Halt nie tylko wymalował tarczę swego towarzysza, lecz także zadbał zawczasu o stosowny strój.

- Owszem, tak mnie niekiedy zwą - rzekł wymijająco Horace, nie zaprzeczając tym samym ani nie potwierdzając, iżby utożsamiał się z przydomkiem. Sean skinął głową, usatysfakcjonowany odpowiedzią. Spojrzał z kolei na towarzyszącego Horace'owi mężczyznę o wyglądzie łowczego czy może strzelca. Jego rysy wydały mu się znajome, tak jakby kiedyś już go spotkał.

Nim jednak zdążył zadać oczywiste pytanie, Horace odezwał się niedbałym tonem:

- To mój człowiek, Michael.

Przypomniał sobie w samą porę, że kilka dni wcześniej on sam był Michaeliem. Sprawiedliwości stało się zadość - pomyślał, chichocząc w duchu.

Sean Carrick kiwnął głową. Natychmiast stracił wszelkie zainteresowanie dla zakapturzonej postaci.

- Ach, tak. - Spojrzał w stronę potężnych odrzwi, przed którymi stali. - Sprawdzę, czy jego królewska wysokość jest gotów was przyjąć.

Skłonił się, uchylił drzwi i zniknął. Kiedy po kilku minutach pojawił się znów, dał znak, by szli za nim.

- Jego wysokość, król Ferris, przyjmie was - oznajmił. - Zechciejcie zostawić tu swoją

broń.

Było to zgodne z powszechnie obowiązującym obyczajem, toteż Horace i Halt nie sprzeciwiali się. Horace nie omieszkał spostrzec, że Halt co prawda złożył na wielkim stole swe wyposażenie, lecz pochwa od noża służącego do rzucania była pusta. Postanowił jednak się nie przejmować, uznawszy, że Halt zapewne wie, co robi. Ruszyli w stronę wielkich drzwi.

Carrick wprowadził obu gości do sali tronowej. Znaleźli się w pomieszczeniu dość skromnym jak na reprezentacyjną komnatę królewskiej siedziby. Tak w każdym razie uznał Horace, który jak dotąd widział tylko salę audiencyjną króla Duncana. Ta tutaj była podłużna, prostokątna, o wysokim ostrołukowym sklepieniu. Dłuższe boki prostokąta nie mogły mieć więcej niż dziesięć metrów. W końcu pomieszczenia wznosiło się podwyższenie, na którym stał prosty drewniany tron króla Ferrisa.

Sean Carrick przedstawił ich, po czym wycofał się dyskretnie. Ferris przyglądał się ciekawie gościom, zastanawiając się, w jakiej sprawie przybywa do niego poselstwo z Araluenu i czemu nie zostało zapowiedziane wcześniej. Skinął, by się zbliżyli. Horace szedł przodem, Halt trzymał się o kilka kroków w tyle.

Halt przyjrzał się królowi Clonmelu. Rodzinne podobieństwo z Haltem nie ulegało wątpliwości. Jednak bracia różnili się od siebie. Oblicze króla było pełniejsze, a przez to rysy mniej wyraziste. Ferris bez wątpienia zaliczał się do ludzi ceniących sobie rozkosze stołu. Sylwetka monarchy również na to wskazywała. O ile Halt był szczupły i żyłasty, to jego brat bliźniak cechował się pewną nadwagą, co nadawało mu ospały wygląd.

Ferris nosił kocią bródkę oraz ufryzowane wąsiki, starannie przycięte. Zaczesane do tyłu włosy utrzymywała w ryzach skórzana opaska. Ponadto królewska czupryna, podobnie jak broda, były całkowicie czarne, przez co Ferris wyglądał co najmniej o dziesięć lat młodziej niż jego szpakowaty bliźniak. Po chwili namysłu Horace doszedł do wniosku, że owa czerń jest zbyt równomierna i połyskliwa, jak na naturalne zabarwienie. Najwyraźniej Ferris farbował włosy.

Różniło ich też spojrzenie. Halt patrzył prosto w oczy, wzrokiem spokojnym, lecz nieugiętym. Ferris zerkał badawczo na wszystkie strony, jakby czegoś się obawiał; oczy króla poruszały się nieustannie.

Usłyszeli ciche stuknięcie; to Carrick zamknął za sobą wrota sali. Pozostali sam na sam z królem Ferrisem, chociaż Horace gotów był się założyć, że co najmniej kilkunastu uzbrojonych po zęby ludzi przebywa w pobliżu, przez ukryte otwory obserwując bacznie, czy królowi nie zagraża jakieś niebezpieczeństwo.

Ferris odezwał się, wskazując zakapturzoną postać obok Horace'a.

- Sir Horace... - Młody rycerz drgnął, bowiem król miał głos niemal identyczny jak Halt. Gdyby przesłonięto mu oczy, z pewnością nie byłby w stanie stwierdzić, czy przemawia zwiadowca, czy hibernijski monarcha. Tyle może, że Ferris przemawiał z dobitniejszym zaśpiewem, charakterystycznym dla tutejszej wymowy. - Czy twój człowiek to ze szczętem nieokrzesany gbur? Nie uchodzi stać z zakrytą głową w obliczu króla.

Horace spojrział niepewnie w stronę Halta. Jednak zwiadowca już uniósł dłoń, by zsunąć kaptur. Odsłonił twarz. Horace spojrział znów na władcę. Jego wysokość zmarszczył brwi, bowiem ta postać w prostackim odzieniu wydawała mu się jakby znajoma, chociaż nie był w stanie stwierdzić, skąd...

- Witaj, braciszku - rzekł cicho Halt.

ROZDZIAŁ 31

Tennyson, prorok i kapłan Złotego Boga Alsejasza, nie posiadał się z gniewu. Wpatrywał się jak wąż w stojącego przed nim mężczyznę, który skulił się, kłoniąc głowę w obawie przed ślepą furią przywódcy.

- Co to ma znaczyć, że was pokonali? - ostatnie słowo wypluł, jakby smakowały trucizną.

Mężczyzna pochylił się jeszcze niżej, gorzko żałując, iż coś go tknęło, żeby donieść wodzowi o kłesce pod Craikennis. Należał do bandy Pradaiga i ubzdurał sobie, że może liczyć na nagrodę ze strony Tennysona. Poniewczasie uświadomił sobie, że nagradza się tych, którzy przynoszą dobre wiadomości, biada zaś tym, którzy przybywają ze złymi...

- Wasza świątobliwość - rzekł drżącym głosem - oczekiwali nas. Wiedzieli, że się zjawimy.

- Skąd? - spytał ostro Tennyson. Przechadzał się tam i z powrotem po wewnętrznym pomieszczeniu białego namiotu, które pełniło zarazem funkcję sanktuarium Alsejasza. Kopnął z całej siły niski stółek; mebel potoczył się w stronę nieszczęsnego zwiastuna kłeski. - Skąd mogli wiedzieć? Kto ich zawiadomił? Kto mnie zdradził?

W miarę, jak zadawał kolejne pytania, jego gniew wciąż narastał. Pradaig nie odznaczał się szczególną przebiegłością, ale posiadał dość rozumu, by wiedzieć, ile znaczy czynnik zaskoczenia. Z pewnością dołożył wszelkich starań, by zachować planowany atak w tajemnicy. Jednak w jakiś sposób mieszkańcy Craikennis zostali ostrzeżeni, a przez to Tennyson utracił cenne wsparcie osiemdziesięciu zbrojnych. Ci, którzy nie zginęli albo nie zostali pojmani, rozpierzchli się. Minie wiele czasu, nim uda się ich zgromadzić na nowo, o ile w ogóle okaże się to możliwe.

Z drugiej strony strata nie była aż tak wielka. Dysponował już dostateczną liczbą zwolenników, a bandyci zdążyli odegrać swoją rolę, siejąc postrach oraz terror, by mógł objawić się w roli wybawcy Clonmelu. Choć, mimo wszystko, niedoszła rzeź w Craikennis stanowiła istotną część jego planu. Powinna bowiem wprawić w przerażenie obojętnych i

przekonać opornych. Tymczasem nic z tego. Wylękniony rzezimieszek, który przyniósł wiadomość, drżał na całym ciele.

- Wasza świątobliwość - wyjąkał - może to przez tego Rycerza Wschodu, może on im powiedział...

Nie dane mu było dokończyć. Popełnił identyczny błąd już poprzednio, a teraz go nader nieopatrznie powtórzył... Na dźwięk owego przydomka twarz kapłana pociemniała. Tennyson zaczął tłuc zwiastuna klęski zaciśniętymi kułakami. Nieszczęśnik kulił się w sobie, usiłując uniknąć wściekłych ciosów; z jego nosa lała się krew.

- Nie ma żadnego Rycerza Wschodu! To tylko bajka, nikt taki nie istnieje! Jeżeli jeszcze raz o nim wspomnisz...

Nagle Tennyson przerwał, bezprzytomny gniew minął niemal tak nagle, jak przedtem go ogarnął. Gdy odeszła złość, powróciła zdolność chłodnego rozumowania. Owszem - stwierdził w myśli - bzdurne hibernijskie podania mogą przysporzyć mi kłopotów. Od razu zdał sobie sprawę, że jeśli ludzie uwierzą w Rycerza Wschodu, stanie się to ze stratą dla Złotego Alsejasza. Jego umysł pracował teraz szybko. O ile się nie mylił, tylko on i nikt inny wiedział, że w Craikennis nie doszło jednak do masakry. Przynajmniej do masakry mieszkańców tej miejsciny, bowiem to, co przytrafiło się oddziałowi jego własnych zbirów, dałoby się spokojnie określić terminem masakra. Wystarczy jednak działać szybko i rozpowszechnić wieść głoszącą, iż miejscowość została zrównana z ziemią, a wszyscy jej mieszkańcy wybici do nogi. Nim prawda wyjdzie na jaw, pozycja Tennysona stanie się już niezachwiana. Ba, nawet w tej chwili miał do dyspozycji czterystu wiernych wyznawców, z których każdy gotów był przysiąc, że w jego rękach leży moc przegnania bandytów, bezkarnie grasujących po królestwie.

Krótko mówiąc, wszelkie pogłoski o Rycerzu Wschodu należy stłumić w zarodku.

Zdał sobie sprawę, że mężczyzna bezustannie patrzy nań w zalęknieniu. Krew wciąż ciekła mu z nosa, miał zapuchnięte oko. Tennyson odetchnął głęboko. Podeszedł do nieszczęśnika, wyciągając dłoń. Teraz jego głos zabrzmiał jedwabiście, głęboko:

- Przyjacielu, wybac mi. Proszę cię, wybac. Miej wzgląd na chwilę słabości, albowiem ogarnął mnie gniew, gdy pomyślałem, że oto teraz niewierni zaprzeczą boskości Złotego Alsejasza. To mnie jednak nie usprawiedliwia, w żadnym razie nie powinienem był cię uderzyć. Wybacysz mi? Powiedz, że tak. Proszę cię o wybaczenie...

Ujął dłońmi obie ręce nieszczęśnika, spojrzał mu głęboko w oczy. Zbir z pokonanej bandy, skatowany przed chwilą przez przywódcę, niełatwo wyzbywał się lęku. Trwało dłuższą chwilę, nim cień strachu zaczął go opuszczać. Tennyson wypuścił dłonie przybysza.

Odwrócił się w stronę ołtarza, na którym piętrzył się stos ofiar złożonych Alsejaszowi. Wybrał ciężki naszyjnik sporządzony ze złotych spojonych ze sobą kręgów. Cenny metal załśnił w rękach proroka.

- Proszę, przyjmij ten łańcuch na dowód, iż pałam szczerym żalem. Oraz że przepelnia mnie uczucie wdzięczności za to, czego się od ciebie dowiedziałem. Wiem, że niełatwo ci było podjąć decyzję, by tu przybyć, lecz dzięki ci za nią.

Opryszek nie potrafił oderwać spojrzenia od złota. Kręgi z ciężkiego metalu połyskiwały, przyciągały ku sobie niby magnes. Dla kogoś takiego jak on, naszyjnik oznaczał fortunę. Jeśli go sprzeda, pożyje sobie beztrudnie przez długie lata. Chwytał kosztowną ozdobę, a gdy Tennyson wypuścił ją z rąk, ku swemu zdumieniu stwierdził, iż jest jeszcze cięższa, niż mu się wydawało. Cóż wobec takiego bogactwa znaczy kilka siniaków albo krwawiący nos! - pomyślał.

- Dzięki, wasza świątobliwość. Wydawało mi się, że powinienem...

- Spełniłeś swój obowiązek, przyjacielu. Swój obowiązek wobec mnie i nade wszystko wobec Alsejasza. A teraz rzeknij, jak ci na imię?

- Kelly, wołają na mnie Zezowaty Kelly.

Tennyson po raz pierwszy przyjrzał się zbirowi naprawdę uważnie, pilnując się przy tym, by nie okazać wstrętu. Nic dziwnego, że ten człowiek otrzymał taki, a nie inny przydomek. Każde z jego oczu spoglądało w inną stronę.

- W takim razie, Kelly, odtąd zwaś się będziesz Przyjacielem Alsejasza. Coś mi mówi, że niewiele jadłeś, zmierzając tu do mnie?

- Nie, wasza świątobliwość. Nic a nic.

Tennyson skinął głową, obdarzając jednocześnie Kelly'ego błogim uśmiechem.

- W takim razie, Kelly, Przyjacielem Alsejasza, udaj się do mojego namiotu i szepnij słudze, by nakarmił cię oraz napoił. Wszystkim, co mam najlepszego.

- Ależ dziękuję, wasza świątobliwość. Doprawdy...

Tennyson uniósł dłoń, uciszając Kelly'ego.

- Zasłużyłeś, ani słowa więcej. I powiedz im też ode mnie, niech opatrzą twoje rany.

Tennyson wydobyl z rękawa jedwabną chusteczkę, otarł nią delikatnie krew z twarzy Kelly'ego, udając wielkie zatroskanie. Kiedy twarz pobitego zbira była już prawie czysta, cofnął się i uśmiechnął pobłaźliwie, a zarazem dobrotliwie.

- Idźże zatem, przyjacielu. Wieczera czeka!

Wykonał dłonią ruch błogosławieństwa, odprowadzając zarazem Kelly'ego, Zezowatego Przyjaciela Alsejasza, który czym prędzej opuścił świątynny namiot. Tennyson znów zaczął

przechadzać się tam i z powrotem. Po kilku minutach przywołał jednego z bliźniaczych gigantów ze straży przybocznej. Olbrzym czuwał za zasłoną oddzielającą wewnętrzny namiot od pozostałej części płóciennego pawilonu.

- Gerardzie!

Zasłona rozsunała się, potężny zbir wszedł do środka. Bracia pochodzili z Zachodnich Wysp, zabijali bez wahania, a przy czym obaj dysponowali nadludzką siłą. Oraz cechowali się niewiarygodną wprost głupotą.

- Panie? - odezwał się osiłek.

- Znajdź mi przywódcę tych nowych ludzi. Sprowadź go tutaj.

Gerard zmarszczył brwi, zdradzając tym samym wielki myślowy wysiłek.

- Jakich nowych, panie?

Tennyson miał ochotę skląć tępaka, lecz odezwał się jedwabistym głosem:

- Trzech nowych ludzi, którzy dołączyli do nas dwa dni temu. Genoweńczyków.

Twarz Gerarda rozjaśniła się. Zachwycony, że wie, czego od niego chcą, przytknął zaciśniętą pięść do czoła w pozdrowieniu, po czym wybiegł z namiotu, by odszukać przywódcę trzech cudzoziemców wynajętych przez Tennysona. Ludzie ci przybyli z krainy Toscano, położonej daleko na wschodzie, u północnych wybrzeży Morza Spokojnego. Jednak przedstawiciele tej odległej nacji spotykało się we wszystkich królestwach kontynentu. Ich narodowym rzemiosłem była wojna, toteż z upodobaniem zatrudniali się jako kondotierzy. Zazwyczaj każdy Genoweńczyk miał na wyposażeniu kuszę oraz kilka sztyletów. Jako zawodowi zabójcy potrafili też posługiwać się trucizną. Tennyson uznał, że nie zawadzi mieć do dyspozycji kilku takich specjalistów. Ich usługi nie kosztowały wprawdzie tanio, lecz prorok brał pod uwagę, że w nadchodzących dniach może się zdarzyć potrzeba wyeliminowania jakiegoś zbyt uciążliwego przeciwnika. Lub choćby kogoś, kto wie zbyt wiele - na przykład o kłesce pod Craikennis. Rzecz jasna, sprawę zdołaliby bez trudu załatwić monstrualni bliźniacy, ale Tennyson mniemał, że obecny szczególnie przypadek wymaga niejkiej subtelności oraz dyskrecji - na co z pewnością nie mógł liczyć ze strony tępawych wyspiarzy. Czekał przed wielkim namiotem, aż Gerard powróci w towarzystwie Genoweńczyka, przyglądał się grupie nowo zwerbowanych wyznawców, zgromadzonych wokół śpiewającego piosenki młodego gajka. Zmarszczył brwi. Minstrel pojawił się zupełnie niedawno, prorok nigdy przedtem go nie widział. Warto w przyszłości zwrócić na chłystka uwagę. Tennyson nie życzył sobie, żeby ktokolwiek inny poza nim samym gromadził wokół siebie słuchaczy, choćby nawet tak nielicznych. Postanowił, że następnego ranka wyda w imieniu Alsejasza zarządzenie, na mocy którego zakaze wszelkiej muzyki, prócz hymnów ku

czci Złotego Boga.

Tymczasem jednak pojawili się Gerard z Genoweńczykiem.

- Dziękuję, Gerardzie. Możesz odejść - rzekł.

Olbrzym zawahał się. Najczęściej wraz z bratem podążali krok w krok za przywódcą, a obecność gigantów dodawała kapłanowi dostojęstwa oraz splendoru. Jednak tym razem, jako że olbrzym nie od razu posłuchał polecenia, twarz Tennysona pociemniała od gniewu.

- Idź już - powtórzył z nieco większym naciskiem. Osilek uniósł dłoń do czoła. Po chwili oddalił się w stronę namiotu, zostawiając Tennysona sam na sam z przybyszem.

Genoweńczyk, smukły i śniady, nosił na głowie przyozdobiony długim piórem kapelusz z szerokim rondem. Była to ważna część narodowego stroju Genoweńczyków. Odziany był od stóp do głów w skórzany, obcisły strój; z jego oblicza nie schodził wyniosły uśmieszek. Poza tym Tennyson dałby głowę, że ów osobnik używa pachnidła.

- *Signor?* - odezwał się pytająco Genoweńczyk.

Tennyson obdarzył najemnika najśłodszym z uśmiechów, zaraz też objął cudzoziemca ramieniem. Wódz Odszczepieńców przykładął wielką wagę do kontaktu fizycznego ze swymi wiernymi.

- Zwiesz się Luciano, prawda?

- *Si.* Luciano, tak właśnie się nazywam.

- Porozmawiajmy, mój drogi Luciano.

Wciąż obejmując nieco niższego mężczyznę za ramiona, poprowadził go dalej od namiotu. Za ich plecami rozległ się głośny aplauz, kiedy minstrel dokończył swą pieśń. Tennyson skrzywił się. Stanowczo, trzeba pamiętać o zakazie muzykowania, wyda go jeszcze tego wieczoru. Decyzję ogłosi podczas modlitw. Teraz jednak miał co innego na głowie. Toteż znów przyozdobił twarz uśmiechem.

- Otóż widzisz, drogi przyjacielu, chciałbym, ażebyś coś dla mnie zrobił - umilkł, lecz jego rozmówca nie odezwał się, toteż ciągnął dalej: - W moim namiocie przebywa w tej chwili niejaki Kelly. Brzydki, zezowaty kurdupel. Moi słudzy karmią nieszczęśnika, a nawet opatrują jego rany. Tak się złożyło, że biedaczek ma na twarzy parę siniaków.

- Zatem, *signor?* - Luciano zaliczał się do doświadczonych najemników oraz biegłych zabójców. Z troskanie w głosie Tennysona nie zmyliło go ani na chwilę. Zresztą, kiedy opisywano mu kogoś, działo się to zazwyczaj w jednym, bardzo określonym celu.

- Gdy opuści mój namiot, pójdź za nim, proszę, i zaczekaj, aż znajdziecie się sami.

- I co wówczas mam uczynić, *signor?* - spytał Luciano, choć wiedział już doskonale, o co Tennysonowi chodzi. Na jego twarzy pojawił się zimny, okrutny uśmiech.

- Wtedy masz go zabić, Luciano. Właśnie wtedy masz go zabić.

Luciano uśmiechnął się szerzej, a Tennyson odpowiedział tym samym. Obaj spoglądali sobie w oczy. Rozumieli się wyśmienicie.

- Ach, jeszcze jedno, mój drogi Luciano - dodał Tennyson. Genoweńczyk nie rzekł nic, tylko uniósł pytająco brwi. - Człowiek ów ma przy sobie złoty naszyjnik, który mi skradł. Bądź tak dobry, przynieś mi rzeczony naszyjnik, kiedy już wykonasz swoją pracę.

- Tak się stanie, *signor* - odpowiedział Luciano.

Wciąż uśmiechnięty, Tennyson z zadowoleniem skinął głową.

- Nie wątpię - stwierdził.

ROZDZIAŁ 32

Ferris pobladł. W mimowolnym geście zaskoczenia uniósł dłoń ku krtani. W pierwszej chwili cofnął się o krok, lecz zaraz się opanował i postąpił do przodu, wpatrując się w oblicze stojącego przed nim mężczyzny.

- Braciszku? - powtórzył bezmyślnie. - Ależ to niepodobna... - urwał, po czym znów wziął się w garść, przybierając pozę urażonej godności. - Mój brat nie żyje. Zmarł wiele lat temu. - Z każdym słowem nabierał pewności siebie. Potem uczynił znak prawą dłonią. Horace usłyszał, jak z tyłu za nimi otwierają się wrota, a potem zwiadowcę dobiegł tupot wielu stóp na kamiennej posadzce. Bez wątpienia do sali tronowej wkroczył Sean Carrick na czele co najmniej kilku zbrojnych.

Zatem wcześniej nie mylił się, przypuszczając, że przygląda im się wiele czujnych par oczu.

- Wasza wysokość, czy wszystko w porządku? - odezwał się Carrick.

Halt spojrział przez ramię w stronę zbrojnych strażników. Zbliżył się do Ferrisa. Król początkowo cofnął się odruchowo, ale potem chyba zdał sobie sprawę, że w ten sposób pozwala Haltowi zyskać nad sobą przewagę, toteż zatrzymał się, wciąż spoglądając na niego z niepokojem. Zwiadowca odezwał się cicho, tak że słyszeli go tylko król i Horace.

- Jeśli się boisz, braciszku, w takim razie niech Sean tu z nami zostanie. Zresztą ma prawo usłyszeć, co mam do powiedzenia. Jednak, o ile nie chcesz, żeby twoi ludzie dowiedzieli się, o czym odbędziemy pogawędkę - a mam wrażenie, że tego akurat sobie nie życzysz - odeślij ich z powrotem, tak żeby mogli widzieć, lecz nie nasłuchiwać.

Ferris spojrział na niego, potem na czekających u wrót strażników. Halt i Horace pozostawali bezbronni, on zaś miał u boku miecz. Sean Carrick także był uzbrojony, Ferris zaś wiedział, że ów młodzieniec ma niewielu sobie równych, jeśli chodzi o władanie orężem. Między innymi z tej przyczyny król stale trzymał go przy sobie. Dawno stłumione poczucie winy i lęk powróciły po wielu, wielu latach. Jako żywo, wołał, żeby żołnierze nie słyszeli tego, co Halt może powiedzieć. Wiedział, że jakiegokolwiek słowa padną, nie przedstawią go w

korzystnym świetle. Szybko podjął decyzję.

- Sean! - zawołał. - Niech ludzie wracają na stanowiska, a ty chodź do mnie.

Carrick nie wyglądał na przekonanego, więc Ferris ponaglił go ostrym głosem:

- Wykonać! - rozkazał.

Carrick wahał się jeszcze przez krótką chwilę, nim skinieniem głowy potwierdził polecenie władcy. Wówczas żołnierze wykonali w tył zwrot, opuszczając salę. Sean odczekał, aż drzwi się za nimi zamkną, po czym podszedł i stanął obok króla.

- Wuju - spytał, potwierdzając tym samym domysły Halta - w czym rzecz? Kim jest ten człowiek?

Patrzył na Halta ze zmarszczonym czołem. Halt i Ferris stali naprzeciwko siebie, Horace o krok czy dwa w tyle. Z powstałej konfiguracji wynikało jasno, że ważniejszą osobą w araluńskim poselstwie jest nie rycerz, lecz brodac. Co więcej, Sean znów odniósł wrażenie, że w jego postaci dostrzega coś znajomego.

Halt odwrócił się w jego stronę.

- Wuju? - powtórzył. - Czyżbyś ty był synem Caitlyn?

- Jakim prawem przyzywasz imię mojej matki? - zawołał Sean; w jego głosie brzmiało zaskoczenie, może wzmocnione nutą wyzwania. Ferris tymczasem westchnął ciężko. Odwrócił się, by sięść na niskiej ławie obok tronu. Ukrył twarz w dłoniach.

- Caitlyn była moją siostrą - odparł Halt. - Ja także jestem twoim wujem. Moje imię brzmi Halt.

- Nie! - Sean nie potrafił w spokoju przyjąć takich nowin. - Wuj Halt nie żyje od z górą dwudziestu lat! - Popatrzył na króla, szukając potwierdzenia swych słów. Jednak twarz Ferrisa wciąż pozostawała ukryta w dłoniach, młodzieniec próżno szukał spojrzenia królewskiego krewniaka. Król obracał tylko głową na boki, jakby próbując zaprzeczyć rozgrywającej się właśnie scenie. W rezultacie Seana ogarnęły wątpliwości. Przyjrzał się uważniej niewysokiemu, raczej krępemu mężczyźnie okrytemu nakrapianym płaszczem.

Gęsta broda zasłaniająca oblicze. W dodatku bujne wąsy. Jednak gdyby zaczesał włosy do tyłu, tak jak Ferris...

Sean potrząsnął głową z niedowierzaniem. Rysy obu mężczyzn były niemal identyczne. Tylko że w twarzy przybysza zaznaczały się jakby nieco ostrzej.

Zdawał sobie sprawę, że z biegiem lat rysy zmieniają się pod wpływem trybu życia. Oblicze jest niczym płótno, na którym zdarzenia odciskają swój ślad. Jednak, gdyby zetrzeć z tych dwóch twarzy znaki pozostawione przez czas, brak umiaru lub wyrzeczenia, smutki i radości, odniesione triumfy i doznane rozczarowania ponad dwudziestu lat... Obie stałyby się

identyczne.

Gdyby zaś przyjrzeć się wnikliwiej, nie twarzom, lecz oczom...

Oczy! Tak, oczy nie różniły się od siebie niczym. Choć i zarazem różniły. Ferris, którego znał od dzieciństwa, nigdy nie umiał patrzeć nikomu prosto w oczy dłużej niż przez kilka sekund. Natychmiast odwracał wzrok. Właśnie dlatego król uważał za wielki despekt, gdy ktoś miał czelność gapić się wprost w jego oblicze. Tymczasem przybysz przyglądał się Seanowi wzrokiem spokojnym, pewnym - i patrzył śmiało. Gdy zaś Sean Carrick spojrzał wnikliwiej, dostrzegł we wzroku przybysza coś jeszcze, a mianowicie ledwo zauważalny, kpiący błysk, który krył się w głębi źrenic.

- Przyjrzałeś się? - spytał Halt.

Sean postąpił krok w tył. Nie był jeszcze całkiem pewien. Zwrócił się do króla Ferrisa:

- Wasza wysokość - rzekł. - Proszę, odezwij się.

Jednak Ferris w odpowiedzi zdobył się jedynie na stłumiony jęk, poparty niczego niewyrażającym ruchem dłoni. I wówczas Sean Carrick zrozumiał. Już wiedział. W następnej chwili Ferris wyrzekł słowa, które ostatecznie wszystko potwierdziły:

- Halt... - odezwał się król drżącym głosem, unosząc wreszcie wzrok, by spojrzeć na swego brata. - Musisz mi uwierzyć. Nigdy nie pragnąłem twojej krzywdy.

- Ferris, łiesz jak pies. Chciałeś mnie skrzywdzić i to bardzo, bowiem usiłowałeś mnie zabić.

- Nie! Gdy opuściłeś dwór, posłałem ludzi, by cię odnaleźli! - zaprotestował Ferris.

Halt zaśmiał się krótko, niewesoło.

- Nie wątpię! Wysłałeś ich z rozkazem, by zrobili to, co nie udało się tobie!

Sean miał już całkiem dość, spotkało go zbyt wiele na jeden raz. Nikt jeszcze w jego obecności nie potraktował tak monarchy. Stanął między Ferrisem i Haltem, wbijając wzrok w przybysza. Tamten spokojnie odwzajemnił spojrzenie.

- Nie wolno ci zwracać się w ten sposób do władcy - rzekł stanowczym tonem Sean. Przez dłuższą chwilę Halt patrzył na niego w milczeniu, nim spokojnie odparł:

- Nie ja mówię do króla, lecz on - zwiadowca wskazał pogardliwym ruchem ręki bliźniaczego brata.

Zabrzmiało to jak bluźnierstwo, najwyższa obraza majestatu, zszarganie wszystkiego, co wpojono Seanowi od dziecka. Odczuł to tak, jakby ktoś uderzył go w twarz. A jednak... Gdyby miał przed sobą Halta, rzeczywiście stałby przed obliczem monarchy. Ferris zaś byłby samozwańcem. Oficjalna koronacja, nawet i konsekracja, nie miały znaczenia wobec świętego prawa pierworództwa. Znów spojrzał Haltowi w oczy, a potem próbował pochwycić

spojrzenie Ferrisa. Ten jednak umknął gdzieś wzrokiem. Samozwańczy król. Sean wyzbył się resztek wątpliwości. Do Dun Kilty przybył prawowity władca Clonmelu. Król Halt.

- Wasza wysokość... - odezwał się. Od razu chciał upaść na kolana, lecz Halt szybko go powstrzymał, postąpiwszy do przodu i pochwyciwszy siostrzeńca za przedramię. Ferris wydał nieartykułowany, gardłowy dźwięk. Jednak Sean zauważył, iż nawet nie próbował się sprzeciwić złożeniu przezeń hołdu przybyszowi.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - powiedział Halt - ale nie mamy czasu na bzdury. Nie zamierzam wstępować na tron, nie pragnę być królem. Czekają mnie inne zajęcia, zresztą dużo ciekawsze. A teraz - zwrócił się do Ferrisa - musimy porozmawiać.

Ferris rozejrzał się nerwowo, jak gdyby szukając drogi ucieczki. Nagle przyszło mu na myśl, że przyszedł czas odpłaty za zbrodnie. Jednak, ku jego zdumieniu, Halt tylko ofuknął bliźniaka poirytowanym tonem:

- Człowieku, uspokój się wreszcie! Nie zamierzam pozbawiać cię tronu. Przeciwnie, chcę ci pomóc zachować władzę.

- Zachować? - powtórzył osłupiały Ferris. Wszystko to działo się zbyt szybko, więc przerastało jego zdolności pojmowania. - Zachować przed czym?

- Może siądziemy, co? - Halt przysunął sobie jedną z niskich ław. Dał znak, nakazując Horace'owi oraz Seanowi, by uczynili to samo. Ferris spoglądał na nich bezradnie, nie wiedząc, co począć. Skubał nerwowo satynowy mankiet.

- Siedź nadal na swoim tronie - poradził mu Halt. - Na pewno umościsz się tam wygodnie - zerknął na Seana. - Może zechciałbyś polecić, by przyniesiono nam kawy?

Sean zmieszał się.

- Nie pijamy tu kawy. Król - urwał i poprawił się: - Wuj Ferris nie lubi kawy.

- Mogłem się domyślić - mruknął Halt z wyraźnym niesmakiem.

Zerknął na Horace'a, po czym skrzywił się wymownie. Rycerz nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Halta najwyraźniej bardziej oburzał fakt, że jego brat nie lubi kawy, niż że pozbawił go tronu. Cały Halt - stwierdził w myśli Horace.

- Cóż, mniejsza - mówił dalej Halt. - Postarajmy się załatwić sprawę jak najszybciej. Posłuchaj - zwrócił się znów do brata - zapewne doszły cię wieści o sekcje zwanej Odszczepieńcami?

- Co? Owszem... - Ferris okazał zaskoczenie. Nie spodziewał się, że rozmowa przybierze podobny obrót. - To nowa religia. Zupełnie nieszkodliwa.

- Nieszkodliwa? Akurat. W dodatku nie religia, a zwykłe bałwochwalstwo. Otóż będziesz musiał się przeciwstawić Odszczepieńcom. Są już w drodze do twojej stolicy,

zamierzają przejąć władzę w Clonmelu.

- Przejąć władzę? Śmieszne! Skąd ci to przyszło do głowy? - Ferris najwyraźniej nie dowierzał. Halt przyglądał się uważnie bratu. Sean zauważył, że król po krótkiej chwili spuścił wzrok. Jak zawsze.

- Skąd? Otóż słyszałem, jak ich przywódca podjudza wyznawców do buntu.

- Bzdura! - Tym razem Ferris sprawiał wrażenie kogoś pewnego swych racji, jakby wkroczył znów na bezpieczny grunt. - Tennyson to zwykły kaznodzieja, nic więcej. Z pewnością nie jest groźny.

- Tennyson, powiadasz? - wszedł mu w słowo Halt. - A więc go znasz? - Nagle zrozumiał, więc zadał jeszcze jedno pytanie: - I zapewne zdążyłeś już się z nim skumać, nieprawdaż?

Ferris chciał coś powiedzieć. Otworzył usta, ale się nie odezwał. Halt nie ustępował:

- Rozmawiałeś z nim?

- Nie... nie z nim. Wysłał do mnie człowieka, żeby zapewnić mnie o swoich najlepszych intencjach.

- Kiedy? - następne pytanie wyrwało się z ust Seana mimo woli. Przecież jako królewski namiestnik powinien wiedzieć o wszystkich poselstwach, o wszystkich delegacjach przyjmowanych przez Ferrisa. A jednak o tym, że króla odwiedził ktoś przysłany przez Tennysona, usłyszał po raz pierwszy.

Król oświadczył wyniośle, usiłując odzyskać godność:

- Sprawa ciebie nie dotyczyła. Chodziło o nieoficjalne, poufne rokowania.

Sam zdał sobie sprawę, jak nieprzekonująco to zabrzmiało. W sali tronowej zapadła niezręczna cisza.

- Doszedłeś z nimi do porozumienia? Dokonaliście jakichś ustaleń? - spytał Halt. Jednak Ferris nie odpowiedział bezpośrednio.

- Halt, ten człowiek to cudotwórca. Potrafił dokonać rzeczy niemożliwych, podczas gdy zbrojne bandy grasowały bezkarnie w całym kraju, a ja, całkowicie bezsilny, nie potrafiłem uczynić nic, żeby je powstrzymać.

- Władca staje się bezsilny, kiedy nic nie robi - odparł pogardliwym tonem Halt. - W gruncie rzeczy po prostu nie kiwnąłeś palcem, a bandy zbirów mordowały i rabowały twoich poddanych! - nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Seana: - Powiedz, uczynił może coś? Posłał wojska, żeby tropiły zbrojnych rzezimieszków? A może obsadził żołnierzami większe miejscowości? Czy przynajmniej ogłosił orędzie, w którym potępił rozboje oraz obiecał położyć im kres?

Sean spojrział na króla, a potem znów na Halta.

- Nie - odrzekł. - Zaproponowałem, że stanę na czele oddziału i... - zamilkł nagle. Zrobiło mu się wstyd, bo jak miał powiedzieć, że on sam wystąpił z inicjatywą, pragnął usilnie coś zrobić - lecz król nie wyraził zgody? Takie słowa nie umiały mu przejść przez gardło, sprzeciwiały się jego poczuciu lojalności wobec władcy. Wszelako, władca, ten władca, naprawdę nie uczynił nic, absolutnie nic. Nawet nie próbował. Sean pokręcił wolno głową. Halt westchnął. Lecz cóż, niczego więcej się nie spodziewał.

Król tymczasem próbował się tłumaczyć:

- Nie rozumiesz? Właśnie dlatego zgodziłem się przyjąć posłańca od Tennysona. To właśnie uczyniłem! Tennyson potrafi powstrzymać bandytów. On jeden zdoła położyć kres bezprawiu!

- Dlatego, że sam stwarza przyczynę owego bezprawia, a bandyci pozostają na jego rozkazach! - Halt zerwał się z ławki tak gwałtownie, że mebel runął z głośnym hukiem. - Nie potrafisz tego pojąć, ty dostojny głupcze?

- On... On im rozkazuje? - Na twarzy Ferrisa odmalowało się zdumienie.

- Ależ oczywiście! Robią tylko to, co on im każe. A potem udaje, że ich przepędza, po czym twierdzi, że tylko on w całym kraju jest mocen tego dokonać. Słyszałem na własne uszy, jak wzywał do buntu przeciw tobie, Ferrisie! „Czy król potrafi was ocalić?” - pytał. W odpowiedzi jego słuchacze wykrzykali gromkie „Nie!”. „Któż więc was ocali?” - pytał potem, a oni na całe gardło wrzeszczeli, że nikt inny, tylko właśnie on, on sam, on jest ich jedyną nadzieją. Nie ty. Nie prawa obowiązujące w tym kraju. On i tylko on! Ferrisie, jego celem jest przejęcie władzy w Clonmelu, tak jak to się już zresztą stało w pozostałych pięciu królestwach.

- Nie! On zapewnił, że nic mi nie grozi. Pozostanę królem! Powiedział, że... - Ferris urwał, uświadomiwszy sobie, że wyjawia zbyt wiele. Zdażył już przywyknąć, że Halt spogląda nań z pogardą. Teraz jednak tę pogardę dostrzegł również w oczach siostrzeńca.

- W rzeczy samej, utrzymasz koronę - włączył się do rozmowy Horace - stając się marionetką zasiadającą na tronie. A on tymczasem weźmie się za łupienie twojego ludu.

- To nie jest jego lud - sprzeciwił się Halt. - On nie zasługuje na miano władcy Clonmelu, oni zaś z pewnością nie uczynili nic tak złego, by sobie na obecnego króla zasłużyć. Ferrisie, wstań. Wstań i popatrz na mnie.

Ferris niechętnie dźwignął się na nogi.

- Jest tylko jeden sposób, by powstrzymać Tennysona i położyć kres fałszywej religii. Otóż trzeba mu przeciwstawić królewską powagę. Należy oficjalnie zdemaskować

samozwańczego proroka. Odnosi sukcesy, bowiem nikt nie ośmieli się działać lub przemawiać przeciw niemu. Kiedy znajdują się jacyś śmiałkowie, szybko spotyka ich śmierć. Nie za sprawą złotego bożka, lecz z rąk siepaczy Tennysona. Jednak ciebie nie zdoła tak po prostu zabić.

- Mnie? Zabić? - Ferrisa zaczęło ogarniać przerażenie. - Ale co ja powinienem zrobić?

- Przemów! Weź wreszcie na siebie odpowiedzialność za własne królestwo. Daj swoim poddanym coś, w co zdołaliby uwierzyć. Bo jeśli nie, ruszą za fałszywym prorokiem. Musisz położyć kres zabobonom. Musisz działać zdecydowanie, musisz obrócić w niwecz jego władzę. Możesz tego dokonać, bowiem opiera się ona tylko na złudzeniu. Skoro więc tak, daj swemu ludowi inne złudzenie!

- Co? - Ferris nadal nic nie rozumiał. - Jakie złudzenie zdołam im dać?

- Na przykład niech się ludzą, że w tobie odnajdą królewską powagę - rzucił kpiącym tonem Halt. - Ale to nie zda się na wiele. Jednak, szczęśliwie dla ciebie, my przygotowaliśmy coś w zamian. - Wskazał na Horace'a. - Oto Rycerz Wschodu.

- Przecież to tylko legenda! - zawołał Ferris. Halt zaśmiał się ponuro.

- Oczywiście! Tak samo, jak czystym wymysłem jest Alsejasz, wszechmiłujący Złoty Bóg Odszczepieńców. Niech Rycerz Wschodu stanie się legendą, która zwalczy mit. Niech stanie się twoim rycerzem, wezwanym przez ciebie, by przywrócić rządy prawa w królestwie Clonmelu. Powiadam, uczyniliśmy już pierwszy krok. Mityczny wojownik zaledwie kilka dni temu ocalił przed niechybną zagładą miasteczko zwane Craikennis. Rozbił bandę liczącą trzystu zbirów.

- Trzystu? - wtrącił zaskoczony Horace. - Halt, czy aby na pewno tyli ich naliczyłeś?

Zwiadowca machnął ręką.

- Im liczniejsza banda, tym łatwiej ludziom przyjdzie uwierzyć - stwierdził.

Sean ożywił się na dźwięk nazwy Craikennis.

- Prawda! Słyszałem wczoraj na rynku, jak rozmawiano o Rycerzu Wschodu. A także o zwycięstwie pod Craikennis.

Ferris spoglądał na każdego po kolei. Wykonał dziwny, niezdecydowany gest - machnął ręką w nieokreśloną stronę.

- Nie wiem, nie wiem. Naprawdę... Nie wiem.

Halt podszedł do bliźniaka, aż stanęli twarzą w twarz.

- Uczyń tak, mój bracie. Przemów do swego ludu, ukaż mu prawdziwe oblicze Tennysona i jego sekty. Zapewnij swoich poddanych, że Rycerz Wschodu na czele twoich żołnierzy obroni ich przed panoszącym się złem, a ja ze swej strony obiecuję ci nasze

wsparcie pod każdym względem.

Widział, że Ferris się waha, toteż dodał, by nie pozostawiać żadnych niedomówień:

- Uczyń tak, a ja przysięgam, że nie będę zgłaszał żadnych pretensji do tronu. Gdy tylko rozprawimy się z Odszczepieńcami oraz Tennysonem, natychmiast powrócę do Araluenu.

Stało się od razu jasne, że ostatni argument trafił Ferrisowi do przekonania. Przez chwilę lub dwie mogło się wydawać, że król wyrazi zgodę. Jednak powzięcie postanowienia najwyraźniej przerastało jego siły, wciąż się wahał.

- Potrzebuję czasu. Muszę wszystko porządnie przemyśleć. Dajcie mi kilka dni. Przecież nie możecie oczekiwać, że tak od razu... Pojawiliście się nagle i wydaje wam się, że mogę z miejsca... - zawiesił głos.

Halt dokończył za niego zdanie:

- Podjąć decyzję? Nie, rzeczywiście, to chyba dla ciebie zbyt trudne. Dobrze. W takim razie dam ci do namysłu jeden dzień.

- Dwa dni - zaprotestował natychmiast Ferris, po czym dodał błagalnym tonem: - Proszę cię, Halt, zrozum mnie. Zbyt wiele ode mnie wymagasz.

Halt potrząsnął głową. Im więcej czasu zyska Ferris na rozważania, tym bardziej prawdopodobne się stanie, że znajdzie jakiś sposób, by się ze wszystkiego wykręcić. Mało tego: może zechcieć znów nawiązać kontakt z Tennysonem.

- Jeden dzień, nie więcej - oświadczył stanowczo. Ton jego głosu dawał jasno do zrozumienia, że nastąpił koniec targów, że teraz już Halt nie zamierza ustępować. Zrezygnowany król dał za wygraną.

- No, dobrze - rzekł cicho.

Halt przyglądał się przez chwilę potulnej postaci brata. Niby Ferris został pokonany, lecz zwiadowca nadal mu nie ufał. Zwrócił się więc do Seana:

- Czy dasz mi słowo, że nie dopuścisz do żadnego szachrajstwa?

Sean natychmiast przytaknął.

- Oczywiście - zawiesił głos, po czym dodał: - Wuju... Dopilnuję, żeby król dotrzymał swojej części umowy.

Twarz Halta rozjaśnił błady uśmiech. Spoglądając na Seana, dostrzegł oczy jasne i ucziwe; zdobiły szczerą, szlachetną twarz. Ten młodzieniec od razu zaskarbił sobie jego sympatię. Halt od dziesięcioleci nie miał żadnego kontaktu z rodziną; teraz okazało się, że przynajmniej jeden wśród krewnych wyrósł na porządnego człowieka. Szkoda, że nie mógł rzec tego samego o swym rodzonym bracie.

- To mi wystarczy - zapewnił, po czym rzucił w stronę Ferrisa: - Wrócimy tu jutro w południe, by usłyszeć twoją odpowiedź. Horace, idziemy.

Ruszyli ku wielkim, podwójnym odrzwiom, odgłos ich kroków niósł się echem w kamiennej sali. Mieli już wyjść, gdy usłyszeli za sobą okrzyk Ferrisa:

- Czekaście! - zawołał król. Spojrzeli w jego stronę. - A co, jeżeli się nie zgodzę?

Halt uśmiechnął się do brata. Przynajmniej w założeniu chodziło o uśmiech, bowiem Horace'owi ów grymas przywodził na myśl raczej wilka szczerzącego kły w stronę przeciwnika.

- Zgodzisz się, zgodzisz - warknął.

ROZDZIAŁ 33

Will siedział pod drzewem, oparty wygodnie plecami o pień i naprawiał fragment uprzęży Wyrwija. Udało mu się przekłuć szydłem gruby skórzany pasek, lecz natychmiast skrzywił się, bowiem ostry koniec wbił mu się w opuszek kciuka.

- A niech to! Muszę uważać - pouczył sam siebie. Zapewne robota szłaby lepiej, gdyby poświęcił szyciu nieco baczniejszą uwagę. Jednak zajęcie to stanowiło jedynie pretekst, żeby nie siedzieć beczynnie podczas obserwacji wydarzeń rozgrywających się w obozowisku wyznawców Tennysona.

Przyłączył się do nich dwa dni wcześniej. Przybył w nocy. Wartownikowi, który go zatrzymał, oświadczył, że jest wędrownym muzykantom, lecz pragnie przyłączyć się do Odszczepieńców. Strażnik tylko wzruszył ramionami, po czym machnięciem ręki dał znak, że pozwala nowemu wjechać na teren obozu.

Pod sztandarami Tennysona zgromadziło się bez mała czterystu ludzi. Większość z nich pochodziła ze wsi oraz miasteczek. Dołączyli do grona wyznawców, usłyszawszy od rozentuzjasmowanych mieszkańców Mountshannon o ich cudownym ocaleniu. Część nadciągnęła z południa, gdzie Tennyson już wcześniej dokonywał podobnych cudów. Prorok pozostawił tam swoich przedstawicieli, którzy wiedli doń wierną trzódkę, kiedy Tennyson dał sygnał do marszu na Dun Kilty.

Osobną grupę stanowili akolici Tennysona odziani w białe szaty. Najbardziej rzucali się w oczy dwaj potężnie zbudowani bliźniacy, pilnujący proroka dniem i nocą w charakterze straży przybocznej. Sprawiali wrażenie tępych brutalni, którym jakoś przeszły mimo uszu nauki Alsejasza o wszechogarniającej miłości bliźniego.

Wiernych wciąż przybywało. Tennyson nadal głosił kazania. Wytykał królowi gnuśność oraz niemoc, obciążając go bezpośrednią odpowiedzialnością za niewesołą sytuację w Clonmelu. Pod koniec każdego takiego obrzędu podwładni proroka obchodzili zgromadzenie, zbierając złoto oraz kosztowności jako ofiary dla Alsejasza.

Będąc postronnym obserwatorem - niejako „odszczepieńcem” w tym gronie (Will

uśmiechnął się do siebie, kiedy przyszło mu na myśl to określenie) - młody zwiadowca dostrzegł wyraźny podział pośród wyznawców. Z jednej strony byli gorliwi, przepełnieni nadzieją, świeżo nawróceni na wiarę Alsejasza prostaczkowie, którzy poszli za Tennysonem w oczekiwaniu, że kapłan i jego bóg zapewnią im z dawna oczekiwany pokój oraz dobrobyt. Z każdym dniem coraz liczniejsi, wciąż napływali do obozowiska.

Z drugiej zaś strony byli ci w białych szatach, skrzętnie zbierający złoto. To oni stanowili świętę Tennysona, oni też bez wątplenia rozprawiali się z każdym, kto ośmielił się sprzeciwić wielkiemu kapłanowi Alsejasza.

Dnia poprzedniego do odzianych na biało kwaterarzy dołączyli trzej nowi przybysze o nader szczególnej aparycji. Odziani nie w biel, lecz noszący obcisłe stroje z czarnej skóry, purpurowe płaszcze oraz kapelusze; wszyscy trzej mieli oliwkową karnację i ciemne włosy - bez wątplenia cudzoziemcy. Z pewnością nie zaliczali się do zwykłych pielgrzymów. Wskazywały na to choćby kusze, z którymi się nie rozstawali; zresztą Will od razu się zorientował, że każdy nosi przy sobie co najmniej trzy sztylety - jeden przytroczony do pasa, drugi w bucie, trzeci pod lewym ramieniem. Wyglądali groźnie, wrażenie to potęgowała jeszcze ich nonszalancja, charakterystyczna dla ludzi pewnych siebie i swej biegłości we władaniu bronią.

Zachodził w głowę, kim są ci ludzie i skąd przybyli. Natomiast co do roli, jaką mieli odgrywać w otoczeniu Tennysona, nie żywił większych złudzeń. Zaliczali się do najemnych zabójców, Will był o tym przekonany, zanim jeszcze zaobserwował pewną znamioną scenę. Otóż wcześniej tego samego dnia Will grał i śpiewał opodal białego namiotu. Nieco później zauważył, jak jeden z odzianych w skórę cudzoziemców rusza za jakimś obdartusem do lasu. Wrócił po kwadransie, lecz sam. Natychmiast udał się do namiotu Tennysona, pewnie meldując o wykonaniu polecenia. Will, który śledził rozwój sytuacji przez jakiś czas, czekał na skraju lasu aż do zachodu słońca, lecz ten drugi już się więcej nie pojawił.

Usłyszał w pobliżu czyjś podniesiony głos. Spojrzał w tamtą stronę: któryś z ubranych na biało „wtajemniczonych” Tennysona przemierzał teren obozowiska złożonego z bezładnie porozstawianych namiotów i szałasów. Wydawał polecenia wiernym. Will wstał, podszedł bliżej, żeby usłyszeć, o co chodzi.

- Pakować manatki. Najlepiej zaczniście wieczorem, po modlitwach. Ładujcie wszystko na wozy lub konie, żebyście jutro rano byli gotowi od razu wyruszyć w drogę. Zgodnie z życzeniem Tennysona, ogłaszam pełną gotowość na dziesiątą. No, już, do roboty! Nie odwlekać pakowania do jutra, bo nie zdążycie. Najlepiej uporajcie się ze wszystkim dzisiaj, prześpicie się pod gołym niebem.

Jeden z pielgrzymów, wystąpiwszy, zwrócił się z wielkim uszanowaniem do okrytej białą szatą postaci:

- Dokąd się udajemy, wasza świątobliwość? - spytał; kilka głosów powtórzyło za nim pytanie. Przez chwilę wydawało się, że świątobliwość z czystej przekory nie zechce odpowiedzieć, ale w końcu biały machnął ręką. Przecież to w końcu żadna tajemnica.

- Ruszamy prosto na Dun Kilty. Już czas rzec królowi Ferrisowi, że wybiła jego godzina! - oznajmił, a słowa człowieka w bieli spotkały się z wyraźną aprobata.

Ha, ciekawe - pomyślał Will. Klucząc między namiotami, dotarł na skraj obozu, gdzie rozbił swój namiocik i gdzie czekał na niego Wyrwij skubiący trawę. Zwinął szybko płócienną rezydencję i spakował ją do juków. Wyrwij tymczasem przyglądał się swemu panu ciekawie.

- Jutro wyruszamy - poinformował konika Will. Sprawdził, czy wszystko porządnie, ciasno zwinięte, czy dobrze przytroczone. Nie miał nic przeciwko temu, żeby spać pod gołym niebem. Zerknął ku nieboskłonowi. Pływały po nim pojedyncze obłoki, które od czasu do czasu zasłaniały gwiazdy. Oznaczało to, że chyba popada, lecz w nieprzemakalnym płaszczu młody zwiadowca nie obawiał się niepogody.

- Ej, ty!

Drgnął. Ktoś przemówił zbyt szorstko, zbyt głośno. Gdy odwrócił się, natychmiast ujrzał, z kim ma do czynienia. Dopiero wtedy zaniepokoił się na dobre. Wzywał go bowiem jeden z dwóch olbrzymów stanowiących osobistą ochronę Tennysona. Gerard albo Killeen. Nie wiedział, który z nich jest którym, i nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że są identyczni. Po prostu nigdy nie uda się mu ich odróżnić.

Osilek wskazywał na Willa palcem.

- Ty. Jesteś grajkiem, zgadza się? - W wyzywającym tonie dźwięczała arogancja. Will niepewnie skinął głową.

- Tak, jestem minstrelem - przyznał, nie mając pojęcia, do czego zmierza rozmowa. Jednak siepacz Tennysona wyraźnie nie znał słowa minstrel, więc Will musiał wyjaśnić: - Muzykuję. To znaczy, gram i śpiewam.

Oblicze olbrzyma rozjaśniło się na dźwięk opisu, który zdołał pojąć.

- A właśnie, że się mylisz - oznajmił triumfalnie osilek. - Tennyson zakazał wszelkiego śpiewania z wyjątkiem hymnów na cześć Alsejasza. Znasz jakiegoś?

Will pokręcił głową.

- Przykro mi, lecz nie.

Tamten uśmiechnął się paskudnie.

- Pewnie, że ci przykro, bo już sobie brzdąkaniem nie zarobisz. Tennyson powiada, że zaraz po wieczornych modłach masz mu przynieść swoją lutnię.

Will przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy warto w tej sytuacji tłumaczyć, iż jego instrument to mandola, a nie żadna lutnia.

- Tennyson chce dostać moją... mój instrument?

- No, chyba tłumaczę wyraźnie? - warknął tamten. - Koniec brzdąkania, oddajesz mi lutnię i już.

Will zawahał się. Nie umiał odgadnąć, skąd wzięło się polecenie i czemu miało służyć. Jego rozmówca uznał to widać za oznakę krnąbrności, bo odezwał się jeszcze głośniejszym, znacznie bardziej napastliwie:

- Jasne?

- Ależ oczywiście, jasne. Koniec z muzyką. Mam oddać moją... lutnię. Zrozumiałem.

Gerard - czy też Killeen - skinął głową, bardzo z siebie rad.

- No, dobra. Tylko pamiętaj, żadnych numerów. Masz się zgłosić zaraz po modlitwach.

Odwrócił się na pięcie, odmaszerował, a jego masywna sylwetka widniała jeszcze przez jakiś czas pośród namiotów. Will popatrzył na zamkniętą w skórzanym futerale mandolę. Był to piękny instrument, dzieło aralueńskiego mistrza, lutnika Gileta, a Will otrzymał go w dowód wdzięczności od lorda Ormana z Zamku Macindaw. Młody zwiadowca nie miał wątpliwości, że jeśli odda mandolę Tennysonowi, nigdy więcej już jej nie ujrzy.

Poza tym, dowiedział się przecież, jakie są dalsze plany Tennysona. Prorok wybierał się prosto do Dun Kilty, zrezygnowawszy, jak widać, z poprzedniego zamiaru, czyli zgromadzenia jak największej liczby zwolenników dla dokonania triumfalnego marszu na stolicę. Co prawda, wyznawców i tak już mu nie brakowało, teraz przecież podążały za nim całe setki wiernych.

Pozostawała jeszcze kwestia nowo przybyłych cudzoziemców uzbrojonych w kusze. Lecz może im wcześniej Halt się o nich dowie, tym lepiej. Will nie wątpił, że jego mistrz będzie wiedział, co to za jedni oraz skąd pochodzą.

Krótko mówiąc, Will doszedł do wniosku, że czas już rozstać się z wyznawcami Alsejasza.

Cmoknął na Wyrwija, który natychmiast przybiegł truchtem. Osiodłał go szybko, przytroczył juki, pokrowiec z mandolą oraz namiot. Na koniec sięgnął po leżący na ziemi podłużny kształt zawinięty w naoliwione płótno: łuk i kołczan ze strzałami. Naciągnął ścięgno na łączysko, przerzucił pasek kołczana przez ramię, po czym wskoczył na siodło.

Jadąc opłotkami obozu, nawet nie próbował się kryć. Wiedział, że to tylko

wzbudziłoby podejrzenia. Po chwili przynaglił Wyrwija do skróconego klusa, ale zaraz znów zwolnili, bo drogę zastąpił mu wartownik.

- Ej, chwileczkę - zawołał, unosząc rękę. - Dokąd to się wybieramy?

- Wyjeżdżam - odpowiedział Will. Tamten stał po prawej stronie, więc Will wysunął stopę z prawego strzemięcia.

- Nie ma żadnego wyjeżdżania - burknął strażnik. - Jazda z powrotem do obozu.

Uzbrojony był we włócznię, ciągle jeszcze opartą drzewcem o ziemię. Tyle że już właśnie zaczął ją unosić, by zagrozić Willowi drogę.

- Ale ja muszę jechać! - zaproponował Will. Niezwłocznie jął wyjaśniać tonem kogoś, komu bardzo zależy na przekonaniu rozmówcy: - Bo widzisz, dostałem list od ciotki ze strony matki, która zaniemogła, więc napisała mi...

Lekkie muśnięcie lewego kolana poinformowało Wyrwija, żeby przesunął się nieco bliżej wartującego mężczyzny. Pamiętał dobrze naukę Halta: „*Jeśli chcesz kogoś zaskoczyć, gadaj do niego cały czas. Niech ci się gęba nie zamyka, dopóki nie spełnisz, co sobie zamierzyłeś.*” Widział znudzenie na twarzy wartownika, którego wyraźnie nie interesowały dolegliwości ciotki Willa. Już miał mu przerwać, aby stanowczym tonem wydać młokosowi rozkaz powrotu do obozu, kiedy obuta stopa Willa trafiła go w sam środek twarzy.

Strażnik zachwiał się, padł, a Will z miejsca ruszył galopem. Nim ogłuszony wartownik zdołał powstać, nim odnalazł włócznię, która wypadła mu z dłoni, Will oraz Wyrwij znikli już dawno w półmroku wczesnego wieczoru. Uszu strażnika dobiegał tylko prędko oddalający się stukot kopyt.

ROZDZIAŁ 34

Halt z Horace'em znaleźli się na dziedzińcu, gdzie cierpliwie czekały wierzchowce.

Opuszczali zamek. Halt milczał, pogrążony w myślach. Horace'a nie dziwiło to specjalnie, bowiem Halt, ogólnie rzecz biorąc, nie zaliczał się do osobników rozmownych, a tego dnia rzeczywiście miał niejedno do przemyślenia. Horace próbował sobie wyobrazić, jakie to uczucie, spotkać się po tylu latach ze zdradzieckim bratem. Z pewnością oznaczało to silne przeżycie dla jego mistrza... Tak, dla jego mistrza - bo i on zdawał sobie sprawę, jak wiele uczy się, przebywając w towarzystwie Halta. Na ustach młodego rycerza wykwitł krzywy uśmiech, gdy przyszło mu do głowy, że warto wziąć pod uwagę także i drugą stronę medalu. O ile Haltowi z pewnością było trudno, znacznie gorzej musiał znieść spotkanie Ferris. Reakcja władcy nie pozostawiała wątpliwości. Myśl o królu sprawiła, że spytał niemal machinalnie, w każdym razie bez żadnych wstępów:

- Wierzysz mi, Halt?

Zwiadowca zerknął z ukosa. Słowa, jakie wybrzmiały w odpowiedzi, stanowiły najlepszy dowód, iż myśli siwobrodego mentora podążały dokładnie tym samym torem.

- Ferrisowi? Ani trochę - odparł. - Ale ufam Seanowi. On utrzyma Ferrisa w ryzach. Dopilnuje, żeby braciszek dotrzymał słowa.

- Też mi przypadł do gustu - zgodził się Horace. - Tylko co on zdoła wskórać? Bądź co bądź, Ferris tutaj panuje, więc postąpi wedle własnego widzimisię.

Halt potrząsnął głową.

- O, nie. To nie takie proste, nawet jeśli jest się królem. Zwłaszcza w tym wypadku - dodał. - Ferris doskonale zdaje sobie sprawę, że bez Seana się nie obejdzie. Polega na nim w zupełności. Zauważyłeś może, jak na polecenie Ferrisa zareagowali strażnicy? Król ich odesłał, lecz oni ani drgnęli. Czekali, czy Sean potwierdzi rozkaz. Otóż, jeśli Ferris spróbowałby nas zwieść czy jakoś oszukać, narazi się na dezaprobatę Seana. Na to zaś w powstałej sytuacji nie może sobie pozwolić.

- Pewnie masz słuszość - zgodził się Horace.

Halt zawsze lepiej orientował się w takich układach niż on. Horace, jak przystało na żołnierza, nie cierpiał polityki. Gdy tylko się dało, starał się trzymać od niej z daleka. Natomiast już niejednokrotnie miał okazję zauważyć, że wszelkie złożone kombinacje stanowią dla zwiadowców chleb powszedni. Cóż, zapewne intrygi, konszachty, podstępny to niezbędny element sztuki sprawowania rządów, ale skoro Halt uważał sytuację za korzystną, Horace tym bardziej nie zamierzał się w jakieś knowania wdawać. Dodatkowo teraz jego myśli zaprzętały znacznie istotniejsze zagadnienia. Na przykład obiad.

- I co teraz? - spytał po dłuższym milczeniu. Halt wzdrygnął się, wyrwany pytaniem z zamyślenia.

- Chyba rozejrzemy się za jakąś wygodną gospodą - stwierdził.

Horace skinął głową, lecz potem przyszło mu coś na myśl:

- A Will? Skąd się dowie, gdzie nas szukać?

- Poradzi sobie - rzekł Halt z przekonaniem w głosie. Przeciągnął się i rozejrzał. - Poszukajmy gospody. Nie wiem jak ty, ale ja chętnie się zdrzemnę.

Horace w całej rozciągłości popierał zdanie doświadczonego zwiadowcy:

- Owszem, porządny posiłek i kilka godzin w wygodnym łóżku, to jest to.

- Ja raczej obejdę się bez posiłku - stwierdził Halt.

Horace tylko popatrzył nań ze zgrozą. Nie był w stanie pojąć, jak można w ogóle brać taką ewentualność pod uwagę.

Gospodę znaleźli u stóp wzgórza, na którym wznosił się Zamek Dun Kilty. Mieściła się w piętrowym budynku - jak większość tutejszych oberży - sprawiała jednak porządniejsze wrażenie niż reszta zajazdów. Obszerna sala biesiadna okazała się wysoka - w odróżnieniu od innych jadalni w lokalach tego rodzaju, na przykład w Mountshannon albo Craikennis. Tutaj Horace mógł stanąć wyprostowany - a gdy to stwierdził, odetchnął z ulgą. Odkąd znaleźli się w Hibernii, już nieraz zdarzyło mu się wyrznąć głową o niskie belkowanie.

Pokoje gościnne, duże, dobrze przewietrzone mieściły się na piętrze. Przeszklone okna dawało się otwierać, by wpuścić do środka powiew wiatru, a wychodziły na główną ulicę. Jeśli się wychylić - co Horace natychmiast uczynił - można było dojrzeć z nich fragment wznoszącego się wysoko zamku.

Pościel okazała się czysta, pachniała świeżością. Aż nazbyt często w swej długiej karierze Halt musiał nocować w miejscach, w których prześcieradła nosiły widoczne i wyczuwalne ślady poprzednich gości. Gdy więc rozejrzał się po tym pokoju, skinął głową z aprobatą. Wypróbował rękoma materac. Uznanie dla zalet kwatery jeszcze wzrosło.

- Bierzemy - oznajmił właścicielce gospody, która zaprowadziła ich na górę. Skinęła

niedbale głową, tego właśnie się spodziewała.

- Ile nocy? - spytała.

Halt zastanowił się przez krótką chwilę.

- Na pewno dzisiejsza i jutrzejsza - odparł. - Może zostaniemy na dłużej, ale jeszcze nie wiemy na pewno. - Sięgnął do sakiewki przytroczonej u pasa. Zapłacił z góry za dwie noce. Niewiasta dygnęła z gracją zdumiewającą u osoby tak okazałej tuszy. Monety natychmiast znikły w kieszonce jej fartucha.

- Dziękuję, szlachetny panie - sapnęła, ale nie odeszła, jakby oczekując czegoś jeszcze.

- Czy to już wszystko?

- Tak, dziękujemy - odrzekł Halt, lecz nim zdążył skończyć, przerwał mu Horace:

- Jeśli zejdziesz teraz na dół, znajdzie się coś do jedzenia? - spytał. Jej twarz rozjaśniła się serdecznym uśmiechem.

- Ależ oczywiście, oczywiście, młody człowieku! Wyglądasz mi na takiego, co zjadłby konia z kopytami!

Zdumiewające - pomyślał Halt - wszystkie kobiety, stare czy młode, grube czy chude... Wszystkie wprost marzą o tym, by nakarmić Horace'a.

- Wolałbym pieczyste - stwierdził młody wojownik z uśmiechem.

Gospodyni zachichotała, wprawiając w drgania swe liczne podbródki.

- I dostaniesz pieczyste, młody panie! Zaraz każę Ewie, żeby się zakrzętała.

- Czy ja wiem? Może i ja bym coś przekąsił? - wtrącił Halt. Nie był wcale głodny, odezwał się tylko po to, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Jak się spodziewał, jego słowa zostały całkowicie zlekceważone. Gospodyni wciąż wpatrywała się jak urzeczona w Horace'a.

- Zapraszamy na dół, gdy tylko będzie pan gotów, młody panie - powiedziała gospodyni.

Halt wzruszył ramionami. Gra niewarta świeczki... Wyciągnął się na łóżku, kładąc dłonie pod głowę. Westchnął głęboko, z ulgą. Gospodyni zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

- Gdzie z butami na pościel? - warknęła, aż Halt podskoczył i w tej samej chwili natychmiast zsunął nogi z powrotem na podłogę.

Babsztyl pociągnął wyniośle nosem i już miał odejść, gdy Halt mruknął:

- Założę się, że do Horace'a tak by paniusia nie powiedziała.

Odwróciła się, jak oparzona, przyglądając się obcemu nader podejrzliwie.

- Że co?

W swym długim życiu Halt stawiał czoło wargalom, straszliwym kalkarom, miał do czynienia z pijanymi krwią Skandianami i hordami Temudżeinów. A jednak, rozjuszona

gospodyni to całkiem co innego...

- Nic, nic - wymamrotał potulnie.

* * *

Gdy godzinę później Horace powrócił, Halt leżał wyciągnięty na jednym z łóżek. Horace zamknął drzwi pokoju na klucz i zasuwę, po czym uśmiechnął się, widząc, że buciory zwiadowcy stoją grzecznie obok łóżka.

Halt cicho chrapał. Ów fakt Horace odnotował z niejakim zdziwieniem. Nigdy się coś takiego nie zdarzało, kiedy nocowali na terytorium wroga lub choćby pod namiotem. Zwiadowca zawsze spał jak kot, gotów obudzić się w każdej chwili, na najlżejszy odgłos. Kto wie, może w niebezpiecznej sytuacji nigdy nie usypiał naprawdę głęboko - tak zapewne spał dopiero teraz.

Horace ziewnął. Widok wypoczywającego w najlepsze zwiadowcy uświadomił mu, jak bardzo on sam jest zmęczony. Miał za sobą kilka bardzo ciężkich dni, a wyspać się porządnie zdołał tylko w pustej gospodzie w Mountshannon. Potem większość czasu spędził już w siodle. Usiadł na drugim łóżku, zdjął buty, przeciągnął się. Poduszka sprężynowała miękko, a materac, po całych tygodniach spania na zimnej, twardej ziemi - okazał się wprost boski. Wniebowzięty, usnął.

Ktoś kaszlnął.

Horace natychmiast siadł na łóżku, zdezorientowany, ogłupiały. Przez kilka sekund zastanawiał się, gdzie jest. Potem sobie przypomniał. Na zewnątrz ściemniało się, nad Dun Kilty zapadała noc. Spojrzał na Halta. Zwiadowca wciąż leżał wyciągnięty na łóżku, nadal z rękami pod głową. W słabnącym świetle Horace zauważył, że oczy Halta pozostają zamknięte, ale zwiadowca odezwał się spokojnym głosem:

- Przeziębłeś się? Paskudnie kaszlesz - spytał.

- Już myślałem, że oto natrafiłem na Śpiącą Królową i jej brzydką siostrę, które czekają na pocałunek Księcia z Bajki, by przebudzić się ze słodkiego snu - odezwał się drugi głos. - Wybaczcie, ale żadnych całusów nie przewiduję.

Horace odwrócił się gwałtownie. W najciemniejszym kącie pokoju dostrzegł okrytą płaszczem, zakapturzoną postać. Will!

Gdy Halt odpowiedział, w jego głosie pobrzmiwała kpina:

- Śpiąca Królowa? Żadna szanująca się królowa nie zasnęłaby przy takim hałasie! Obudziłem się, gdy usłyszałem, jak tupiesz na schodach, czyli zanim włamałeś się tutaj z

wdziękiem godnym kuternogi.

- No, ja kapeńkę to wszystko przespałem - pomyślał Horace. Przypomniawszy sobie, że starannie zamknął za sobą drzwi pokoju. Ciekawe, jakim sposobem Will zdołał uporać się z tym drobnym problemem. Wzruszył ramionami. Skoro Will był zwiadowcą, cóż dla niego zamknięte na zasuwkę drzwi? Tymczasem przyjaciel zaśmiał się, odpowiadając na słowa Halt:

- Ach, więc nie spałeś? Ciekawe, bo twojemu czuwaniu towarzyszył pewien przedziwny, charakterystyczny odgłos. Jakże go zważ? O, już wiem. Chrapanie! Nie wiedziałem, że tak potrafisz. Większość ludzi chrapie przez sen, o ile się nie mylą.

Halt usiadł, spuścił nogi na podłogę, przeciągnął się i otrząsnął.

- Zdziwisz się, ale wyłącznie udawałem, że chrapię - wyjaśnił. - Ciekawiło mnie, jak długo będziesz siedział i czekał.

- Aha. I jak długo czekałem? - zaciekawił się Will.

Halt z wyraźnym ubolewaniem pokręcił głową, po czym zwrócił się do Horace'a:

- Horace, kiedy będziesz starszy, może ktoś zechce wmusić ci ucznia. Nie daj się omamić! Pożytek z takiego zaden, bo nie myśli o niczym innym, jak tylko żeby wykazać swoją wyższość nad nauczycielem. I jakby nie dość pojawiało się kłopotów z czeladnikami w trakcie terminu, to kiedy już ukończą nauki, stają się po prostu nie do zniesienia.

- Zapamiętam - przytaknął Horace poważnym głosem. Ale nie uszło jego uwadze, że Halt wykręcił się zręcznie od odpowiedzi na pytanie Willa. Młodszy zwiadowca również to zauważył, ale postanowił nie pastwić się już nad swoim nauczycielem.

Halt zapalił małą latarnię, stojącą na stoliku między łózkami. Gdy płomień rozjarzył się na dobre, spytał Willa:

- Nie spodziewałem się ujrzeć cię tak wcześnie - rzekł. - Coś poszło nie tak?

Will wzruszył ramionami.

- O tyle, o ile. Właściwie wszystko w porządku. Tylko Tennyson stwierdził, że nie życzy sobie grajków w obozowisku. Chciał odebrać mi mandolę, więc...

- Co ci chciał odebrać? - przerwał Halt, marszcząc czoło.

Will westchnął ciężko.

- Mój instrument. Ten, który nazywasz błędnie lutnią.

Halt skinął głową.

- Aha, już wiem. Mów dalej.

Will rzucił spojrzenie Horace'owi; rycerz uśmiechnął się współczująco.

- Tak więc - ciągnął Will - postanowiłem dać nogę. Zresztą oni zwijają obóz, żeby

zaraz ruszyć na stolicę.

Halt podrapał się po brodzie.

- Tego też się nie spodziewałem - przyznał. - Sądziłem, że jeszcze przez dobrych kilka dni Tennyson zamierza gromadzić nowych wyznawców.

- Ma już ich pod dostatkiem. Obecnie towarzyszy mu co najmniej czterystu ludzi. I jeszcze mam wrażenie, że dowiedział się o Craikennis. To go zaniepokoiło. W obozowisku pojawił się jakiś człeczyna. Bez wątpienia przyniesione przezeń wieści wprawiły Tennysona w wielkie wzburzenie. O ile się nie mylę, kazał tego człowieka zabić.

- Całkiem możliwe - wtrącił Horace. - Nie życzy sobie przecież, by rozeszła się wiadomość o zwycięstwie Rycerza Wschodu.

- O, nie. Z pewnością nie - przyznał Halt. - Powiadasz tedy, że zdołał skupić wokół siebie już czterystu wyznawców?

- Może nawet więcej - odparł Will. - Rzecz jasna, przeważnie chodzi o wieśniaków, nie o wojowników. Ma też jednak do dyspozycji swoich ludzi, tych w białych szatach, między innymi dwóch bliźniaków-olbrzymów, Killeena oraz Gerarda.

- Tak czy inaczej, czterystu ludzi. Siła, z którą trzeba się liczyć. Wątpię, czy Ferris posiada tutaj więcej niż stu, co najwyżej stu pięćdziesięciu żołnierzy. W dodatku bez żadnej gwarancji, że zechcą usłuchać jego rozkazów.

- Właśnie, jak wam poszło z Ferrisem? - spytał Will. - Stęsknił się za tobą?

- Niespecjalnie - rzucił oschłym tonem Halt. - Zdążył już dogadać się z Tennysonem, przynajmniej wstępnie. Chyba zamierzał spełnić wszelkie jego żądania.

- Zamierzał? - dopytał się Will. - A już nie zamierza?

- Wygląda na to, że Halt zdołał go przekonać - rzekł Horace ze złowieszczym uśmiechem. - Ale to jeszcze nic pewnego. Jutro ma nam wyjawić swoją decyzję.

Will pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Nie najlepiej wszystko to wygląda. Odszczepieńcy także zjawią się tu jutro.

- Owszem, ich przybycie może pokrzyżować nam szyki - stwierdził Halt. - Jednak obecnie nic nie da się poradzić. Gdybyśmy spróbowali ponagleń, na przykład jeśli odwiedzimy go jeszcze dzisiaj, Ferris będzie się zapierał rękami i nogami. Zwłaszcza, jeśli się domyśli, że zależy nam na czasie. - Przez chwilę rozważał sytuację w milczeniu, a potem dodał: - Nie. Należy się trzymać pierwotnego planu. Willu, na wszelki wypadek nie pokazuj się. Zostajesz tutaj.

Will wzruszył ramionami.

- Zgoda. Mniemam, iż znajdujesz po temu jakieś szczególne powody? A może się

mnie wstydzisz? - dodał żartobliwie.

Na twarzy Halta pojawił się błąd uśmiech, czyli odpowiednik radosnego wybuchu wesołości u kogokolwiek innego.

- Nie bardziej niż zwykle - odparł. - Nie. Chodzi o to, że Ferris oswoił się już z myślą, iż jest nas dwóch. Jeśli pojawimy się z jeszcze jednym towarzyszem, stanie się tym bardziej podejrzliwy - westchnął. - Już teraz nie można powiedzieć, by darzył nas zaufaniem. Zresztą, pozostając niejako w odwodzie, możesz okazać się użyteczniejszy. Nie zaszkodzi mieć dodatkowego asa w rękawie.

- Aha, więc stałem się asem? - ucieszył się Will. - Miło słyszeć, Halt, naprawdę bardzo miło. Przez myśl mi nawet nie przeszło, że jesteś o mnie tak wysokiego mniemania.

Halt spojrzał nań przeciągle.

- Może użyłem nieodpowiedniego określenia. Powiedzmy raczej, że nawet najmniejszy pionek na szachownicy niekiedy się przydaje.

- Ha. Dobrze choć to... - Nagle Will przypomniał sobie o czymś: - Ale, ale. Nie wspominałem jeszcze, że Tennyson zwerbował trzech nowych popleczników. Cudzoziemcy, odziani w skórę, purpurowe płaszcze oraz kapelusze z piórami. Uzbrojeni w kusze i cały zestaw groźnie wyglądających sztyletów. Sprawiają wrażenie, że potrafią się tym wszystkim posługiwać.

Lekko rozbawione oblicze Halta spoważniało, gdy usłyszał opis. Na wzmiankę o uzbrojeniu cudzoziemców, skłonił potakująco głową.

- Genoweńczycy - oznajmił cicho.

Horace zmarszczył brwi, bo nigdy dotąd nie słyszał o istnieniu takiej nacji.

- Ki diabeł?

Halt uniósł brwi.

- W Szkole Rycerskiej nie kładziono szczególnego nacisku na naukę geografii, prawda?

Horace wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, rzeczywiście nie. Zazwyczaj czekamy, aż światły dowódca wskaże nam nieprzyjaciela i wyda komendę: „rozbij mu łeb”. Geografię oraz temu podobne subtelności pozostawiamy zwiadowcom. Niech i oni się czymś wykażą.

- No tak, „daj mu w łeb”, a wtedy sprawa załatwiona - skonstatował Halt. - Pozazdrościć życia pozbawionego zbędnych komplikacji. Otóż pochodzą oni z miasta Genovesa w Toscanie. Najemnicy, zawodowi zabójcy. Tym trudni się znakomita większość mieszkańców miasta. Znakomicie władają bronią, lecz także nieobce są im inne, mniej

szlachetne sposoby pozbywania się przeciwnika. Na przykład cechuje ich szczególna zręczność w posługiwaniu się truciznami. Skoro Tennyson zatrudnił aż trzech, należy wnioskować, że idzie na całość. Inaczej mówiąc, sporo zainwestował, bowiem usługi Genoweńczyków nie są tanie. Cóż, szykują się kłopoty.

Will pokiwał głową z mądrą miną.

- No tak, Genoweńczycy. Tak właśnie sądziłem - stwierdził.

Horace rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie.

- Też nie miałeś pojęcia, kim są - rzekł. Will nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Wiedziałem, nie wiedziałem... W każdym razie natychmiast się domyśliłem, że należy spodziewać się z ich strony kłopotów - oznajmił.

Jego uśmiech zbladł, gdy Halt odparł grobowym tonem:

- O, tak. Jeśli wejdziemy im w drogę, bez kłopotów się nie obejdzie. I to poważnych! Gdyby zdarzyło się wam na nich natknąć, strzeżcie się!

ROZDZIAŁ 35

- Nie mogę tak postąpić - oznajmił Ferris. Oczy Halta pociemniały od gniewu. Ferris aż cofnął się pod tym spojrzeniem. Skurczył się, przycupnął na tronie, jak gdyby wielkie, drewniane siedzisko potrafiło mu dodać odwagi.

- Nie mogę - powtórzył cienkim głosem. - Nie mogę i nie zrobię tego. A ty nie możesz mnie do niczego zmusić.

- Jesteś pewien? - rzucił Halt. Spojrzał na Horace'a, później na Seana. Twarz pierwszego wyrażała wzgardę, oblicze drugiego - rozczarowanie. Lecz Ferris miał rację. Nie da się go zmusić, by przeciwstawił się Tennysonowi.

- Dlaczego miałbym to uczynić? Dlaczego miałbym cię posłuchać? Poza tym, jaki ty masz w tym wszystkim interes? - król Ferris zmrużył oczy, starając się przejrzeć rozmówcę na wskroś.

W jego świecie, jeśli ktoś podejmował jakieś działania, czynił to dla własnej korzyści. Ferris zachodził w głowę, co Halt zyska jeśli on, Ferris, zdemaskuje Tennysona. Nie musiał długo się zastanawiać, odpowiedź nasuwała się sama. Ześlizgnął się z tronu, podszedł do brata, stając z nim twarzą w twarz; gdy przejrzał jego nieczne plany, przybyło mu też śmiałości.

- Nagle pojąłem. Pragniesz, bym sprzeciwił się Tennysonowi, bo liczysz, że on i jego wyznawcy mnie zabiją. Nie myślę się, prawda? Oni odwalą za ciebie całą brudną robotę. A potem ty pojawiasz się jakby cudem, znikąd, po czym zajmujesz moje miejsce na tronie. Dam głowę, że przyjmiesz wszystkie warunki, jakie Tennyson ci postawi.

Przez kilka chwil Halt przyglądał się twarzy brata. Zdał sobie nagle sprawę, jak pokretny umysł kryje się za tymi wciąż umykającymi jego spojrzeniu oczami. Potrząsnął wzgardliwie głową.

- Podobna myśl mogła się zrodzić tylko w twojej głowie. Nie w mojej. Otóż wyobraź sobie, że idzie mi o coś całkiem innego. Chodzi mi mianowicie o tych ludzi - wskazał w stronę okna, z którego rozciągał się widok na miasto. - O nich się martwię. O twoich

poddanych, którzy nazywają cię swoim królem i spodziewają się, że będziesz im przewodził oraz ich bronił. Nie mają szczęścia, bowiem ani jednego, ani drugiego nie mogą się z twojej strony spodziewać.

- Proszę, wasza wysokość - odezwał się Sean, postąpiwszy krok do przodu. - Proszę, zechciej jeszcze przemyśleć sprawę. Halt ma słuszość. Ci ludzie potrzebują kogoś, kto ich poprowadzi. Kto obejmie ich swą opieką.

Ferris na słowa siostrzeńca zaśmiał się kpiąco.

- Aha, teraz znów stałem się „waszą wysokością”. Jakże tak, Seanie? Wczoraj padałeś przed nim na kolana i tylko on godził się okazywać tytułu. „Wasza wysokość”, nieprawdaż? Niech ci się nie zdaje, że nie przejrzałem twej zdrady. Knujesz wraz z nim.

Sean cofnął się, jakby bliskość monarchy sprawiła, że poczuł się zbrukany. Kiedy przemówił, jego głos drżał od gniewu:

- Nigdy nie byłem nielojalny wobec waszej wysokości. Przenigdy!

Zabrzmiało to tak groźnie, że Ferris zerknął na siostrzeńca z niepokojem. Może posunął się zbyt daleko. Prawda, nigdy nie znalazł powodu, by wątpić w wierność Seana. Nie zamierzał jednak ustępować.

- Zapewne. Osądziłem cię zbyt pochopnie - rzekł pojednawczym tonem. Lecz po krótkiej chwili zwrócił się do Halta. Teraz jego słowa brzmiały twardo, nieustępliwie: - Nie, nie zrobię tego, czego się domagasz. Jeśli chcesz walczyć z Tennysonem, droga wolna. Jednak podejmiesz działanie na własną odpowiedzialność i na własne ryzyko. Proszę bardzo. Przecież wystarczy, że oznajmisz ludowi: oto pojawił się upragniony wybawca, Rycerz Wschodu!

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, tak właśnie uczynię - odparł Halt. - Lecz jestem tu obcy, a ty nadal pozostajesz królem. Twoi poddani pomyślą...

Ferris przerwał mu:

- Otóż to właśnie. Ja nadal pozostaję królem. Jak miło, że ktoś zechciał sobie w końcu o tym przypomnieć. Ja pozostaję królem, więc ja sam podejmę decyzję.

Wyprostował się, przybierając, jak mniemał, wygląd wyniosły oraz stanowczy. Tylko że nastąpiło to, co zawsze. Zdradzały go oczy, rozbiegane, wciąż unikające spojrzenia rozmówcy.

Halt przeklął w duchu Ferrisa. Do ostatniej chwili liczył, że zdoła go przekonać, że król przeciwstawi się Tennysonowi. Niestety, Ferris stchórzył. Czyli wszystkie plany Halta legły w gruzach. Bez poparcia króla wszelki opór przeciw Odszczepieńcom z góry skazany jest na niepowodzenie. Lud Clonmelu nie posłucha cudzoziemca, nie opowie się za młodym

rycerzem przeciwko Tennysonowi, wybawcy Mountshannon oraz kilku jeszcze innych miejscowości, zręcznemu mówcy, umięjącemu porwać za sobą tłumy.

Przeciwko Tennysonowi, który poza wszystkim innym pociągnął za sobą setki fanatycznych wyznawców.

Mimo całego wzburzenia, Halt zachował kamienną twarz. Zacerpnął tchu, by podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę przekonania Ferrisa, w rzeczywistości nie wiedząc co rzec, skoro wszystko już zostało powiedziane. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, bowiem doszły go odgłosy jakiegoś zamieszania. Coś działo się za drzwiami prowadzącymi do przedsionka sali tronowej. Jedno skrzydło uchyliło się; wszedł strażnik, który skierował się ku nim zdecydowanym krokiem. Halt zauważył, że żołnierz zameldował się Seanowi, nie Ferrisowi. Może to po prostu kwestia protokołu. A może istotny dowód wskazujący, wobec kogo tak naprawdę okazują lojalność żołnierze straży.

- Sir Seanie, przybył posłaniec. Twierdzi, że to pilna sprawa. Chce rozmawiać z tym człowiekiem - wskazał na Halta.

Sean spojrział w stronę zwiadowcy.

- Spodziewasz się nowin?

Halt wahał się przez moment. Zjawić się nie mógł nikt inny... Zwrócił się do strażnika:

- Czy przybysz odziany jest tak jak ja?

- W rzeczy samej, panie. - Wartownik skinął głową. - Płaszcz taki sam, i broń także. -

Wskazał pustą pochwę - tak jak poprzednio, zostawili broń przed wejściem.

- Istotnie - rzekł Halt. - Oczekiwałem posłańca. Przynosi ważne wieści, dotyczące sprawy, o której mowa.

Nie miał pojęcia, co sprawiło, że Will się tu zjawił, lecz skoro tak się stało, zapewne sięgnął do pałacu nie bez istotnej przyczyny.

Sean skinął głową.

- Wpuście go - nakazał strażnikowi.

Żołnierz wycofał się, a po paru sekundach do sali wszedł Will. Na widok płaszcza z kapturem, ciemnozielonego kaftana oraz brązowych, obcisłych spodni, Ferris parsknął pogardliwie.

- Sprowadziłeś tu jednego ze swoich, co? - warknął do Halta. - Coś mi mówi, że Tennyson przywiódł jednak nieco więcej zwolenników niż ty.

Will zerknął ciekawie na króla. Dostrzegł od razu te same podobieństwa - i różnice - które Horace ujrział dnia poprzedniego. Jednak przede wszystkim musiał oznajmić Haltowi ważną wiadomość.

- Już jest - stwierdził po prostu. Horace przez chwilę nie rozumiał, o czym Will mówi.
Halt pojął od razu.

- Tennyson, tak?

Will skinął głową.

- Rozbijają obóz. Oznajmił, że przemówi do ludu o godzinie trzeciej.

Halt spojrział szybko na dwunastogodzinny zegar wodny zdobiący salę tronową. Dochodziła pierwsza. Złość aż w nim kipiała, lecz nadal nie dawał niczego po sobie poznać. Panował nad emocjami, nie pozwolił, by choć ślad gniewu zmącił jego oblicze lub wpłynął na sposób zachowania.

- Doskonale - odparł. - Dziękuję, Willu. Wracaj. Miej na nich oko. Powiadom mnie, jeśli wydarzy się coś nowego.

Will skłonił się w milczeniu. Popatrzył pytająco na Ferrisa, potem znów na Halta, zadając mu wzrokiem pytanie: „Jak poszło?” Ledwie dostrzegalny, przeczący ruch głowy Halta dał mu do zrozumienia, żeby o nic nie pytać. Will wywnioskował, że sprawy stoją źle.

- Tak jest. Ruszam na rynek. Tam właśnie rozstawiają swój namiot.

Odwrócił się, szybkim krokiem wyszedł z sali. Halt obserwował stanowczy wyraz twarzy swojego bliźniaczego brata. I gnębiło go uczucie, do jakiego nie przywykł - takie mianowicie, że oto poniósł klęskę. Musiał jednak spróbować jeszcze raz.

- Ferrisie... - zaczął.

Ferris uniósł brwi.

- Chciałeś chyba rzec: „wasza wysokość”?

Przeczuwał, że Halt będzie usiłował go przekonywać, a może nawet poniży się, może zdecyduje się poprosić. Czuł, że w braterskich zmaganiach to on, Ferris, odniósł zwycięstwo. Odzyskał więc całą pewność siebie. Halt rzucił mu zimne spojrzenie, lecz nim zdążył się odezwać, niespodziewanie do rozmowy włączył się milczący dotąd młody araluński rycerz.

- No, właśnie. Wasza wysokość. - Tytuł wypowiedział tonem wręcz unizonym, jakby stanowczo odcinał się od nietaktów Halta. - Myślę, że mam pomysł, jak rozwiązać powstały problem - i to pomysł, dzięki któremu wszyscy nieźle się obłowimy. O ile wasza wysokość pojmuje, co mam na myśli?

Potaął kciukiem o palec wskazujący w powszechnie znanym geście odwołującym się do zarobku i chciwości - a więc do czegoś, co Ferris rozumiał doskonale. Rzeczywiście, król wyraźnie się zainteresował, najwidoczniej gotów nadstawić ucha. Halt przerwał, nim Horace wyjaśnił, co ma na myśli.

- Przestań, Horace. To na nic - rzekł znużonym głosem.

Horace wysunął dolną wargę, przybierając przemyślny wyraz twarzy. Odpowiedział nieco lekceważącym tonem:

- E, tam. Darujmy już sobie pogaduszki o honorze i obowiązkach wobec ludu. Próbowaleś, nie udało się. Trzeba się z tym pogodzić i żyć dalej. Ja natomiast dostrzegam całkiem konkretne korzyści, jakie moglibyśmy wyciągnąć z bajeczek o Rycerzu Wschodu. Wpadnie nam przy okazji trochę grosza, a przecież nic w tym złego - spojrzał na króla. - Natomiast do kiesy waszej wysokości popłynie istna rzeka złota.

Ferris uniósł brwi z zaciekawieniem. Horace przemówił językiem, który trafiał mu do przekonania. Korzyść. Zysk. Złoto.

- Horace, zamilcz! Zapominasz się! Nie masz prawa...

Dziwne, lecz dopiero gniewna replika Halta przekonała króla, że nie tylko odniósł triumf, ale też doprowadził do rozłamu w obozie przeciwnika. Co więcej, może jeszcze na tym skorzysta.

- Daj spokój, Halt! - perorował dalej rycerzyk. - Przyznaj choć raz, że wszystkie twoje knowania wzięły w łeb!

Halt zamilkł, choć twarz miał wściekłą, gdy mierzył młodego towarzysza kamiennym spojrzeniem.

Odebrało mu mowę - stwierdził Ferris w myśli, z niemałą satysfakcją.

Tymczasem Horace znów zwrócił się do monarchy:

- I cóż, wasza wysokość? Czy wolno mi zaproponować pewien plan, na którym wszyscy skorzystamy?

Ferris zaśmiał się cicho. Przytaknął skinieniem głowy. Nie gardził złotem - skądże znowu - ale przede wszystkim władcę radowała bezsilna złość brata, który właśnie przekonał się, że wystawił go do wiatru własny towarzysz.

- Słuchamy, mów - rzekł.

Nie zwrócił uwagi na okrzyk Halta. Widział natomiast wyraz rozczarowania na twarzy Seana, kiedy niespodziewanie odezwał się Horace. Dobrze mu tak. Sean to idealista. Czas, żeby wreszcie nauczył się, o co naprawdę chodzi w życiu. Horace tymczasem rozejrzał się po wielkiej, sali tronowej. Echo niosło się w niej szeroko. Zauważył przesłoniętą kotarą boczne drzwi.

- Może lepiej, jeśli zamienimy kilka słów na osobności, wasza wysokość. Czy można...? - zawiesił głos, wskazując wejście do bocznej komnaty.

- To moja garderoba - oznajmił Ferris, ruszając w tamtą stronę. - Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał. - Spojrzał znacząco na Seana oraz Halta.

Horace podążył za nim, mijając po drodze Seana. Trącił go przy tym łokciem, z dziwnym uśmiechem na twarzy. Sean wstrząsnął głową. Spojrzał na Halta, nic nie rozumiejąc. Zwiadowca wbił oczy w posadzkę, lecz kiedy król i Horace zniknęli za zasłoną, łypnął na Seana. Ku swemu niebotycznemu zdumieniu, młody Hibernijczyk stwierdził, że Halt się uśmiecha.

Chciał coś powiedzieć, lecz Halt uniósł dłoń. Nie minęła sekunda, kiedy obaj usłyszeli głucho uderzenie, poparte okrzykiem bólu. Potem dobiegł ich łoskot przewracanych mebli. Nareszcie zza kotary rozległ się głos Horace'a:

- Halt, zechciałbyś się tu pofatygować na momencik?

Zwiadowca przeszedł przez salę. Zerknął za kotarę. Sean poszedł za nim. Niewielka komnata, królewska garderoba czy też gotowalnia, okazała się pomieszczeniem, w którym przechowywano oficjalne szaty monarsze przeznaczone na uroczyste okazje. Znajdowała się tam wielka szafa, kilka krzeseł, stół oraz lustro. W rogu umieszczono niewielki kominek. Nieprzytomny król leżał na podłodze, obok niego wałało się przewrócone krzesło. Horace rozcierał obolałe knykcie prawej dłoni.

- Horace - powiedział Halt. - Coś ty narobił?

Horace wskazał szafę pełną monarszych szat.

Właśnie uczyniłem cię królem - wyjaśnił. - Poszukaj sobie odpowiedniego stroju.

ROZDZIAŁ 36

- Czyś ty oszalał? - spytał zdumiony Halt. Horace nie odzywał się, więc zwiadowca ciągnął dalej: - Przyjrzyj się nam obu. Oczywiście, jesteśmy do siebie podobni, nawet bardzo. Ale przecież nie identyczni!

Sean tymczasem podbiegł, uklęknął obok bezwładnego ciała rozciągniętego na posadzce przebieralni. Wymacał puls, odetchnął z ulgą. Spojrzał na obu Aralueńczyków. Halt wyraźnie został wyprowadzony z równowagi, zaś Horace zachowywał niezmałony spokój.

- Stracił przytomność - oznajmił.

Horace zerknął w jego stronę.

- Masz coś przeciwko?

Sean zastanowił się przez krótką chwilę.

- Nie, ja nie. Ale on, kiedy odzyska zmysły, raczej nie okaże radości. Przywoła straż, wtedy zaś po was. Obawiam się, że nie zdołam was obronić.

Horace machnął ręką.

- Żaden kłopot. Wyjdę stąd ramię w ramię z królem - nieco przesadnym gestem wskazał na Halta.

Zwiadowca nie krył zażenowania; Horace po prostu zignorował oczywiste fakty.

- Przyjrzyj się dobrze Ferrisowi. A potem przyjrzyj się mnie.

- Już wcześniej się wam obu porządnie przyjrzałem - stwierdził spokojnie Horace. - Trzeba tylko zaczesać ci włosy do tyłu, po czym umocować je tą skórzaną opaską...

- To przecież korona Clonmelu - uznał za stosowne sprostować Sean.

Horace spojrział koso.

- Tym lepiej.

- Zauważyłeś, że mamy zupełnie inny zarost? - zapytał Halt.

Horace miał zaś już gotową odpowiedź:

- Oczywiście. Na szczęście twój jest bujniejszy, więc da się go tu przyciąć, tam podgolić. Żaden kłopot. Byłoby dużo trudniej dodać zarostu komuś, kto go nie posiada wcale.

Swoją drogą, zauważyłem, że odkąd wyruszyliśmy na tę wyprawę, w ogóle przestałeś dbać o brodę.

Halt wzruszył ramionami.

- Rozmyślnie. Nie chciałem, by ktokolwiek dostrzegł moje podobieństwo do Ferrisa.

- No cóż, teraz życzymy sobie, by wszyscy owe podobieństwo dostrzegli. Trzeba więc część zarostu usunąć.

- Naprawdę zamierzasz mnie ogolić? - upewnił się Halt. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat odniósł wrażenie, że traci kontrolę nad rozwojem wydarzeń.

- Halt, nie pojmujesz? To nasza jedyna szansa! Król musi publicznie przemówić, zdemaskować Tennysona, potępić Odszczepieńców... Oraz przywołać mit o Rycerzu Wschodu. Sam wiesz, że nikt inny, tylko król jest w prawie podjąć odpowiednie kroki. Tylko wtedy wszystko zyska sens. Ty zaś dobrze przecież wiesz, co się dzieje. - Król odmówił. Wystarczy trochę wysiłku, a będziesz wyglądał całkiem jak on. Ubierz się w którąś z tych szat i włóż na głowę tę skórzaną opaskę... - spojrzął na Seana, który otworzył usta, by zaprotestować. - Dobrze, już dobrze. Włóż tę skórzaną koronę... Założę się, że nikt nie spostrzeże różnicy. Zobaczą, co spodziewają się ujrzeć. Sam zawsze to powtarzasz!

Miał rację, Halt doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Skoro ludzie spodziewali się ujrzeć króla, to ujrzą właśnie monarchę, nie cudzoziemca i samozwańca. W dodatku niewielu obywateli Clonmelu oglądało swojego króla z bliska. Halta jednak dręczyła pewna myśl:

- Zamierzasz mnie ogolić? - powtórzył.

Horace przytaknął, po czym zwrócił się do Seana:

- Potrzebny mi mój puginał. Czy zdołasz go tu dostarczyć, tylko dyskretnie?

Sean patrzył młodemu rycerzowi w oczy.

- Spodziewasz się, że wam pomogę?

Horace odpowiedział bez żadnego wahania:

- Tak. Dlatego, że to jedyny sposób. Ty o tym wiesz. I jeszcze jedno. On - wskazał nieprzytomnego Ferrisa - chce zaprzedać własny kraj Tennysonowi i jego zbirom.

Pewność siebie, jaką okazał Horace, opierała się na kruchych podstawach; mógł więc tylko mieć nadzieję, iż dokonał trafnej oceny młodego Hibernijczyka. Przebrany za Ferrisa Halt, któremu będzie towarzyszył główny królewski namiestnik, najprawdopodobniej zostanie rozpoznany jako król. Jednak jeśli Sean się do nich nie przyłączy, nie wydadzą się nawet z sali tronowej, bo natychmiast pojماją ich strażnicy.

Sean zastanawiał się jeszcze chwilę. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że skoro nie wezwał straży, ujrzawszy Ferrisa powalonego na podłogę - tym samym w gruncie rzeczy

opowiedział się już po stronie Aralueńczyków.

- Racja - westchnął. - Przyniosę nóż. Mógłbym zażądać brzytwy, ale to chyba nie najlepszy pomysł? Prośba o brzytwę mogłaby dać komuś do myślenia.

- Puginał jest wystarczająco ostry - zapewnił Horace. Ale gdy Sean zbierał się do odejścia, ożywił się Halt.

- Nie, nie puginał. Przynies moją sakse. Nadaje się do przycinania włosów, to nada się i do golenia.

Horace spojrzał nań z zachwytem. Takiej rewelacji się nie spodziewał!

- Ha, zatem przyznałeś się wreszcie - sapnął. - Naprawdę przycinasz włosy nożem!

W Araluenie niejednokrotnie spierano się co do owej kwestii; jedni zapewniali, że podają świętą prawdę - inni twierdzili, że chodzi jedynie o złośliwe plotki. Teraz Horace usłyszał potwierdzenie z ust samego Halta! Lecz zwiadowca nie raczył w ogóle odpowiedzieć.

- I wystaraj się o miskę gorącej wody - dodał, zwracając się do Seana, po czym rzucił w stronę Horace'a: - Nie pozwolę golić się na sucho!

- Lepiej rozkaż podać herbatę - poprawił go Horace. - Dzbanek gorącej herbaty. Ludzi zastanowi być może, po co nam miska gorącej wody. Tymczasem trudno się dziwić, że król podejmuje miłych gości herbatą.

- Chcesz go golić herbatą? - zdziwił się Sean.

- Nie ma mowy, nie zgadzam się na herbatę - prychnął Halt. Horace uniósł dłonie w pojednawczym geście.

- Przecież herbata składa się przede wszystkim z gorącej wody. W dodatku przyda nam się, by przyciemnić twoją skórę w miejscu, gdzie usuniemy zarost.

Sean spojrzał na jednego Aralueńczyka, potem na drugiego - i skinął głową na zgodę. Horace miał słuszość. Po zgoleniu brody, ukaże się skóra jaśniejsza, bo przez długie lata osłonięta od promieni słonecznych i wiatru. Różnica w odcieniu od razu rzuciłaby się w oczy.

- Dobrze, saksa oraz herbata - mruknął, jak gdyby przepowiadał sobie jakąś dziwaczną listę zakupów. - Następnie szybkim krokiem wyszedł z garderoby.

- A przyszło ci na myśl - spytał Halt Horace'a - że włosy Ferrisa są ciemne, zaś moje przyprószone szlachetnym odcieniem siwizny?

- Bo on je farbuje - odparł Horace.

Halt rozzłościł się:

- No, pewnie, że farbuje! Obawiam się jednak, że nie używa w tym celu herbaty. Masz jakiś pomysł?

- Sadza - wyjaśnił Horace. - W kominku znajdziemy jej pod dostatkim. Dobrze też dodać jej trochę do herbaty, lepiej zabarwi twoją twarz.

Halt schylił się. Podniósł przewrócone krzesło i usiadł ciężko, pogodzony z losem.

- Coraz lepiej. Herbata z sadzą! - mruknął pod nosem.

* * *

Po godzinie wrota sali tronowej otwały się z trzaskiem. Sześciu strażników wyprężyło się w postawie na baczność.

Król postanowił odwiedzić targowisko - oznajmił Sean. - Formować eskortę!

Strażnicy czym prędzej ustawili się w szyku. Zza drzwi komnaty ukazał się król, odziany w płaszcz z ciemnozielonej satyny, gęsto przesywanej złotą nicią, obramowany gronostajami. Sięgający do ziemi płaszcz posiadał kołnierz, który jego łaskawość raczył postawić na sztorc. Towarzyszył mu jeden z cudzoziemców. Drugi gdzieś się zapodział, lecz jeśli nawet któryś ze strażników zwróciłby na ów szczegół uwagę, zabrakłoby mu czasu do namysłu. Dwaj zbrojni podążali przodem, a czterej z tyłu, ustawieni za królem, jego siostrzeńcem oraz gościem. Strażnicy zachowywali pełen respektu dystans. Znajdowali się na tyle blisko, by w każdej chwili móc stanąć w obronie władcy, na tyle zaś daleko, by nie słyszeć rozmowy prowadzonej przez szlachetnie urodzonych.

Sean kroczył pierwszy, król oraz Horace ramię w ramię za nim. Sean musiał przyznać, że dzieło Horace'a prezentowało się całkiem znośnie. Włosy Halta, uczernione sadzą zeszkrobaną z komina, dzielił teraz przedziałek, zaczesane zostały na mokro do tyłu oraz umocowane za pomocą królewskiej korony. Gdyby ktoś śmiał przyjrzeć się królewskiemu obliczu z bliska, dojrzałby - zwłaszcza w jego dolnej części - przedziwne plamy tam, gdzie mieszanina sadzy i herbacianych liści została wtarta w różową skórę, obnażoną w trakcie dość nieudolnych balwierskich wysiłków Horace'a. Mieszanka przydała się także, by zamaskować kilka drobnych skaleczeń - saksa nie całkiem sprawnie poradziła sobie z twardym jak druty zarostem Halta. Horace szybko jednak zorientował się, że uzyskana substancja sprawdza się znakomicie również wtedy, kiedy idzie o tamowanie krwawienia.

- Dostaniesz za swoje później - odgrażał się Halt, gdy rycerz beztróska wcierał sadzę w najdotkliwsze ze skaleczeń. - Brud wcierany w ranę! Przecież to musi skończyć się zakażeniem.

- Pewnie masz rację - odparł Horace, zajęty swą robotą. - Ale nie widzę problemu. Potrzebujemy cię tylko na dzisiaj.

Co, rzecz jasna, nie poprawiło Haltowi humoru.

Zadanie ułatwiał im dodatkowo pewien fakt - otóż Ferris od dziesięcioleci zabraniał poddanym patrzeć sobie prosto w twarz. W rezultacie niewielu śmiało w ogóle podnosić oczy na króla, a cóż dopiero przyglądać się zbyt dokładnie monarszym rysom. Dotyczyło to nawet dworzan. Pamiętali raczej nie monarchę, lecz powzięte ogólne wrażenie. Do tego ogólnego wrażenia, wspartego sposobem mówienia oraz poruszania się, wygląd Halta pasował w zupełności.

Mała procesja, poprzedzona dwoma strażnikami tronu, wychyłała z donżonu na dziedziniec. U wejścia czekały wierzchowce, Abelard oraz Kicker; Kicker przywiązany wiodzami do żelaznego pierścienia, Abelard, jak zwykle, stał, nie ruszając się z miejsca i czekał, aż będzie potrzebny.

Zerknął na grupkę ludzi wynurzających się z budynku. Zarżał cichutko na powitanie swego pana, który przywdział coś błyszczącego oraz zielonego, a na dodatek wysmarował twarz na ciemno. Halt spojrział w stronę konika, zmarszczył brwi, po czym bezgłośnie wypowiedział komendę „milczeć”. Abelard wstrząsnął grzywą, co w jego wypadku oznaczało coś jakby wzruszenie ramionami - i odwrócił łeb.

- Mój koń mnie rozpoznał - rzucił Halt oskarżycielskim tonem do Horace'a, oczywiście ledwo dosłyszalnym szeptem.

Horace spojrział na małego, kudłatego konika, który wydawał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości, gdyż stał obok potężnego rycerskiego rumaka.

- Ale mój nie - zauważył. - Uzyskujemy wynik pół na pół!

- Chyba wolałbym rezultat nieco korzystniejszy dla mnie - westchnął Halt.

Horace skrył uśmiech.

- Nie martw się. Na pewno Abelard po prostu wyczuł twój zapach.

- Sam go wyczuwam - stwierdził kwaśno Halt. - Cuchnę sadzą oraz herbatą.

Horace uznał, że lepiej tego tematu nie rozwijać.

Znaleźli się na drodze prowadzącej do miasta. Halt zwrócił uwagę, że choć ludzie schodzili im z drogi, choć pochylali głowy na widok monarchy, nie rozlegały się powitalne okrzyki ani wiwaty. Ferris (w tej chwili nieprzytomny, związany, zakneblowany, następnie ukryty w szafie własnej garderoby) nie cieszył się widać szczególną miłością ludu.

Znaleźli się w mieście. Nadal wszyscy schodzili im z drogi - choć trudno stwierdzić, czy postępowali tak z lęku przed zbrojnymi, czy może z szacunku dla królewskiej władzy. Halt przypuszczał, iż po trosze z obu tych powodów. Skręcili w boczną ulicę, która prowadziła na rynek. Dochodził ich gwar setek głosów. Tennyson wygłaszał już przemowę

do licznie zgromadzonych słuchaczy.

- Zaczęli bez nas - stwierdził Halt.

- Zacząć, istotnie zaczęli - odparł Horace - tyle że do nas należy ostatnie słowo.

ROZDZIAŁ 37

Will wmieszał się w tłum na placu targowym. Wyznawcy Tennysona pracowali w pocie czoła przez kilka godzin, by wznieść drewniane podium, z którego prorok miał przemówić. Opośdł rozpalono ognisko, nad którym piekł się baran, obracany przez dwóch Odszczepieńców, nagich do pasa, ociekających potem. Tłuszcz kapał na rozżarzone węgle, podsycając płomień, a po całej okolicy rozchodził się aromatyczny zapach.

Will nie jadł śniadania, więc zapach pieczystego sprawił, że ślinka pociekła mu do ust. Od czasu do czasu któryś z Odszczepieńców ścinał warstwę upieczonej baraniny. Drugi oddzielał kawały wielkiego podpłomyka, po czym chleb i mięso rozdawano czekającemu tłumowi. Nie zabrakło też wina oraz piwa; każdy mógł podejść ze swym kubkiem albo manierką po szczodłą porcję napitku. Panowała swobodna, niemal świąteczna atmosfera. Jadło było smaczne, wino mocne, a niezwykle wydarzenie wprowadzało mile widzianą odmianę w monotonii codziennego życia miasta. Zewsząd dochodziły śmiechy, okrzyki, również rozmaite inne oznaki dobrego humoru.

A potem przemówił Tennyson. Z początku tonem jowialnym, lekkim, bowiem na początku opowiedział kilka zabawnych anegdotek, przy czym udowodnił, że potrafi śmiać się także z samego siebie - toteż rozbawił tłum, zaskarbiając sobie jego sympatię. Will uznał to za całkiem niezłe przedstawienie. Potem Tennyson zaczął opowiadać, jak dobrze mu się wędrowało wraz z innymi wyznawcami, gdy wzajemnie się o siebie troszczyli i wychwalali swego boga. Kilkunastu Odszczepieńców towarzyszyło mu na scenie; gdy dał im znak, zaintonowali pieśń.

Śpiewali popularne piosenki. Rozkołysani słuchacze przytupywali do taktu. Tennyson bez trudu zachęcił ich, by przyłączyli się, wtórując chórowi w refrenach. Potem Odszczepieńcy wykonali prosty hymn na cześć Alsejasza. Zgromadzeni chętnie podjęli łatwą melodię. Następnie chór opuścił podium. Podczas krótkiej przerwy znów rozdawano wino. Potem Tennyson ponownie zabrał głos.

Jak przystało na wytrawnego mówcę, dawkował napięcie. Teraz przemawiał

poważniejszym tonem; zaczął od tego, że w ciągu minionych miesięcy zło rozkrzewiło się w Clonmelu, na kształt mrocznych chmur zasłaniających niebo nad królestwem - złowroga wizja, jakże różna od pogodnego obrazu przedstawionego słuchaczom w pierwszej części wiecu. Głos mówcy coraz wyraźniej nabrzmiewał oburzeniem, wreszcie nawet gniewem, kiedy opisywał straszliwe zbrodnie, jak rzeź w Duffy's Ford. Tennyson napomynał również o innych okropieństwach, które zdarzyły się wcześniej. Większość zgromadzonych nie znała szczegółów, jednak również do stolicy docierały wieści o budzących grozę wydarzeniach, jakie rozegrały się w kilku miastach na południu. W uszach słuchających dźwięczały znajome nazwy, a ponieważ plotki krążące z ust do ust ze swej natury są nieścisle, Tennyson koloryzował je, dodając grozy. Przybrał ton świętego oburzenia, współczując jednocześnie cierpieniom obywateli Clonmelu.

Bez trudu wyczuwało się zmianę nastroju. Wesołość panująca dotąd w tłumie ustępowała miejsca lękowi, niewidzialnemu, jeszcze nieświadomionemu. Tymczasem Tennyson opowiadał, jak plaga napaści, podpaleń oraz morderstw ogarnia kraj i zmierza ku północy, zbliżając się tym samym do Dun Kilty. Niepokój wzrastał w miarę, jak opadał poziom wina w kubkach. Tennyson opisywał kolejne zbrodnie, zaś odziani w białe szaty wyznawcy powtarzali słowa proroka niczym echo. Następnie na podium pojawili się nowo nawróceni, by zaświadczyć, iż wygłaszane słowa zawierają najczystsza prawdę.

- Prorok Tennyson dobrze prawi! - wołali. - Byłem w Carramoss i świadczę: widziałem wszystko na własne oczy!

- Waszą krainę pragnie ować zło - grzmiał Tennyson, przeszedłszy teraz do najważniejszej części przemowy. - Zło z dna piekieł przybyłe, mroczny demon Balsennis! On, duch ciemności, który nienawidzi prostych ludzi, więc niesie im śmierć i zniszczenie. On, który zniszczenia dokonuje rękami swych zbirów. Wszak mieliśmy już z potworem do czynienia, nieprawdaż, o bracia moi?

Ostatnie pytanie skierował do najbliższego kręgu wiernych. Nie omieszkali potwierdzić prawdy słów Tennysona donośnymi okrzykami.

A on ciągnął dalej, perorując wciąż głośniejszym, wciąż z coraz większą emfazą:

- Nadszedł czas, by demona powstrzymać! Jego zwyrodniali czciciele muszą zostać pokonani, muszą zostać zmiżdżeni! Lecz któż tego dokona? Któż ocali was przed napaścią złowrogich sił? Któż przeciwstawi się bandytom, zbrodniarzom, mordercom, któż da odpór wszystkim sługom zła napływającym pod mroczne sztandary? Któż przegoni ich, któż ich pohańbi, któż zada im klęskę?

Tłum słuchał w milczeniu; nie znali odpowiedzi.

- Któż posiada moc, by stawić opór Balsennisowi, któż was ochroni? - Tennyson znów umilkł, pozwalając, by przerażenie zakorzeniło się w sercach słuchaczy. Na koniec postąpił krok do przodu. Jego głęboki, dźwięczny, głos rozbrzmiał jeszcze donioślej:

- Czy uczyni to wasz król?

Cisza. Krępująca, nieprzyjemna cisza. Zgromadzeni spoglądali po sobie, czym prędzej odwracając wzrok. Znajdowali się zbyt blisko Zamku Dun Kilty, więc żaden nie zamierzał występować tu przeciwko władcy. A jednak, w głębi serca, wiedzieli, że nikt zgodnie z prawdą nie może udzielić twierdzącej odpowiedzi na postawione przed momentem pytanie. W ciszy znów rozległ się głos Tennysona:

- Czy wasz król - słysząc było wyraźnie, z jaką pogardą wymawia to słowo - uczynił cokolwiek, by ulżyć cierpieniom swojego ludu? Pytam was: uczynił coś czy nie?

Pytanie, zadane niezwykle stanowczym tonem, wprost domagało się odpowiedzi. Toteż gdzieś w tyle rozległo się kilka niepewnych głosów.

- Nie uczynił!

Zgromadzonym tylko tyle było trzeba. Jakby na dany sygnał rozległy się kolejne, śmielsze już głosy, coraz głośniejszy krytykując króla Ferrisa. Dochodziły ze wszystkich stron.

- Nie! Nie! Król nic nie czyni, a naród cierpi!

- Siedzi sobie, bezpieczny w wielkim zamczysku! A co z nami? Co z nami się stanie?

Will pojął bez trudu, że pierwsze okrzyki rozległy się za sprawą podstawionych zwolenników Tennysona. Z pewnością jego ludzie, przebrani w liche stroje, wyzbywszy się charakterystycznych białych szat, wmieszali się w tłum. Jednak ich słowa podjęli już jak najprawdziwsi mieszkańcy Dun Kilty oraz okolic.

Tennyson uniósł ręce. Uciszał tłum. Gdy zgiełk zamierał z wolna, przemówił znów:

- Któż powstrzymał napaść na Mountshannon? Czy może król?

Na rynku znów rozległo się chóralne: „Nie powstrzymał!”. Wrzask milkł, a Tennyson już zadawał kolejne pytanie:

- Któż zatem to uczynił? Któż ocalił mieszkańców Mountshannon?

Przybyli tłumnie mieszkańcy miasteczka Mountshannon wykrzykali odpowiedź, dobrze wyćwiczoną podczas podobnych wieców, które odbyły się po drodze do Dun Kilty:

- Alsejasz! - zawołali. - Alsejasz. I Tennyson!

Mieszkańcy Dun Kilty podjęli hasło, aż wszystkie głosy zlały się w jeden przeciągły wrzask:

- Alsejasz-i-Tennyson-yson... Alsejasz-sejasz-Tennyson-yson... Alsejasz...

Willowi zdało się, że huk wyrywający się z setek gardeł hipnotyzuje zebranych,

zwielokrotniony echem. Jak w transie przyłączali się do niego następni i następni, w miarę, jak wzmagala się zbiorowa histeria. Aż ogarnęła ogół wiecowników.

Poczuł, że robi się naprawdę niebezpiecznie. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z tłumem ogarniętym amokiem. Ci ludzie tłoczyli się wokół niego ze wszystkich stron, toteż w pełni odczuwał bezrozumną, mroczną siłę motłochu.

Ręce Tennysona znów się uniosły. Posłuszna prorokowi tłuszcza stopniowo milkła.

- Któż oparł się złu u bram Craikennis? - pytał nadal przywódca. Jednak tym razem, nim podstawieni zwolennicy Odszczepieńców zdążyli odpowiedzieć, Will postanowił się wtrącić:

- Rycerz Wschodu! - wrzasnął na cały głos.

Rynek pograżył się w gwałtownie zapadłej ciszy. Słuchacze, ci, którzy znaleźli się w pobliżu młodego zwiadowcy, odwrócili się ku Willowi. Tennyson, kompletnie zaskoczony, milczał przez kilka chwil. Will postanowił kuć żelazo, póki gorące:

- Byłem tam! Powalił wrogów płomienistym mieczem! Przegonił ich na cztery wiatry! Sam jeden pokonał całe setki zbrojnych - potężny Rycerz Wschodu!

Usłyszał, jak z różnych punktów placu rozlega się okrzyk: „Rycerz Wschodu!”. Najwyraźniej do Dun Kilty doszły jednak wieści o wydarzeniach w Craikennis. Teraz więc nagle powstało zamieszanie. Bowiem w gruncie rzeczy nikt nie wiedział, kto naprawdę ocalił miasto i jak się to odbyło.

Jednak Tennyson wkrótce odzyskał panowanie nad sytuacją:

- Nie istnieje żaden Rycerz Wschodu! Rycerz Wschodu to tylko mit! - wołał, wskazując Willa palcem.

- Widziałem go! Na własne oczy widziałem - upierał się Will, ale Tennyson posiadał nad nim podwójną przewagę: wysokiego podium oraz wyćwiczonego głosu.

- Kłamstwa! - zagrzmiął. - Dokonał tego Złoty Bóg Alsejasz!

Ubrani na białą kapłani znów wzniesli chóralne zawodzenie:

- Alsejasz! Alsejasz! Chwalcie Alsejasza!

Tennyson wciąż wskazywał palcem Willa. Młody zwiadowca dopiero teraz zrozumiał, że prorok pokazuje go swoim poplecznikom ukrywającym się w tłumie. Jeszcze chwila, a oberwie nożem pod żebro.

- On kłamie! - podjął Tennyson. - A Alsejasz potrafi osiągnąć tych, którzy wystawiają fałszywe świadectwo!

Will jednym zerknięciem ocenił sytuację. Dostrzegł pośród tłumu błysk purpury, nieco na prawo. Spoglądał kątem oka na szybko przeciskającą się pośród zgromadzonych postać.

Mężczyzna nie włożył kapelusza, ale zwiadowca i tak rozpoznał jednego z Genoweńczyków. Zauważył błysk sztyletu, który tamten chował przy nodze.

- Rycerz Wschodu! - wydarł się znowu. - On nas ocali! Chwała Rycerzowi Wschodu!

Kilku wokół podjęło okrzyk. W następnej chwili poniósł się dalej. Will spojrział na Tennysona. Dostrzegł, że prorok skinął głową, wyraźnie w stronę kogoś w tłumie. Kogoś, kto znajdował się blisko młodego zwiadowcy. Spojrział w prawo. Genoweńczyk był tuż, tuż. Will widział zaskoczenie w gniewnych oczach cudzoziemca, gdy tamten zdał sobie sprawę, że ofiara go dostrzegła. Ułamek sekundy później prawy łokieć Willa trafił z całą siłą w sam środek twarzy napastnika, miażdżąc nos i odrzucając zabójcę w tył, na otaczających ludzi. Trysnęła struga krwi, sztylet potoczył się z brzękiem na bruk. Na widok broni, stojący najbliżej cofnęli się w popłochu, odpychając innych i wykrzykując ostrzeżenia.

Will uznał, że co za dużo, to niezdrowo. Przykucnął, żeby zniknąć Tennysonowi z oczu, po czym przemknął pośród zgromadzonych, jakby przeciskał się przez gąszcz zarośli. Wyłonił się w całkiem innym miejscu, oddalonym o dobre kilkanaście metrów. Wyprostował się, znów wrzasnął na całe gardło:

- Niech żyje Rycerz Wschodu!

Znów dał nura w tłum. Zniknął, zanim Tennyson zdążył wskazać śmiałka komukolwiek.

Prorok dostrzegł jakiś gwałtowny ruch, a potem powalonego zabójcę. Zaraz jednak stracił z oczu krzykacza, który mieszał mu szyki. Wkrótce jednak usłyszał jego głos z innej strony, więc bezzwłocznie przeszedł do kontrataku.

- Rycerz Wschodu, powiadasz? - rzucił kpiąco. - A gdzież on? Niech się pokaże, skoro taki potężny. Chcemy go zobaczyć. Ale nie zobaczymy. Bo Rycerz Wschodu nie istnieje!

Poplecznicy natychmiast podjęli okrzyk, domagając się, by Rycerz Wschodu dowiódł swego istnienia, objawiając się - tu i teraz.

Nagle odpowiedział im jakiś głos, głęboki, dźwięczny. Pod drewnianą platformą zapanowało poruszenie.

- Chcesz zobaczyć Rycerza Wschodu, oszuście? A więc przyjrzyj mu się, bo oto on! Ja zaś przybywam razem z nim!

Co najmniej setka zdumionych głosów wykrzyknęła naraz:

- Król, we własnej osobie!

Przysadzista postać w zielonym, lśniącym płaszczu przepchnęła się na sam środek sceny. U boku władcy kroczył potężnie zbudowany wojownik, okryty tuniką, przystrojoną znakiem wschodzącego słońca. Wraz z nimi nadciągał także ktoś szczuplejszy, rycerz o

ciemnych włosach, którego wielu rozpoznało jako namiestnika monarchy, Seana Carricka.

Na zgromadzonych w rynku spadł grom z jasnego nieba; osłupienie do tego stopnia ogarnęło wiecowników, że zamilkli nawet najwięksi krzykacze. W rzeczy samej, to nawiedził ich Ferris, bo któż by inny. Wszak towarzyszyło mu sześciu strażników z gwardii zamkowej, którzy bez zwłoki utworzyli wokół monarchy krąg.

Will zmrużył oczy. Dostrzegł zaczesane do tyłu czarne włosy, ogoloną twarz, królewskie szaty. Jednak jakimś sposobem od razu wiedział, że to nie Ferris, tylko Halt. W samą porę - pomyślał. A potem, kiedy okryta monarszym płaszczem postać objawiła całą moc swej osobowości, uczeń Halta nie wątpił już ani trochę, kto owe szaty przywdział.

- Któż was obroni? - zawołał. - Ja! Ja was obronię, a nie ten jarmarczny kuglarz, ten kaznodzieja od siedmiu boleści! On prawi wam androny o jakimś bałwanie. A któż widział jego bożka? Ja zaś przyprowadziłem wam żywe ucieleśnienie prastarej legendy! Oto Rycerz Wschodu!

Uroczystym gestem wskazał Horace'a, który z głośnym świstem stali dobył miecza i uniósł go wysoko nad głową. Przy okazji odsłonił jeszcze bardziej znak wschodzącego słońca widniejący na jego na piersi.

- Rycerz Wschodu! - rozległy się okrzyki wzdłuż i wszerz placu.

Horace schował miecz do pochwy. Cofnął się, by Halt znów znalazł się w centrum uwagi.

- Ów człowiek - podjął Halt, wskazując Tennysona, którego twarz wykrzywiła się szpetnie z gniewu - to kłamca i złodziej. Zwodzi was słodkimi słówkami, żeby was potem obrabować. A czyni to w imię fałszywego boga!

- Nie ma niczego fałszywego w Alsejaszu...! - zaczął Tennyson.

- A więc pokaż go nam! - wykrzyknął Halt, przerywając kapłanowi.

Władca nie cieszył się zbyt wielką popularnością wśród ludu, lecz przecież to jednak król. A kiedy rolę koronowanej głowy odgrywał Halt, nagle monarcha zyskał na potęgze i autorytecie.

- Przywiedź go tutaj, tak jak ja przyprowadziłem legendarnego rycerza, który nas obroni! Chcieliście widzieć Rycerza Wschodu? Oto więc on! A teraz żądam, byś pokazał swojego fałszywego boga, o którym tyle pleciesz. Pokaż go - jeśli potrafisz!

W widoczny sposób już zdążył zjednać sobie posłuch tłumu, już rozlegały się okrzyki aprobaty. Zdając sobie sprawę z pomyślnego rozwoju sytuacji, Halt przemawiał dalej. Korzystał z uzyskanego impetu:

- Ilu z was słyszało o złotym bożku, nim pojawił się ten szalbierz? - zadał głośno

pytanie. Nie słysząc odpowiedzi, ponowił pełnym głosem: - No, kto się ośmieli? Ilu z was o nim słyszało?

Milczenie. Tylko szuranie stóp.

Przemówił znowu:

- A ilu z was słyszało o Rycerzu Wschodu?

Tym razem najpierw rozległo się ledwie kilka nieśmiałych bąknięć, lecz po chwili głosy wsparcia rozbrzmiewały już ze wszystkich stron. Alsejasz był nowością, natomiast przepowiednię o Rycerzu Wschodzącego Słońca znali tu wszyscy.

Tennyson, zaciskając gniewnie usta, uniósł ręce, domagając się ciszy.

- Dowód! - zawołał. - Zobaczmy dowód! Każdy potrafi przyoblec szatkę ze ślicznym obrazkiem, a potem bredzić, że jest rycerzem z legend! Żądamy dowodu!

Początkowo tylko kilku wiecowników przyznało Tennysonowi rację. Lecz wąpiących z każdą kolejną chwilą przybywało i przybywało. Motłoch to zdrażliwa bestia - pomyślał Will. Niestala, pozbawiona rozumu, zwraca się tam, skąd zawieje wiatr.

- Dowód, dowód! Żądamy dowodu! - wrzeszczeli.

Halt dał znak, by się uciszeli.

- Jakiego dowodu wam trzeba? - zakrzyknął. - Rycerz Wschodu ocalił Craikennis! Pokonał dwustu pięćdziesięciu ludzi, uderzając płomienistym mieczem!

- A kto to widział? - spytał natychmiast Tennyson. - Nikt z tu obecnych! Jeśli to rzeczywiście nadzwyczaj potężny wojownik, jak twierdzisz, niech udowodni swą potęgę. Znam tylko jeden pewny sposób! Niech udowodni, co potrafi w szrankach!

Tłum ogarnął prawdziwy szal. Nie wiedzieli, któremu uwierzyć, ale wszyscy zapragnęli ujrzeć pojedynek na śmierć i życie.

- Próba rycerska! Sąd opatrności! - wołali chórem, domagając się owego sądu coraz głośniej i głośniej, aż Halt uniósł ręce. Okrzyki umilkły. Królewski bliźniak zwrócił się do Tennysona:

- Kogo wyznaczysz na swego orędownika? - spytał.

Tennyson uśmiechnął się błogo.

- Nie mojego orędownika, lecz orędownika Złotego Alsejasza. On zaś nie jednego ma obrońcę, a dwóch naraz ujmie się za jego boska czią. Niech twój wojownik zmierzy się z wiernymi wyznawcami, Gerardem oraz Killeenem!

Dramatycznym gestem wskazał za siebie, do tyłu, gdzie stało dwóch gigantów. Prorok uczynił znak, więc bliźniacy podeszli bliżej. Na widok ich potężnych cielsk motłoch wydał zbiorowy ryk zachwyty.

Halt odczekał, aż zgiełk ścichnie.

- Ma walczyć z dwoma naraz? - zdziwił się.

Uśmiech nie schodził z twarzy Tennysona, gdy prorok zwrócił się do tłumu:

- Cóż to jest, dwóch ludzików? Cóż to jest dla najpotężniejszego rycerza, który ponoć pokonał samotnie dwustu pięćdziesięciu?! - zawołał.

Halt zawahał się. Wyzwanie nie zaskoczyło go. Nie sądził jednak, by Horace, pomimo całej swej biegłości w sztuce walki, uporał się z dwoma gigantami naraz.

Rozmyślał gorączkowo nad jakimś zręcznym wyjściem z tej sytuacji, kiedy nagle Horace znów wysunął się na pierwszy plan. Podszedł blisko do Tennysona, tak blisko, że samozwańczy prorok odruchowo się cofnął. Co prawda tylko o pół kroku, ale i to wystarczyło, by stało się jasne, po czyjej stronie jest przewaga.

- I ty śmiesz bredzić o sędzie opatrności, tchórzliwa kreaturo? - Horace na pozór nie podnosił głosu, jednak każde słowo rycerza docierało w najdalsze zakątki rynku. - Sąd w szrankach to uczciwa walka, jeden na jednego!

Will postanowił znów się odezwać, by zapewnić Horace'owi wsparcie tłumu. Zdawał sobie sprawę, że w tej chwili gotowi są przyznać rację każdemu, kto przemówi odpowiednio stanowczym głosem.

- Racja, racja! - zakrzyknął z całych sił. - Jeden na jednego!

Ku jego nieopisanej uldze tłum ryknął zgodnie w odpowiedzi:

- Jeden na jednego! Jeden na jednego!

Tak jak Will się spodziewał, nie dbali o to, co zgodne z rycerskim obyczajem. Nie dbali ani o prawdę, ani o słuszność. Chcieli tylko widowiska. Stanowczość tonu zwiadowcy zdołała ich przekonać, że igrzyska staną się bardziej emocjonujące, jeśli w szrankach stanie tylko dwóch wojowników.

Pośrodku rynku znów zagrział głos Horace'a. Nie spuszczał z oczu Tennysona.

- Stawię czoło obu twoim górom mięsa! - zawołał. - Ale po kolei. Najpierw jednemu z nich, potem drugiemu. Pokonam ich, potem zaś pokonam ciebie, jeśli odważysz się dotrzymać mi pola!

Pchnął mocno Tennysona w pierś, tak że odziany w białą szatę osobnik zachwiał się i cofnął. Dwaj olbrzymi postąpili do przodu, by stanąć w obronie wodza. Nie zdążyli jednak uczynić nawet kroku, bowiem Horace odwrócił się ku nim niczym błyskawica. Miecz jakby sam wskoczył do jego dłoni. W jednej sekundzie lśniące ostrze dotknęło gardła tego z bliźniaków, który znalazł się bliżej. Obaj zastygli.

Tłum aż jęknął z zachwyty, widząc, w jakim tempie się wszystko rozegrało.

Większość z zebranych nawet nie dostrzegła, co zaszło, stwierdzili tylko ostateczny rezultat. Oto Rycerz Wschodu najpierw stanął z Tennysonem twarzą w twarz. W następnej groził już mieczem dwóm monstrualnym osiłkom. Will w mgnieniu oka zorientował się, że ma w zanadru jeszcze jeden argument, by zyskać poklask tłumu.

- Dwie walki! - zawołał. - Dwie walki zamiast jednej!

Motłoch, choć bezwolny i bezmyślny, pojął od razu. Zamiast jednej jatki, otrzyma dwie! Na pijaną, rozochoconą gawieź czekała podwójna rozrywka.

Tennyson, czerwony ze złości, spoglądał gniewnie. Chciał protestować, lecz krzyk wciąż narastał:

- Dwie walki! Dwie zamiast jednej! Dwie walki! Dwie walki! Dwie walki!

Wrzask przerodził się w rytmiczne, nieustępliwe skandowanie, z którym nikt nie ośmieliłby się spierać. Zwłaszcza Tennyson. Prorok doskonale rozumiał nikczemną duszę motłochu, a słysząc wspólny wrzask, zdał sobie sprawę, że żadna ludzka moc nie potrafi nakłonić zebranych do zmiany zdania.

Uniósł ręce, skandowanie ucichło. Tłum spoglądał nań wyczekująco.

- Skoro chcecie, niech i tak będzie! - zgodził się. - Dwie walki!

Odpowiedź siwowłosego kapłana zebrani powitali rykiem zachwytu, po czym znów podjęli rytmiczny okrzyk. Halt spojrział pytająco na Horace'a. Horace skinął niedbale głową.

- Przecież sam to proponowałem... wasza wysokość - uśmiechnął się lekko, wtrącając od niechcienia dwa ostatnie słowa.

ROZDZIAŁ 38

Rozwrzeszczany tłum nadal radował się, gdy Tennyson podchodził do Halta. Horace natychmiast znalazł się u boku fałszywego króla, niemal też od razu po drugiej jego stronie wyrósł Sean. Jednak Halt, całkiem spokojny, skinął tylko dłonią, by obydwu powstrzymać.

- Życzysz sobie czegoś, klecho? - spytał.

Tennysona coś tknęło. Tylko przez ułamek sekundy, ale nagle wydało mu się, że gdzieś już króla widział. Było to jednak tylko nieokreślone wrażenie. W tej chwili miał akurat ważniejsze sprawy na głowie. Odrzucił więc uwierającą myśl, skupił całą złość na postaci w gronostajach.

- Nie tak się umawialiśmy, Ferris - rzucił półgłosem.

- Ferris, powiadasz? - odezwał się Halt, unosząc jedną brew. - Tak zwracasz się do króla, klecho? Chciałeś zapewne rzec „wasza wysokość”! - Z niejakim zadowoleniem zwiadowca stwierdził w duchu, że czegoś się nauczył nawet podczas wyjątkowo niemiłego spotkania z bratem.

- Gdy się z tobą rozprawię, nie będziesz żadną wysokością, ani królewską, ani żadną inną. Umów ze mną zawartych nie zrywa się bezkarnie. Zmiażdżę twój Rycerz Wschodu, potem zaś każę cię zwlec z tronu, a ty będziesz piszczał i skamlał ze strachu!

W rzeczywistości Tennyson czuł się zdezorientowany, choć zarazem ogarniała go wściekłość. Wiadomości zbierane od miesięcy przez szpiegów sugerowały jednoznacznie, że w Dun Kilty rządy sprawuje osobnik chwiejny, o słabym charakterze. Tymczasem ten król o twardym spojrzeniu zaskoczył go zupełnie. Na pogrożki Tennysona uśmiechnął się tylko wzgardliwie.

- Mężnyś w gębie, mój Tennysonie, zwłaszcza, że nie ty weźmiesz udział w walce. I w ściąganiu innych z tronu także raczej nie. A teraz posłuchaj: z szumowinami twój pokroju król nie zawiera żadnych umów. Rzeczą władcy jest rozkazywać, rzeczą twoją słuchać. I nie wygrażaj monarsze, bo nic ci z tego nie przyjdzie. Rozpędzę twoją sektę na cztery wiatry. A potem przegnam cię z kraju, lecz wpierw osmagam porządnym batogiem twoje tłuste cielsko.

Może nawet uczynię ci zaszczyt i dokonam chłosty własną ręką!

Odkąd Tennyson rozpoczął podstępny podbój Hibernii, czyli od z górą dwóch lat, nikt nie ośmielił się mu wygrażać. Nikt nie śmiał przemawiać do niego z tak wyniosłą pogardą. Gdy spoglądał w ciemne oczy urągającego mu władcy, przeszedł go lęk. W monarszym spojrzeniu nie dostrzegł oznak słabości. Przeciwnie, wydało mu się raczej, że król dołoży wszelkich starań, by spełnić złowieszczą obietnicę. Tennysona ogarnęła niepewność, przez krótką chwilę rozważał nawet możliwość wycofania się z Clonmelu - póki jeszcze może to zrobić. Miał wszak już ugruntowaną pozycję aż w pięciu królestwach. Przeczuiwał jednak, że odwrót nie na wiele by się zdał, gdyż ten człowiek nie spocznie, dopóki go nie unicestwi. Nie, sprawy zaszły zbyt daleko. Turniej przyniesie ostateczne rozstrzygnięcie. Przywódca Odszczepieńców nie wątpił, że nawet muskularny młody rycerz stojący o krok za królem nie zdoła pokonać obu jego rosłych siepaczy, Killeena i Gerarda. Co prawda, musiał przyznać, że młodzieniaszkowaty wojownik nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju.

Spojrzał na rycerza, a ten, wyłowiwszy zerknięcie, natychmiast obdarzył go uśmiechem. Tennyson znów doznał dziwnego uczucia, jakby kiedyś już tego młodzika widział. Jednak, gdy poprzednio się spotkali, nie poświęcił Horace'owi zbyt wiele uwagi, właściwie ledwie prześlizgnął się wówczas po chłystku oczami. Cóż mógł go obchodzić zdżony, okryty kurzem zbrojny pacholek. Rycerz w lśniącej kolczudze, w tunice ozdobionej herbem Wschodzącego Słońca prezentował się zgoła odmiennie.

- Turniej odbędzie się za trzy dni - oznajmił Halt tak głośno, by usłyszeli go wszyscy zgromadzeni. Nie musiał pytać, czy termin odpowiada Horace'owi. Bez wątpienia młody rycerz okazałby gotowość stanięcia w szranki choćby od razu.

Tennyson oderwał wzrok od Horace'a i spojrzał znów na Halta.

- Zgoda - rzekł.

Rozradowany tłum znów podniósł krzyk. Nie dość, że w dniu publicznego sądu dzięki pojedynkowi otrzymają dzień wolny od pracy, to jeszcze okraszony zostanie ów dzień specjalną przyjemnością. Czekają ich rozkosz bezkarnego przyglądania się co najmniej jednemu spektakularnemu zabójstwu.

Halt zerknął na Seana; młody namiestnik dał znak eskorcie. Zeszli z drewnianego podium i ruszyli z powrotem w stronę zamku, krocząc przez wznoszący entuzjastyczne okrzyki, podochocony tłum. Spontaniczna, bezładna reakcja stopniowo przeradzała się w grzmiące na całe miasto skandowanie:

- Niech żyje Ferris! Nie żyje król! Niech żyje Ferris! Niech żyje król!

Horace rzucił Seanowi kose spojrzenie.

- Widzisz, tak właśnie najłatwiej zyskać przychylność ciżby. Wystarczy nieco krwi, byle cudzej - a nie ich. Od razu wszystko układa się wyśmienicie. A to wszystko dlatego, że niedługo ktoś padnie trupem.

- Nie osądzaj pospólstwa zbyt surowo, to przecież prości ludzie - odparł Sean. - Jedno jest pewne, teraz Ferris już nie zdoła się wycofać. Gdyby tylko spróbował, motłoch rozszarpie go na strzępy.

* * *

Powrócili na zamek i do sali tronowej. Wartownicy zajęli pozycję u wrót. Sean rozkazał któremuś przynieść gorącej wody, mydło oraz ręczniki. Następnie wraz z Haltem i Horace'em weszli do środka.

Halt szybkim krokiem skierował się do garderoby. Gestem nakazał Seanowi, a także Horace'owi, by pozostali w tyle. Odsunął ciężką zasłonę i wszedł do małej komnaty. Dopiero wtedy usłyszał słabe, stłumione stukanie dochodzące z wnętrza wielkiej szafy, w której ukryto Ferrisa. Otworzył drzwi, wyciągnął skrepowanego, zakneblowanego brata za kołnierz. Położył go na podłodze. Ferris, czerwony na twarzy, wytrzeszczał oczy, usiłując krzyknąć, lecz knebel okazał się naprawdę skuteczny: na zewnątrz wydobywały się tylko stłumione, niezrozumiałe postękiwania. Halt, który przez cały czas nie rozstawał się z saksą ukrytą pod królewskim płaszczem, wydobyl teraz broń. Podsunął lśniący brzeszczot pod nos Ferrisowi.

- Istnieją dwie możliwości, braciszku. Albo rozetnę więzy, albo poderżnę ci gardło. Wybór należy do ciebie.

Tłumione pojękiwania Ferrisa stały się jeszcze gwałtowniejsze, gdy związany król szarpnął kilka razy sznurami krepującymi jego ręce oraz kostki. Jednak zamarł w bezruchu, kiedy Halt podsunął mu brzeszczot bliżej twarzy.

- No, teraz lepiej - pochwalił brata Halt. - Gęba na kłódkę, bo inaczej już po tobie. Zrozumiano?

Nieposiadający się z przerażenia Ferris przytaknął, kiwając energicznie głową.

- To dobrze - stwierdził Halt. - Teraz przetnę sznury, a ty będziesz siedział cicho. Jeśli spróbujesz krzyknąć, zginiesz. Zrozumiano?

Halt przyjrzał się badawczo, by upewnić się, że król pojmuje, w jakiej sytuacji się znalazł. Jednak Ferris doskonale zdawał sobie sprawę, o co toczy się gra, i okazywał skwapliwą skłonność do spełnienia kolejnych żądań swojego brata bliźniaka. Wszak on sam, gdyby sytuacja się odwróciła, nie zawahałby się ani chwili przed uśmierceniem Halta.

Zwiadowca ostrożnie rozciął więzy. Odczekał, aż Ferris rozetrze nadgarstki, przywracając krążenie w zdrętwiałych dłoniach. Król spoglądał na brata; aż gotowało się w nim ze złości.

- Jak długo zdołasz ciągnąć tę maskaradę? Halt, nie ujdzie ci to na sucho! - syknął.

Halt zauważył jednak, że pomimo iż kipiał od nienawiści, Ferris pilnował się, by nie podnosić głosu. Obdarzył go więc ponurym uśmiechem:

- Już mi uszło na sucho. Podjąłeś zobowiązanie, choć za moim pośrednictwem. Teraz żadnym sposobem nie zdołasz się wycofać.

- Zobowiązanie? Jak to? Jakie zobowiązanie?

- Zobowiązałeś się urządzić turniej, podczas którego Rycerz Wschodu zmierzy się z dwoma osiłkami Tennysona. Obwieściłem decyzję w twoim imieniu całemu miastu. Nawiasem mówiąc, przysporzyłem ci w rezultacie sporej popularności.

- Nie zgodzę się na to! - oznajmił Ferris, nieco głośniejszym głosem, lecz widząc lekkie zmarszczenie brwi Halta, dokończył już ciszej: - Odwołam turniej!

- Zrób tak, a motłoch rozerwie cię na strzępy - ostrzegł go Halt. - Lud ostrzy sobie zęby na ekscytujące widowisko. Trzeba było słyszeć, jak krzyczeli: „Niech żyje król!”. Wzruszająca scenka. Założę się, że nigdy czegoś takiego nie doświadczyłeś.

- Skontaktuję się z Tennysonem! Powiem mu... - zawiesił głos; Halt potrząsnął głową.

- Wątpię, żeby chciał z tobą gadać. Publicznie rzuciłeś mu wyzwanie. Ośmieszyłeś go. Nazwałeś proroka - o ile mnie pamięć nie myli - szalbierzem, a także złodziejem. Najgorsze zaś, że wycofałeś się z zawartej umowy. On ci tego nigdy nie wybaczy. Nie, wasza wysokość, chcesz albo nie chcesz, ale teraz musisz przeciwstawić się Tennysonowi, bowiem jeśli poniechasz oporu, Tennyson z pewnością cię ukatrupi.

Dopiero teraz Ferris zrozumiał, że Halt schwytał go w prawdziwą pułapkę. Nie miał już wyjścia, musiał tańczyć, jak brat zagra, i mógł tylko żywić nadzieję, że towarzyszący bliźniakowi młody rycerz zwycięży, pokonując w turnieju nie jednego, lecz aż dwóch przeciwników. Halt tymczasem uznał, że nastąpiła chwila stosowna na krótkie podsumowanie.

- Znalazłeś się w potrzasku. Odwołaj turniej, a tłum pozbawi cię tronu. Jeśli nawet nie uczynią tego twoi poddani, Tennyson cię zabije. A jeśli on tego nie uczyni, ja cię wypatroszę. Osobiście. Rozumiesz?

Ferris spuścił wzrok. Po chwili mruknął:

- Pojmuję.

- Doskonale - syknął zimno Halt. - Zwróć uwagę, że powstała sytuacja ma także dobre

strony. Jeśli nam się uda, nie utracisz tronu, natomiast zyskasz poważanie wśród poddanych - przynajmniej dopóty, dopóki nie zaczniesz znowu zachowywać się po swojemu.

Ferris jednak milczał.

- Przynieśli już tę wodę? - zawołał Halt w stronę zasłoniętego kotarą wejścia.

Sean z Horace'em weszli do garderoby, niosąc miskę, ręczniki oraz mydło. Ujrzeni króla całkowicie zgnębionego. Halt wyjaśnił, jak przebiegła rozmowa.

- Obawiam się, że dla braciszka lepiej, jeśli przez następnych kilka dni nie będzie się pokazywał - stwierdził. - Mam wrażenie, że przytrafił mu się ostry atak febry. Seanie, umiesz to załatwić? Tak będzie zdecydowanie lepiej dla Ferrisa i lepiej, by nie widywano nas zbyt często razem. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, co Horace uczynił z moją nieszczęsną brodą.

Sean przytaknął:

- Dysponuję ludźmi, którym mogę zaufać - zapewnił. - Niejeden rycerz królestwa oczekiwał z utęsknieniem, że król wreszcie podejmie jakieś działania. Oni nam pomogą.

- Wyśmienicie. Wystarczy, żeby Ferris siedział cicho do dnia turnieju. O ile rozumiem, potrafisz to załatwić. Poradzisz sobie ze zorganizowaniem uroczystości?

- Trzeba zbudować trybuny dla widzów, lożę królewską... - zastanawiał się Sean. - A także namioty dla walczących. Tak, zajmę się przygotowaniem.

- Wyśmienicie. W takim razie my z Horace'em ulotnimy się na jakiś czas. Jak możemy się z tobą porozumieć, gdyby zaszła potrzeba?

Sean zastanowił się krótką chwilę.

- W garnizonie służy sierżant Patrick Murrell. Mój dawny ordynans. W razie czego przekaże wiadomość.

- Czyli sprawa załatwiona - stwierdził Halt, po czym zwrócił się do swojego brata, wciąż zgarbionego na niskim stołku: - Ferrisie, spójrz na mnie. Posłuchaj, chcę, żebyś coś zrozumiał.

Ferris, choć z wielką niechęcią, spojrzał bratu w oczy. A potem już nie potrafił odwrócić wzroku, niczym ptak zahipnotyzowany przez zbliżającego się węża.

- Otrzymujesz jedyną szansę, by utrzymać się na tronie. Informowałem już, że ja osobiście żadnych pretensji do korony nie mam; powtarzam to i podtrzymuję. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, nic ci nie grozi. Jeżeli jednak wolisz rzucać nam kłody pod nogi, jeśli nas zdradzisz, jeśli zechcesz porozumieć się z Tennysonem i dokonać z nim jakichś uzgodnień poza naszymi plecami - dopadnę cię. Dopadnę cię, kiedy najmniej się tego będziesz spodziewał. Wtedy zaś w ostatniej przedśmiertnej chwili zorientujesz się, że moja strzała utkwiała w twoim sercu. Czy to jasne?

- Tak - wychrypiał Ferris.

Halt odetchnął głęboko i już po sekundzie wyrzucił króla ze swych myśli. Zwrócił się do Horace'a:

- No, dobrze. A teraz zmyj całe to świństwo z moich włosów.

* * *

Po jakimś czasie wartownicy pełniący straż przed salą tronową ujrzeli, że dwaj goście odchodzą. Włosom Halta przywrócono ich zwykłą szpakowatość, natomiast mieszanina kurzu i sadzy przydała się raz jeszcze - do odtworzenia zarysu oryginalnego zarostu Halta. Oczywiście, z bliska nikt by się nie dał wprowadzić w błąd, jednak z dystansu kilku kroków, dodatkowo w cieniu kaptura, malowana sadzą broda prezentowała się nie najgorzej. Teraz należy tylko odczekać kilka dni, aż odrośnie. Tymczasem ciemna maź służyła dość skutecznie, przekreślając zbytnie podobieństwo Halta do brata bliźniaka.

Obaj Aralueńczycy zjechali znów na dół, do miasta. Skierowali kroki w stronę gospody, w której opłacili już kolejny nocleg.

- Spędzimy tu noc. Will wreszcie się porządnie wyśpi - oznajmił Halt. - Potem najlepiej zrobimy, jeśli wyniesiemy się z miasta i staniemy się niewidzialni.

- Nie mam nic przeciwko takowemu planowi - stwierdził Horace.

Halt spoglądał uważnie na młodego towarzysza.

- Horace, wpakowałem cię w paskudną kabałę. Założyłem z góry, że się zgodzisz na turniej, wcale nie pytając cię o zdanie. Jeżeli chcesz się wycofać, powiedz tylko, a zostawię Ferrisa na łasce losu.

Nim zwiadowca skończył mówić, Horace zmarszczył czoło.

- Ale niby dlaczego miałbym się wycofać?

Halt machnął niezręcznie ręką.

- No, już tłumaczyłem. Dlatego, że nie spytałem cię, czy się zgadzasz. Bądź co bądź, to nie twoja wojna, tylko moja. A ci dwaj wyspiarze, mogą okazać się twardym orzechem do zgryzienia.

Horace tylko uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby.

- Na szczęście, szczęki mam mocne! Halt, przecież od początku wiedzieliśmy, że pojedyńku nie da się wykluczyć. Właśnie po to ożywiłmy legendę o Rycerzu Wschodu.

Halt w milczeniu skinął głową. Owszem, nigdy nie rozmawiali o konsekwencjach, lecz taka konkluzja wynikała z wcześniejszych decyzji. Młody rycerz, chwilę pomilczawszy,

odezwał się znowu:

- Poradzę sobie z fagasami Tennysona. W końcu do takich zadań mnie szkolono. Są wielgachni, lecz wątpię, by dysponowali zbyt wielkimi umiejętnościami. A co do tego, czyja to wojna, twoja, czy moja... No cóż, jesteś moim przyjacielem. Zatem twoja wojna jest także moją wojną.

Halt zerknął na szczere oblicze młodzika. Z wolna pokręcił głową.

- Czymże zasłużyłem na taką lojalność? - spytał.

Horace udał głęboki namysł, po czym odpowiedział:

- No, właściwie niczym. Ale po prostu, obiecałem lady Pauline, że będziemy się tobą opiekowali.

Gdy rycerz umilkł, Halt wyraził się dość dosadnie, używając pewnej liczby słów, które Horace znał bardzo dobrze - lecz także kilku innych, które wtedy usłyszał po raz pierwszy.

ROZDZIAŁ 39

Rynek przekształcono w prawdziwą arenę. Po bokach ustawiono drewniane ławy dla widzów. Po zachodniej stronie placu, jako lepiej osłoniętej przed promieniami popołudniowego słońca, zbudowano łożę dla króla i jego świty. Ocieniono ją płócienną płachtą. Znalazły się tam też wygodne, wyłożone poduszkami krzesła dla kilku osób. Oczywiście, w samym środku czekało zaopatrzone w wysokie oparcie, wybite skórą siedzisko królewskie.

Długą trawę porastającą rynek hibernijskiej stolicy skoszono, zatrudniwszy specjalnie w tym celu kilkunastu robotników. Po obu stronach placu rozbito namioty, jeden dla Horace'a, drugi dla Gerarda i Killeena. Wokół pozostawiono nieco wolnej przestrzeni, aby lokatorom namiotów zapewnić choćby namiastkę prywatności, gdy będą przygotowywać się do śmiertelnego starcia. Resztę przestrzeni zajęli przekupnie handlujący chlebem, zimnym mięsivem, piwem oraz winem. Co prawda, do pierwszej walki pozostała jeszcze ponad godzina, lecz już teraz interes kwitł w najlepsze.

Niemal wszystkie miejsca na ławach zostały już zajęte. Zwolennicy Tennysona najwyraźniej porozumieli się, bowiem zgodnie skupili się po wschodniej stronie placu. Pośrodku świeciły pustką wolne miejsca przygotowane dla proroka i jego najbliższych akolitów - akurat naprzeciwko łoży królewskiej. Odszczepieńcy zadbali, by znalazł się tam fotel oraz płócienny baldachim dla ich przywódcy, a na ławach rozłożono poduszki. Kiedy jeszcze trwały przygotowania do turnieju, zwolennicy Tennysona zwrócili się do Seana z żądaniem, by i dla niego wybudowano łożę, taką samą jak dla władcy. Młody Hibernijczyk z miejsca odmówił. Ferris jest królem - wyjaśnił - a Tennyson tylko wędrownym kaznodzieją. Nic mu się nie stanie, jeśli zasiądzie na ławie obok swych wiernych.

Wkrótce stało się jasne, że miejsc siedzących nie wystarczy dla wszystkich chętnych. Reszta tłoczyła się na otwartej przestrzeni w obu krańcach placu, gdzie szeryfowie starali się utrzymywać gapiów w przyzwoitej odległości od obu namiotów.

Mieszkańcy miasta, którzy w większości opowiadali się za Horace'em w roli Rycerza

Wschodu, zajęli trybuny naprzeciwko wyznawców Złotego Alsejasza. Bezustannie rozbrzmiewał gwar rozmów, panował nastrój wyczekiwania i ożywienia - na placu huczało jak w ulu letnim popołudniem.

* * *

Horace, Will i Halt, którzy spędzili minione dni w lesie, kilka kilometrów od granic miasta, przybyli do Dun Kilty wczesnym świtem, niezauważeni przez nikogo. Jednak nawet o tej porze kręciło się tu mnóstwo ludzi, toteż Horace, aby go nie rozpoznano, zasłonił twarz kapturem. Obaj zwiadowcy, rzecz jasna, byli obcy w tym mieście - krótko mówiąc, widok trzech zakapturzonych postaci nie wzbudził niczyjego szczególnego zainteresowania. Jeśli ktoś na nich patrzył, to szybko dochodził do wniosku, że zaliczają się do licznego grona przybyłych po to, by obejrzyć walkę.

Znaleźli gospodę, której podwoje, mimo wczesnej pory, już otwarto. Zjedli w niej śniadanie. Halt mniej dbał o posiłek, a bardziej szło mu o to, żeby podsłuchać, co mówi się w mieście. Z zasłyszanych fragmentów rozmów wywnioskował, że król Ferris nie odwołał turnieju i nie wyszukał jakiegoś pokrętnego sposobu, by wycofać się z podjętych przez siebie - albo raczej przez Halta - zobowiązań. Poddani władcy Clonmelu wyraźnie cieszyli się na czekające ich widowisko, toteż wypowiadali się o królu całkiem przychylnie. Co ciekawe, działo się tak nie tylko z racji, iż zapewnił im rozrywkę w postaci turnieju, lecz także dlatego, że najwidoczniej postanowił wreszcie wziąć sprawy w swoje ręce, czyli zająć się losami udręczonego królestwa. Halt uśmiechnął się kwaśno. Obecną popularność król zawdzięcza przecież właśnie jemu...

Will zdołał wmusić w siebie posmarowaną masłem bułkę z gorącym boczkiem, ale jadł zupełnie bez apetytu. Był zdenerwowany, niepokoił się o przyjaciela. Tymczasem Horace najwyraźniej niczym się nie przejmował. Pochłoniął wielkie ilości wybornej wędliny oraz kilka sadzonych jajek. Will jednak siedział jak na szpilkach. Młodego zwiadowcę korciło, aby zerwać się, ruszyć dokądkolwiek, by przynajmniej w ten sposób dać ujście nieznośnemu napięciu. Jednak uzbroił się w cierpliwość - ze względu na Horace'a. Gdy tak siedzieli w milczeniu, Willowi przyszło do głowy, że przecież wraz ze swym towarzyszem nieraz już czekał na moment rozpoczęcia walki. Szkolenie zwiadowcze pomagało wówczas zachować spokój czy przynajmniej pozory beztroski. Horace zauważył nawet kiedyś z uznaniem, że Will potrafi trwać godzinami bez ruchu, wyczekując nadejścia nieprzyjaciela. Dlaczego więc teraz tak trudno mu było zachować równowagę oraz pogodę ducha?

Zdał sobie sprawę, że dotąd w każdym przypadku dzielił niebezpieczeństwo z Horace'em. Na przykład wtedy, gdy czekali na armię Temudżeinów pod Hallasholmem. Albo kiedy pod przewróconym wozem spędzili długie godziny, rozmawiając szeptem, by zabić czas dzielący ich od zmroku i od szturm na Zamek Macindaw. Jednak tym razem Horace miał stawić czoło niebezpieczeństwu samotnie. Will w żaden sposób nie zdoła druhowi pomóc. To zaś dla młodego zwiadowcy stawało się wprost nie do zniesienia. Biernie przyglądać się, jak jego przyjaciel naraża życie - zresztą dwukrotnie... Istny koszmar. Nie wolno nic uczynić, aby go wesprzeć, chociaż zwiadowca potrafiłby rozprawić się z oboma przeciwnikami Horace'a w ciągu dwóch sekund. Uczucie bezsilności wprost obezwładniało.

- Czas ruszać - stwierdził Halt, wróciwszy do ich stołu po obejściu sali.

Will odetchnął głośno, z ulgą. Zerwał się na nogi, skierował w stronę wyjścia. Horace udał się za nim, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Coś ty taki nerwus? - spytał. - Przecież nie ciebie czeka pojedynek z bliźniaczymi górami mięsa.

- Właśnie dlatego. Jak sobie wyobrażę, że mam tylko siedzieć i patrzeć, a nie wolno mi nawet kiwnąć palcem...

Wkrótce znaleźli się na rynku. Teraz mogli przyjrzeć się poczynionym pod kierownictwem Seana przygotowaniom. Grupa odzianych na biało zwolenników Tennysona wznosiła właśnie baldachim, pod którym miał zasiadać ich przywódca. Kilku obdarzyło przybyłych nieprzychylnymi spojrzeniami. Horace odpowiedział radosnym uśmiechem; odwrócili się wówczas, mamrocząc coś pod nosem.

- Dobrze wiedzieć, z kim się ma do czynienia - zauważył rycerz.

Przyjrzał się obu namiotom; obok jednego zgromadziła się już inna grupa w białych szatach. Przy namiocie po północnej stronie placu nie zauważył nikogo, prócz kilku szeryfów dbających o porządek.

- Chyba tamten jest nasz - stwierdził. Od razu ruszył w stronę rzeczonoego namiotu. Will za nim, z trudem dotrzymując rycerzowi kroku. Halt także towarzyszył obu młodzieńcom. Co prawda, tylko przez chwilę, gdyż zaraz oznajmił:

- Miej oko na Horace'a. Ja poszukam Seana.

Will skinął głową. Wiedział, że Halt przygotował tekst orędzia dla Seana - czyli oświadczenia na otwarcie turnieju. Haltowi szło o to, by zwycięstwo Horace'a potraktowane zostało jako jednoznaczny oraz ostateczny dowód nieistnienia Alsejasza. Tym samym nastąpi uprawomocnienie Rycerza Wschodu w roli obrońcy Clonmelu. Walka miała bez dwóch zdań zdecydować, kto zwycięży w sporze. Raczej dwie walki - poprawił się zwiadowca. Przed

rozpoczęciem turnieju Sean obarczony zostanie jeszcze jednym zadaniem. Musi określić, co wynika z sądu opatrności. Musi zażądać od Tennysona, by kapłan zgodził się bezwzględnie na takie właśnie warunki. Gdyby wódz Odszczepieńców wahał się lub nie chciał wyrazić zgody, należy uzmysłwić to tłumowi, a zwłaszcza świeżo zwerbowanym zwolennikom proroka. Byłby to początek końca ich niezachwianej dotąd wiary.

Halt zmierzał tedy w stronę królewskiej łoży, a Will i Horace do kwatery wyznaczonej Rycerzowi Wschodu.

Namiot w środkowej części wznosił się na co najmniej trzy metry, toteż wchodząc do jego środka, nie trzeba było się schylać. Przez białe płótno sączyło się do wewnątrz światło wczesnego słonecznego poranka.

W rogu, za parawanem - gdzie Will natychmiast zajrzał - stało wiadro.

- A to po co? - zdziwił się.

Horace zaśmiał się.

- Na wypadek gdyby z nadmiaru emocji zachciało mi się sikać - wyjaśnił.

Will cofnął się pośpiesznie. Teraz, gdy Horace o tym wspomniał, zdał sobie sprawę z niejakiego ucisku w pęcherzu. Uznając, że to przejaw zdenerwowania, postanowił nie zwracać na ów ucisk uwagi. Rozejrzał się po wnętrzu namiotu.

W głównej części znajdowała się leżanka z oparciem, stół, płócienne krzesło oraz wieszak, przeznaczony na broń i zbroję. Kolczuga, hełm z kolczą osłoną na kark oraz nagolenice czekały tu na niego; zostały poprzedniego dnia dostarczone zbrojmistrzom w celu dokonania oględzin. Ponadto, na żądanie Halta, wyposażenie uzupełniono o dwa okrągłe puklerze ozdobione znakiem wschodzącego słońca. Horace sprawdził wszystko starannie, by upewnić się, czy sprzęt znajduje się w należytym stanie.

Widząc, że Will wciąż nie może sobie znaleźć miejsca, powiódł wzrokiem po wnętrzu namiotu, próbując wymyślić dla przyjaciela jakieś zajęcie. Zauważył stojący na stole dzbanek i dwa kubki. Dzbanek był pusty.

- Mam prośbę, mógłbyś nalać tutaj wody? - spytał. - Wiem, że po pierwszej walce strasznie będzie mi dokuczało pragnienie. Zawsze tak jest.

Zadowolony, że na coś się może przydać, Will pochwycił naczynie, ale zatrzymał się w wejściu.

- Jesteś pewien, że niczego więcej ci nie trzeba?

Horace uśmiechnął się.

- Jestem. Chociaż nie, gdyby ci się udało znaleźć jakiś kawałek szmaty, żeby owinąć dzbanek... W ten sposób woda nie ogrzeje się od razu.

- Jasne, postaram się. Ale na pewno...?

- Idźże już! - zawołał Horace i zamachnął się żartobliwie na przyjaciela.

Kiedy Horace został sam, usiadł na krześle, oparł łokcie o kolana. Oddychał głęboko. Wymacał puls: z lekka przyśpieszony, czego się zresztą spodziewał. Chociaż na pozór Horace zachowywał całkowity spokój, zaczynał już czuć znajomy ucisk w żołądku, tak jakby przełknął coś twardego. Nic niezwykłego, takie odczucie towarzyszyło mu zawsze przed walką czy bitwą. Co więcej, zaniepokoiłby się dopiero wtedy, gdyby nic takiego nie wystąpiło. Nieco napięcia nigdy nie zaszkodzi, pomaga mobilizować siły. Ba, kto wie, czy w decydującej chwili nerwowe napięcie nie przekłada się na odpowiednio silne naprężenie mięśni... - zaśmiał się cicho z własnego konceptu.

Ale też dobrze było znaleźć kilka chwil tylko dla siebie, odetchnąć od nieustannego, troskliwego nadzoru ze strony Willa. Wiedział, że jego towarzysz czuje się nieswojo, bowiem w nadchodzącym starciu nie weźmie przecież udziału. Horace rozumiał go. Zdawał sobie sprawę, że niełatwo jest przyglądać się bezczynnie, gdy przyjaciel znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To może być uczucie gorsze i trudniejsze do zniesienia, niż sama śmiertelna opresja. Mimo wszystko jednak obecność zdenerwowanego Willa niekoniecznie podnosiła na duchu. Uznał, że kiedy młody zwiadowca powróci z wodą, trzeba mu wynaleźć jakieś inne zajęcie.

Nieobecność Willa potrwała trochę dłużej, niż spodziewał się młody rycerz. Natomiast kiedy przyjaciel powrócił wreszcie, Horace, ku swemu miłemu zaskoczeniu, ujrzał, że w wodzie pływają drobne kawałeczki lodu.

- Skąd wzięłeś lód? - zdziwił się. Will wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tylko jeden ze sprzedawców napojów miał lód. Nie chciałem się podzielić, dopóki nie opowiedziałem mu o pewnym swoim przyjacielu.

- Czyli o mnie? - Horace uniósł brwi.

Will potrząsnął głową.

- Nie, o moim nożu - zaśmiał się. - Ale, oczywiście, zapłaciłem przekupniowi z godziwą nawiązką.

Postawił dzbanek na stole, starannie owinął naczynie kawałkiem mokrego muslinu - zgodnie z sugestią Horace'a. Jednak już w następnej chwili bezczynność znów zaczęła Willowi doskwierać, skłaniając go do nerwowej przechadzki. Spacerował bezustannie, tam i z powrotem.

- To jak? Wszystko w porządku? - spytał. - Może czegoś potrzebujesz?

Horace spoglądał przez chwilę, nim wpadł na pomysł:

- Może zechciałbyś zanieść mój miecz namiestnikowi? - zaproponował. - Przed walką oręż musi zostać poddany oględzinom. I spróbuj się dowiedzieć, jaką bronią posłuży się mój przeciwnik.

Nim zdążył skończyć zdanie, Will już wychodził z namiotu. Horace znów skupił się na oddechu, oczyszczając umysł. Usuwał wszystkie niepotrzebne myśli, by w pełni skoncentrować się na czekającym go zadaniu. Wiedział, że zwycięstwo nie przyjdzie łatwo. Nie wątpił jednak, że zdoła pokonać obu gigantycznych bliźniaków. Dokona, co sobie zamierzył, o ile tylko uda mu się zmobilizować instynkt wojownika. W walce takiej jak ta wszystko zależy od zgrania intuicyjnych reakcji z wyćwiczonymi ruchami. Wojownik powinien odruchowo zadawać ciosy mieczem lub zasłaniać się tarczą, bez myślenia o wykonywanych technikach. Trzeba przewidzieć, kierując się spojrzeniem oczu przeciwnika oraz jego pozycją, kiedy i jak rywal przeprowadzi następny atak.

Zamknął oczy. Skupił się na odgłosach dobiegających z zewnątrz. Gwar rozmów na trybunach. Ptak śpiewający gdzieś w oddali. Okrzyki przekupniów. Zarejestrował wszystko. A potem wszystko wyłączył ze świadomości.

Do namiotu wszedł Halt. Horace nie słyszał. Doświadczony zwiadowca spojrzął tylko raz na pogrążonego w medytacji młodego rycerza, po czym natychmiast się wycofał.

Kiedy po kilku minutach pojawił się Will, Halt zatrzymał go. Poprowadził ucznia na ławkę ustawioną pod drzewem kilka metrów dalej. Mogli stamtąd obserwować namiot, nie zakłócając spokoju głównego lokatora. Po jakimś czasie usłyszeli dochodzący ze środka metaliczny brzęk. Wówczas Halt wstał, udał się do namiotu, Will tuż za nim. Horace właśnie wkładał przez głowę kolczugę.

- I co? - spytał Willa. - Jaką broń wybrał mój przeciwnik?

Will rozejrzał się nerwowo.

- Będzie walczył żelaznym kiścieniem - odpowiedział. Halt syknął cicho. - Niedobrze, prawda?

Horace wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nigdy dotąd nie miałem z czymś takim do czynienia. Co ty sądzisz, Halt?

Halt podrapał się po odrastającej brodzie. Kiścień nie zaliczał się do oręża często używanego w Araluenu. Znał jednak takich, którzy mieli z takowym żelastwem do czynienia i uszli cało.

- To bez wątpienia bardzo groźna broń. Ciężka żelazna kula na łańcuchu - wyjaśnił. - Walcząc takim orężem, twój przeciwnik zyskuje znaczny zasięg rażenia. Tymczasem ten

olbrzym ręce i tak ma długie. No i trzeba pamiętać, iż uderzenie kulą kiścienia jest naprawdę potężne. Walczący odnosi wrażenie, że wali weń taran.

- Och, jak miło - skrzywił się Horace. - Jeszcze odrobinę dobrych wieści?

- Na litość boską, nie próbuj parować uderzeń kiścienia mieczem. Łańcuch owinie się wokół klingi, a nawet może ją złamać. Przeciw kiścieniowi najczęściej stosuje się topór bojowy. Jeszcze możesz zmienić broń - przypomniał Halt.

Horace potrząsnął głową.

- Nie, przywykłem do mojego miecza. To nie jest właściwa chwila, by próbować oręża, z którym nie jestem oswojony.

- Też racja. Cóż, staraj się trzymać przeciwnika na dystans. Aha, uważaj: jeżeli łańcuch uderzy w brzeg twojej tarczy, może się na nim zawinąć. Istnieje wówczas niebezpieczeństwo, że kula trafi cię w ramię albo w głowę. Jedynym, co przemawia na twoją korzyść, jest to, że nad kiścieniem trudno precyzyjnie zapanować. I jeszcze jedno. Twój przeciwnik wybrał broń powolną w działaniu. Aby posługiwać się nią skutecznie, trzeba ogromnej siły.

- Której akurat niestety mięśniak posiada pod dostatkiem - stwierdził Horace, po czym wrzucił ramionami. - Trzeba więc trzymać się od niego z dala, nie pozwolić, żeby łańcuch zawinął się o brzeg tarczy, zbierać uderzenia taranem i nie zastawiać się mieczem. Krótko mówiąc, bułka z masłem. Willu, pomożesz mi założyć nagolenice? Pójdę i zrobię porządek z olbrzymem Tennysona.

ROZDZIAŁ 40

Słuchajcie, słuchajcie! Zamilknij, o ludu Clonmelu, bowiem teraz przemówi sir Sean z Carrick, wielki namiestnik króla i mistrz dzisiejszego turnieju. Zamilczcie, bo oto przemówi sir Sean!

Słowa herolda, który gromkim, specjalnie zresztą w tym celu szkolonym głosem wygłosił formułę, odbiły się potężnym echem na placu targowym. Zagłuszyły gwar zgromadzonej gawiedzi, a nawet pokrzykiwania przekupniów. Herold był potężnie zbudowanym mężczyzną o klatce piersiowej niczym dzwon i potężnych płucach. Ludzi trudniących się tą profesją specjalnie dobierano i ćwiczone, tak że potrafili przekrzyczeć największą nawet wrzawę.

Zgiełk stopniowo milkł. Zgromadzeni zdali sobie sprawę, że oto nadchodzi już czas pierwszego starcia. Przysunęli się do barier okalających arenę. Gapie z tyłu wyciągali szyje, by ujrzeć Seana. Namiestnik stał w królewskiej loży, dzierżąc w dłoni zwinięty pergamin. Rozpostarł go i zaczął czytać. Nie dysponował tak stentorowym głosem jak herold, lecz przemawiał wyraźnie, donośnie. W ciszy, jaka zapadła, słysząc go było wyśmienicie.

- Ludu Clonmelu, mieszkańcy Dun Kilty! Dziś rozstrzygnie się sprawa dotycząca rzekomego boga Alsejasza, zwanego też Złotym Bogiem.

Od strony wschodnich trybun rozległ się stłumiony pomruk, bowiem zgromadzonym tam Odszczepieńcom nie przypadło do gustu, że ich idola nazwano „rzekomym bogiem”. Umilkli jednak zaraz, gdy Sean Carrick podniósł wzrok znad dokumentu i spojrzał gniewnie w tamtą stronę.

- Ferris, wielmożny władca Clonmelu, utrzymuje, iż Alsejasz jest bogiem fałszywym, a jego prorok, Tennyson, oszukańczym prorokiem.

Umilkł, odwrócił się, spojrzał w stronę Ferrisa, który siedział skulony na przypominającym tron wielkim fotelu. Rozległy się okrzyki: „Niech żyje Ferris!” oraz „Niech żyje król!”. Sean odczekał, aż wiwaty ucichną. Czytał dalej:

- Jego wysokość utrzymuje także, iż jedyną prawdziwą nadzieją królestwa jest

wojownik znany jako Rycerz Wschodu. Pod jego to bowiem kierunkiem, pod jego opieką w naszym królestwie na powrót nastanie pokój.

Znów okrzyki, znów wiwaty. I kamienna cisza na trybunach Odszczepieńców.

- Prorok Tennyson twierdzi zaś, że Alsejasz jest bogiem prawdziwym.

Teraz ożywiły się trybuny po wschodniej stronie rynku. Tennyson odchylił się w krześle, spojrzął po swych zwolennikach. Uśmiechnął się. Halt, który obserwował uzurpatora z naprzeciwka, dostrzegł w tym uśmiechu pewność siebie, a także pychę. Zmarszczył brew na widok trzech męskich postaci siedzących za Tennysonem. Okryte były purpurowymi płaszczami. Genoweńczycy.

Sean ciągnął dalej:

- Tennyson zapewnia, że jego bóg obdarzy swą opieką tych, którzy za nim pójną oraz przysięga, iż Alsejasz i tylko Alsejasz jest mocen przywrócić porządek w królestwie. Też więc sprawy tyczy się spór, a jako że nie osiągnięto w nim porozumienia, strony zgodziły się co do ostatecznego rozstrzygnięcia, czyli próby rycerskiej, zwanej sądem opatrności.

Ostatnie słowa powitał ogłuszający ryk entuzjazmu. Zarówno mieszczanie, jak i Odszczepieńcy wyrazili swą aprobatę. Sean odczekał dłuższą chwilę, po czym spojrzął na stojącego za nim herolda. Ten postąpił krok do przodu i głos jego wzniósł się ponad wrzask tłumu:

- Cisza! Zamilczcie, bo oto przemawia Sean O'Carrick!

Wrzawa ucichła, niczym potężna fala, która rozbija się o skały, a potem cofa się i nie pozostaje z niej już nic.

- Próba rycerska oznacza uświęconą formę osądu, od której nie ma już odwołania. Albowiem to bogowie decydują w niej o zwycięstwie. W imieniu króla Ferrisa, przysięgam, iż korona uzna werdykt bez wahania ani sprzeciwu. Jeśli zwolennicy Alsejasza odniosą triumf, król Ferris wycofa swe poparcie dla Rycerza Wschodu, poddając się całkowicie woli Alsejasza.

Dało się słyszeć kilka okrzyków z trybuny znajdującej się naprzeciwko łoża króla, ale większość zgromadzonych przyjęła oświadczenie wygłoszone przez Seana w ciszy, bowiem teraz dopiero pojęli, jak kluczowa kwestia ma się rozstrzygnąć w tym turnieju i jak daleko sięgają konsekwencje potyczki. Zwolennicy Tennysona zdali sobie sprawę, że jeśli Killeen i Gerard poniosą klęskę, ich prorok będzie musiał wyprzeć się Alsejasza. Wielu z nich po raz pierwszy uświadomiło sobie, jak pochopnie postąpili, przystając do sekty. Porwani entuzjazmem, spotęgowanym przez lęk i ślepa nadzieję, poszli za prorokiem, głusi na głos rozsądku. Teraz Sean ukazał im drugą stronę medalu.

- Jeśli zwycięży Rycerz Wschodu, Tennyson wraz ze swymi zwolennikami musi podjąć takie samo zobowiązanie. Święty sąd opatrności, który tu się odbędzie, określi jednoznacznie, czy Alsejasz jest bogiem i czy Tennyson jest prawdziwym prorokiem czy tylko samozwańcem.

Sean umilkł, spoglądając poprzez arenę na siedzącą przed nim postać w białej szacie. Tennyson ani drgnął.

- Tennysonie, który mienisz się prorokiem Alsejasza! Czy przysięgasz, że poddasz się wyrokowi? Czy przysięgasz, że nieodwołalnie uznasz wynik rycerskiej próby, jakkolwiek on się okaże?

Tennyson, nadal siedząc, rzucił okiem na prawo i lewo. Wszyscy wierni wpatrywali się w proroka. Skinął więc głową. Jednak Seanowi wciąż było za mało.

- Wstań, Tennysonie! - zażądał. - Przysięgnij wszem i wobec, że tak się stanie!

Tennyson dalej siedział. Nie miał najmniejszej ochoty zobowiązywać się do czegokolwiek w równie jednoznaczny sposób. Kto wie, co się może zdarzyć podczas pojedynku? Jednak nagle zdał sobie sprawę, że niechętny pomruk, który słyszy, dochodzi z szeregów wyznawców. Nie, nie burzyli się ci z najbliższego otoczenia. Skąd znowu. Oni przecież i tak nie żywili co do Alsejasza żadnych złudzeń. Lecz nowo nawróceni, ludzie z tłumu, których sprowadził z Mountshannon i kilku innych miejscowości, zaczęli spoglądać nań podejrzliwie. W sercach Clonmelczyków zakiełkowały wątpliwości co do wiary przywódcy oraz prawdziwości jego nauk. Jeszcze sekundy - uświadomił sobie - i straci ich bezpowrotnie. Wstał więc.

- Przysięgam - oświadczył.

Stojący naprzeciwko Sean uśmiechnął się blado.

- Przysięgłeś, a wszystkich tu zgromadzonych biorę na świadków. Sprawę rozstrzygnie dzisiejszy turniej. Obie strony wyraziły zgodę. Obie strony poddadzą się rozstrzygnięciom sądu opatrności.

Sean powoli, z namaszczeniem zwinął pergamin, na którym zapisano uświęcone tradycją formuły. Spojrzał w stronę jednego i drugiego namiotu.

- Niech wystąpią orędownicy obu stron! Horace z Araluenu, znany jako Rycerz Wschodu! Killeen z Wysp, wyznawca Alsejasza! Podejdźcie, aby przyjąć z naszych rąk broń, której użyjecie podczas świętego sądu!

Znów rozległy się gromkie okrzyki. Z namiotów wyłonili się Horace oraz Killeen. Zawarczały bębny, do których obaj dostosowali krok. Każdy przyodziął pełną zbroję. Killeen wybrał dla siebie skórzany kaftan z naszytymi nań warstwami zachodzących na siebie

mosiężnych płytek. Płytki przypominały kształtem rybie łuski. Horace naciągnął kolczugę, osłaniającą tułów oraz ręce. Na wierzch narzucił białą tunikę. Killeen wystąpił w zabudowanym hełmie zasłaniającym całą twarz; tylko oczy giganta połyskiwały przez szczelinę. Horace, jak zwykle, włożył na głowę szyszak ze zwisającym aż do ramion kolczym fartuchem osłaniającym szyję.

Obaj dźwigali tarcze. Puklerz Horace'a był okrągły, wykonany z utwardzonego drewna obitego stalą i przyozdobiony symbolem wschodzącego słońca. Killeen dzierżył tarczę w kształcie migdałowatym, spiczastą u dołu. Wymalowano na niej podwójny okrąg, znak Alsejasza. Każdemu rywalowi towarzyszył giermek. Obok Killeena maszerował jeden z noszących białe szaty wyznawców, a Horace'owi towarzyszył Will, który z trudem nadażał za maszerującym rażno przyjacielem. W porównaniu z Horace'em, a zwłaszcza z monstrualną postacią Killeena, młody zwiadowca wyglądał niemal jak dziecko.

Bicie w bębny umilkło, gdy Killeen oraz Horace wraz z giermkami zatrzymali się przed królewską lożą, gdzie czekał na ich Sean. Przed lożą, na poziomie areny, ustawiono prosty stół.

Na stole spoczywała broń. Długi, pozbawiony wszelkich ozdób miecz Horace'a. Z mosiężną rękojeścią i stalowym jalcem. Prosty, nieefektowny. Jednak zarazem doskonale wyważony, ostry niczym brzytwa. Obok oręż Killeena: solidny dębowy drąg długości pół metra, okuty dla wzmocnienia żelazem, do którego przymocowano ciężki, gruby łańcuch. Na końcu łańcucha znajdowała się groźnie wyglądająca kolczasta kula.

Broń toporna, pozbawiona wszelkiego wdzięku czy finezji, lecz śmiertcionośna. Horace na widok kiścienia przygryzł wargę.

Halt miał rację. Warto trzymać się od tego urzędnika z daleka.

- Sięgnijcie po broń - nakazał Sean.

Horace ujął w dłoń miecz. Obrócił nim na próbę, by przekonać się, czy aby ktoś nie podmienił rycerskiego oręża. Ale nie, od razu rozpoznał znajomy, doskonale wyważony ciężar. Killeen parsknął pogardliwie na widok broni Horace'a, po czym sięgnął po swój bojowy cep. Zadzźwięczał łańcuch, kolczasta kula zakołysała się w przód i w tył.

- Giermkowie, opuścić szranki - zakomenderował Sean.

Will schylił się, by przejść pod barierką oddzielającą pole przeznaczone dla walczących. Usiadł obok Halta, w pierwszym rzędzie. Spojrzeli niespokojnie jeden na drugiego. Pomocnik Killeena przebiegł przez pole na drugą stronę, by dołączyć do zwolenników Tennysona.

- Zajmijcie pozycje. Walka rozpocznie się na dźwięk trąby - ogłosił Sean. Spojrzał w

bok, by przekonać się, czy trębacz jest gotowy. Sygnalista skinął głową. Nerwowo zwilżył wargi. Jemu także udzieliło się napięcie chwili.

Horace i Killeen wyszli na środek pola, gdzie białym wapnem zaznaczono krąg określający pozycję wyjściową rywali. Killeen natychmiast ustawił się po zachodniej stronie obwodu, aby mieć za sobą słońce, które będzie oślepiało Horace'a. Jednak Sean z miejsca przywołał go do porządku. Nie zamierzał pozwolić, by którykolwiek z uczestników turnieju rozpoczął zmagania z korzystniejszej pozycji:

- Killeen! - rozległ się jego głos. - Przesuń się ku stronie południowej. Natychmiast!

Wielki hełm zwrócił się gwałtownie w stronę mistrza ceremonii. Nietrudno było sobie wyobrazić wściekłe spojrzenie ukryte za szczeliną. Jednak gigant usłuchał nakazu, a Horace zajął pozycję naprzeciwko niego.

Widząc wstępne poczynania wyspiarza, Halt zerwał się na nogi. Od razu sięgnął do zawieszzonego na plecach kołczana. Jednak gdy Killeen zastosował się do żądania Seana, usiadł, choć niechętnie.

- Niech choćby raz złamie zasady pojedynku - rzucił przez zęby. - Niech tylko spróbuje, a przedziurawię go pierwszą wypuszczoną strzałą.

- A ja drugą - dodał Will. Właściwie trochę nawet liczył, że wyspiarz spróbuje jakiejś niecnej sztuczki. Wówczas zwiadowcy mieliby pełne prawo ustrzelić oszusta, bowiem ktokolwiek złamał święte zasady sądowego pojedynku, tym samym przegrywał walkę i wykluczał się z grona istot ludzkich posiadających prawo do życia.

Horace i Killeen stali naprzeciwko siebie. Killeen na ugiętych nogach. Horace prosto, unosząc się z lekka na palcach. Ciężka, najeżona żelaznymi szpikulcami kula kołysała się między nimi złowrogo. Klinga Horace'a także drgała, jej sztych zakreślał w powietrzu kółeczka.

Nagle w ciszy rozległ się przeraźliwy sygnał trąby.

Killeen, który sprawiał wrażenie ślamazarnego drągała, okazał się jednak niezwykle szybki, o wiele szybszy, niżby się Horace spodziewał. Potężne łapsko miało dość siły, by dokonać błyskawicznego obrotu dzierzakiem kiścienia; kolczasta kula runęła na Horace'a z góry, a jednocześnie olbrzym dokonał błyskawicznego wypadu. Młody rycerz musiał uskoczyć gwałtownie w tył, zasłaniając się jednocześnie tarczą.

Halt mówił coś o sile taranu... Zdaniem Horace'a odczucie było raczej takie, jakby ktoś wrzucił mu na tarczę całą kamienicę. Nigdy dotąd nie sparował równie potężnego, miażdżącego uderzenia. Tego nie dało się porównać nawet z ciosami dwuręcznego miecza Morgaratha sprzed wielu lat.

Stęknął, zaskoczony. O mało nie dał się podejść kolejnemu atakowi Killeena, który natychmiast po pierwszym uderzeniu wyprowadził drugie, tym razem z boku. Horace z trudem zdążył opuścić puklerz. Cofnął się znów. Ocalił go jedynie refleks. Bo gdyby nie szybkość reakcji, po każdym z dwóch straszliwych ciosów padłby trupem. Gdy napotkał spojrzenie oczu jaśniejących w szczelinie hełmu przeciwnika, wyczuł, że Killeen zamierzał natychmiastowym, błyskawicznym atakiem zakończyć całą rozprawę, jeszcze zanim na dobre się wszystko rozpocznie. Horace cofnął się o kolejny krok, Killeen podążył za nim. Lecz teraz już ostrożniej, gdyż zorientował się, z jak szybkim przeciwnikiem przyszło mu się mierzyć. Zamachnął się po raz trzeci, znowu z góry. Ale teraz Horace był przygotowany, po prostu lekko odskoczył na bok, a żelazna kula grzmotnęła o ziemię.

Od razu ciął Killeena w przedramię. Do poważnych wad kiścienia zaliczyć należy brak jelca osłaniającego dłoń oraz rękę. Jednak dłonie Killeena zakrywały obszyte mosiądzem długie rękawice, które sięgały prawie do łokci. Uderzenie zabolalo, gigant szarpnął się w tył, wszelako osłona wytrzymała. Killeen w najmniejszym stopniu nie stracił zdolności do walki.

Horace zaczął krążyć, starając się przez cały czas przebywać po prawej stronie Killeena. Umysł młodego rycerza gorączkowo poszukiwał rozwiązania: owszem, potrafi uchylać się przed zadawanymi ciosami lub blokować je tarczą. Nie widział natomiast możliwości, by wykonać kontruderzenie. Musiał trzymać się z dala od Killeena, bowiem w przeciwnym razie groziło mu, że łańcuch z kulą zawinie się o brzeg puklerza. Gdyby przeciwnik uzbrojony był w miecz albo topór, dałoby się go zaatakować, wiążąc klingą jego broń. Nie mógł jednak ryzykować takiego działania przeciw kiścieniowi.

Killeen zadał kolejne uderzenie znad głowy. Horace przyjął je na tarczę, uginając się pod mocą wielokrotniej przez pęd masy żelastwa. Nim zdążył odpowiedzieć, Killeen łupnął powtórnie, z całej siły.

Horace usłyszał, jak w tarczy coś chrupnęło. Odskoczył kilka kroków do tyłu, by zyskać na dystansie. Przyjrzał się szybko puklerzowi. Stracił już pierwotny kształt. Wygiął się dziwnie. W samym środku powstało pęknięcie, odsłaniające drewno spod stali. Zdał sobie sprawę, że jeszcze trochę, a tarcza ulegnie zniszczeniu. Poczul suchość w ustach na myśl, że przyjdzie mu bronić się przed straszliwym kiścieniem, wyłącznie za pomocą miecza. Po raz pierwszy dopuścił myśl, że w tym starciu może ponieść klęskę.

Killeen zaatakował znów. Horace nie miał wyboru, po raz kolejny musiał osłonić się tarczą. Stalowa pokrywa nie wytrzymała, kolce wczepiły się głęboko w drewno. Przez kilka sekund każdy z wojowników ciągnął w swą stronę, aż Killeenowi udało się wyszarpnąć kulę. I uderzył jeszcze raz.

Tym razem Horace przypadł do ziemi, a żelazna kula świsnęła tuż nad jego czaszką. Jednak w głowie rycerza zaczął kielkować pewien pomysł. Desperacki, lecz na nic mądrzejszego wpaść nie potrafił. W duchu zaśmiał się ponuro, zdając sobie sprawę, iż podobnie zdarzyło się podczas walki z Morgarathem, kiedy to rzucił się pod kopyta szarżującego wierzchowca zbuntowanego wielmoży.

Dlaczego zawsze przychodzą mi na myśl wyłącznie beznadziejne rozwiązania? - zadał sobie w duchu pytanie.

Killeen zamachnął się, a Horace skoczył lekko w tył. Kula z głuchym łoskotem rąbnęła o ziemię. Odszczepieńcy oraz ich sympatycy zaczęli gwizdać. Rzucali kpiące okrzyki, widząc, że walczący z ich orędownikiem rycerz wciąż tylko ucieka i stosuje głównie uniki. Jak dotąd nie przeprowadził przecież ani jednego skutecznego ataku.

Sam bym siebie wygwizdał na ich miejscu - stwierdził w myślach Horace. Po drugiej stronie pola zapadło znamienne milczenie, przerywane tylko cichymi okrzykami, kiedy kolczasta kula trafiała w cel.

Znów tanecznym krokiem uskoczył w lewo, tym razem jeszcze dalej, by dać sobie chwilę wytchnienia. Killeen z wolna, nieubłaganie kroczył ku niemu. Młody rycerz zerknął na skórzany pasek mocujący puklerz do przedramienia. Miał do dyspozycji zaledwie kilka mgnień oka. Wbił miecz w ziemię, błyskawicznie poluzował skórzany trok. W następnej chwili pochwycił miecz i znów się wycofał. Tym razem jednak przesunął się w prawą stronę, co zaskoczyło Killeena, który spodziewał się, iż Horace nadal będzie go okrążał, kierując się ku swej lewej.

Rycerz zyskał w ten sposób kilka metrów. Stał w miejscu i czekał. Gdy wyspiarz zbliżył się, skoczył w bok, unikając ciosu, a potem dokonał szybkiego wypadu, mierząc sztychem w szparę hełmu przeciwnika. Killeen, który zdążył się już przyzwyczaić, że jego ataki nie spotykają się z ripostą, uniósł gwałtownym ruchem tarczę, parując cios. W chwili, gdy puklerz zasłonił mu przeciwnika, Horace powtórnie siekł w ramię dzierżące oręż i znów uskoczył do tyłu.

Ani pchnięcie, ani uderzenie w przedramię nie osłabiły wielkoluda, natomiast spełniły swe zadanie. Wprawiły go mianowicie w furję. Killeen, ogarnięty złością, kroczył wprost przed siebie. Kiścień wirował, zataczając obszerne kręgi nad jego głową, gdy olbrzym przygotowywał się do ostatecznego, druzgocącego uderzenia.

Horace obserwował rywala, mrużąc oczy i czekając, aż nadgarstek przeciwnika kierujący kolczastą kulę w jego stronę zmieni położenie. Zdawał sobie sprawę, że należy perfekcyjnie wyliczyć czas i odległość, w przeciwnym razie jego plan się nie powiedzie.

Teraz!

Horace postąpił pół kroku naprzód. Wysunął tarczę, przyjął cios. Stęknął głucho, kiedy kolce zagłębiły się w osłabiony metal, a następnie ugrzęzły w nim oraz w drewnie. Unieruchomione.

Jednocześnie puścił uchwyt i wysunął ramię z poluzowanych troków. W następnym ułamku sekundy, kiedy Killeen szarpnął kiścieniem, by uwolnić bijak, pociągnął też ku sobie wypaczoną, poobijaną tarczę. Puklerz przeleciał nad głową olbrzyma. Szarpnął go w tył dodatkowym, a nieoczekiwanym ciężarem, wytrącając wyspiarza na moment z równowagi.

Nic dziwnego, że odwrócił się, zaskoczony, by sprawdzić, co się stało. Na sekundę czy dwie odsłonił tym samym szyję pod hełmem.

Horace'owi niczego więcej nie było trzeba. Ujawszy miecz w obie dłonie, bez zwłoki postąpił krok przed siebie i zadał błyskawiczne cięcie.

Po obu stronach areny rozległy się okrzyki zdumienia, kiedy po ziemi z głuchym łoskotem potoczył się hełm Killeena. Okrzyki umilkły, kiedy widzowie zdali sobie sprawę, że znajdowała się w nim głowa. Monstrualne cielsko nagle jakby zapadło się w sobie, po czym runęło na ziemię.

Po zachodniej stronie rynku rozległy się wiwaty. Zwolennicy Horace'a uświadomili sobie, że rycerz zwyciężył. Zwyciężył natychmiast, gdy tylko przeszedł do kontrataku.

Will oraz Halt momentalnie dali nura pod barierkę. Pobiegli ku środkowi pola, gdzie stał Horace, opuściwszy miecz. Spojrzał ku nim ze znużonym uśmiechem.

- Chyba przyda się druga tarcza - stwierdził.

ROZDZIAŁ 41

Halt przyglądał się Horace'owi z niekłamanym zachwytem.

- Horace, nie przestajesz mnie zadziwiać! Powiedz, jak wpadłeś na tę sztuczkę z tarczą?

Horace, wciąż jeszcze oszołomiony, spoglądał na przyjaciół. Prawdę rzekłszy, wciąż nie posiadał się ze zdumienia, że żyje i może z nimi rozmawiać. Podczas walki przez kilka paskudnie długich chwil odnosił wrażenie, iż porwał się z motyką na słońce.

- Ot, tak mi coś strzeliło do głowy - stwierdził. - Mam tylko nadzieję, że Gerard nie wybierze do walki takiego samego cepa. Obawiam się, że nie dałbym rady powtórzyć takiego wyczynu.

- Nie, zdecydował się na miecz - oznajmił uśmiechnięty od ucha do ucha Will. Ogarniało go poczucie ulgi, bowiem, gdy przyglądał się, jak Killeen obija bezlitośnie jego przyjaciela, obawiał się, że Horace stracił wszelkie szanse, by przeżyć, nie wspominając nawet o zwycięstwie.

Halt klepnął wysokiego wojownika w ramię.

- Tak czy inaczej, świetnie się sprawiłeś! - zawołał. Lubił Horace'a niemal tak samo jak Willa. Nawiasem mówiąc, podczas walki powziął postanowienie, że jeśli Killeen weźmie górę nad Horace'em, a młodemu rycerzowi grozić będzie śmierć, zastrzeli olbrzymia, nie zważając na święte reguły sądu.

Horace skrzywił się.

- Dzięki, Halt. Tylko czy zechciałbyś może walić akurat nie tutaj? Trochę się czuję obolały. Tak się składa, że właśnie lewe ramię brało na siebie cały impet żelaznej kuli, którą jeszcze niedawno wymachiwał pewien olbrzym.

- Wybacz - zmitygował się Halt, lecz uśmiech nie znikł z twarzy rozradowanego zwiadowcy. Spojrzał w stronę trybun po wschodniej stronie, by przekonać się, jak Tennyson zareagował na rozstrzygnięcie starcia. Ujrzał jednak coś całkiem innego, niż się spodziewał.

Kapłan sprawiał wrażenie, jakby wcale się nie przejął śmiercią jednego z olbrzymów,

a przecież zdawać by się mogło, że jego szanse na zwycięstwo właśnie zmalowały o połowę. Rozmawiał spokojnie z jakimś odzianym w białe szaty stronnikiem, uśmiechnął się, słysząc odpowiedź rozmówcy. Choć przecież nagły zwrot akcji musiał go zaskoczyć. Podczas walki Halt spoglądał kilka razy na Tennysona, otoczonego trzema Genoweńczykami. Odnosił wrażenie, że kapłan okrzykami zagrzewa Killeena do walki - kiedy jeszcze wielkolud zasypywał gradem ciosów pozornie bezradnego przeciwnika.

Na czole Halta pojawiła się pionowa zmarszczka. Dopiero co za Tennysonem stało trzech Genoweńczyków. Teraz dostrzegał jedynie dwóch.

- Biegnij natychmiast do namiotu - polecił Willowi - i miej oko na wszystko. My zaraz tam przyjdziemy.

Will tylko zerknął na twarz nauczyciela. Ujrawszy oblicze pełne niepokoju, nie tracił zatem czasu na zbędne pytania. Pobiegnął, klucząc pośród tłumu, jaki zdążył wylec na arenę. Zmierzał ku białemu namiotowi widniejącemu w północnej stronie placu. Gdy znajdował się kilka metrów od celu, stanął. Tutaj umiejscowiono stragany przekupniów sprzedających jadło oraz napitek. Tłum kłębił się gęsty, albowiem wielu widzów przybyło zaspokoić głód czy pragnienie przed następnym starciem. Willowi zdało się, że pośród ludzkiej masy dostrzega błysk purpury. Przepchnął się przez ciżbę; długi płaszcz mignął mu raz jeszcze, nim oddalił się i zniknął w tłumie.

Czyżby więc zauważył jednego z Genoweńczyków? Jeśli tak, to najemnik przed chwilą znajdował się bardzo blisko namiotu Horace'a. Willa kusilo, żeby ruszyć w pogoń za człowiekiem w purpurze i rozpatrzeć się porządnie w sytuacji. Ale przecież Halt kazał mu pilnować namiotu. Zbliżywszy się do płóciennej zasłony, dyskretnie dobył saksy. Trzymał broń przyciśniętą do uda, aby nie rzucała się w oczy.

Skórzane rzemienie mocujące płachtę pozostawały zawiązane chyba tak samo, jak je zostawił - lecz głowy by nie dał. Rozplątał szybko węzły i wpadł do środka, dzierząc na wysokości pasa gotowy do uderzenia nóż.

Pusto.

W namiocie nie zastał nikogo. Oprócz stłumionego gwaru dochodzącego z zewnątrz, słyszał tylko brzęczenie muchy, która tłuła się o płótno, bezskutecznie szukając drogi ucieczki. Rozejrzał się błyskawicznie. Dwa kubki i dzbanek, wciąż owinięty wilgotnym muślinem. Krzesło, leżanka, wieszak na broń - teraz próżny, jedynym elementem rycerskiego wyposażenia pozostała zapasowa tarcza. Nic więcej.

Wewnątrz namiotu panował skwar. Przez cały dzień ogrzewały go promienie słońca, a wejście pozostawało zamknięte, toteż wewnątrz stało się duszno. Odwrócił się, by namiot

przewietrzyć - odchylić zasłonę i umocować ją w tej pozycji, kiedy nagle przypomniał sobie o zakątku służącym za toaletę. Przyskoczył tam i z bronią gotową do ataku jednym szarpnięciem odsunął parawan.

Pusto.

Odetchnął głęboko, wsunął sakwę do pochwy. Teraz mógł spokojnie zająć się otworem wejściowym, jak również służącą do wentylacji klapą po drugiej stronie namiotu. Powiew chłodniejszego powietrza wpadł do wnętrza, po chwili nie było już w nim ani tak gorąco, ani duszno.

Nadeszli Halt z Horace'em. Zwiadowca dźwigał miecz, hełm oraz pogiętą, popękaną tarczę. Cisnął ją w kąt.

- Na nic już się nie przyda - stwierdził. Spojrzał pytająco na Willa. Młody zwiadowca potrząsnął głową. Nie dopatrzył się niczego podejrzanego. Jednak, na wzmiankę Halta o puklerzu przypomniał sobie, iż powinien przed następną walką sprawdzić troki i uchwyt tarczy zapasowej.

Horace tymczasem usiadł ciężko na leżance. Stęknął, gdy obolałe mięśnie zetknęły się z poduszkami. Zerknął tęsknie w stronę stojącego na stole dzbanka.

- Willu, nalejesz mi wody? - spytał. - Okrutnie jestem spragniony.

Zdawał sobie sprawę, że suchość w ustach oraz gardle to nie tylko wynik fizycznego zmęczenia, lecz także, a może przede wszystkim, rezultat nerwowego napięcia. Czyli, mówiąc po prostu: strachu. Horace nie wstydził się przyznać przed samym sobą, że walcząc z Killeenem, po prostu lękał się o swoje życie. Wyciągnął się, zamknął oczy. Usłyszał cichy brzęk lodu w dzbanku.

- Rozkoszny odgłos - stwierdził. - Nalej do pełna.

Opróżnił naczynie jednym potężnym haustem, po czym skinął głową, kiedy Will zaproponował repetę. Tym razem sączył powoli, rozkoszując się każdym łykiem chłodnego płynu spływającego do wysuszonego gardła. Stopniowo przychodziło odprężenie.

- Ile czasu pozostało do starcia z Gerardem? - spytał Halt.

- Jeszcze ponad godzina - odpowiedział zwiadowca. - Może zdejmiesz zbroję, położysz się, chwilę odpoczniesz?

Horace uniósł się i stęknął cicho.

- Doskonała myśl. Tylko najpierw powinienem sprawdzić, czy miecz się nie wyszczerbił - rzekł.

Halt powstrzymał go łagodnie.

- Will potrafi się tym zająć.

Horace uśmiechnął się z wdzięcznością, gdy Will zbliżył się, aby dokonać inspekcji oręża. Zazwyczaj Horace nie pozwoliłby sobie na taką niefrasobliwość. Zmęczony, nie zmęczony, lecz sprawdziłby broń osobiście. Jednak właśnie Halt i Will byli jedynymi osobami, którym pod tym względem mógł z całą pewnością zaufać.

- Dzięki, Willu.

- Zdejmę z ciebie kolczugę - oznajmił Halt. Pomógł rycerzowi pozbyć się zakładanego przez głowę długiego, ciężkiego stroju z żelaza.

Kolczugę od wewnętrznej strony wyposażono w rodzaj giemzowej podszewki, wilgotnej teraz i poplamionej od potu. Halt wyrzucił ją na drugą stronę, rozwiesił na wieszaku, po czym przestawił go bliżej wejścia, by szybciej wyschła w przeciągu.

- A teraz odpoczywaj. My zajmiemy się wszystkim. Zostaniesz obudzony, kiedy trzeba. Jeszcze nawet zdążę cię wymasować - zapewnił Halt.

Horace skinął głową. Wyciągnął się znów. Odetchnął głęboko, z rozkoszą. Jak miło - pomyślał - kiedy o człowieka ktoś się troszczy.

- Dzięki. Coraz bardziej odpowiada mi rola Rycerza Wschodu - westchnął, uśmiechnięty.

Jego uszu dobiegł miarowy szczeł; to Will zabrał się za ostrzenie rycerskiego miecza. W miejscu, gdzie klinga zderzyła się z tarczą Killeena, pojawiło się niewielkie wyszczerbienie, które Will miał teraz zlikwidować. Dziwne - pomyślał Horace. - Cóż za kojący odgłos. A potem odpłynął w sen.

* * *

Halt obudził go po upływie pół godziny. Mięśnie Horace'a pozostawały wciąż sztywne i obolałe, toteż nie opierał się, kiedy zwiadowca kazał mu przewrócić się na brzuch, a następnie wykonał masaż. Silne dłonie Halta wprawnie przywracały krążenie krwi, niosąc ulgę mięśniom. Usuwały napięcie. Zabieg co prawda bolesny, ale zarazem niosący niewysłowioną ulgę.

Po krótkiej drzemce Horace wciąż czuł się senny, otepiały. Cóż, bywa - stwierdził. Często się tak zdarza, jeśli ktoś usnie podczas dnia. Kiedy zacznie się ruszać, kiedy zaczerpnie w płuca porządny haust świeżego powietrza, wszystko wróci do normy.

Spuścił nogi z leżanki, usiadł z opuszczoną głową. Otrząsnął się. Will spojrzał uważnie.

- Dobrze się czujesz? - spytał. Czuwał nad snem Horace'a z dobytą saksą. Przez cały

czas czekała w pogotowiu, ułożona na jego kolanach.

Horace spostrzegł nagą broń. Uśmiechnął się sennie.

- Zamierzasz szatkować kapustę? - spytał, a potem odpowiedział na pytanie przyjaciela: - Trochę jestem otumaniony, nic więcej.

Halt zerknął z niepokojem.

- Na pewno? - spytał. Horace uśmiechnął się i otrząsnął znowu, usiłując rozpędzić senność, która jakoś nie chciała ustąpić.

- Wszystko w porządku. Tak to jest, jak się odwala drzemkę w biały dzień. Podasz mi kolczugę?

Giemzowa podszewka wyschła na wietrze; narzucił ją przez głowę, siedząc na krawędzi leżanki. Potem wstał, by pozwolić jej opaść do kolan - ale wówczas zachwiał się, aż musiał się przytrzymać oparcia.

Obaj zwiadowcy spoglądali z narastającym niepokojem. Rycerz uśmiechnął się i machnął ręką.

- Nic mi nie jest. Muszę się rozruszać, i tyle.

Włożył na kolczugę białą tunikę, którą podał mu Will.

Halt wyrzwał na zewnątrz. Wokół straganów nie tłoczyło się już tylu głodnych i spragnionych, większość widzów udała się z powrotem na miejsca. Za dziesięć minut Horace i Gerard zostaną wezwani na arenę. Tak - pomyślał Halt - przypuszczalnie Horace ma słuszność. Świeże powietrze oraz nieco ruchu, oto czego mu potrzeba.

- Chodźmy już. Zresztą zbrojmistrze i tak muszą jeszcze raz obejrzeć twój miecz - rzekł, podjąwszy decyzję. Ściśle rzecz biorąc, Sean zapowiedział, że powtórzona zostanie cała wstępna ceremonia, co miało zagwarantować, iż żadna ze stron nie zamierza się wycofać ze swoich zobowiązań. Nudziarstwo - pomyślał Halt - lecz zarazem niezbędny element rytuału związanego z sądem opatrności.

Halt i Will ponieśli hełm Horace'a, jego puklerz, a także miecz. Will zawiązał szybko rzemyki klap namiotu, po czym pomaszerowali po bokach rycerza - z powrotem na pole turniejowe. Topniejący tłumek przy straganach rozstępował się przed nimi, okazując w ten sposób uznanie Rycerzowi Wschodu, który zyskał już niemałą popularność wśród mieszkańców Dun Kilty. Widowiskowa walka i sposób, w jaki rozprawił się z Killeenem, przemówiły ludziom do wyobraźni.

Gdy zbliżali się ku stołowi ustawionemu przed lożą królewską, Halt spoglądał uważnie na młodego wojownika. Odetchnął z ulgą, widząc, że Horace podąża krokiem pewnym, równym. Jednak serce podeszło mu do gardła, kiedy młodzieniec nachylił się ku niemu i rzekł

lekkim tonem, jakby wygłaszał zdawkową uwagę, nie okazując na zewnątrz żadnego zaniepokojenia:

- Halt, mamy kłopot. Nie jestem w stanie skupić wzroku.

Wszyscy trzej zatrzymali się. Umysł Halta pracował gorączkowo. Zwiadowca natychmiast spojrzął w stronę miejsca, gdzie zasiadał Tennyson w otoczeniu popleczników. Obok niego dostrzegł trzy postacie okryte purpurą. Ale w tej samej chwili Tennyson zwrócił się do jednej z nich. Genoweńczyk skinął głową, po czym od razu zniknął w tłumie.

W tej samej chwili Halt wiedział już, co się stało. Rzucił szybko do Willa:

- Biegnij do namiotu. Natychmiast przynieś dzbanek z wodą! Jest zatruta! Nie pozwól, żeby ktokolwiek inny się do niej dostał!

Przez krótką chwilę Will spoglądał na niego szeroko otwartymi oczami. A potem młodszy zwiadowca zrozumiał. Jego również oświeciło. Jeśli woda została zatruta, nie wolno pozwolić, aby ktoś ją wylał, niszcząc jedyny dowód.

Will bez chwili zwłoki odwrócił się na pięcie. Popędził z powrotem.

Horace pociągnął Halta za ramię.

- Naprzód, idziemy, dalej - ponaglił.

Halt odwrócił się w jego stronę. Chociaż ton głosu Horace'a zdradzał zdenerwowanie, ktoś przyglądający im się z dala z pewnością uznałby, że rycerz prowadzi ze swym pomocnikiem jakąś błahą rozmowę.

- Nie możesz walczyć, jeżeli nic nie widzisz! - obruszył się Halt. - Zażądamy przesunięcia terminu pojedynku.

Horace potrząsnął tylko głową.

- Tennyson nigdy się na to nie zgodzi. Jeśli wycofamy się, zażąda, aby uznano go za zwycięzcę. Chyba że zdołamy udowodnić, iż to oni złamali prawa turnieju.

- Bez wątplenia, tak właśnie uczynili! Przecież podali ci truciznę!

- Nawet jeśli wykażemy, że do wody dosypano narkotyk, jak udowodnimy, że to ich sprawka? Nie ma wyboru, nie wolno się teraz wycofać.

- Horace, powtarzam: przestań myśleć o walce, skoro nic nie widzisz! - naciskał Halt. Mówił podniesionym głosem. Gorzko wyrzucał sobie, że przez niego młody rycerz znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Ale ja widzę, Halt. Widzę, tylko nie mogę skupić wzroku - rzekł Horace, usiłując się uśmiechnąć. - Chodźmy wreszcie, czekają na nas.

ROZDZIAŁ 42

Okryta purpurowym płaszczem postać prześlizgnęła się zręcznie między ostatnimi klientami straganiarzy. Zbliżywszy się do celu, Genoweńczyk spojrział w prawo i w lewo, by sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje lub nie strzeże białego namiotu.

Nie dostrzegł jednak niczego, co by go zaniepokoiło, toteż ruszył prosto do wejścia. Tak samo, jak poprzednio, zasłony umocowano od zewnątrz, co znaczyło, że w środku nie ma nikogo. Silne palce szybko rozsypały węzły. Kiedy uporał się już z ostatnim, kusiło go, żeby się rozejrzeć, ale wiedział, że to mogłoby się wydać podejrzane. Lepiej po prostu wkroczyć, tak jakby jego obecność w tym miejscu była ze wszech miar uprawniona.

Wysunął sztylet z pochwy ukrytej pod lewym ramieniem - ostrożności nigdy dość - i wszedł do namiotu. Zasłona opadła.

Odetchnął. Nie miał powodów do niepokoju, w namiocie nie zastał nikogo, a dzbanek z wodą nadal stał na stole. Podeszedł do niego szybko, wylał całą zawartość na ziemię. Płyn wsiąknął bezszelestnie, pozostawiając tylko mokrą plamę.

- Ha, po dowodach! Za parę chwil wszystko wyschnie, nie będzie ani śladu - syknął cicho Genoweńczyk, nim coś twardego uderzyło go w czaszkę za uchem - i zapadł się w czerń.

- Tak ci się tylko wydaje - rzekł Will.

Schował sakwę do pochwy, upewniwszy się wprzód, że Genoweńczyk jest nieprzytomny. Przewrócił intruza na plecy, następnie szybko przeszukał, pozbawiając go przy okazji broni. Zerknął ciekawie na kuszę, którą tamten nosił przewieszoną przez ramię. Broń pozbawiona gracji - pomyślał - ciężka, lecz z pewnością skuteczna. Odrzucił kuszę na bok, szukał dalej. Mężczyzna przywiesił sztylet u pasa, dodatkowo schował po jednym w każdym bucie i jeszcze kolejny przytroczył do prawej łydki. Spozstrzegł też pustą pochwę pod lewą pachą zabójcy. Gwizdnął cicho.

- Istny arsenał - mruknął. - Wybierasz się na wojnę? - spytał, na co Genoweńczyk, rzecz jasna, nic nie odpowiedział.

Will sięgnął do sakiewki u własnego pasa. Wydobył kajdanki na kciuki oraz kostki. Szybko skrępował dłonie mężczyzny i spętał mu nogi, tak by jeniec mógł niezdarnie kuśtykać, ale nie biec.

Przysiadł na piętach, zastanawiając się gorączkowo. Potrzebny mu był dowód. Tymczasem zjawił się w namiocie zaledwie kilka sekund przed Genoweńczykiem. Dostał się do wewnątrz z drugiej strony, rozcinając płachtę tam, gdzie mieścił się odosobniony kącik. W nim właśnie się zaczął. Dzięki temu zewnętrzne węzły pozostały nienaruszone. Jednak zabójca działał zbyt szybko, zwiadowca nie zdołał przeszkodzić mu w wylaniu wody i obezwładnił go o sekundę za późno, uderzając głowicą rękojeści saksy.

Jakaś natrętna myśl chodziła mu po głowie, nie dawała spokoju. Ale wciąż nie potrafił jej pochwycić. Chodziło tu o coś, co pomogłoby skojarzyć Genoweńczyka z zatrutą wodą. Nagle uświadomił sobie: w wodzie, którą nalewał Horace'owi, pływał lód. Lecz przecież bryłki, które Will tam umieścił, dawno by już się roztopiły. Najwyraźniej Genoweńczyk wystarał się o nowy zapas, a lód mógł zdobyć tylko w jednym miejscu.

Zerknął jeszcze raz na zabójcę, który wciąż pozostawał nieprzytomny. Wybiegł z namiotu.

W pobliżu przechadzał się jeden z szeryfów Seana, czyli strażników, obarczonych zadaniem strzeżenia namiotu oraz wyłapywania drobnych złodziejasków, których z pewnością nie brakowało w gęstym tłumie. Will przywołał go.

- Pilnuj tego człowieka! - polecił, wskazując nieprzytomnego Genoweńczyka strażnikowi, który na wezwanie stawił się w namiocie. Szeryf na widok cudzoziemca w purpurze aż otworzył usta ze zdziwienia, lecz nie oponował, wiedząc, że Will zalicza się do pomocników Rycerza Wschodu. - Zaraz wracam - uprzedził Will. Pognał bezzwłocznie do straganów z napojami.

Tylko w jednym sprzedawano lód. Tam właśnie poprzednio zaopatrzył się Will, a z pewnością i Genoweńczyk. Lód w tych czasach należał do rzadkich luksusów. Zimą wycinano wielkie bloki zamrożonej wody, owijano je słomą, następnie zaś przechowywano w specjalnych chłodniach, czyli po prostu głębokich podziemnych loszkach. Przekupień spojrzał na zbliżającego się Willa. Uprzednio wzbraniał się przed sprzedaniem mu cennego dobra, bowiem tym towarem handlował tylko razem z napojami, a młody człowiek przyszedł po lód już z własnym dzbankiem pełnym wody. Łatwo jednak dał się przekonać, bo Will szczerze mu zapłacił. Skłonił się więc i spytał:

- Jeszcze lodu, wielmożny panie? - Will wrzasnął tylko:

- Ruszaj ze mną. Natychmiast!

Mimo młodego wieku i niemal chłopięcej twarzy, ten giermek przemówił z taką pewnością siebie, że przekupniowi nawet nie przyszło do głowy, by się opierać. Zawołał do żony, żeby zajęła się straganem, sam zaś pobiegł za młodzieńcem w zielono-szarym płaszczu. Kupiec także stanął jak wryty na widok nieprzytomnego mężczyzny, który leżał skępowany w namiocie.

- Czy on kupował od ciebie lód? - spytał Will.

Sprzedawca natychmiast przytaknął:

- W rzeczy samej, wielmożny panie. Powiadał, że to dla potężnego Rycerza Wschodu - rozejrzał się po namiocie. Spozstrzegł naczynie. - Zabrał go do tego dzbanka, dobrze pamiętam - dodał, zachodząc w głowę, o co w tym wszystkim chodzi. Na wszelki wypadek, aby stało się jasne, że o nic nie powinno się żywić pretensji akurat do niego, dorzucił jeszcze: - Wcześniej przyglądał się, jak kupowałeś lód, wielmożny panie. Myślałem, że jesteście razem.

Wszystko jasne. Will wywnioskował, że Genoweńczyk, który zatrzał wodę, dodał do niej lodu, by chłód zabił smak narkotyku. A może chodziło tylko o to, by napój wydał się bardziej kuszący? Nie uczyniłby tego jednak, gdyby nie wiedział, że lód znajdował się w dzbanku już wcześniej. Spojrzał na szeryfa, potem na sprzedawcę. Słyszał okrzyki turniejowej publiczności zgromadzonej wokół areny i nagle zdał sobie sprawę, że zamarudził zbyt długo. Zapewne skończyła się już wstępna ceremonia, a Horace zaraz zmierzy się z drugim olbrzymem.

- Chodźcie ze mną, obaj, ale już! - rozkazał. Zza parawanu wydobyl łuk oraz strzały, po czym wskazał Genoweńczyka, który zaczynał już się poruszać. - Pomóż mi go nieść!

Wraz z szeryfem dźwignęli oszołomionego zabójcę. Tymczasem rozległ się dźwięk trąby. Rozpoczęto drugą część turniejowego sądu.

* * *

- Nie możesz! Nie wolno ci! - powtarzał półgłosem Halt, odprowadzając Horace'a na środek pola. Dźwigał jego tarczę i miecz, przy czym krawędzią puklerza dotykał cały czas ramienia młodego wojownika, wskazując mu w ten sposób kierunek.

- Co tam robi ten człowiek? Co to za jeden? - usłyszeli tubalny głos Tennysona, niosący się ponad okrzykami dochodzącymi z trybun. Halt spostrzegł, że okryty białą szatą kapłan powstał ze swego krzesła i wskazywał go palcem.

- Wystarczy, że zaprowadzisz mnie na miejsce. Poradzę sobie - odpowiedział Horace, również ściszym głosem. Tymczasem Sean Carrick odpowiedział na protesty proroka, iż

Halt, jako niosący tarczę Horace'a giermek, ma prawo przebywać na polu i jest to zgodne z regułami turnieju. Horace uśmiechnął się, nie bez goryczy. W tej chwili niewiele dla niego znaczyły proceduralne niuanse. Zastanawiał się raczej, jak powinien walczyć z Gerardem, skoro nie dostrzega niczego poza mglistym zarysem sylwetki giganta.

- To niedozwolone, to wbrew zasadom! Powinien natychmiast opuścić pole! - darł się Tennyson.

Sean zaczerpnął tchu, by odpowiedzieć, lecz nie odezwał się, ponieważ uczył czyjaś dłoń na ramieniu. Zaskoczony, odwrócił się i ujrzał, że król opuścił tron, by stanąć obok krewniaka.

- Milcz, oszuście! - zawołał Ferris.

Przez krótką chwilę mieszkańcy Dun Kilty zdumieni się, bo jeśli nie liczyć pamiętnego wystąpienia Halta w roli króla, nigdy nie zdarzyło im się słyszeć, by monarcha wypowiedział się równie stanowczo. Zaraz potem wyrazili swoją aprobatę głośnymi okrzykami.

- Jak śmiesz powoływać się na reguły, których nie znasz i nie rozumiesz! Giermek niosący tarczę może towarzyszyć rycerzowi w drodze na plac boju. A teraz siadaj i milcz!

Znow rozległy się wiwaty na cześć króla. Ferris spojrzał po zebranych, nieco zaskoczony. Nigdy dotąd jego słowa nie spotkały się z podobnym aplauzem. Sprawilo mu to niejaką przyjemność; poczuł się silniejszy, trzymał teraz wyżej głowę. Tennyson uniósł zaciśniętą pięść.

- Ferris, wchodzisz mi w drogę o jeden raz za wiele. Zapłacisz za to!

Powrócił jednak na swoje miejsce. Zadowolili się rzucaniem królowi gniewnych spojrzeń. Ferris, nacieszywszy się uznaniem tłumu, zasiadł na monarszym tronie.

Tymczasem Halt zapinał troki puklerza Horace'a.

- Nie za ciasno? - spytał.

- W sam raz - stwierdził Horace.

Postać Gerarda wciąż wydawała się zamglona, właściwie rozmywała się w oczach młodego rycerza. Usilnie mrużył powieki, starając się dostrzec przeciwnika choć trochę wyraźniej. W namiocie, gdy się obudził, zaniepokojony utratą zdolności widzenia, zapomniał na czas jakiś o znużeniu, jakie go ogarnęło. Teraz powróciło znowu ze zdwojoną siłą. Gdy ze świstem przeciągnął w powietrzu klingą miecza, zdał sobie sprawę, iż czyni to niezdarnie, ociężale. Dopiero wtedy zrozumiał, w jak kiepskim jest stanie.

Uznał więc, że jego jedyną szansą jest nagły atak. Należy go wyprowadzić, gdy tylko zabrzmi dźwięk trąby; wypad i pchnięcie w sam środek stojącego przed nim potężnego cielska. Szermierze najczęściej rozpoczynali walkę od okrążeń, obserwowali się nawzajem,

starając się wyczuć wzajemnie swoje słabe i mocne strony. Miał nadzieję, że Gerard tego właśnie się spodziewa. Czuł przy sobie obecność Halta, ale teraz nie chciał, by zwiadowca odwracał jego uwagę od przeciwnika.

- Dzięki, Halt - rzekł. - Już odejdz.

- Stanę do walki za ciebie. - Halt podjął jeszcze jedną desperacką próbę.

Horace uśmiechnął się niewesoło, wciąż usiłując skupić wzrok na Gerardzie.

- Nic z tego. To wbrew zasadom. Ja zacząłem, ja muszę skończyć. Idźże wreszcie.

Halt, niemal wbrew woli, cofnął się. Spoglądał na młodego przyjaciela pełen lęku i zwątpienia. Przeszedł pod barierą, zajął swoje miejsce w pierwszym rzędzie.

- Gotowi? - zawołał Sean.

Żaden nie odpowiedział, co namiestnik uznał za potwierdzenie. Skinął na trębacza.

W następnej chwili rozległ się przenikliwy sygnał.

Horace nie czekał, aż sygnał ścichnie. Gdy tylko zabrzmiał dźwięk trąby, rzucił się do przodu, dokonując prawą stopą dalekiego wypadu, połączonego z potężnym pchnięciem.

Być może udałoby mu się, gdyby nie spowalniające działanie narkotyku. Gerard rzeczywiście spodziewał się, że nim dojdzie do właściwego starcia, przeciwnik zechce go wypróbować za pomocą pozorowanych ataków i zwodów, że postara się wyczuć możliwości przeciwnika. Nagły i bezpośredni atak zaskoczył go. Ostrze miecza trafiło w sam środek tułowia, lecz Gerard zdążył się odwrócić, tak że osunęło się na bok po twardej skórze pancerza.

Szytych okazał się bolesny, wytrącił olbrzyma z równowagi. Prawdopodobnie rycerz przetrącił mu żebro. Jednak pchnięcie nie było śmiertelne, na co Horace tak liczył. Młody rycerz poszedł za ciosem, odwracając się w prawo, by móc przyjąć na puklerz kontrę, jakiej spodziewał się ze strony Gerarda.

Uczył to w samą porę; zadane z boku cięcie szczęknęło o stal. Potężne, choć na szczęście nie tak silne, jak uderzenie żelazną kulą bojowego cepa w starciu z Killeenem.

Cofnął się, mrużąc oczy. Łzawiły. Gerard był tylko zbliżającą się ku niemu bezkształtną masą. Jakby widział wznoszącą się rękę i miecz, toteż znów poderwał tarczę. Ostrze Gerarda powtórnie o nią załomotało, a Horace, powodowany wyłącznie instynktem, zadał przeciwcięcie.

Gerard był siłaczem i olbrzymem, ale nie zaliczał się w żadnym razie do mistrzów sztuki walki. Co więcej, ponieważ wiedział, że Horace'a oszołomiono narkotykiem, nie spodziewał się żadnego oporu. Nabrał więc nadmiernej pewności siebie. Krótko mówiąc, trzymał tarczę zbyt nisko, przez co klinga Horace'a musnęła tylko jej górną krawędź i trafiła

w bok hełmu Gerarda, pozostawiając na nim solidne wgłębienie.

Horace poczuł raczej, niż zobaczył, że uderzenie sięgnęło celu. Tłum na ławach ustawionych po zachodniej stronie rynku zawył z zachwytem. Gerard, który wciąż jawił mu się jako rozmyty, niewyraźny kształt, cofnął się teraz - przez co gorzej go było widać, bowiem wtopił się w tłum.

Olbrzym potrząsnął głową, by oprzytomnieć po trafieniu. Tarcza, choć nie osłoniła go całkowicie, osłabiła impet uderzenia. Ponadto miękka wykładzina wewnątrz hełmu złagodziła skutki ciosu. Ale i tak odczuł go nader dotkliwie. Olbrzym wpatrywał się teraz w stojącego przed nim młodego wojownika niczym wielki, rozjuszony byk. Nie posiadał się z wściekłości. Powiedziano mu, że bez trudu pomści śmierć brata, że tamten nawet nie będzie mógł się bronić. Tymczasem odnosił nieodparte wrażenie, że już dwukrotnie ledwo uszedł z życiem. Ryknął gniewnie, ruszył do kolejnego ataku na Horace'a.

Młody rycerz usłyszał ów ryk, lecz że praktycznie nic nie widział, zorientował się zbyt późno w rozwoju sytuacji. Źle ocenił odległość. Cofnął się, ale poniewczasie, bo w tej samej chwili Gerard z całym impetem uderzył puklerzem w jego tarczę. Ponieważ Horace zaczął już wykonywać krok do tyłu, stracił równowagę. Runął na plecy. Miecz wypadł mu z ręki.

Po zachodniej stronie rozległ się przerażony jęk; natomiast zwolennicy Tennysona wydali triumfalny okrzyk. Horace, prawie całkiem oślepiiony, a przy tym otumaniony narkotykiem, oszołomiony po upadku, ujrzał wznoszącą się nad sobą zamgloną, ciemną sylwetkę. Raczej wyczuł, niż widział, że Gerard unosi do góry miecz z opuszczonym ostrzem, trzymając go oburącz, aby zadać ostateczny cios.

Tak to się więc stanie - przemknęło Horace'owi przez myśl. Gorzkiej myśli towarzyszył cień zawodu, bowiem zdał sobie jednocześnie sprawę, że w wyniku jego klęski w łeb wezmą plany Halta. Docierało doń, jak po stronie Tennysona tłum wrzeszczy, zachęcając Gerarda. Postanowił nie zamykać powiek, dopóki nie umrze - choć swego zabójcy prawie nie widział. Drażniło go to, chciał móc spojrzeć w oczy oprawcy.

I przeszkadzało mu, że umrze, rozdrażniony. To takie niegodne uczucie.

ROZDZIAŁ 43

Will dosłyszał szcęk stali, kiedy wraz z szeryfem włókł zataczającego się Genoweńczyka w stronę turniejowego pola. Widzowie rozstępowali się przed nimi, a z tyłu podążał sprzedawca lodu, który nie rozumiał nic, ale zarazem bardzo był ciekaw dalszego rozwoju wypadków.

Usłyszał krzyk tłumu, zdając sobie sprawę, że wrzeszczą widzowie z trybun umiejscowionych po zachodniej stronie, gdzie zasiadali zwolennicy Horace'a. Przez krótką chwilę, wbrew nadziei, liczył, że jakimś cudem Horace'owi udało się zwyciężyć. Potem jednak przeszedł za barierę wyznaczającą południowy kraniec pola turniejowego i przeszedł go dreszcz lęku. Walka jeszcze trwała, lecz z miejsca zorientował się, że Horace ma poważne kłopoty. Jego przyjaciel poruszał się niezdarnie i powoli, chwiejnym krokiem. Rozpaczliwie zasłaniał się przed atakami Gerarda.

A potem ujrzał jedyne uderzenie Horace'a, które dosięgło celu; olbrzym zachwiał się i przez krótką chwilę zdawało się, że upadnie. Jednak cofnął się tylko, szybko odzyskał siły i runął na Horace'a, powalając go na ziemię.

Gerard obiema dłońmi ujął wielki miecz. Trzymając go jak sztylet, zamierzał wbić klingę w bezbronne ciało Horace'a. Nie pozostał ani ułamek sekundy. Will zrzucił łuk z ramienia, majdan sam znalazł się w jego lewej dłoni - jakby wiedziony własną wolą. Uniósł broń; strzała jakby sama osadziła się na cięciwie. Bez chwili namysłu napiął i wystrzelił.

Triumfalny ryk Gerarda przerodził się w dojmujący jęk, kiedy pocisk przeszył jego prawe ramię.

Odruchowo chwycił się za nie lewą dłonią, wykonując przy tym półobrót, toteż miecz, który wysunął się z pozbawionej czucia ręki, upadł obok, nie czyniąc Horace'owi krzywdy. Pulsujący, nieznośny ból sparaliżował rękę olbrzyma. Tłum najpierw zakrzyknął, a potem zamilkł w osłupiałym zdumieniu.

Tennyson zerwał się z miejsca. Zamierzał od razu domagać się, by straż pojmała winnego. Lecz proroka uprzedził inny głos.

- Zdrada! - krzyczał Will na całe gardło. - Zdrada! Tennyson otruł Rycerza Wschodu!
Zdrada!

Tennyson skierował spojrzenie w jego stronę. Zamarł, widząc skrepowanego, chwiejącego się na nogach Genoweńczyka, a gdy padły słowa o truciznie, zrozumiał, że jakimś sposobem wykryto jego knowania.

Halt, który także gwałtownym ruchem wstał, zrozumiał w lot, że nie ma chwili do stracenia. Podjął okrzyk:

- Zdrada! Zdrada!

Otoczający zwiadowcę widzowie, nie wiedząc nawet, o co chodzi, przyłączyli się; po chwili cały rynek aż grzmiał od wielokrotnie powtarzanego okrzyku:

- Zdrada! Zdrada!

Will odwrócił się w stronę sprzedawcy lodu, rzucił szeptem jakieś polecenie. Przekupień nie posiadał się ze zdumienia, ale kiedy Will go ponaglił, odwrócił się i pobiegł w te pędy ku namiotowi.

Młody zwiadowca znalazł się już niemal w samym środku areny, gdzie Horace z trudem wstawał, a skulony Gerard wciąż trzymał się kurczowo za zranione ramię. Pchnął Genoweńczyka, tak że zabójca upadł na kolana.

- Schwytałem tego człowieka w namiocie Rycerza Wschodu, kiedy łotr próbował zniszczyć dowody swej zbrodni. To jeden z ludzi Tennysona. Spójrzcie, obok kapłana stoją kamraci zbója!

Przez tłum przeszedł gniewny pomruk. Will zauważył, że rozległ się on nie tylko po tej stronie areny, gdzie zasiadał monarcha. Wielu z niedawno nawróconych zwolenników Tennysona spoglądało teraz nieufnie na swego proroka. Jako żywo, obok siwego arcykapłana stali dwaj Genoweńczycy. Trzeciego z cudzoziemców rozpoznali w mężczyźnie znajdującym się na arenie. Odziani na czarno przybysze nie cieszyli się sympatią wśród wyznawców Alsejasza; w ciągu tych kilku dni zdążyli zrazić ich do siebie wywyższaniem się i arogancją.

W ciszy, która teraz zapadła, Will przemawiał dalej:

- Ten oto człowiek zatrzał wodę, którą pił Rycerz Wschodu - wskazał tłumowi kłęczącego na ziemi Genoweńczyka. - Zalicza się do sługusów Tennysona! Razem pogwałcili święte reguły sądu opatrności!

Tennyson gorączkowo usiłował wynaleźć stosowną odpowiedź. Zdawał sobie sprawę, że wlepione weń są spojrzenia wszystkich obecnych. Zaczęło go ogarniać przerażenie. Przywykł sterować uczuciami tłumu, obracając je na swoją korzyść, tymczasem sytuacja najwyraźniej wymykała się spod kontroli. Jednak kiedy sądził już, że pogrzeza się bez ratunku

w otchłani, linę ratunkową rzucił mu Genoweńczyk, więzień Willa.

Cudzoziemiec usiłował dźwignąć się z ziemi.

- Dowód! - krzyknął z wyraźnie słyszalnym obcym akcentem. - Gdzie dowód? Gdzie ta zatruta woda? Okaż dowód!

Spojrzał do góry, na Tennysona. Lekko skinął głową. Kapłan odetchnął. A więc jego człowiek zdołał dotrzeć do namiotu, udało się zatem opróżnić dzbanek. Tylko tego trzeba było Tennysonowi, aby przechylić szalę na swoją korzyść. Powtórzył więc za Genoweńczykiem:

- Właśnie, gdzie dowody? Okażcie je, skoro śmiecie rzucać oskarżenia! Okażcie je, tu i teraz!

Spoglądał na przemian na Willa, to znów na króla. Znów odzyskał pewność siebie. Przemawiał z coraz większą mocą, jak na wytrawnego oratora przystało, zwracając się do monarchy:

- Oglądacie przybłędę, który złamał święte prawa sądu opatrności! Zranił mojego orędownika. Winien przepłacić tę zbrodnię życiem. A Gerarda należy ogłosić zwycięzcą! Ten chłystek mnie oskarża, lecz czyni to, nie mając żadnych dowodów. Jeśli zaś jakiegokolwiek dowody posiada, niechże natychmiast je nam przedstawi!

Zmarszczył brwi, widząc, że oczy wszystkich na królewskiej trybunie skierowały się ku Willowi. Spojrzał i on w tamtą stronę. Ku swemu niebotycznemu zdumieniu ujrzał na twarzy młodzieńca triumfalny uśmiech. A w dłoni młokosa kubek. Obok stał sprzedawca lodu, który drogę tam i z powrotem przebył biegiem, więc teraz dyszał ciężko.

Will zwrócił się do Genoweńczyka:

- Sądziłeś, że dowód twej zbrodni wsiąkł bez śladu w ziemię? Wylałeś wodę z dzbanka, to prawda. Sam widziałem!

Tennyson dostrzegł nagły błysk niepewności w oczach najemnika, gdy zbir ujrzał naczynie. Will podniósł głos, by słyszeli go wszyscy:

- Ten człowiek opróżnił dzbanek, lecz ja znalazłem się w namiocie wcześniej. Schowałem przed nim kubek, z którego pił Rycerz Wschodu. Spodziewałem się bowiem, że Tennyson dopuści się takiej niegodziwości, a gdy z ukrycia ujrzałem, że jego sługa wylewa wodę z dzbanka, zyskałem już pewność. Oto truciciel! - wskazał teatralnym gestem Genoweńczyka.

Zwrócił się do Ferrisa, który wstał z tronu i podszedł aż do balustrady łoży.

- Wasza królewska mość, tę wodę wypił Rycerz Wschodu. Wodę zatrutą. Tennyson oraz jego bałwochwalcy złamali zasady turnieju. Podłym podstępem usiłowali wpłynąć na

wynik, więc zasługują na potępienie.

Ferris zastanawiał się tylko krótką chwilę. Zapewne, był człowiekiem słabym, chwiejnym, lecz i on posiadał swą dumę, a Tennyson obelżywym zachowaniem oraz pogrozkami dawno przekroczył wszelkie granice monarszej cierpliwości.

- Zdołasz udowodnić oskarżenie? - spytał Willa.

Will uśmiechnął się. Chwycił Genoweńczyka za kołnierz, dźwigając go na nogi. Przytknął najemnikowi kubek do zaciśniętych ust.

- Bez trudu - zapewnił. - Wystarczy popatrzeć, co nastąpi, gdy tu obecny nasz przyjaciel tej wody skosztuje.

Cudzoziemiec szarpnął się, lecz był związany, a Will trzymał go w żelaznym uchwycie.

- No, już - rozkazał, po czym zwrócił się do szeryfa: - Przyjacielu, czy zechcesz złapać go za nos i zmusić do otwarcia ust?

Szeryf chętnie wykonał polecenie; Genoweńczyk musiał rozewrzeć usta, by odetchnąć. Jednak gdy Will uniósł do nich kubek, zabójca, dokonując desperackiego wysiłku, wyszarpnął rękę z więzów, po czym wytrącił kubek z rąk Willa. Naczynie upadło, a płyn rozlał się, wsiąkając w ziemię.

Will puścił zbirą. Cofnął się o krok. Rozłożył ramiona, zwracając się do króla:

- Myślę, że zachowanie pojmanego świadczy samo za siebie, wasza królewska mość - stwierdził. Jednak Tennyson natychmiast zaprotestował:

- To żaden dowód! Żaden! Czego może dowodzić rozlana woda? Nie ma dowodu, nie ma! Wszystko to spisek, wszystko kłamstwa, wszystko pomówienia!

Lecz Tennyson miał już przeciw sobie cały zgromadzony tłum. Również tych, którzy przybyli tu wraz z nim, a teraz wydawali gniewne okrzyki, bowiem uzmysłowili sobie, że padli ofiarą oszusta.

- Istnieje jeden pewny sposób, by przekonać się, kto kłamie - zawołał Will. Znów zapadła cisza. - Niech o prawdzie orzecze najwyższy z sądów!

Ferris nie spodziewał się takiego obrotu wydarzeń.

- Najwyższy? A więc żądasz sądu opatrności? - upewnił się.

Will przytknął, wskazując wzdorliwie Genoweńczyka.

- On przeciwko mnie. Tu i teraz. Obaj jesteśmy strzelcami, a więc jedna strzała dla każdego, z przeciwległych krańców pola.

- Nie! Mówię wam, że to... - zaczął Tennyson, lecz tłum go zakrzyczał. Zgromadzeni pragnęli zobaczyć kolejny pojedynek, a przy tym wierzyli w ostateczną, rozstrzygającą moc

sądu opatrności.

Ferris rozejrzał się wokół. Najwyraźniej lud tego właśnie sobie życzył, bez dwóch zdań. W przeciwnym razie czekałaby go ciągnąca się być może tygodniami rozprawa, w której to on, jako władca, musiałby pełnić rolę sędziego. Rozstrzygnięcie niełatwo da się w przyszłości osiągnąć, a przy tym Tennyson zyskałby na czasie - zaś król miał już stanowczo powyżej uszu nadętego szarlatana w białych szatach.

- Niech tak się stanie - oznajmił.

Rynek znów zagrział od okrzyków na cześć władcy, przy czym wznosiła je także znaczna większość widzów siedzących po stronie Tennysona.

ROZDZIAŁ 44

Reguły starcia były proste. Jeden z szeryfów przyniósł kuszę Genoweńczyka z namiotu Horace'a i wręczył ją najemnikowi wraz z jednym bełtem. Kusznik zajął pozycję w pobliżu południowego namiotu.

Will stanął naprzeciwko, w północnym krańcu pola. On także miał do dyspozycji jedną strzałę. Przeciwników dzieliła odległość nieco ponad stu metrów. Przestrzeń za jednym i drugim błyskawicznie opustoszała. Ci widzowie, którzy do tego czasu stamtąd właśnie przyglądali się turniejowi, stanęli teraz po obu stronach, wzdłuż barier przed trybunami. Pośrodku powstał szeroki korytarz, w jego przeciwległych krańcach czekali dwaj strzelcy.

Sean Carrick przedstawił reguły, do których mieli się stosować:

- Żadna ze stron niech nie śmie uchylać się od pocisku przeciwnika. Obaj pozostajecie w jednym miejscu, a na dany sygnał wolno wam wypuścić strzałę. Jeśli obaj chybicie, otrzymacie po kolejnej strzale i wszystko zacznie się od początku.

Spojrzał w lewo, potem w prawo, by sprawdzić, czy obaj dobrze go zrozumieli. Will i Genoweńczyk kolejno skinęli głowami.

Will nie śpieszył się, spokojny, skupiony. Oddychał swobodnie, równo. Zdawał sobie sprawę, że kusza to bardzo groźna broń, a w dodatku dość łatwo jest nauczyć się w miarę celnie z niej strzelać. W każdym razie o wiele prościej, niż celnie szyć z łuku. Strzelec ma nawet do dyspozycji coś w rodzaju przyrządów celowniczych: listwy z wycięciem w kształcie litery V z tyłu, a grot bełta pełni rolę muszki. W trakcie celowania nie trzeba napinać mięśni, bowiem ciężewę unieruchamia rygiel, który w chwili strzału kusznik zwalnia za pomocą dźwigni spustowej.

Stwierdziwszy, że względnie dobrego kusznika można uczynić z każdego żołnierza, wiele lat wprzód genoweńska hierarchia obrała tę właśnie broń za główny oręż swych sił zbrojnych. Broń, która nie wymaga szczególnych uzdolnień ani umiejętności. Praktycznie każdy w krótkim czasie zdoła nauczyć się nią posługiwać.

W tym właśnie Will upatrywał swą szansę. Strzelając z kuszy, wystarczy unieść ją,

wycelować i pociągnąć za spust. Kusza bowiem nie żąda od kusznika setek godzin ćwiczeń. Aby stać się dobrym strzelcem, wystarczy tylko nieco wprawy - toteż mało kto podejmuje wysiłek, by stać się strzelcem doskonałym.

Tymczasem łuk wymaga od użytkownika nieustannego doskonalenia się w strzeleckich umiejętnościach, co jest podstawowym warunkiem osiągnięcia oraz utrzymania jakiegokolwiek poziomu. Zwiadowców z ich bronią łączyła więc niemal mistyczna. Nigdy nie przestawali się doskonalić. W ich mniemaniu strzelec dobry, to strzelec ledwie mierny, oni zaś dążyli do perfekcji. Osiągnięcie nawet znośnego poziomu łuczniczych umiejętności wymagało oddania oraz determinacji. Dopiero kiedy łucznik wybornie opanuje podstawy, wówczas rozpoczyna się prawdziwa nauka.

Tak więc miał to być pojedynek między dobrym strzelcem, a strzelcem wyborowym. Gdyby dzieliła ich odległość pięćdziesięciu metrów lub mniejsza, szanse byłyby wyrównane. Skoro jednak długość pola wynosiła ponad sto metrów, istotnie zmniejszał się margines błędu. Will czuł, że dzięki sporemu dystansowi ma szansę na zwycięstwo.

Brał też pod uwagę co innego. Otóż Genoweńczycy z zasady byli zabójcami, nie wojownikami. Nie przywykli celować, gdy sami narażeni są na pociski. Co innego strzelić z ukrycia do niczego niespodziewającej się ofiary. Will z doświadczenia wiedział, jak bardzo świadomość, że jednocześnie samemu jest się celem, utrudnia mierzenie z broni i zachowanie przy tym spokoju.

Ufny we własne umiejętności, spoglądał spokojnie, na okrytą purpurowym płaszczem postać.

Kątem oka spostrzegł, że sygnalista unosi mosiężną trąbę. Założył strzałę na cięciwę, a potem skupił się całkowicie na odległym o sto metrów przeciwniku. Dźwięk instrumentu rozdarł powietrze. Will unosił łączysko, napinając jednocześnie cięciwę.

Wciąż nie musiał się spieszyć. Nawet jeśli strzeli pierwszy, tamten i tak zdąży wypuścić bełt. Will liczył na celność swojej strzały - oraz że przeciwnik chybi. Ujrzał, jak Genoweńczyk unosi kuszę. Will nie koncentrował się na żadnym szczególnym aspekcie strzału, takim jak kąt uniesienia, poprawka na wiatr czy moment wypuszczenia strzały. Musiał brać pod uwagę wszystko naraz.

Oddychając gładko i równo, dążył do zharmonizowania trzech elementów, składających się na jedną całość: łuku, grotu strzały oraz celu. Zaczerpnął powietrza. Potem, na ułamek sekundy, zanim prawy palec wskazujący musnął kącik jego ust, rozpoczął wydech - nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Wszystko działo się płynnie, każda cząstka układanki znalazła się na właściwym miejscu, tworząc jednię.

A kiedy ją odczuł, zrozumiał - choć nie wiedział, jakim sposobem - że w ostatniej chwili Genoweńczyk spróbuje uskoczyć przed jego strzałą. Uchyli się tylko trochę, na pół kroku lub może zaledwie wygnie tułów. Jednak bez wątpienia spróbuje uniku. Will w ostatnim ułamku sekundy dokonał poprawki o pół metra w swoją prawą stronę.

Wypuścił strzałę - płynnie, bez najmniejszego szarpnięcia łączykiem.

Upewnił się jeszcze, że obraz nadal stanowi całość. Nie uległ pokusie, by opuścić łuk, wciąż pozostawał w harmonii z bronią.

Coś błysnęło obok jego głowy, w odległości metra czy dwóch. Usłyszał wysoki świst; mimochodem odnotował fakt, że Genoweńczyk strzelił wcześniej. Z wolna opuścił łączyko. Dostrzegł w tej samej chwili nieznaczny ruch przeciwnika, który postąpił o pół kroku w lewo - prosto na tor strzały Willa.

Postać w purpurowym płaszczu drgnęła nagle, zachwiała się, a potem upadła na plecy.

Tłum oszalał. Niektórzy z widzów zauważyli niewielki unik, jakiego usiłował dokonać Genoweńczyk. Nie wiedzieli, czy Aralueńczyk go przewidział, czy też po prostu sprzyjało mu szczęście - a może bogowie? Jakakolwiek jednak była przyczyna, wynik pojedynku przyjęto z radością. Kiedy Will zmierzał wolnym krokiem ku królewskiej łoży, tłum po obu stronach pola wiwatował co sił na jego cześć.

Spojrzał w lewo i dostrzegł białą ubraną postać oklapłą na poduszkach fotela, najwyraźniej w poczuciu zupełnej klęski.

Już po tobie - pomyślał, a potem odwrócił się w drugą stronę, by ujrzeć Halta i Horace'a. Posłał im zmęczony uśmiech.

- Co się stało? Co się stało? Nic mu nie jest? - gorączkował się Horace, który wciąż widział wszystko nieostro. Halt poklepał go po ramieniu.

- Wszystko w porządku. Tak. Wszystko w porządku - potrząsnął głową. Opadł ciężko na ławę. Napięcie, jakie towarzyszyło mu tego dnia, kiedy musiał patrzeć, jak dwaj jego młodzi przyjaciele narażają życie, okazało się niemal nie do zniesienia. - Chyba robię się już zbyt stary - rzekł cicho. Jednak zarazem przepełniała go duma na myśl o tym, jak dzielnie się obaj sprawili.

Gdy jego dawny czeladnik zbliżył się, wstał. Wyszedł mu naprzeciw. Uściskał młodzika w milczeniu, niepewny własnego głosu. W następnej chwili Horace pochwycił dłoń Willa. On także przez dłuższą chwilę nie potrafił wydusić z siebie ani słowa, poklepywał tylko druha po plecach. Wkrótce otoczyła ich niemała grupka rozentuzjasmowanych widzów, którzy także pragnęli pogratulować łucznikowi tak pięknego zwycięstwa. Wreszcie Halt puścił dłoń ucznia. Cofnął się.

- Mieliliśmy sporo szczęścia, że zdążyłeś dobiec do namiotu i schować kubek - mruknął. Will uśmiechnął się, trochę zawstydzony.

- Prawdę mówiąc, nie zdążyłem. Wpadłem tam na krótką chwilę przed pojawieniem się bandziora. Nie, posłałem sprzedawcę lodu, żeby nabrał do kubka wody, ale wszystko jedno, jakiej. Coś mi mówiło, że nasz genoweński przyjaciel nie zaryzykuje wypicia kilku łyków.

Na twarzy Halta pojawił się uśmiech pełen uznania dla przebiegłości Willa. Niedługo jednak dane im było cieszyć się triumfem, bowiem od strony królewskiej loży dobiegł ich przerażony okrzyk:

- Król! Król nie żyje!

Prowadząc między sobą Horace'a, zwiadowcy od razu przepchnęli się przez tłum gapiów, pragnących ujrzeć z bliska powód alarmu. Sean dostrzegł Araluńczyków. Skinął, by podeszli pod samą lożę. Pochylił się, pomógł im wspiąć się na platformę.

- Co się stało? - spytał Halt.

Sean bez słowa wskazał im tron. Ferris siedział na nim z szeroko otwartymi oczami i wyrazem zdumienia na twarzy. Wreszcie królewski namiestnik odzyskał głos.

- Nie wiem, jak do tego doszło. Nikt niczego nie zauważył, wszyscy zajęci byli pojedynkiem. Kiedy spojrzałem, już nie żył. Może to nagły atak serca?

Jednak Halt pokręcił głową. Próbował potrząsnąć ciałem monarchy, ale wyczuł opór. Zajrzał za tron, tam zaś spostrzegł lotki beltu, jakim strzela się z kuszy. Bęłt wbił się głęboko w cienkie drewno. Pocisk przeniknął przez deski i utkwiał w plecach króla. Przyspilił Ferrisa do oparcia, uśmiercając monarchę na miejscu.

- Tennyson! - zawołał. Rzucił się do balustrady, by spojrzeć na trybuny znajdujące się naprzeciwko.

Owszem, na krześle proroka zasiadał jakiś otyły osobnik. Nie był to jednak Tennyson, a któryś z wyznawców, ledwie w przybliżeniu przypominający sylwetką przywódcy Odszczepieńców.

Fałszywy prorok Alsejasza, wraz z dwoma pozostałymi Genoweńczykami i kilkoma najbliższymi współpracownikami zniknął bez śladu.

ROZDZIAŁ 45

Zrazu nikt nie spostrzegł jego ucieczki. Jak słusznie stwierdził Sean, oczy wszystkich skierowane były na pole turniejowe, gdzie rozgrywał się dramatyczny pojedynek.

- Niewykluczone, że ulotnił się jeszcze przed rozpoczęciem walki. Przecież gdyby jego człowiek zwyciężył, zawsze mógłby triumfalnie powrócić. Rozkazał tedy jednemu ze swych zbirów zabić Ferrisa, a potem umknął. Niestety, teraz ma nad nami sporą przewagę. Poza tym, nie wiemy, w którą stronę się udał.

Natychmiast wybrali się do obozowiska Odszczepieńców. Lecz tam nie znaleźli ani śladu Tennysona oraz osobników z jego najbliższego otoczenia. Owszem, zastali kilku zatwardziałych wyznawców, większość czcicieli Alsejasza jednak znalazła się na rynku. Ci zaś, których zaskoczyli w obozie, przeczyli stanowczo, jakoby w ogóle widzieli proroka po zakończeniu turnieju.

Halt nie wiedział, w co ręce włożyć. Miał mnóstwo spraw do załatwienia - naraz. Należało zidentyfikować oraz pojmać pozostałych popleczników Tennysona. To zadanie zlecił straży zamkowej z Seanem na czele. Rzecz jasna, większość wyznawców nie dopuściła się żadnych niecznych czynów. Jediną ich winą było, że pozwolili się omamić Tennysonowi. Klapki z oczu spadły prawie wszystkim, bo podczas turnieju rzekomy prorok ukazał swe prawdziwe oblicze. Jednak zgoła inaczej należy potraktować najbliższych współpracowników kapłana, tych noszących białe szaty. Bowiem oni zaliczali się do świadomych współników zbrodni. Toteż musieli ponieść sprawiedliwą karę. Przedtem należało ich wszakże powyłapywać i osądzić.

Jednocześnie instynkt, a także doświadczenie nakazywały Haltowi natychmiastowe podjęcie pościgu za Tennysonem oraz zbiegłą wraz z nim garstką popleczników - póki trop nie ostygł. Niestety, na razie nie mógł ruszyć się z Dun Kilty. Tam Halta potrzebowano przede wszystkim. Przecież śmierć Ferrisa spowodowała bezkrólewie. Ktoś musiał przejąć stery władzy, a właśnie on był prawowitym spadkobiercą korony. Nie zamierzał obejmować tronu. Jak zapewniał w swoim czasie Ferrisa - nie miał na to najmniejszej chęci. Musiał

jednak poświęcić sprawom Clonmelu trochę uwagi. Tymczasem każda chwila opóźnienia zwiększała prawdopodobieństwo, iż Tennyson wymknie mu się z rąk.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, wybrał jedyne możliwe rozwiązanie.

- Wytrop ich dla mnie, Willu - rzeki. - Wywiedz się, dokąd zmierzają, i prześlij mi wiadomość. Tylko niech cię nie najdzie pokusa, żeby próbować samodzielnie zatrzymać łotrów. Pozostało ich zbyt wielu, a Genoweńczycy są podwójnie niebezpieczni, odkąd zorientowali się, na co cię stać. Bądź co bądź, rozpraw się z ich pobratymcem. Krótko mówiąc, nie pokazuj im się na oczy. Śledź ich i czekaj, aż cię dogonimy.

Will skinął bez słowa. Lecz zanim udał się do stajni, gdzie pozostawili wierzchowce, zapytał:

- A co z Horace'em? I z jego oczami...? - urwał, bojąc się wypowiedzieć głośno swe obawy.

Halt poklepał ucznia po ramieniu.

- Sean kazał go zbadać królewskiemu chirurgowi. Medyk stanowczo oznajmił, że wie, jaki zastosowano narkotyk, oraz że obecny stan Horace'a jest przejściowy. Zresztą, nawet już teraz widzi lepiej. Za dzień lub dwa będzie zdrow jak ryba.

Will odetchnął.

- No, to przynajmniej jedna dobra wiadomość.

- Bez wątpienia - zgodził się Halt. Gdy się zastanowił, uświadomił sobie, że przez ostatnie dni przypadła im w udziale zdumiewająca obfitość dramatycznych przeżyć i emocji. Prawie ponad ludzką miarę. - Nie miałem jeszcze okazji ci tego powiedzieć, ale świetnie się spisałeś - rzekł do młodego zwiadowcy. - Naprawdę wyśmienicie. Sztuczkę z kubkiem wody oceniam jako wprost genialną. Musieliśmy zdemaskować Tennysona i właśnie ów dowód szalbierstwa, jaki przedstawiłeś, przeważył szalę na naszą korzyść. Sama tylko klęska jego najemnika w pojedynku, bez poparcia dodatkowymi argumentami, mogłaby okazać się niewystarczająca. Zwłaszcza by przekonać wszystkich wyznawców, iż ich rzekomy prorok jest zwykłym oszustem.

Will zmieszał się, słysząc słowa pochwały. Znaczyły one dlań bardzo wiele. Istniał tylko jeden człowiek na całym świecie, którego uznanie liczyło się dla Willa, a był nim właśnie ten siwowłosy, mrukliwy zwiadowca.

- Ach, chciałem cię jeszcze o coś spytać - odezwał się znów Halt. - Skąd wiedziałeś, że Genoweńczyk się uchyli?

Obserwował trajektorię strzały Willa. Dostrzegł więc wyraźnie, że zabójca wprost nadział się na pocisk. Świetnie znał umiejętności strzeleckie swego ucznia, toteż nie wątpił, iż

o pomyłce nie może być mowy. Strzała podążyła tam właśnie, gdzie życzył sobie strzelec.

Will podrapał się w głowę.

- Nie wiem skąd. Po prostu... Po prostu wiedziałem. Jakoś mi to pasowało do całego ich dotychczasowego zachowania. Poza tym był praworęczny, toteż wydało mi się, że najprawdopodobniej, gdy dokona uniku, odbije się prawą stopą. Przyjąłem po prostu niezbędną poprawkę. Pewnie to kwestia instynktu. A może raczej szczęścia?

- Wolę przyjąć, że kierował tobą instynkt - stwierdził Halt. - Czasem wydaje mi się, że poświęcamy mu zbyt mało uwagi. Tak czy inaczej - brawo. No, a teraz w drogę. Znajdź mi Tennysona.

Will pożegnał mentora uśmiechem. Po małej chwili znikł w tłumie, który wciąż kłębił się na rynku, komentując ekscytujące wydarzenia minionego dnia. Po dziesięciu minutach zwiadowca opuszczał już bramy miasta, by rozejrzeć się za kimś, kto widział Tennysona oraz jego popleczników. W najbliższej okolicy Dun Kilty szanse miał znikome, zbyt wielu ludzi przybywało do stolicy i opuszczało ją. W dodatku ślady na głównym trakcie zostały, rzecz jasna, dawno zdeptane. Lecz gdy nieco się oddali, z pewnością prędzej lub później znajdzie się ktoś, kto zwróci uwagę na obcych. Ludzie po wsiach obserwują takowych uważnie i mają dobrą pamięć. Dojechał do rozstajów, zatrzymał się. W którą stronę, na północ, czy na południe?

- Wybieraj - rzekł do Wyrwija, po czym wypuścił wodze z dłoni. Konik potrząsnął niecierpliwie łbem. Natychmiast skręcił w prawo - a więc na północ. Nie dysponując żadnymi innymi przesłankami, Will pogodził się z decyzją wierzchowca. Dotknął beczułkowatych boków piętami. Ruszyli nieśpiesznym kłusem.

* * *

Trzy dni później zwołani przez Halta i Seana notable z całego kraju przybyli na obrady do Dun Kilty. Zjechali się, by zatwierdzić rozstrzygnięcie kwestii sukcesji korony Clonmelu.

Zasiedli w sali tronowej. Spoglądali po sobie niepewnie. Wiedzieli już wszyscy, kim naprawdę jest Halt. I że jemu przysługuje tytuł prawowitego króla. Nie potrafili jednak przewidzieć, jak zachowa się nowy władca wobec możnych, którzy wspierali Ferrisa lub choćby przez tak długie lata nie przeciwstawiali się uzurpatorskim rządóm. Rzecz wiadoma, nierzadko ten, kogo pozbawiono należnych mu praw, przejawia skłonność, by odpłacić pięknym za nadobne nie tylko osobom winnym powstałemu stanowi rzeczy. Często złym okiem spogląda także na ludzi, którzy w mniemaniu skrzywdzonego nie wykazali należytej

gorliwości, przeciwstawiając się bezprawiu - choćby nawet działali bez złej woli.

Niektórzy dostojnicy rozmawiali ze sobą półgłosem, czekając na przybycie Halta - dopóki nie zdali sobie sprawy, iż przebywa już pośród nich. Do takich porządków nie przywykli. Król, jakiego znali, wkraczał do komnaty w całym monarszym majestacie, a nie pojawiał się niepostrzeżenie - znikąd. Ucichli, zbici z tropu. Czekali, by okryty szarozielonym płaszczem cudzoziemiec, który jednak przyszedł na świat w tym zamku, tak podobny do zmarłego króla i tak od niego odmienny... by nowy król przemówił i orzekł o ich dalszym losie.

U boku Halta stał Sean z Carrick. Halt dał znak wielmożom. Usiedli. Naprzeciwko tronu ustawiono w półkolu przeznaczone dla nich ławy. Zdumieni się, widząc, że siada wraz z nimi. Spodziewali się, że zajmie należne sobie miejsce na tronie.

- Szlachetni panowie - zaczął - nie zabiorę wam wiele czasu. Wiecie, kim jestem. Jest wam wiadomy fakt, że brat mój przywłaszczył sobie należny mi tron. Macie zatem świadomość, że przysługuje mi niezaprzeczone prawo do objęcia władzy królewskiej w Clonmelu.

Umilkł, spoglądając po zgromadzonych. Ujrzał potakujące skinienia. Oraz zerknięcia, choć oczy dostojników unikały jego wzroku. Rozumiał niepokój słuchaczy. Nie zamierzał dłużej przetrzymywać ich w niepewności.

- Nie wiecie natomiast, że należnej mi korony zamierzam się zrzec.

Zabiłem im niezłego ćwieka - pomyślał nie bez satysfakcji. Głowy wszystkich zgromadzonych uniosły się. Na twarzach ujrzał zdumienie, niedowierzenie. Któż o zdrowych zmysłach wyrzeka się królewskiej władzy? Pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- Rozumiem wasze zaskoczenie. Cóż, powiem wprost: nie pragnę królewskiej władzy, ani w tym kraju, ani w żadnym innym. Zbyt wiele czasu upłynęło, odkąd Zamek Dun Kilty przestał być moim domem. Moją ojczyzną stał się Araluen pod rządami monarchy, którego darzę szacunkiem. Na godnego uznania króla zasługujecie także wy, szlachetni panowie. Sean, kto jest następny w porządku dziedziczenia?

Rzucił pytanie bez wcześniejszych przygotowań. Młody namiestnik, który zupełnie nie spodziewał się podobnego obrotu spraw, wstał, z lekka oszołomiony.

- Ależ... Wasza wysokość... Przecież to byłbym ja - wykrztusił.

Halt skinął poważnie głową.

- Stąd płynie wniosek, że stałeś się dziedzicem schedy po Ferrisie - stwierdził. - Skoro ja abdykuję, tobie należy się korona. Czy ktoś zgłasza sprzeciw? - zwrócił się ostrym tonem do zgromadzonych.

W istocie, gdy usłyszeli oświadczenie Halta o zrzeczeniu się należnych mu praw do korony Clonmelu, niejedni chętni, w nagłym przypiływie szalonej ambicji, zapragnął królewskich insygniów dla siebie. Jednak wszystko rozgrywało się nadzwyczaj szybko, a zresztą dziwny błysk w oku Halta dał im do zrozumienia, że podobne niewczesne zachcianki mogłyby zaprowadzić każdego uzurpatora nie na tron, lecz w całkiem inne, bardzo nieprzyjemne miejsce. W rezultacie szlachetnie urodzeni czym prędzej wyrazili swą aprobatę.

- Tak przypuszczałem - stwierdził Halt.

- Chwileczkę! Ja się sprzeciwiam! - zawołał Sean.

Zwiadowca zwrócił się ku siostrzeńcowi.

- Nikt nie może zaprzeczyć, iż w obecnej sytuacji stałeś się prawowitym następcą tronu. Czyżbyś nie zamierzał nań wstąpić?

Dostrzegł wahanie w oczach Seana. Nie dziwił się ani trochę. Istniało wiele całkiem rozsądnych powodów, by wzdragać się przed przyozdobieniem skroni koroną. Zwłaszcza w tym kraju, gdzie tron był tak chwiejny. Tutejszy monarcha, o ile zamierzał się na nim utrzymać, musiał dzierżyć władzę żelazną ręką. Musiał bezustannie zważać na knowania dbających wyłącznie o własne interesy wielmożów, czyhających na każdy jego błąd, by uszczknąć coś dla siebie. Co więcej, czekało go niełatwe zadanie odbudowania powagi królewskiej władzy pośród ludu. Nikt o zdrowych zmysłach nie prosiłby się o tak znojnny zaszczyt. A Sean okazał się przecież bardzo inteligentnym młodym człowiekiem.

Jednak nim zaskoczony siostrzeniec Halta zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zwiadowca dodał:

- Pozwól, że ujmę całe zagadnienie inaczej. Czy widzisz pośród tu zebranych kogoś, kogo wolałbyś ujrzeć na tronie bardziej niż siebie? - Wskazał ruchem głowy siedzących w półkołu wielmożów. Przysłuchiwali się wymianie zdań niczym zahipnotyzowani.

Argument nie do odparcia. Sean zrozumiał, że dla tych samych przyczyn, które przed objęciem monarszej władzy go powstrzymywały, przyjąć królewską władzę musi.

Żaden z książąt i baronów, którzy zasiedli w tej sali, nie zdołałby wyzbyć się egoistycznych pobudek. Gdyby któryś z nich sięgnął po koronę, rządziłby tylko w interesie własnego klanu. Wkrótce inni zbuntowaliby się przeciwko jego władzy, utworzyłyby się stronnictwa. Królestwo pogrążyłoby się w chaosie wojny domowej. Sean, jako jedyny prócz Halta, nie tylko posiadał dziedziczne prawo do korony, lecz w dodatku odznaczał się siłą charakteru i determinacją niezbędną, by sobie wielmożów podporządkować. W głębi duszy zdawał sobie z tego sprawę, toteż, przewyciężając wewnętrzne opory, postąpił krok do przodu. Stał obok zwiadowcy.

- Niech tak będzie. Zgoda - rzekł.

Nie tego pragnął, lecz gotów był ustąpić wobec wyższej konieczności, jaką stanowiło dobro królestwa. Halt milczał kilka chwil, po czym zwrócił się do zebranych:

- Czy ktoś się sprzeciwia? - spytał. Zapewne przypadkiem w tej samej chwili jego lewa dłoń spoczęła na rękojeści saksy. Szlachetni panowie czym prędzej zapewnili, że skądże znowu, nikt sprzeciwiać się nie ma zamiaru. Niech żyje król Sean!

Halt zwrócił się do siostrzeńca:

- Jeszcze jedno, Sean. Zanim dokonam oficjalnej abdykacji, zanim wyrzeknę się wszelkich pretensji do tronu, musisz mi coś obiecać. Otóż przetrąciliśmy kręgosłup ruchowi Odszczepieńców w Clonmelu. Jednak trzymają się oni mocno w pozostałych pięciu królestwach. Chodzi o to, by bałwochwalców rozpędzono na cztery wiatry, a przywódców uwięziono. Skoro pozbyliśmy się Tennysona, skoro okryliśmy go hańbą, nie przewiduję zbyt wielkich trudności. Wystarczy działać stanowczo, wówczas cała ich potęga runie niczym domek z kart. Gotów jestem się założyć, że władcy pięciu królestw zdążyli się już poznać na szalbierzach. Nie będą mieli nic przeciwko starciu łotrów na proch i pył.

Jednak Sean pokręcił głową.

- W tym celu musiałbym sformować silny korpus ekspedycyjny - rzekł - a brakuje mi ludzi. Ci, których mam, potrzebni są tutaj, w Clonmelu. Nie mogę pozbawić królestwa obrońców.

Halt z uznaniem skinął głową. Odpowiedź pretendenta do korony stanowiła dowód, iż abdykujący wuj postąpił słusznie, cedując królewską władzę na młodego krewniaka.

- Dlatego zamierzam wystosować pismo do króla Duncana. Zażądam oddziału zbrojnych w charakterze wsparcia. Niech liczy, powiedzmy, stu pięćdziesięciu ludzi, rycerzy oraz łuczników, którzy zostaną oddani do twojej dyspozycji. Rzecz jasna, o ile się zgodzisz.

Sean rozważył propozycję.

- Pod warunkiem, że ludzie ci powrócą do Araluenu, kiedy rozprawimy się z Odszczepieńcami...?

Żaden władca godny tego miana nie życzyłby sobie na własnym terytorium obecności obcych sił zbrojnych, nie domagając się zarazem niezbędnych gwarancji.

- Daję ci słowo, że wycofają się, gdy tylko przestaną ci być potrzebni - zapewnił Halt.

- W takim razie, zgoda - powiedział Sean i wyciągnął do wuja dłoń. Uściskawszy prawicę Halta, spojrział pytająco w stronę zgromadzonych wielmożów; ci zaś śpiesznie zapewnili go o swym poparciu, jeśli idzie o wyplenienie obmierzłego kultu. - Każde z waszych lenn wystawi stosowną liczbę zbrojnych - było to raczej stwierdzenie faktu niż

żądanie. I tym razem szlachetnie urodzonym nie pozostało nic innego, jak tylko solennie oświadczyć, że oczywiście, tak właśnie się stanie.

- Szczegóły ustalimy później - stwierdził Halt. - Tymczasem czeka na mnie Horace. Przypuszczam, że marzy o obiedzie. Szlachetni panowie, drobiazgi takie, jak koronacja, omówicie między sobą. - Uśmiechnął się do Seana szczerze, serdecznie. - Jeśli taka wola waszej królewskiej mości?

Przez chwilę Sean nie odpowiadał. Nagle zdał sobie sprawę, że Halt zwraca się do niego.

- Słucham? Ach, tak. Oczywiście, Halt. To znaczy, wuju. By tak rzec... Proszę bardzo. Halt podszedł nieco bliżej, tak żeby słyszał go tylko siostrzeniec.

- Poćwicz trochę przed lustrem królewskie maniery - poradził.

Horace czekał w sieni. Widział już prawie tak dobrze, jak wprzód; silny organizm szybko uporał się z trucizną. Nadworny medyk doradził mu, by kilka razy dziennie przemywał oczy ciepłą wodą ze szczyptą soli. Wciąż były z lekka zaczerwienione, lecz mógł już teraz samodzielnie się poruszać.

Wstał na widok Halta opuszczającego salę tronową. Zwiadowca obrzucił rycerza uważnym spojrzeniem. Ucieszył się, widząc, że młodzieniec z każdą chwilą wraca do zdrowia.

- No, jak poszło? - spytał beztrąsko Horace. - Czy trzeba przed tobą dygnąć, wielmożny królu Halcie?

- Spróbuj, a dostaniesz w ucho - odrzekł Halt, uśmiechając się leciutko. - Królem zostanie Sean.

- Niezły pomysł - ocenił Horace. - Zupełnie na marginesie dodam, że niedawno przybył jeździec z wiadomością od Willa.

Halt spojrzał szybko. Oto pierwsza wieść od Willa, odkąd młody zwiadowca wyruszył w pościg za Tennysonem.

- Wiadomość brzmiała następująco: „Fingle Bay” - dokończył Horace.

Zwiadowca w zamyśleniu przygryzł wargę.

- To miejscowość na północy Clonmelu. Port rybacki położony w małej zatoczce. Cóż, zwijaj manatki, ruszamy w drogę.

Horace spojrzał z wyrzutem.

- A obiad? - spytał. Nadzieje mężnego rycerza szczyły, gdy ujrzał, jak Halt w niebotycznym zdumieniu unosi brwi.

- Jaki znowu obiad? - spytał zwiadowca.

Horace westchnął ciężko.

- Wiedziałem, że powinienem poczekać z nowinami, aż się posilimy - rzekł z ubolewaniem.

EPILOG

Halt pragnął jak najprędzej pokonać odległość dzielącą ich od Fingle Bay. Nadłożyli jednak drogi, by złożyć krótką wizytę na szczycie pewnego wzgórza wznoszącego się po zachodniej stronie Dun Kilty.

Hulał tam wiatr, bo wycięto wszystkie drzewa. Na szczycie wznosiły się kamienne kurhany - było ich tam około pięćdziesięciu. Niektóre osypywały się, zmurszałe ze starości. Inne usypano w mniej zamierzchłych czasach. Jeden zaś zbudowano zaledwie kilka dni wcześniej, z kamieni świeżo wykutych w kamieniołomach.

Znaleźli się bowiem na Wzgórzu Kurhanów, prastarym cmentarzysku, gdzie spoczywali wiecznym snem królowie Clonmelu.

Gdy dotarli do bramy w niskim murze okalającym nekropolię, Horace ściągnął wodze Kickera. Dalej Halt na grzbiecie Abelarda pojechał sam, aż zatrzymał się przed niedawno wzniesionym kamiennym kopcem. Przez długą chwilę zwiadowca spoglądał na rumowisko, pod którym spoczęły doczesne szczątki jego brata. Po kilku minutach zawrócił wierzchowca, który, człapiąc powoli, powrócił do miejsca, gdzie czekał Horace. Młody rycerz bez słowa pojechał za mistrzem. W milczeniu podążali drogą prowadzącą w dół, ku gościńcowi. Zamierzali zatrzymać się na nocleg w Derryton, nadbrzeżnej wiosce po drodze do Fingle Bay.

Horace spojrział w niebo. Od zachodu nadciągały ciemne chmury. Wkrótce spadnie deszcz - stwierdził w duchu.

Milczeli jeszcze przez długi czas. Wreszcie odezwał się Horace:

- Kiepski był z niego król - stwierdził - ale cóż, innego nie mieli.

Gdy tylko wymówił te słowa, zdał sobie sprawę, że zabrzmiały dość niezręcznie. Zerknął z niepokojem na towarzysza, w nadziei, że go nie uraził.

- Wybacz, Halt - mruknął.

Halt odpowiedział smutnym uśmiechem. Wiedział, że młody rycerz nie miał nic zdrożnego na myśli.

- Daj spokój, Horace - odpowiedział. - Brat też był z niego kiepski. Tylko... No,

właśnie, innego nie miałem.

Spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Halt naciągnął mocniej kaptur płaszcza.

- Postarajmy się dotrzeć do Derryton, nim zapadnie zmrok.